



ZE STRACHEM

# Czwarty

# NAPASTNIK

*Kjell Ola Dahl*



wydawnictwo  czarne

Wołówiec 2012

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału norweskiego DEN FJERDE RANEREN

Projekt okładki ŁUKASZ MIESZKOWSKI

Copyright © by KJELL OLA DAHL, 2005. Published by agreement with Salomonsson Agency

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2012

Copyright © for the Polish translation by MILENA SKOCZKO, 2012

Redakcja ZUZANNA SZATANIK / [D2D.PL](http://D2D.PL)

Korekta SANDRA TRELA i ALICJA LISTWAN / [D2D.PL](http://D2D.PL)

Projekt typograficzny i redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / [D2D.PL](http://D2D.PL)

Skład wersji elektronicznej MICHAŁ NAKONECZNY / [VIRTUALO SP. Z O.O.](http://VIRTUALO.SP.ZO.O)

This translation has been published with the financial support of NORLA.

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.

Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

tel./fax +48 18 353 58 93, tel. +48 18 351 00 70

e-mail: [redakcja@czarne.com.pl](mailto:redakcja@czarne.com.pl)

Wydanie I

ISBN: 978-83-7536-590-0

# Spis treści

[Motto](#)

[Część I Pas de deux](#)

[Część II Czwarty napastnik](#)

[Część III Klucz](#)

[Przypisy](#)

*Będzie czas, by zabijać i tworzyć,  
Czas na działanie i czas rąk,  
Które nad twoim talerzem unoszą i ronią pytania,  
Czas dla ciebie i czas dla mnie,  
A przecież czas na sto niezdecydowań,  
Na sto spostrzeżeń i sprostowań,  
Zanim podadzą herbatę.*

*W salonie, gdzie kobiet przechadza się wiele,  
Rozmowa o Michale Aniele.*

*T.S. Eliot, Pieśń miłosna J. Alfreda  
Prufrocka,  
przeł. Władysław Dulęba*

Część I

**Pas de deux**

## 1

Dwóch ludzi stało w bramie. Nadszedł czas, żeby ich przetestować. Frank Frølich zeskoczył z dwóch ostatnich stopni schodów, przeszedł przez bramę, mijając mężczyzn, i znalazł się na ulicy. Żadnej reakcji. *Powinni jakoś zareagować. Dlaczego tego nie zrobili?* pomyślał. Wcisnął ręce w kieszenie kurtki i ze spuszczonego wzrokiem ruszył chodnikiem w dół ulicy. W oknie wystawowym sklepu rybnego jakiś facet wrzucał szuflę łód do skrzynki z polistyrenu. Franken obejrzał się za siebie. Mężczyźni w bramie wciąż nie zwracali na niego uwagi. Przez cały czas bawili się swoimi różańcami. Jeden z nich coś powiedział i obaj wybuchnęli głośnym śmiechem.

Nagle zaskrzypiała zardzewiała podpórka roweru. Jakaś kobieta zaparkowała go na chodniku. Przeszła obok skrzyń z warzywami, po czym otworzyła drzwi do sklepu Badira. Dzwonek nad drzwiami zabrzączał i kobieta zniknęła we wnętrzu warzywniaka.

Frank Frølich poczuł nieprzyjemny ucisk żołądka. Klientka w sklepie? Teraz? Tego jeszcze brakowało.

Wybiegł na ulicę. Nadjeżdżający samochód gwałtownie zahamował. Kierowca następnego auta zatrąbił, cudem unikając zderzenia. Tymczasem Franken minął rower, skrzynie z grzybami, winogronami, sałatą i papryką i wszedł do sklepu, z którego dochodził zapach zgniłych jabłek zmieszany z mdłą wonią oleju.

Kobieta była w sklepie sama. W zgięciu łokcia zawiesiła koszyk na

zakupy i powoli szła między dwoma rzędami sklepowych półek. Oprócz niej w środku nie było nikogo. Nikt nie siedział przy kasie. Zasłona wisząca w drzwiach prowadzących na zaplecze poruszała się lekko.

Kobieta była niska. Czarne włosy miała upięte w węzeł nieco powyżej karku. Była ubrana w dżinsy, krótką kurtkę i czarne rękawiczki. Przez ramię przewiesiła mały plecak. W prawej ręce trzymała konserwę i uważnie studiowała etykietę.

Frølich znajdował się dwa metry dalej, kiedy to się stało. Błyskawicznie spojrzął w lewo. W oknie wystawowym po drugiej stronie ulicy zobaczył wóz patrolowy. Zaczęło się.

W tej samej chwili rzucił się na kobietę. Upadając, pociągnął ją ze sobą. Pół sekundy później ktoś gwałtownie zahamował. Mężczyzna, który przeskoczył ladę sklepową, był jednym z tych, którzy bawili się różańcami. Tym razem jednak trzymał w ręku broń. Rozległ się pojedynczy strzał, a po nim odgłos tłuczonego szkła. Gablota z tytoniem i papierosami przewróciła się. Kolejny strzał. Potem zapanował kompletny chaos: wycie syreny, podniesione głosy, stukot obcasów. Trzaśnięcie drzwiami i brzęk szkła. Nieustający dźwięk tłukącego się szkła. Kobieta leżała pod nim nieruchomo. Paczki papierosów wciąż spadały im na głowy. Była koło trzydziestki i pachniała perfumami. Jej niebieskie oczy błyszczały jak dwa szafiry. Kiedy w końcu udało mu się oderwać od nich wzrok, zwrócił uwagę na jej ręce. Z zafascynowaniem przyglądał się zręcznym, długim palcom w skórzanych rękawiczkach. Szczupłe dłonie pracowicie wpychały paczki papierosów do małego plecaka, który otworzył się podczas upadku. Dopiero wtedy Frølich zdał sobie sprawę z tego, że wokół zapadła cisza. Od drzwi i okna ciągnęło zimne powietrze.



– Frølich? – zabrzmiał głos przez megafon.

– Tutaj!

– Z dziewczyną wszystko w porządku?

– Tak.

– Jest pan policjantem – wyszeptała. Odchrząknęła, żeby odzyskać głos.

Skinął głową i wypuścił ją z objęć.

– Chyba więc niemądrze byłoby coś zakosić?

Potrząsnął głową, obserwując z podziwem, jak jej szczupłe palce szybko i sprawnie wyciągają papierosy z plecaka. Podniósł się z kolan.

Stali i przyglądali się sobie w milczeniu. Była ładna, chociaż wydawała się trochę smutna. Miał wrażenie, że to przez wyraz jej ust.

– Przepraszam – wymamrotał. – To nie powinno się było wydarzyć. Ktoś powinien był panią zatrzymać i nie pozwolić zbliżyć się do sklepu.

Patrzyła na niego bez słowa.

– Ktoś popełnił błąd – dodał.

Przytaknęła.

– Nic się pani nie stało?

Potrząsnęła głową, wzruszając ramionami. Nawet nie zdążył się rozejrzeć dookoła, żeby się zorientować w sytuacji. Po chwili usłyszał metaliczny dźwięk kajdanek zatraskujących się wokół nadgarstków jednego z zatrzymanych. *To mój błąd, pomyślał. Za bardzo ufam innym.*

– Jak się pani nazywa? – spytał oficjalnym tonem.

– Zrobiłam coś złego?

– Nie, ale była pani tutaj. Teraz jest pani świadkiem w sprawie.

\*

Potem nastąpiła seria jesiennych dni. Ciemna piana przesłaniała światło dnia, a czas krystalizował się w pracy: kradzieże, brutalne zabójstwa, samobójstwa, rozboje i domowe awantury. Codziennosc sprowadza się do ciągu zdarzeń, z których tylko nieliczne robią wrażenie i zostawiają ślad. Zdecydowana większość szybko odchodzi w zapomnienie. Pewne wydarzenia wypieramy ze świadomości, żeby nie zwariować. Marchewką, za którą gonimy, są wakacje, dwa tygodnie urlopu na greckiej wyspie, a w planach krótkoterminowych – długi weekend na promie do Danii. Pić, wrzeszczyć, śmiać się, poderwać panienkę o ciepłym spojrzeniu i wystarczająco gardłowym śmiechu, która uważa, że buty o spiczastych czubkach są w porządku. Ale dopóki to się nie stanie: dni w diapozytywie – obrazy, które migają przez kilka sekund, po czym ulatują, niektóre łatwiejsze do zapamiętania od innych, a jednak równie nietrwałe. Przez ten czas w ogóle o niej nie myślał. A może jednak? Może kilka razy przypomniał sobie szafirowoniebieskie spojrzenie albo uczucie, które go ogarnęło, kiedy leżał na niej na podłodze sklepu Badira. Badirowi prokuratura postawiła zarzuty i już wkrótce miał zostać skazany za zorganizowany przemyt mięsa i papierosów, a dodatkowo za opór stawiany podczas aresztowania, groźby karalne, nielegalne posiadanie broni i tak dalej. Zasilił szeregi ludzi czekających na wolną celę, by móc odsiedzieć wyrok. Mimo tych wszystkich myśli jednej rzeczy Frank Frølich był absolutnie pewny – że nigdy więcej jej nie zobaczy.

Kiedy stało się to, czego nie brał w ogóle pod uwagę, było deszczowe popołudnie pod koniec października. Zapadał zmierzch. Po ulicy Grensen hulał zimny wiatr, który szarpał przechodniów za poły

płaszcz, wdzierał się pod kurtki i malował imitacje obrazów Muncha: cienie ludzi walczących z ulewnym deszczem, którzy kulili się, zasłaniaли parasolami, jakby to były tarcze, a w przypadku braku parasola wsuwali ręce głęboko do kieszeni i mknęli przez deszcz, chowając się pod gościnnymi gzymsami i markizami. Mokry asfalt pochłonał ostatnie resztki światła, a w wodzie płynącej wzdłuż torów tramwajowych odbijały się neony reklamowe. Frank Frølich właśnie skończył pracę, a ponieważ czuł lekki głód, otworzył drzwi do Norrøna Kafé. W lokalu pachniało gorącą czekoladą z bitą śmietaną. Od razu nabrał na nią ochoty. Ustawił się w kolejce, ale tuż przed kasą zmienił zdanie i zapytał o zupę dnia.

– Włoska, minestrone. – Barmanka należała do tych niecierpliwych, wiecznie naburmuszonych i znudzonych życiem.

Nióśł na tacy gorącą zupę, bułkę i szklanekę wody. Znalazł miejsce przy oknie, balansując ciałem, usiadł na stołku i spojrzał przez szybę na deszcz, na ludzi z postawionymi kołnierzami idących szybkim krokiem w dół Gvensen. Jakaś kobieta przyciskała podbródkiem połę płaszcza. Deszcz przybrał na sile. Światła samochodów i neony reklamowe majaczyły na tle domów. Ludzie idący ulicą przypominali dzieci, które kulą się w sobie, chcąc się ochronić przed dudniącym głosem dobiegającym gdzieś z góry.

– Cześć.

Frølich odłożył łyżkę i odwrócił się. Jej twarz wydała mu się znajoma. Miała około trzydziestu lat, czarne włosy częściowo ukryte pod beretem nałożonym na wzór czapki wojskowej, bladą cerę, intensywnie czerwone usta i mocno zarysowane brwi: dwie odwrócone litery v na wysokim czole.

*Robi wrażenie*, pomyślał. Przyszło mu do głowy, że nadawałaby się

do czarno-białego filmu z lat czterdziestych. Miała na sobie długą, dopasowaną wełnianą spódnicę i krótką kurtkę. Strój podkreślał jej zgrabną figurę: biodra, talię i ramiona.

– Torggata – powiedziała, przekrzywiając głowę, lekko zniecierpliwiona tym, jak wolno kojarzył fakty. – Marlboro i prince.

Dopiero wtedy przypomniał sobie jej spojrzenie, a zwłaszcza usta, które nadawały jej twarzy bezbronny wyraz. Drobne zmarszczki wokół warg świadczyły o tym, że była starsza, niż początkowo sądził. Próbował odnaleźć błękit w jej oczach, ale bez powodzenia. *To kwestia oświetlenia*, pomyślał. Twarde neonowe światło zabija niebieski kolor. W sklepie Badira musiały wisieć zwykłe żarówki.

– Pozwoliłeś mi odejść.

W jednej chwili poczuł się zniesmaczony całą sytuacją i zaczął obmyślać plan ewakuacji. Na szczęście zdążył zjeść prawie całą zupę i za nią zapłacić. W ich ponownym spotkaniu było coś nienaturalnego, coś, co kazało mu mieć się na baczności. Musiał zneutralizować ostatnie zdanie, wprowadzić dystans między nimi. Ale bał się to zrobić. Stała bardzo blisko i patrzyła mu prosto w oczy. Byłoby nieuprzejmie odwrócić się na pięcie i odejść.

– Nic podobnego – powiedział. – Po prostu nie zrobiła pani niczego złego.

– Czyżby?

– Nie bardzo rozumiem. Co chce pani przez to powiedzieć?

– Chciałam ukraść trzy paczki papierosów Marlboro i jednego snickersa.

Odsunął talerzyk.

– Ach tak. To znaczy, że jest pani złodziejką.

– Widziałeś to, prawda?

– I co z tego?

Ubrał kurtkę i poklepał się po kieszeni, żeby sprawdzić, czy ma portfel.

– Przecież mnie widziałeś.

Na krótką chwilę zbiła go z tropu. „Przecież mnie widziałeś”. Mogła sformułować to zdanie inaczej. A jednak utworzyła wiadomość, którą można było odczytać tylko w jeden sposób. Po pierwsze przedstawiła siebie jako obiekt jego zainteresowania. Po drugie zasugerowała, że jest mu winna przysługę, ponieważ on coś dla niej zrobił, coś, co nie powinno ujrzeć światła dziennego.

– Muszę już iść – rzucił krótko. – Życzę miłego... – zamyślił się. Jak miała na imię? Powiedziała, jak się nazywa, nawet to sobie zanotował. W ostatniej chwili wydobył jej imię z zapomnienia: – ... miłego wieczoru, Elisabeth.

Przez kilka sekund stał nieruchomo. Szklane drzwi zamknęły się za nim bezgłośnie. Wiatr zelżał odrobinę, ale deszcz wciąż lał jak z cebra. Frølich wzdrygnął się, jakby chciał strząsnąć z siebie wspomnienie nieprzyjemnego epizodu. Zapiął kurtkę i szybkim krokiem pokonał kilka metrów dzielących go od zejścia do stacji metra. W wagonie jak zwykle wpadł w trans, w zapach smrodu, stęchłego powietrza, mokrej wełny, jesieni i grypy; otaczały go starsze kobiety, drapiące się pod nosem palcem odzianym w rękawiczkę, mężczyźni podnoszący wzrok ku niebu, modlący się w duchu o to, żeby nie dostać ataku serca, tutaj, w tym klaustrofobicznym skupisku ludzi, w którym nikt nikogo nie widzi. Przycisnął plecy do oszklonej ściany, zrobił palcem kilka kropek na zaparowanej szybie. Z transu przebudził się dopiero wtedy, kiedy na stacji Manglerud zamknęły się drzwi. Instynkt kazał mu się wydostać z rogu i zbliżyć do wyjścia

w momencie, w którym pociąg zwalniał przed stacją Ryen. Drzwi przypominały metalowe wargi, które otworzyły się z hukiem i wypłuły go na zewnątrz. Tu na górze pojawiły się pierwsze tej jesieni opady deszczu ze śniegiem. Światła samochodów pędzących po autostradzie Ring 3 kładły się na asfalcie i pozwalały się połączyć czerni. Stąpając ciężko, zaczął się wspinać na niewielkie wzgórze, podczas gdy wagony metra pomknęły dalej, przechylone lekko na bok.

Trudno powiedzieć, co to było: podmuch wiatru, dźwięk lub cień, który ułożył się inaczej niż zwykle. Kiedy zbliżył się do klatki schodowej, przystanął i spojrzał za siebie. Latarnia przy stacji benzynowej znajdowała się tuż za jej plecami, tworząc wokół niej żółty okrąg. Stała nieruchomo. Stał nieruchomo. Zupełnie tak, jakby pilnowali siebie nawzajem. Ona z rękami w kieszeniach krótkiej kurtki i rysami twarzy skrytymi w cieniu. Z włosami, które opadały miękko na ramiona, ze światłem latarni spowijającym jej beret, obcisłą kurtkę i spódnicę sięgającą za kolana.

Oprócz nich nie było nikogo. Byli sami, w mroku. Z oddali docierały odgłosy przejeżdżających samochodów. W latarni coś zatrzeszczało. Podszedł do niej zdecydowanym krokiem. Wciąż stała w tym samym miejscu. Wyszedł na ulicę i okrążył ją, żeby powiodła za nim wzrokiem, odwróciła się do światła. Chciał zobaczyć jej twarz.

Podczas tej dziwacznej karuzeli patrzyli sobie w oczy i wtedy dostrzegł w jej spojrzeniu jakąś energię, coś, czego nie potrafił wyrazić słowami, a czemu nie był w stanie przyglądać się w milczeniu.

– Śledzisz mnie? – spytał.

– Nie podoba ci się to?

Jej odpowiedź zbiła go z tropu – po raz drugi.

W końcu spuściła wzrok.

– Przecież mnie widziałeś.

Znowu te trzy słowa.

– I co z tego? – odpowiedział.

Stali niedaleko od siebie. Podszedł tak blisko niej, jak to było możliwe, a ona nawet nie drgnęła. Czuł jej ciepły oddech na policzku.

Nagle chwyciła go za rękę.

Całkowita blokada myśli. Odchrząknął, ale nie poruszył się. Miała ciężkie powieki i długie, podkreścone rzęsy. Na końcu każdej z nich zebrała się mikroskopijna kropla pary wodnej. A pomiędzy lekko rozchylnych warg wydobywały się małe obłoki pary, które pieściły jego policzki. Nagle coś powiedziała, słowa musnęły jego twarz.

– Co powiedziałaś?

Głos ugrzązł mu w gardle. Jego usta znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od jej ust, kiedy wyszeptała:

– „Nikogo nie zapomnę, jeśli cię pocałuję”.

Wtedy wyzwolił ręce i objął nimi jej drobną twarz.

Zanim wyszła, długo stała pod prysznicem. Leżał na plecach i wsłuchiwał się w szum wody.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi wejściowe, była czwarta nad ranem. Wstał z łóżka i poszedł do łazienki. Stał oparty czołem o wykafelkowaną ścianę, a woda spływała mu po ramionach. Cofnął się myślami o kilka godzin: jego ciało górujące nad jej ciałem. Jej wzrok utkwiony w jego twarzy, kiedy wciągał powietrze coraz głębiej i głębiej, żeby po chwili je wypuścić. Wdech, pogłębiony wdech i wydech. Krople potu między piersiami, krople, które mieniły się tysiadcem refleksów, te same miękkie piersi kołyszące się miarowo,

zanim pozbawił ją oddechu. To jest właśnie pożądanie, to jest niezaspokojony głód, po którym pojawiają się poczucie winy, wstyd, aborcje, dzieci pozbawione ojców i pozytywny wynik testu na HIV. Wydawało mu się, że wciąż czuje na sobie dotyk jej palców, jak obejmuje go w pasie, jak wpija się paznokciami w jego ciało. Chciała więcej i więcej, aż do utraty tchu, ponieważ zobaczyła, że pod jego powiekami rozpoczęło się końcowe odliczanie.

Później, wciąż przyciskając czoło do kafelków, Frank Frølich odkręcił czerwony kurek i parzył ciało gorącą wodą, przywołując w pamięci dziwny rysunek wytatuowany na jej biodrze. Elisabeth siedzi na nim okrakiem, odwrócona plecami, z tatuażem. Wystarczyła myśl o tym, a natychmiast poczuł zbliżającą się erekcję, zamarzył, żeby zrobić to jeszcze raz, i wiedział, że gdyby w tym momencie stanęła w drzwiach, położyłby ją na podłodze w łazience albo w pokoju na biurku i nic nie byłoby w stanie go powstrzymać.

Takie myśli są jak grypa. W końcu znikają, ale to się nie dzieje natychmiast. Wszystko mija z czasem. Trzy dni, może cztery, tydzień – i myśli odpuszczają, przez jakiś czas człowiek czuje się lekko odrętwiały, aż w końcu zaczyna wracać do zdrowia, szczęśliwy, że ma to już za sobą.

Minęło sześć dni. Znowu był w formie. I właśnie wtedy odezwał się telefon leżący na biurku. Przyszedł esemes. Odczytał wiadomość. Jedno jedyne słowo: „Przyjedź!”.

Automatycznie wpisał numer nadawcy i wysłał go do bazy abonentów sieci. Kolejny sygnał dzwonka. Nowy esemes. Tym razem z nazwiskiem i adresem nadawcy: „Elisabeth Faremo”.

Franken usiadł na krześle. Dawno nie czuł się tak podekscytowany. Podniósł rękę. Nie drżała. A jednak, ta kobieta



działała na niego jak narkotyk. Wydawało mu się, że objawy choroby ustąpiły, wydawało mu się, że jest zdrowy, wydawało mu się, że wytrzeźwiał. A tu nagle: trach! Czterdzieści stopni gorączki. Zupełne otepienie. Nie był w stanie zebrać myśli. Miał w sobie mnóstwo niespożytej energii. Był naładowany. Z powodu jednego, jedyne go słowa!

Patrzył na mały telefon ze świecącym wyświetlaczem. Niespodziewanie telefon zaczął wibrować w jego dłoni. Dzwonek. Ten sam numer telefonu.

– Cześć, Elisabeth – powiedział. Ku jego zaskoczeniu głos zabrzmiał czysto i dźwięcznie.

Dwie sekundy ciszy. Wystarczająco długo, żeby zdążył pomyśleć: *Wie już, że sprawdziłem jej numer. Wie, jak na mnie działa, że jest jak narkotyk i że doprowadza mnie do białej gorączki, przysyłając esemesy.* A potem miękki głos, którego nie słyszał od wielu dni:

– Gdzie jesteś?

– W pracy.

– Gdzie?

– Komenda policji, Grønland.

– O...

Teraz on powinien coś powiedzieć. Odchrząknął, ale zdążył tylko nabrać powietrza, bo zaraz spytała:

– Nie masz wkrótce jakiejś przerwy?

– A która jest godzina?

Podniósł wzrok i spojrzał na miejsce, w którym jeszcze kilka tygodni temu wisiał zegar. Teraz ze ściany wystawały jedynie dwa przewody.

– Nie mam pojęcia. Zbliża się pora lunchu.

- Dokąd mam przyjechać?
- Masz samochód?
- Tak.
- Stoję na placu Lisy Kristoffersen, przy Voldsløkka.
- Będę za dziesięć minut.

Jeszcze nigdy nie miał takiej gorączki. Nie myślał. Nie miał w głowie miejsca na nic innego poza fantazjami na jej temat: łukowato wygiętych pleców, krągłych bioder, czarnych włosów rozrzuconych na poduszce, spojrzenia niebieskich oczu.

Pospiesznie narzucił kurtkę i wyszedł z budynku. Uruchomił silnik i ruszył na spotkanie. Która była godzina? Nie miał pojęcia. Nic go nie obchodziło, świat przestał dla niego istnieć, skupiał się wyłącznie na tym, żeby nie potrącić pieszych, kiedy dodawał gazu. Jechał właśnie Stavangergata, gdy nagle się zjawiała, nie wiadomo skąd. Szła chodnikiem w jego stronę. Wsiadła do samochodu, milcząca, pachnąca późną jesienią, perfumami i pastylkami na gardło.

Nie odrywał wzroku od bocznego lusterka. Oddychał normalnie mimo słodkiego zapachu, który wniosła ze sobą. Wpatrywał się w boczne lusterko, spokojny i opanowany, poczekał, aż pas będzie wolny, włączył kierunkowskaz i pojechał dalej, czując jej wzrok na sobie, na swoim odpychającym profilu. Przez chwilę mocowała się z kurtką, brązową, skórzaną kurtką z podpinką, aż w końcu udało jej się od niej uwolnić.

Kiedy minął zjazd do Nydalen, przerwała ciszę:

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

Zerknął na nią. Wyglądała jak kocica. Dwoje ogromnych niebieskich oczu o rozszerzonych źrenicach. Kocie spojrzenie. Czuł, że jego tętno przyspiesza. Krew rozsadzała mu skronie.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział, zachowując kamienną twarz.

– To dlaczego nic nie mówisz?

Jej dłoń na jego dłoni, na dźwigni zmiany biegów. Zerknął w dół, na jej rękę, na jej palce, potem przeniósł wzrok na nią i powiedział:

– Cześć. Miło znów cię widzieć.

Głos ugrzązł mu w gardle. Jechali w kierunku osiedli Kjelsås i Brekke oraz doliny Maridalen.

*Co ja wyprawiam?*

Wargi, które muskały jego policzek. Dłoń, która ześliznęła się z jego dłoni i zanurzyła pod kurtkę. Równie dobrze mogła nalać wysokooktanowego paliwa do podrasowanego silnika i nacisnąć start. Serce biło mu tak szybko i mocno, że zaczęło mu szumieć w uszach. Drzewa po obu stronach drogi. Zwolnił i zjechał na przydrożny parking. Zatrzymał się dopiero przy kępie drzew, z dala od drogi. Ustawił samochód na luzie i pozwolił, żeby silnik chodził na jałowym biegu. Kiedy po raz kolejny spojrzał w prawo, przykryła jego wargi swoimi.

Pierwszy raz odezwała się do niego prawie godzinę później.

– Dasz radę zawieźć mnie w pewne miejsce?

– Dokąd?

– Do Blindern<sup>1</sup>.

– Co tam będziesz robić?

Niewłaściwe pytanie. W jej spojrzeniu pojawił się gniew.

Czar prysł.

Wciągnął powietrze, wpatrując się w las za oknem, zbierał siły, żeby spojrzeć jej w oczy. W jej spojrzeniu nie było już gniewu. Patrzyła na niego nieobecny wzrokiem, jej oczy błyszczały, jakby przyglądała mu się z pokoju, który należał wyłącznie do niej i do

którego nie miała zamiaru go zapraszać.

– Wyjdę na ulicę i będę oferowała swoje usługi – powiedziała, uśmiechając się chłodno.

\*

Zatrzymał się i wysadził ją na ulicy Moltkego Moe. Siedział w samochodzie i patrzył, jak znika w oddali. W nocy spadło trochę śniegu, dopiero teraz to zauważył. Śnieg zdążył stopnieć i zamienić się w chlupę, w której zostawiła swój ślad. Kobieta, która jeszcze niedawno była częścią jego samego, zamieniła się w drobną postać stającą jak kot kanapowy, który nie chce zmoczyć łap. *Czy to możliwe? Czyżby ta drobna, skulona postać, kawałek kogokolwiek zapakowany w bawełnę, wełnę i skórę, czyżby to była ta kobieta, która ma nade mną całkowitą kontrolę i która sprawia, że serce bije mi tak mocno, jakby miało wyskoczyć z piersi?*

*Jedź! Daleko stąd! Za dwa tygodnie nie zostanie po niej nawet wspomnienie, wymażesz ją z pamięci. Wyretuszujesz. Ale kiedy krucha istota zniknęła w gmachu imienia Nielsa Henrika Abła, wyłączył silnik, otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Ruszył za nią. Dlaczego to robię?*

*Ponieważ chcę się czegoś o niej dowiedzieć.*

Przeszła przez budynek i wyszła z drugiej strony. Śledził ją z odległości pięćdziesięciu metrów. Miniaturowy traktor sunął po płytach chodnikowych, na których leżały resztki śniegu. Franken zszedł na bok. Minął dwu- i trzyosobowe grupki ekscentrycznych studentów, którzy cicho ze sobą rozmawiali. Kiedy weszła do gmachu imienia Sophusa Buggego, zatrzymał się w bezpiecznej odległości i obserwował ją przez wysokie okna, dopóki nie zniknęła w jednej z sal audytoryjnych.

Jeśli była studentką, co studiowała? Otworzył ciężkie dwuskrzydłowe drzwi i wszedł do budynku.

Podszedł do szerokich drzwi prowadzących do sali wykładowej. Zerknął na grafik: *Reidun Vestli*. Ta sama Reidun Vestli, która właśnie prowadziła wykład.

Znalazł wolne krzesło i wziął do ręki gazetę, która tam leżała. Ogarnęły go wątpliwości. Co zrobi, jeśli Elisabeth nagle wyjdzie z sali i odkryje jego obecność?

Zamknął oczy. *Powiem jej prawdę, powiem, że nie wystarcza mi przypadkowy seks w samochodzie na przydrożnym parkingu – chcę wiedzieć, kim jest, o czym myśli, dlaczego robi to, co robi...*

*A ty sam wiesz, dlaczego postępujesz tak, a nie inaczej?*

Frank Frølich wpatrywał się tępych wzrokiem w tytułową stronę gazety. Zdjęcie czołgu. Zbrodnia dokonana na ludności cywilnej. Wydarzenie, którym żył cały świat i które „Dagsavisen” umieściła na pierwszej stronie, łudząc się, że sięgnie po gazetę zwabiony okładką i przejęty zagłębi się w tym reporterskim bełkocie. Ale on miał to w nosie. Nic go teraz nie obchodziło i nic nie miało dla niego znaczenia, nic poza Elisabeth, tą z pozoru całkowicie anonimową, drobną kobietą o bladej cerze, czerwonych wargach i oczach o tak intensywnie niebieskim odcieniu, jakiego nigdy wcześniej nie widział. Jej istnienie było dla niego ważne, bardzo ważne. Chociaż nie miał pojęcia dlaczego. Wiedział tylko, że ma nad nim władzę, nad jego ciałem, ale również nad umysłem, że wzbudza w nim tęsknotę, o której jedynie czytał i słyszał, ale w którą nie wierzył – i która sprawiła, że posunął się do tego, żeby ją śledzić.

A przecież spotkali się tylko trzy razy.

Ten esemes: „Przyjedź!”. Mózg natychmiast usunął wszystkie dane

poza obrazami jej ciała, warg, oczu. I niecałe pół godziny później przenikali siebie nawzajem z taką seksualną gwałtownością, jakiej nigdy w życiu nie doświadczył. *Tamto słowo – czy wiedziała, że uruchomiła lawinę? Czy zrobiła to celowo?*

W końcu otworzyły się drzwi i na zewnątrz wylała się anonimowa masa studentów. Większość w kurtkach i płaszczach. Spojrzał na zegarek. Była czwarta, koniec wykładów. Poczuł, że ścisnął mu się żołądek. *A jeśli mnie zauważy?*

Z sali wychodziło coraz mniej studentów. Po chwili audytorium opuścili ostatni. Czyżby wybiegła z pierwszą falą?

Frank Frølich podniósł się powoli, ciężkim krokiem podszedł do drzwi i wszedł do środka.

Znajdował się na samym szczycie, za rzędami krzeseł, które spadały kaskadowo w dół aż do pulpitu wykładowcy. Na dole zostały dwie osoby. Jedną z nich była Elisabeth. Druga kobieta mówiła coś do niej ścisłym głosem. Była po pięćdziesiątce, miała czarne włosy obcięte na pazia i długą czarną suknię.

Stały bardzo blisko siebie. Mogły być serdecznymi przyjaciółkami. Mogły być matką i córką. Ale matki nie pieszczą córek w taki sposób.

Został zdemaskowany.

Kobiety utkwily w nim wzrok. Były spokojne, jakby czekały uprzejmie, aż opuści salę. Szukał czegoś w spojrzeniu Elisabeth. Ale nie znalazł ani błysku porozumienia, ani poczucia winy, ani zażenowania. Nic.

Mijały sekundy, a oni stali w milczeniu. Trzy pary oczu, które spotkały się nad oparciami krzeseł. Dopóki się nie wycofał i nie zniknął za drzwiami.

## 2

Od czasu do czasu próbował spojrzeć na siebie z dystansem. Opisać swój przypadek – stan, w którym policzki płoną z gniewu i wstydu. Mózg jest zdominowany jednym jedynym życzeniem: przewinać film, wyciąć nieudany fragment, skasować wszystko, pozbyć się uczucia beznadziei. Przypadek Elisabeth był równie banalny jak romans studentki z wykładowcą, który na dodatek okazuje się kobietą. Frank Frølich podjął decyzję: nigdy więcej. Nigdy więcej nie zbliżyć się do niej.

Głos rozsądku zaprotestował: dlaczego? Bo jest niebezpieczna? Biseksualna? Tajemnicza? Bo udawała, że go nie poznaje? Bo go odtrąciła? Upokorzyła?

Nie, odpowiedział głos wzgardzonego mężczyzny, głos, którego nie był w stanie zagłuszyć, bo sprawiła, że byłeś jak w transie. Bo czyniła cię słabym i bezwolnym, robiła z ciebie miazgę.

Kiedy znowu zadzwoniła, nie odebrał telefonu. Siedział z komórką w dłoni. Jego ręka drżała, jakby biło w niej maleńkie serce. Jej imię pojawiło się na wyświetlaczu. Ale nie odebrał telefonu. Ani razu.

Wkrótce zaczęła wydzwaniać do jego domu.

Zachowywał się jak wariat. Najpierw podbiegał do aparatu i odczytywał numer pojawiający się na wyświetlaczu. Jeśli to była ona, nie odbierał. Pod żadnym pozorem nie podnosił słuchawki, jeśli numer był nieznany. Tak spędził cały wieczór. Telefon nie przestawał

dzwonić, a on siedział w fotelu, nie ruszając się z miejsca. W ten sposób miała nad nim całkowitą kontrolę. Kontrolowała go nawet wtedy, gdy próbował się od niej uwolnić.

\*

Minął tydzień. Frank Frølich czuł się niemal całkowicie wyleczony. W czwartkowe popołudnie wyszedł z pracy. W metrze jak zwykle wpadł w trans, a kiedy wysiadł z kolejki, wolnym krokiem ruszył w stronę domu. Starsza sąsiadka, jedna z tych, które mieszkały na siódmym piętrze, grzebała przy skrzynce na listy. Franken wciąż miał wrażenie, że jedzie metrem. Przytrzymał drzwi windy przed przygarbioną kobietą podobną do wszystkich innych przygarbionych kobiet, które od czasu do czasu spotykał w windzie. Kiedy drzwi się zamknęły, automatycznie nacisnął przycisk. Pustym wzrokiem patrzył przed siebie – na drzwi mieszkań na kolejnych piętrach i stropy między kondygnacjami, które mijali po drodze.

Wysiadł z windy.

Szukając w kieszeni kluczy do mieszkania, usłyszał trzask windy, która ruszyła na wyższe piętra.

Nagle zastygł w bezruchu.

Drobny szczegół przy drzwiach wejściowych kazał mu się zatrzymać. Przez wizjer, który przypominał zazwyczaj czarną plamę, sączyło się światło. Czyżby wychodząc rano do pracy, zapomniał zgasić światło w przedpokoju?

W końcu wsunął klucz i po chwili wahania przekręcił go w zamku. Bezszelestnie otworzył drzwi. Wśliznął się do środka. Zamknął za sobą drzwi, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Wstrzymał oddech. Światło w przedpokoju mogło nic nie znaczyć, ale uchylone drzwi do salonu nie pozostawiały wątpliwości.



Wiedział, że do końca życia nie uwolni się od tego wspomnienia.  
Ktoś był w mieszkaniu.

Stał cicho, powtarzając w myślach to zdanie, wałkując tę myśl wte i wewte. Czuł, że jego ciało ogarnia paraliż, zaschło mu w ustach, stracił czucie w palcach. Nie myśląc o tym, co robi, pokonał bezszelestnie dwa metry dzielące go od drzwi do salonu. Działał automatycznie, nie kontrolował już swojego zachowania. Miał wrażenie, że obserwuje siebie z zewnątrz. Widział, jak podnosi dłoń, przykładła ją ostrożnie do drzwi i lekko je popycha.

Wciągnął głęboko powietrze. Jego ciało wciąż było odrętwiałe, pod wpływem szoku.

Siedziała odwrócona plecami do drzwi. Na podłodze. Prawie naga. Miała na sobie tylko turkusową bieliznę. Szczupłe plecy, lekko przygarbione. Dwa dość duże znamiona z boku kręgosłupa. Jej tatuaż wyglądał z daleka jak długi, ciemny zawijas. Nie słyszała go. Na uszach miała jego nowe słuchawki. Dźwięki muzyki dobiegające z pokoju przypominały szelest suchych liści, które jesienią rozwiewa wiatr. Sprawiała wrażenie, jakby była u siebie w domu. Wdarła się do jego mieszkania, a potem zamknęła we własnym świecie jak w kapsule kosmicznej. Wokół niej leżały porzucane płyty CD i longplaye.

Czuł, że wzbierają w nim gwałtowne emocje. Napięcie. Wściekłość. Zaciekawienie. Bez jego wiedzy i woli dostała się do jego mieszkania. W głowie huczało mu od różnych myśli. Czym innym było fizyczne wtargnięcie na jego terytorium, praktyczna realizacja planu, a czym innym włamanie w wymiarze umysłowym, wywalczenie dostępu do sfery najbardziej intymnej: jego domu – wykonanie tej czynności jak gdyby nigdy nic, bez pytania, bez

przyzwolenia, jakby miała do tego pełne prawo. Nie był w stanie się ruszyć, gwałtowne uczucia obezwładniły go, pozbawiły zdolności do jakiegokolwiek działania.

Może to był powiew wiatru, a może błysk w oszklonym obudowaniu zestawu stereo. Tak czy inaczej nagle zerwała się na równe nogi i ściągnęła słuchawki.

– O Boże, ale mnie przestraszyłeś!

Chwilę później była tuż przy nim.

– Cześć.

– Cześć.

Spojrzała na niego, wyczuła jego wzburzenie, domyśliła się, że targają nim przeciwstawne uczucia.

– Cieszysz się... chociaż trochę?

– Jak się tutaj dostałaś?

– Pożyczyłam klucz.

– Pożyczyłaś klucz?

– Kiedy byłam tu ostatnio.

– A więc jesteś złodziejką?

Echo wcześniejszej rozmowy. Patrząc mu prosto w oczy, powiedziała bez skrępowania: – Przecież dobrze o tym wiedziałeś, prawda?

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego wyzywająco, potem jednak spuściła wzrok, jakby nagle się zawstydziła.

„Jakby”. Nie mógł uwolnić się od tego słowa.

– Pożyczyłam go sobie. Z miseczki w kuchni.

– Pożyczyłaś klucz?

– Gniewasz się na mnie?

– Zabrałaś klucz z mojej kuchni, nic mi o tym nie mówiąc?

- Gniewasz się.
- Nie.
- Nie lubisz takich niespodzianek?
- Nie wiem, czy „lubisz” to właściwe słowo.
- W każdym razie chciałam dobrze.
- Dlaczego jesteś rozebrana?

Zachrypnięty głos.

– Żebyś mnie lepiej widział! – prychnęła sztucznie, kiedy nie podjął gry.

W jej głosie słychać było smutek, którego nie udało jej się ukryć pod maską udawanej wesołości. Natychmiast wyczuła, że ją zdemaskował. Objęła go ramionami, chcąc zasłonić tę psychiczną nagość, i dodała szybko: – No co ty, brałam prysznic. Strasznie zmarzłam.

Przytuliła się do niego, ale wyczuła niechęć. Poluźniła uścisk.

– Wiem, że źle zrobiłam. Pożyczyłam klucz bez pytania. Przepraszam.

Zostawiła go i przemaszerowała przez pokój w stronę kuchni. Na krześle pod oknem leżała jej kurtka. Pochyliła się na wyprostowanych nogach – jakby żywcem wyjęta z ilustrowanego magazynu dla panów. Zanurzyła rękę w kieszeni, wyjęła klucz i odrzuciła ciemne włosy do tyłu. Błysk kolczyka w pępku i znów była o krok od niego.

– Nigdy więcej tego nie zrobię.

Weszła do kuchni. Kiedy wrzuciła klucz z powrotem do miseczki z zagranicznymi monetami i innymi drobiazgami, usłyszała cichy brzęk. Stała wyprostowana, oparła głowę o framugę drzwi i spojrzała na niego. Musiał przełknąć ślinę. Kiedy ruszyła w jego stronę, zachowywała się jak modelka na wybiegu: stawiała stopy

w jednej linii, kręcąc biodrami. Przez cały czas patrzyła mu prosto w oczy, nawet na moment nie spuściła wzroku. Widział, jak porusza wargami: – Myślałam, że się ucieszysz. Twoje ciało się cieszy – powiedziała, zerkając na niego.

– Ale jak udało ci się znaleźć właściwy klucz?

Rozpięła mu pasek, wyciągnęła koszulę ze spodni, rozpięła rozporek. Jej chłodne palce ześliznęły się do podbrzusza. Stojąc z zamkniętymi oczami, wyrecytowała: – Czy musisz zawsze mówić o czymś smutnym, Karius<sup>2</sup>?

Poddał się i pocałował ją.

– Jest moją mentorką – powiedziała niespodziewanie.

– Nie zrozumiałem: kto jest kim?

– Reidun, wykładowczyni w Blindern, jest moją mentorką.

– Teraz ty chcesz rozmawiać o czymś smutnym. Poza tym sprawiałyście wrażenie wyjątkowo zajętych sobą.

– Bo z Reidun tak jest.

– Jak jest?

– Reidun jest we mnie zakochana – powiedziała z wahaniem. Po chwili podniosła wzrok i dodała: – A na to ani ty, ani ja nie możemy nic poradzić, prawda?

Nie odpowiedział.

– Musiałam jej wysłuchać. Miała mi coś ważnego do powiedzenia. A poza tym to nieładnie z twojej strony, że mnie śledziłeś, wiesz?

Milczał. Nie wiedział, czy postąpił ładnie, czy nieładnie. Cała jego krew spłynęła w dół, do jej chłodnej ręki. Kiedy był bliski erekcji, jej wargi rozciągnęły się w uśmiechu. Uśmiechała się z zamkniętymi oczami, różowy cień na powiekach zbił się w grudki.

Osunęła się na kolana. Zamknął oczy i wciągnął głęboko

powietrze. Zanurzył palce w jej włosach. Spojrzała na niego. Słuchawki leżące na podłodze znowu cicho zatrzeszczały.

- Przeniesiemy się do sypialni? – zapytał.
- Boisz się, że ktoś nas zobaczy?
- Chcę ciebie całą.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni drobne, roześmiane ciało, które prawie nic nie ważyło. Rzucił ją na łóżko, zerwał z niej bieliznę i chwycił za kostki u nóg. Złota obrączka na dużym palcu błysnęła w świetle popołudniowego słońca. Trzymał ją mocno. Lubiła to, lubiła, kiedy trzymał ją mocno.

\*

Tej nocy postanowił ją śledzić. Była prawie trzecia nad ranem, kiedy wymknęła się z jego mieszkania. Po trzech minutach ruszył za nią. Jego mózg odczytał tę sytuację jako konfliktową. Część świadomości wygrzewała się jak kot na gorącym dachu, rozpamiętując każdy szczegół upojnej nocy, to, jak hojnie mu siebie dawała i jak łapczywie częstowała się jego ciałem. Druga część mózgu siedziała za krzakiem, podejrzliwa, zazdrosna, niespokojna o to, że upojna noc była zwykłym oszustwem. I właśnie ta część kazała mu wyjść z domu w zimną jesienną noc, włóczyć się w deszczu po ulicach, skradać się sto metrów za nią, czaić się i chować w ciemnych zaułkach. *Robisz to, ponieważ z nieznanego ci powodu wdarła się do twojego mieszkania, a planowała to już wtedy, gdy była u ciebie po raz pierwszy. Ukradła klucz! Cholera jasna, zabrała klucz! A potem otworzyła drzwi i weszła do środka – jakby tam mieszkała. Mówi szyfrem, nigdy nie opowiada o sobie ani o tym, co robi, stosuje uniki, wykręca się od odpowiedzi na pytania zadane wprost. Bagatelizuje i usprawiedliwia swój związek z wykładownicą. Elisabeth ciągle kłamie!*

Szła przed nim, stawiając długie, sprężyste kroki. Nagle coś zabrzęczało w jego kieszeni. Telefon komórkowy. Wziął go do ręki i rzucił okiem na wyświetlacz, starając się schować w cieniu drzew, z dala od latarni. Przeczytał: „Cześć, Frank, dzięki za cudowny wieczór, słodkich snów, Elisabeth”. Bezwiednie przystanął i przyjrzał się szczupłym plecóm znikającym w oddali. Z daleka wydawała się tak krucha, tak delikatna. *Co ja wyprawiam? Śledzę kobietę, z którą przeżyłem noc stulecia! Przecież wiem, gdzie mieszka, znam jej adres. Elisabeth wraca do domu.*

Ocknął się z telefonem w dłoni i kroplami deszczu kapiącymi z kaptura. Spojrzał przed siebie. Już jej nie było. Pobiegnął truchtem w dół Ryenbergveien. Po chwili ujrzał jej drobną postać. Jakaś taksówka z oznaczeniem świetlnym na dachu minęła go i powoli zbliżyła się do Elisabeth. Kobieta się odwróciła, żeby zobaczyć, co to za samochód. Ledwo udało mu się ukryć w mroku. Taksówka zwolniła, ale ponieważ kobieta nie dawała znaku, że chce ją zatrzymać, po chwili pojechała dalej. To znaczy, że Elisabeth miała ochotę na spacer, nie zależało jej na tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu.

Zdziwił się, gdy zobaczył dom, w którym mieszkała. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy przeczytał nazwisko obok przycisku dzwonka. Nie, nie był zdziwiony. Był zdruzgotany. To był kompletny paraliż: „Elisabeth i Jonny Faremo”.

### 3

Kolejny okres rekonwalescencji.

Pierwszy dzień: gorączka.

Drugi dzień: gorączka.

Trzeci dzień 7.30–12.00: gorączka spada, rokowanie pomyślne.

12.03: Esemes: „Przyjedź!”.

12.03: Czterdzieści stopni gorączki.

12.06: Dzwoni telefon. Na wyświetlaczu jej numer.

Nie odebrał. Stał w kolejce w policyjnej stołówce z dzwoniącym telefonem komórkowym w dłoni. Ludzie odwracali się w jego stronę. Ignorował ich spojrzenia. Spocił się. Zacisnął palce na komórce i odwrócił wzrok. Przez resztę dnia chodził jak zamroczony.

Pierwsze, co zrobił czwartego dnia, to sprawdził centralny rejestr skazanych. Wynik wyszukiwania. Nazwisko: Jonny Faremo. Historia: Skazany trzykrotnie za przestępstwa z użyciem przemocy i raz za napad z użyciem broni. Poza tym wyrok za kradzież samochodu osobowego. Łącznie odbyta kara: trzydzieści osiem miesięcy z wyroku pięciu lat pozbawienia wolności. Miejsce odbywania kary: Ila, Sarpsborg i Mysen.

Pot spływał mu po plecach. Franken dwa razy zamrugał, na szczęście był wystarczająco przytomny, żeby zrobić wydruk z rejestru. Kolejna próba: Elisabeth Faremo. Brak wyników wyszukiwania. To znaczy, że nie była karana.

Ale jeśli Elisabeth była żoną Jonny'ego Faremo, mogła przyjąć jego nazwisko. Może figurowała w rejestrze pod innym, panińskim nazwiskiem?

Czuł, że robi mu się niedobrze. W myślach ujrzał jej twarz. Nie, to nie była twarz, tylko jej ciało. Zobaczył swoją własną rękę zaciśniętą kurczowo wokół jej kostki, stopy i kontury postaci leżącej pod nim na łóżku. Znowu zamrugał. *W co ja się wpakowałem?*

Nagle otworzyły się drzwi i do środka wpadł z impetem Yttergjerde. Posiadacz słynnych ust. Kulka tytoniu umieszczona pod dolną wargą sprawiała, że przypominał przerośniętego królika ze zdeformowanym uzębieniem – nieogolony podbródek kontra zgolona na łyso czaszka.

– Dzieńdoberek!

Franken poczuł, że kiwa głową w odpowiedzi. Nie miał ochoty na rozmowę, nie miał nastroju, żeby się śmiać z głupawych dowcipów, bajeczek o szczupakach i miłosnych podbojach.

Pokój wypełnił się zapachem męskich perfum. Yttergjerde zawsze pachniał jak guma do żucia. Franken nie rozumiał, jak tamten może to wytrzymywać.

– No, no!

Podniósł wzrok. Yttergjerde stał przed drukarką. W ręce trzymał wydruk z rejestru skazanych. Frank Frølich poczuł, że znowu oblewa się potem, jednak tym razem na całym ciele. Zamrugał. Oczy miał suche, wręcz przesuszone. Zbierało mu się na wymioty.

– Znam tego gościa – wymamrotał Yttergjerde.

– Kogo znasz?

– Faremo, Jonny. Co przeszkrobał tym razem?

Franken odchrząknął.



- Sprawdzam tylko kilka nazwisk, ale chętnie posłucham.
- Posłuchasz? Czego?
- Co wiesz o Jonnym Faremo. Dla mnie to zwykły mięśniak w czapce z daszkiem i okularach przeciwsłonecznych.
- Wiem, że jest ich trzech. Napady z bronią w rękę, przyjemniaczki w typie chłoptasiów ze Stavanger: udają komandosów, rozumiesz, karabiny automatyczne, kominiarki i kombinezony robocze. Szczególnie dobrze pamiętam akcję sprzed pięciu, sześciu lat, takich rzeczy się po prostu nie zapomina, transport pieniędzy z Østfold do Oslo. Ten facet to prawdziwy twardziel. Najpierw strzela, potem pyta. Należę do grona nielicznych osób, które miały przyjemność dać mu lekki wycisk. Byłem przy tym, jak aresztowaliśmy ich za napad na transport.
- Stare dzieje. Dawno odsiedział tamten wyrok. Wiesz coś jeszcze? Yttergjerde odwrócił się w jego stronę.
- Tymczasem Franken mówił dalej:
- Ja z kolei słyszałem, że mieszka w szpanerskiej dzielnicy, w bloku tarasowym na Ekebergåsen.
- Wiesz, jak to jest, goście jeżdżą wypasionymi brykami i popijają hennessy, oczywiście kiedy nie są w pierdłu. I właśnie dlatego tam siedzą.
- Myślisz, że to mieszkanie to zwykła ściema?
- Nie, wydaje mi się, że je odziedziczyli. Dziupła jest ich. Pamiętam, że podczas rozprawy akurat ta kwestia nie podlegała dyskusji.
- Odziedziczyli? Oni, to znaczy kto?
- On i jego siostra. Faremo mieszka z siostrą. W każdym razie wtedy z nią mieszkał.

*Tak! Elisabeth nie jest mężatką! To jest jej brat!*

– A ona? – spytał, zachowując kamienną twarz.

– Ona?

– Też jest umoczona?

– Nie sędzę. Szczerze mówiąc, zachowuje się bardziej jak jego matka niż siostra. Chociaż jest od niego młodsza. Zresztą może się myłę. Nie ruszaj gówna, bo śmierdzi, jak zwykł mawiać mój wujek. Był rolnikiem.

„Nie ruszaj gówna, bo śmierdzi”. Franken zamrugał gwałtownie.

– Jak to, jego matka?

Yttergjerde pokręcił głową, wzruszając ramionami.

– Tak tylko powiedziałem, sam nie wiem dlaczego. Coś ty taki ciekawy?

– Hm?

Czuł, że znowu zaczyna się pocić.

– Faremo – powiedział niecierpliwie Yttergjerde. – Dlaczego aż tak się interesujesz Jonnym Faremo?

– Dostałem cynk od informatora. Radził mi uważnie się przyjrzeć temu nazwisku.

Yttergjerde odwrócił się, unosząc brwi ze zdziwienia. Silnymi palcami otworzył butelkę coli.

Franken znowu zamrugał. *Lepiej jak najszybciej zakończyć tę rozmowę, zanim Yttergjerde zacznie coś podejrzywać!*

– Cynk od informatora? – powtórzył w zamyśleniu kolega.

– Nieważne. Po prostu chciałem wiedzieć, o kim rozmawiamy. A co u ciebie? Ciągłe jesteś z tą tajską cizią, którą poderwałeś?

– Gentlemani nie rozmawiają na takie tematy!

– To znaczy, że cię rzuciła?

Yttergjerde palcem wskazującym wydlubał spod wargi grudkę tytoniu. Uśmiechnął się, szczerząc zęby upstrzone brązowymi plamkami, i powiedział: – Chyba żartujesz, stary? To ja je rzucam, a nie one mnie!

Franken wymknął się do toalety, żeby móc побыć sam i spokojnie zebrać myśli. Był przerażony własną reakcją. Niemal szalał z radości na wieść o tym, że Elisabeth jest siostrą Jonny'ego Faremo, a nie jego żoną. Jedyne problem polegał na tym, że jej brat był notowanym przestępcą. Jak należało się w tej sytuacji zachować?

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze i powiedział na głos: – Należy doprowadzić do konfrontacji, porozmawiać z nią o jej bracie. – *Nie. Musisz z nią zerwać!*

Usiadł na klapie od sedesu i przygryzł palce. *Co powinienem zrobić? Zerwać z nią wszystkie kontakty, wyjąkać do słuchawki: Zrozum, nie mogę się spotykać z siostrą kryminalisty! I usłyszeć banalną odpowiedź: Na kim bardziej ci zależy, na mnie czy na moim bracie?*

Przetarł czoło wierzchem dłoni. Zresztą – czy ta sytuacja była rzeczywiście taka wyjątkowa? Nie on pierwszy, nie ostatni wyszedł na idiotę. Takie rzeczy się zdarzają. Próbował dodać sobie otuchy, wymyślając konkretne przykłady: szef urzędu skarbowego nagle odkrywa, że jego żona fałszuje rachunki za taksówkę i w ten sposób płaci niższy podatek. *Nie, to nie jest dobry przykład. Tu chodzi o relacje między ludźmi.* Bywa, że członkowie partii lewicowych sypiają z działaczkami ugrupowań prawicowych i na odwrót. Strażniczki w więzieniach mają romans z osadzonymi.

Ostatnie porównanie sprawiło, że spocił się jeszcze bardziej.

Pastor, który jest przeciwny wyświęcaniu kobiet, zaczyna romansować z kobietą pastorem. Zagorzały neonazista trafia do

niewłaściwego pubu, gdzie odkrywa, że tak naprawdę jest gejem. *Idiotyczne przykłady. Rusz głową!* Przewodniczący lokalnego oddziału Partii Postępu najpierw odkrywa, że jego córka zaręczyła się z Murzynem, a potem przekonuje się, że z tego Murzyna jest równy gość.

Franken potrzęsął głową z rezygnacją. *Co mnie tak wytrąciło z równowagi? Czy to, że tym razem chodzi o mnie? Czy powodem paniki jest moja paranoja, czy rzeczywisty problem – fakt, że jej brat siedział w więzieniu, że jest przestępcą?*

Po raz kolejny wyobraził sobie przebieg rozmowy z Elisabeth: „Musisz mnie zrozumieć, jestem gliniarzem. A twój brat należy do grupy przestępczej. Ci ludzie mają gdzieś programy resocjalizacyjne i nigdy nie zgłoszą się na kurs »Jak poprawnie napisać list motywacyjny«! Jonny i jego kumple to zawodowi przestępcy! Mówimy tu o przestępczości zorganizowanej!”.

Potrzęsął głową. Przecież ona wie o wszystkim!

Może więc w tym tkwi problem?

Tak. Problem polega na tym, że nie puściła pary z ust. *Wie, że jestem gliną, od początku o tym wiedziała. Od naszego pierwszego spotkania. A to oznacza, że dawno temu powinna powiedzieć mi o swoim bracie!*

Ta brutalna prawda wytrąciła go na chwilę z równowagi. Czuł się tak, jakby zbyt długo wstrzymywał oddech pod wodą i w końcu wynurzył się na powierzchnię. Nareszcie wiedział, na czym stoi – nie puściła farby. Manipulowała, udawała i zatajała!

Nagle podjął decyzję.

Oplukał twarz zimną wodą, osuszył ją papierowym ręcznikiem i wrócił do gabinetu.

W pokoju zastał Gunnarstrandę.

– Coś blado wyglądasz, Frølich. Zmęczony?

Franken sięgnął po kurtkę, przerzucił ją sobie przez ramię i ruszył w stronę drzwi.

– Nie, tylko rzygam tą papierkową robotą.

Gunnarstranda zerknął zza okularów.

– Wyluzuj, niedługo zacznie się sezon na firmowe spotkania opłatkowe. A wtedy na pewno znajdzie się jakiś zazdrosny gówniarz, któremu przyprawiono rogi i który z zemsty zacznie zabijać.

Gruźliczy śmiech inspektora niósł się po korytarzu.

\*

Kiedy zadzwoniła następnym razem, odebrał telefon. Cały niepokój zniknął, gdy tylko w słuchawce rozległ się jej miękki, zmysłowy głos.

Chciała iść do kina.

Zgodził się.

Spotkali się przed kinem Saga. Najpierw poszli do Burger Kinga. On zamówił burgera z bekonem. Ona chciała koktajl mleczny. Waniliowy.

– Burgery jadam tylko w McDonalddie – wyjaśniła, kiedy usiedli przy oknie wychodzącym na ulicę. Na pierwszym piętrze prawie nie było gości, tylko ojciec z dwiema córkami, które bawiły się jedzeniem, smarując ubranie ketchupem.

– Wolisz iść do McDonalda?

– Nie, teraz mam ochotę na koktajl. Jak kiedyś mnie odwiedzisz, przygotuję dla ciebie waniliowego shake'a z bananami. Zobaczysz, że będzie ci smakował.

– Zamierzasz zaprosić mnie do domu?

– A dlaczego nie? – spytała, zerkając na niego.

– W sumie, dlaczego nie?

Cisza. Nieprzyjemna cisza. I nagle – jakby wyczytała coś z jego miny, jakby gdzieś zgasło światło.

– Co jest?

– Hm?

– Przecież widzę, że coś jest nie tak. Powiedz, co się dzieje.

Ugryzł kawałek. Burger smakował jak papier. Wolał już jednak wypchać w siebie papier, niż chodzić po ścianach. Poza tym nie miał pojęcia, co powiedzieć. Nagle zrobiło mu się gorąco. Źle się tam czuł: mdły zapach oleju, zaduch, zimne ściany i neonowe, twarde światło, które sprawiało, że skóra wyglądała nienaturalnie białą, a oczy stawały się bezbarwne.

– Musimy o czymś porozmawiać – rzucił szybko.

– Zaczekaj – poprosiła.

– Tak?

– Najpierw ja muszę ci coś powiedzieć. Chodzi o mojego brata.

Wstrzymał oddech. Czyżby czytała w moich myślach?

– Mój brat, Jonny, on... – zaczęła się jąkać i bawić serwetką. Wyglądając w zamyśleniu przez okno, szczupłymi palcami złożyła serwetkę najpierw jeden raz, potem drugi.

– Co się dzieje z twoim bratem? – usłyszał swój własny głos. Elisabeth przygryzła dolną wargę.

– Mieszkamy razem.

– I co z tego?

Powoli rozerwała serwetkę na pół.

– Jonny jest... Jonny siedział w więzieniu.

Truczna się wyplukowała, znieczulenie, które sprawiało, że w jej

obecności czuł się tak, jakby błądził po omacku, zupełnie niezdolny do jakiegokolwiek działania, jak dziecko we mgle. To znieczulenie przestało działać. Miał wrażenie, że jego ciało wydostało się z ciasnego kokonu, że wyrwał się z wilgotnego, krępującego ruchy kaftanu bezpieczeństwa. Oddychał spokojniej, serce przestało mu walić, jakby miało wyskoczyć z piersi, ciśnienie krwi nie rozrywało już bębenków. Osoba siedząca po przeciwnej stronie była wychudłym stworzeniem ze spierzchłymi wargami i niebieskimi oczami wbitymi w blat stolika, zupełnie jak aresztanci, którzy spuszczają wzrok, kiedy w panice szukają w myślach nieistniejących argumentów na swoją obronę, kiedy fabrykują dowody, odsłaniając suche usta z mikroskopijnymi płatkami skóry, które odrywając się, powodują swędzenie warg i przemożną ochotę, żeby je zwilżyć.

*Właśnie na to czekam – aż zwilży wargi językiem i zaserwuje mi pierwsze kłamstwo. Co się dzieje w mojej głowie?*

– Jonny był zawsze trochę narwany i nieobliczalny, ale oprócz niego nie mam nikogo. Jest ode mnie cztery lata starszy, to mój jedyny brat, rozumiesz, mój starszy brat, mój... jak to powiedzieć? Mój... punkt zaczepienia. Ale domyślam się, że ty już o tym wiesz. W końcu jesteś policjantem. Na pewno wiesz, że Jonny siedział w więzieniu, łącznie odsiedział ponad trzy lata. Teraz wystarczy, że idzie ulicą, a tajni agenci od razu rzucają go na ziemię. Tylko dlatego, że to Jonny, wielokrotnie notowany, znany policji, jak to mówią w telewizji. Ale to nie zmienia faktu, że Jonny jest moim bratem, rozumiesz? Nadal go kocham, pomimo tego, że siedział w więzieniu. Jest moją jedyną rodziną. Zawsze byliśmy sami, tylko my dwoje. Rozumiesz?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – *Podnieś wzrok. Chcę spojrzeć ci*

*prosto w oczy.*

– Próbuję ci powiedzieć, że być może nie spodoba ci się mój brat. Ale to nie ma wpływu na to, co do ciebie czuję. To, że jesteś policjantem, nie ma z tym nic wspólnego. Jonny szuka innej pracy. Stara się wyjść na prostą.

– Czy Jonny wie o mnie?

– Hm?

*Nie wie, co odpowiedzieć. Próbuje zyskać na czasie.*

Nagły dźwięk przerwał napiętą atmosferę i na chwilę przykuł ich uwagę.

Od strony krętych schodów znajdujących się przy ścianie doszło ich głośne dudnienie. Franken spojrzał w tamtym kierunku. Ktoś wchodził po schodach. Ktoś, kogo znał. To była Lena Stigersand, znajoma policjantka, Lena i jej rasistowski przyjaciel łamane przez kochanek, wspinali się po schodach, każdy ze swoją tacą z jedzeniem. Od schodów dzieliło Frølicha pięć metrów. Wiedział, że Lena zaraz znajdzie się wystarczająco wysoko, żeby odwrócić się w jego stronę. I że zaraz ich zauważy: Elisabeth i jego.

– Czy twój brat wie, że się spotykamy?

– Nie sędzę.

W tej samej chwili Lena odwróciła się w poszukiwaniu wolnego stolika. Frølich wiedział, że Stigersand zaraz dokona epokowego odkrycia: przyłapie go na mieście z nową dziewczyną. Wiedział, że zaczną o nim plotkować. To była kwestia kilku sekund.

Elisabeth uśmiechnęła się rozbrajająco.

Kiedy nie odwzajemnił uśmiechu, spoważniała i spuściła wzrok. Poruszała niespokojnie palcami.

– Czy to ci przeszkadza?



– Co takiego?

– To z Jonnym, czy to takie ważne?

Nagle Lena Stigersand zawołała:

– Cześć, Frank!

*Game over.*

Franken spojrział na nią, udając zaskoczenie.

– Cześć, Lena!

Podeszła do niego, uśmiechając się promiennie, w towarzystwie swojego przymulonego chłopaka, z którym mieszkała, tajniaka z prewencji, który z całą pewnością wiedział o Jonnym Faremo i który być może wiedział również o tym, że Jonny Faremo ma siostrę. Przez chwilę stali wyczekująco obok stolika, przy którym Frank siedział w towarzystwie Elisabeth starającej się skupić na picciu napoju przez słomkę.

Franken odchrząknął.

– Pozwól, że ci przedstawię Elisabeth.

Nagle ich przypadkowe spotkanie przybrało formalny charakter, jak zawsze, gdy ludzie wymieniają się nazwiskami.

– My się już znamy – odpowiedziała z uśmiechem Lena.

– Tak? – zdziwiła się Elisabeth.

Frank przypomniał sobie o tym, zanim Lena zdążyła otworzyć usta.

– Na Torggata, w sklepie Badira – rzucił szybko, nie dopuszczając koleżanki do głosu. – Lena dowodziła akcją.

Na twarzy Elisabeth pojawił się szeroki uśmiech.

– To właśnie tam po raz pierwszy spotkałam Franka.

Twarz Leny Stigersand przypominała szybę. Widział, jak w jej głowie zaczyna iskrzyć. Spojrzenie, które mu posłała... Jest teraz

gliną, policjantką, która przetwarza i kojarzy fakty, żadną sympatyczną koleżanką po fachu, która spotyka na mieście dobrego kolegę.

Lena i jej chłopak zniknęli z pola widzenia. Szurali krzesłami w głębi lokalu. Franken odłożył zjedzonego do połowy burgera. Mdlilo go na myśl o jedzeniu.

– Elisabeth...

– Tak?

– Pytałem cię, czy twój brat wie, że się spotykamy.

– Nie wiem.

Wciągnął głęboko powietrze.

– Jeśli mówiłaś mu o mnie, to na pewno wie o nas.

– Chyba nie wie nic o tobie.

– Nie wspomniałaś o mnie swojemu bratu? Ani słowem?

– Daj spokój. – Elisabeth napływały do oczu łzy. – Wyluzuj.

– To ty mnie interesujesz – powiedział uspokajająco. – Nigdy nie miałem zamiaru nawiązywać stosunków z twoim bratem.

Wyraźnie jej ulżyło. Uśmiechnęła się, mrużąc oczy. *Tylko dlatego poczuła ulgę?* zastanowił się i po chwili sam sobie udzielił odpowiedzi: *Ulżyło jej, bo ma to już za sobą.*

#### 4

Był w pracy. Siedział przy biurku. Nagle się wzdrygnął. Odpłynął na kilka sekund, myślami był gdzie indziej – przy niej, przy Elisabeth.

Wzdrygnął się jeszcze raz, kiedy Yttergjerde powtórzył: – Mów dalej.

Siedział i przyglądał się koledze. W głowie miał pustkę. Nie mógł sobie przypomnieć, o czym rozmawiali.

*To właśnie ja, zaczynam rozmowę i po chwili tracę wątek. Co się ze mną dzieje?*

Nagle wróciła mu pamięć. Podchwycił rozmowę w miejscu, w którym przerwał: – Mówiłem, że byliśmy na kursie, na którym uczą o psach przeznaczonych dla osób niewidomych.

– Mówi się: psy przewodnicy.

– No właśnie, uczyliśmy się, jak rozpoznać, czy dany pies nadaje się do tej pracy, czy ma naturalne predyspozycje, temperament i... – Frank Frølich przyglądał się twarzy Yttergjerdego i o mały włos znowu wybiłby się z rytmu, bo jego myśli przez cały czas uciekały do niej. Na szczęście udało mu się nie zgubić wątku: – ...i spojrzenie, mowę ciała, no wiesz. Tak samo jest z psami tresowanymi do szukania narkotyków. Niektóre nadają się do tej roboty, a inne nie.

Yttergjerde pokiwał energicznie głową. Czuł, że zaraz usłyszy jakąś śmieszna historię.

– No więc siedziałem i przyglądałem się psom, i starałem się

wykorzystać to, czego się nauczyłem, i pomyślałem, że ten owczarek niemiecki stojący w środku, że ten owczarek to pies przewodnik *number one*, rozumiesz...

– No i?

Na twarzy Yttergjerdego pojawił się szeroki uśmiech. Policjant już śmiał się z dowcipu, który nie został opowiedziany do końca. To był wymuszony uśmiech, utrzymywany przy życiu dzięki ściśniętym policzkom.

*Co ja robię?* pomyślał, podczas gdy czubek brody Yttergjerdego poruszał się niecierpliwie w górę i w dół. Policjant czekał na puentę, na sygnał, słowo, które uzasadniałoby wybuch śmiechu. *Co ja najlepszego wyprawiam?*

– W pewnym momencie prowadzący kurs mówi, żebyśmy pokazali, czego się nauczyliśmy, i wtedy ja podnoszę rękę, rozumiesz, bo jestem pewny, że rozpoznałem samego szefa psów przewodników.

– No i?

Uśmiech sięga już od ucha do ucha, czubek brody porusza się coraz szybciej.

– No więc wstaję...

– No i?

– Podchodzę do psów, do tego psa w środku, owczarka niemieckiego...

– No i?

– Wyciągam rękę...

– I?

Yttergjerde ledwo powstrzymuje się od śmiechu, widać, jak drżą mu policzki.

– I wtedy pies chwyta mnie zębami za rękę tak mocno, że padam

jak długi!

Franken przyglądał się koledze, który nareszcie mógł wybuchnąć śmiechem.

*Czy tego właśnie chcę? Czy właśnie to ma świadczyć o moim społecznym przystosowaniu? Czy właśnie tak brzmi definicja udanego życia społecznego? Czy to dla takiej chwili podejmuję ryzyko? Jeden fałszywy ruch i... Czy to właśnie takie chwile są stawką w tej grze? Chwile, co do których nie mam nawet pewności, czy je lubię?*

Yttergjerde wytarł łzy śmiechu z kącików oczu.

– Ja pierdzielę! – westchnął. – Stary, ale miałeś farta...

– Ta plotka to prawda – powiedział nagle Franken.

Yttergjerde wydawał się całkiem zbity z tropu.

– Jaka plotka?

– O mnie i o tej kobiecie, siostrze Jonny’ego Faremo.

Mina Yttergjerdego zmieniła się w ciągu kilku sekund. Śmiejąca się maska zastygła w niemym zdumieniu. To był prawdziwy nokaut. Policjant znajdował się w stadium, w którym szok daje pierwsze fizyczne objawy, ale w którym delikwent jeszcze nie zdaje sobie sprawy z tego, że został znokautowany.

– No to teraz już wiesz – rzucił Franken ponurym tonem. – Wszystko, co mówią o mnie kumple, jest prawdą. Spotykam się z siostrą Jonny’ego Faremo, tego samego, który odsiadywał wyrok trzech lat za napad z bronią w ręku.

Chwycił kurtkę i wyszedł.

## 5

W tle słychać było Simple Minds. Wokalista śpiewał „*You turn me on...*”, a chwilę później „*alive and kicking*”. Jak tylko skończył, odtwarzacz zaczynał grać od początku, od piosenki zatytułowanej *Hypnotised*.

To ona nalegała, żeby kochali się przy muzyce. To ona chciała, żeby grał właśnie ten zespół. Ale jemu to wcale nie przeszkadzało. Teraz liczyli się tylko oni dwoje, on w niej i ona w nim. W jej spojrzeniu nie było cienia niepewności, żadnego udawania, żadnego fałszu. I dlatego dźwięki, które ich otaczały, nie miały żadnego znaczenia, muzyka była jedynie dopełnieniem obrazu. Tak jak wiatr wiejący od morza uświadamia nam, że oddychamy powietrzem, tak jak wilgoć jest potwierdzeniem faktu, że woda jest materią, w której można pływać. Nie słyszał jednak słów piosenek, nie słyszał bębniącej perkusji, nie słyszał chóru, jego ciało tańczyło z jej ciałem, koncentrując się na dwóch światłach, tak bliskich, a równocześnie tak dalekich, na jej niebieskich oczach.

\*

Kiedy wyszedł z łazienki, leżała na łóżku i czytała.

– Czy to ta sama książka? – spytał.

– Ta sama?

– Ciągle mam wrażenie, że czytasz tę samą książkę.

Odłożyła ją na nocnym stoliku.

– Ktoś kiedyś powiedział, że nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki.

– Jakiś grecki filozof?

Wzruszyła ramionami.

– Możliwe. No więc ja nie wierzę, że można dwa razy przeczytać tę samą książkę.

Zrobiła mu miejsce pod kołdrą.

Chwilę później spytała:

– Dlaczego zostałeś gliną?

– Czysty przypadek.

– Chyba sam w to nie wierzysz.

Przekreślił głowę i spojrzał jej prosto w oczy. Zamiast odpowiedzi posłał jej uśmiech.

– Czyżbym wtargnęła na teren prywatny? – spytała. – *Keep off! Danger! Uwaga, zły pies?*

– Kiedy skończyłem prawo, złożyłem podanie do szkoły policyjnej. I dostałem się.

– Skończyłeś prawo? To znaczy, że mogłeś pracować w kancelarii adwokackiej. Mogłeś zostać wziętym prawnikiem, zarabiać miliony. A zamiast tego chodzisz i węszysz, wtrącając się do spraw, które cię nie dotyczą.

– Chodzę i węszę?

Ton głosu zabrzmiał odrobinę za ostro. Ale było za późno, żeby nadać mu cieplejsze brzmienie. Zerknął na nią. Oparła głowę o jego klatkę piersiową. Palcami lewej ręki wodził po tapecie, a prawą głaskał ją po włosach. Wiedział, że próbuje wyczuć atmosferę.

– Przecież zdarza się, że musisz to robić: chodzić i węszyć?

Nie odpowiedział.

– Obraziłeś się?

– Nie.

– Dobrze chociaż, że nie zostałeś sędzią.

– Co masz przeciwko sędziom?

– Mam z nimi małe problemy. Nie wiem, czy chodzi o ich pracę, czy po prostu tacy już są, wszystko poddają osądowi.

Leżeli w milczeniu. Jej głowa na jego brzuchu. Bawił się kosmykiem jej czarnych włosów.

– O czym myślisz? – spytała.

– Właściwie mogłem zostać sędzią, być może powinienem był nim zostać. Dla kariery i tak zwanego awansu zawodowego.

Nie przestawał się bawić jej włosami, a ona nie przerywała milczenia.

– Szczerze mówiąc, lubię swoją pracę.

Uniosła głowę.

– Ale dlaczego?

– Spotykam ludzi. Spotkałem ciebie.

– Ale przecież musiało wydarzyć się coś, co sprawiło, że w ogóle o tym pomyślałeś, że przyszło ci do głowy, żeby zostać gliną. Kiedyś, dawno temu.

– Dlaczego o to pytasz?

– Lubię tajemnice.

– Zauważyłem.

Położyła głowę z powrotem na jego brzuchu.

– Na naszej ulicy mieszkał gliniarz – powiedział. – Ojciec ślicznej dziewczyny, Beate, mojej koleżanki z klasy. Jeździł fordem cortiną. Starym modelem z lat sześćdziesiątych, z okrągłymi tylnymi



reflektorami.

– Nie mam pojęcia, o jakim samochodzie mówisz, ale to bez znaczenia.

– Nad nami mieszkała dziewczyna o imieniu Vivian. Była prostytutką, chociaż mogła mieć zaledwie osiemnaście, dziewiętnaście lat.

– A ty? Ile miałeś wtedy lat?

– Może dziesięć. Nie miałem pojęcia, kto to jest dziwka. Nie wiedziałem nic o seksie. Kumple z podwórka rozmawiali o Vivian i pokazywali mi świerszczyki z panienkami prezentującymi swoje wdzięki. Mnie te zdjęcia wydawały się obrzydliwe.

– To ona była na zdjęciach? Vivian?

– Nie. Myślę, że koledzy chcieli dać mi do zrozumienia, że Vivian w podobny sposób zarabia na życie, a może po prostu podniecały ich te zdjęcia? Bóg jeden wie. Bardzo długo byłem zupełnie zielony w tych sprawach. Kiedy miałem dziesięć lat, interesowały mnie wyłącznie wędkarstwo, jazda na rowerze i takie tam. Pamiętam Vivian jako lekko zmęczoną, ciemnowłosą dziewczynę z mnóstwem cienkich niebieskich żyłek na łydkach. Jej nogi były zawsze okropnie blade. Często siedziała na schodach i paliła. Pewnego dnia zjawiono się dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał płaszcz i włosy posmarowane brylantyną. Drugi nosił okulary, grzywkę i krótką skórzaną kurtkę. I przez cały czas wykrzywiał twarz w grymasie. Razem z kumplami graliśmy w zbijaka na ulicy, a Vivian siedziała na schodach i paliła papierosa. Kiedy zjawili się ci dwaj faceci, wstała i weszła do środka, po prostu im zwała.

Nagle zadzwonił telefon. Franken zamilkł.

Podniosła się i spojrzała na niego.

- Chyba nie zamierzasz odebrać tego telefonu?
- Chyba nie – odpowiedział i zerknął na aparat. Leżeli nieruchomo i wsłuchiwali się w dźwięk dzwonka.
- Opowiadaj dalej – powiedziała, kiedy telefon przestał dzwonić.
- Na czym skończyłem?
- Dwóch mężczyzn i Vivian znikająca w domu.
- Jeden z chłopaków z podwórka nazywał się Yngve i miał rower. Tomahawk, taki z długim siodełkiem. No więc Yngve podniósł z ziemi kamień i rzucił w tych facetów. Chwilę później byliśmy gotowi. Tamci dwaj to byli nasi wrogowie. Szybko uzbroiliśmy się w kamienie.
- Dwóch dziesięciolatków?
- Było nas więcej, czterech albo pięciu. Yngve był najstarszy, miał czternaście lat. Moi koledzy mieli po trzynaście, dwanaście lat, ja byłem najmłodszy, pamiętam, że ze strachu miałem pełne gacie. Jeszcze nigdy tak bardzo się nie bałem. Facet, który robił miny, doskoczył do Yngvego i rzucił go na ziemię. Yngve leżał na ulicy cały we krwi. Potem zabrało go pogotowie. A ja w panice pobiegłem za blok, ukryłem się między koszami na śmieci i puściłem pawia, tak bardzo się bałem.
- Zerknął na nią i napotkał jej spojrzenie. Roześmiał się.
- Mów dalej – wyszeptała.
- Ojciec Beate wszystkim się zajął. Zachował się jak prawdziwy szeryf. Nie powiedział ani słowa, nie wymachiwał policyjną legitymacją ani odznaką, po prostu przyszedł i przywrócił porządek. Myślę, że wszystko zaczęło się właśnie od niego. Od ojca Beate.
- Prawdziwy Bruce Willis – zachichotała.
- Nie był szczególnie miłym facetem.
- Bruce Willis?

– Ojciec Beate.

– Co takiego zrobił?

Franken wzruszył ramionami.

– Beate szprycowała się heroiną. Zmarła kilka lat temu. Na zjeździe absolwentów mojej klasy była jedyną nieobecną. Wtedy dowiedziałem się od pozostałych dziewczyn, że przez te wszystkie lata Beate była maltretowana i regularnie gwałcona przez swojego ojca. – Wyprostował się. – W ten sposób człowiek pozbywa się złudzeń – podsumował cierpkim tonem.

Nie odpowiedziała.

– Zresztą to właśnie się zawiera w słowie „złudzenie”. Iluzja. Coś nierzeczywistego.

– Wiem coś o tym – powiedziała.

\*

– Co lubię? – zastanawiał się, leżąc na plecach. – Lubię udawać, że gram na gitarze razem z The Doors. *LA Woman*.

– Ale z ciebie nudziarz. Wysił się trochę i powiedz, co naprawdę lubisz.

Wyciągnął się pod kołdrą i powiedział: – Lubię leżeć i patrzeć przez okno, kiedy budzę się rano.

– Więcej.

– Co więcej?

– Co jeszcze lubisz?

– Ty pierwsza.

– Lubię leżeć latem na trawie i przyglądać się chmurom.

– Więcej.

– Zjeżdżać z górki na rowerze w ciepłe letnie wieczory.

– Więcej.

- Teraz twoja kolej.
  - Lubię spisywać tytuły swoich płyt i układać je w kolejności alfabetycznej.
  - Mówisz poważnie?
  - Tak.
  - Fajnie – powiedziała, zwijając się w kłębek pod kołdrą.
  - Teraz ty – wyszeptał.
  - Lubię być zupełnie sama w pewnym szczególnym miejscu.
  - Ja też.
- Uniosła głowę z jego klatki piersiowej i spojrzała mu w oczy.
- Na plaży – dokończyła. – Kiedy tam siedzę wieczorem, po pewnym czasie słyszę tylko szum fal uderzających o brzeg. Ale wystarczy, że wzdłuż plaży idą ludzie i ze sobą rozmawiają, a fale przestają być słyszalne.
  - Z wodą tak już jest – odpowiedział. – Czuję to samo, kiedy łowię ryby, na przykład w rzece albo strumieniu o bystrym nurcie.
  - Nabijasz się ze mnie.
- Znowu na nią zerknął. Sprawiała wrażenie lekko obrażonej.
- Okej, przyznaję się. Żartowałem.
  - Kiedy gadasz takie bzdury, odechciewa mi się z tobą rozmawiać.
  - Daj spokój! – Dźwignął tułów, żeby nawiązać z nią kontakt wzrokowy. – Nie gniewaj się.
  - Nie gniewam się.
  - Jak się nazywa twoja plaża?
- Uśmiechnęła się.
- Hvar<sup>3</sup>.
  - A dokładniej?
  - Tak właśnie się nazywa. Hvar.

– Tak?

– To wyspa.

– Gdzie leży?

Położyła głowę, nie odpowiadając na pytanie.

Pogłaskał ją po włosach i ziewnął. Czuł, że zaraz zaśnie.

– A poza tym – wymamrotał i znowu ziewnął – poza tym lubię zapach liści palonych na wiosnę.

Kiedy się przebudził w środku nocy, nie czuł na sobie ciężaru jej głowy. Nagle usłyszał cichą rozmowę i otworzył oczy. Siedziała na krześle przy oknie z telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha.

– Nie śpisz? – spytał. – Która jest godzina?

– Zaraz przyjdę – szepnęła. – Śpij.

Leżał z zamkniętymi oczami. Po chwili poczuł, że wsunęła się pod kołdrę obok niego. Zerknął na jej czarne włosy, które rozsypały się na poduszce, i zasnął.

Część II

## **Czwarty napastnik**

1

– Mamy klienta.

– Zabójstwo?

– Mężczyzna. Zimny jak karp w galarecie – ciągnął Gunnarstranda. – Terminal kontenerowy Loenga.

Połączenie zostało przerwane. Nie było o czym dłużej dyskutować. Z szefem nigdy nie było dyskusji. Frank Frølich obrócił się na łóżku.

– Muszę iść – wyszeptał zachrypniętym głosem i zamilkł.

Nie było jej tam. Kołdra, w którą zawinęła się kilka godzin wcześniej, leżała częściowo na podłodze. Usiadł na łóżku, rozmasował policzki i zawołał ostrożnie:

– Elisabeth?!

Odpowiedziała mu kompletna cisza. Zerknął na zegarek. Było wpół do piątej. Noc. Wstał i poszedł do salonu. Ciemno. Cicho. Kuchnia – ciemno. Łazienka – ciemno i pusto. Zapalił światło, ochlapał twarz wodą i zobaczył w lustrze swoje własne zmęczone oczy. Dlaczego mu to robi? Dlaczego ucieka? Kiedy się wymknęła? Dlaczego uciekła w środku nocy?

\*

Dokładnie sześć minut później wsiadł do samochodu i ruszył w dół Ryenbergbakkene. Zrobiło się chłodniej. Świecił księżyc, niebo usiane było gwiazdami. Termometr na tablicy rozdzielczej pokazywał minus

pięć stopni. Pomyślał o Elisabeth idącej pieszo w swojej superobcisłej spódniczce i cienkiej bieliźnie – na takim mrozie. Hop z łóżka i w nogi. W samochodzie było tak przeraźliwie zimno, że siedział skulony, z obiema rękami na kierownicy. Opony zimowe brzęczały na zmrożonym asfalcie, szczególnie na zakrętach. Obłoki pary unosiły się nad wodą w basenie portowym. *Idealna oprawa dla zabójstwa*, pomyślał, skręcając w stronę Starego Miasta.

\*

Radiowóz policyjny z migającymi światłami był zaparkowany przed ogrodzeniem. Skoda octavia należąca do Gunnarstrandy stała dwoma kołami na chodniku. Za siatką grupka ludzi otaczała postać leżącą na ziemi.

Frank Frølich zamknął drzwiczki samochodu i przeszedł przez furtkę z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie spodni. Był przemarznięty, a poza tym czuł, że zbliża się pora śniadania, bo robił się głodny. Po chwili podszedł do niego inspektor. Miał na sobie jesienny płaszcz, spod którego wystawała krzywo zapięta koszula, a z kącika ust zwisał mu niezapalony papieros.

– Strażnik z Securitas. O godzinie trzeciej czterdzieści trzy znalazł go kolega z pracy. Wyraźne ślady włamania do kontenera. – Gunnarstranda wskazał na zielony metalowy kontener z otwartymi na oścież drzwiami. – Właścicielem kontenera jest coś, co się nazywa AS Jupro. Nie wiadomo dokładnie, co skradziono, ale prawdopodobnie jakiś sprzęt elektroniczny.

Z daleka ofiara wyglądała jak narciarz, który zemdlął podczas slalomu. Mężczyzna leżał w pozycji bocznej ustalonej. Zamiast narciarskiego kombinezonu miał jednak na sobie mundur



ochroniarza. Na widok roztrzaskanej głowy w kałuży krwi Frølich się skrzywił.

– Patolodzy nazywają to tępą przemocą – wyjaśnił rzeczowo Gunnarstranda. – Część potyliczna wbita do środka. Nie powinno być większych trudności z ustaleniem przyczyny zgonu. Z dużym prawdopodobieństwem możemy założyć, że narzędzie zbrodni leży tam. – Wskazał na zakrwawioną plastikową torebkę obok zwłok. – Kij bejsbolowy, aluminiowy.

Nagle zatrzeszczała krótkofalówka jednego z umundurowanych policjantów. Mężczyzna podał ją inspektorowi, który warknął coś do mikrofonu.

Frølich nie był w stanie rozszyfrować meldunku, który nadszedł w akompaniamencie głośnych trzasków. Ale Gunnarstrandzie najwyraźniej się to udało, ponieważ wyszczerzył zęby w uśmiechu i powiedział:

– Zapuszkuj ich. – Odwrócił się i zerknął na zegarek. – Skoro już ich mamy, możemy uderzyć w kimono. Przepraszam, że obudziłem cię o tak nieprzyzwoicie wczesnej porze. Ale tak to już jest z tą naszą pracą. Każda sprawa jest inna. Daję sobie dwie godziny – dodał. – Przesłuchanie przeprowadzimy jak Pan Bóg przykazał, to znaczy po śniadaniu. Marzę o tym, żeby wskoczyć do łóżka.

– Kogo już mamy? – spytał zbity z tropu Franken.

– Bandę mięśniaków – wyjaśnił Gunnarstranda. – Dostaliśmy cynk. Może nie jest wart funta kłaków, ale z drugiej strony łatwo wyobrazić sobie przebieg zdarzenia. – Wskazał palcem na otwarty kontener. – Te karki właśnie robiły skok, kiedy nadjechał strażnik. – Inspektor skinął głową w stronę małego forda kombi, który stał zaparkowany kilka metrów dalej. Po bokach bagażnika znajdowało się logo firmy

ochroniarskiej. – Strażnik coś zauważył, zatrzymał samochód i wysiadł, żeby to sprawdzić. – Gunnarstranda wskazał na przedmiot leżący niedaleko otwartych drzwi kontenera. – To jego latarka. Maglite. Zobaczył, co się święci, i doszło do bójki. Jeden z napastników miał przy sobie kij bejsbolowy i bang-bang! Strażnik pada na ziemię. I na ich nieszczęście ginie na miejscu.

– I wiemy już, kto to zrobił? – spytał Frølich, ziewając.

Inspektor skinął głową.

– Jak już mówiłem, zdziwiłbym się, gdyby donos okazał się prawdziwy. – Wyjął z kieszeni płaszcza kartkę i odczytał na głos: – Jim Rognstad, Vidar Ballo i... – zbliżył kartkę do światła. – Czasem nie potrafię odczytać własnego pisma... Jim Rognstad, Vidar Ballo i... Możesz odczytać nazwisko trzeciego sprawcy? – spytał, poprawiając okulary.

Frølich przeczytał nazwisko, najpierw w myślach, a dopiero potem na głos:

– Tutaj jest napisane: Jonny Faremo.

## 2

Przez całe przedpołudnie Frank Frølich nie mógł znaleźć sobie miejsca i dlatego zdecydował, że pojawi się w sądzie na ogłoszeniu postanowienia. Kiedy jednak zbiegał po schodach łączących gmach sądu z barem Gabler, doszedł do wniosku, że to nie jest najlepszy pomysł. Wycofał się i zajął strategiczną pozycję na Kristian Augusts gate, skąd zamierzał obserwować wejście do gmachu sądu. Wkrótce przed budynkiem zebrała się grupa ludzi. Chwilę później otworzyły się szerokie drzwi i ukazała się w nich Elisabeth. Śledził ją wzrokiem. Opuściła sąd sama i szybko zaczęła się oddalać, nie rozglądając się na boki. Nie spuszczał oczu z jej wąskich pleców, dopóki nie zniknęła za rogiem.

Kiedy zobaczył Gunnarstrandę, wyszedł z ukrycia i przeszedł na drugą stronę ulicy, przeskakując przez tory tramwajowe. Tymczasem inspektor przedarł się przez tłum kłębiący się na schodach, truchtem pokonał kilka stopni dzielących go od chodnika i przeszedł przez jezdnię po torach tramwajowych. Frølich przyłączył się do niego.

Gunnarstranda narzucił szybkie tempo. Szedł, nie mówiąc ani słowa.

Franken odchrząknął i zapytał:

- Jak poszło?
- Co jak poszło?
- Rozprawa.

– Dupa blada.

– To znaczy?

Gunnarstranda się zatrzymał, pozwolił okularom zsunąć się na czubek nosa i zmierzył Frankena wzrokiem.

– Jesteś ciekawy, czy jej brat trafił do aresztu? Albo czy wszyscy zostali aresztowani? A może chcesz wysondować, czy masz jakieś widoki na przyszłość?

– Powiedz po prostu, jak poszło.

– *Elvis has left the building.*

– Że jak?

– Jonny Faremo pokazał mi trzeci palec i wyszedł z sądu jako wolny człowiek. Bo jego siostra, ta mała żółta, w której się zabujałeś, twierdzi, że w chwili zabójstwa Arnfinna Hagi ona, jej brat i tamci dwaj kolesie byli razem w mieszkaniu.

Ostatnie słowo zostało wykrzyczane, żeby mogło się przebić przez ogłuszający łoskot tramwaju, który właśnie przejeżdżał obok nich.

Frølich poczekał, aż hałas ucichnie, i spytał z niedowierzaniem: – Powiedziała, że była w swoim mieszkaniu razem z bratem i tamtymi dwoma, po tym jak wróciła ode mnie?

– Tak.

– Wymyka się chyłkiem z mojego mieszkania, podczas gdy ja śpię, w środku nocy wraca do siebie, gdzie czekają na nią jej brat, Rognstad i ten cały Ballo, a potem imprezuje z nimi do białego rana?

– Czy wy ze sobą nie rozmawiacie?

Franken nie wiedział, co odpowiedzieć.

Tymczasem Gunnarstranda mówił dalej:

– Jonny Faremo, Jim Rognstad, Vidar Ballo i twoja... „dziewczyna”... grali w pokera. W mieszkaniu rodzeństwa. Zresztą

twoje nazwisko również padło.

Frølich poczuł, że twarz mu tężeje.

– Moje?

– W pikantnych szczegółach opowiedziała o tym, co robiła z tobą tamtego wieczoru, przed spotkaniem pokerowym.

Franken wciąż słyszał echo swojego żalosego „moje?”.

Przez dłuższą chwilę milczeli. Przechodnie snuli się po chodniku tam i z powrotem. Jakaś taksówka przejechała wolno tuż obok policjantów. Kierowca spojrział na nich pytająco.

W końcu Frølich przerwał ciszę:

– Nie kupujesz tej historii o pokerze?

– Jasne, że nie.

– Dlaczego nie zostałem wezwany na świadka?

– A byłbyś w stanie powiedzieć, o której opuściła twoje mieszkanie? – spytał z przekąsem Gunnarstranda.

– Słuchaj! – zaczął zdenerwowany Frølich. – Mnie również się to nie podoba.

– Jakoś ci nie wierzę.

– Nie rozumiem tylko, jak sędzia mógł potraktować poważnie jej zeznania. Przecież jej wersja jest tak cholernie nieprawdopodobna!

– Umiąłbyś to udowodnić?

– Nie.

– Po co więc miałbym powoływać cię na świadka? Nie mam pojęcia, czy sędzia jej uwierzył. Sęk w tym, że jej zeznania podważają konieczność zastosowania aresztu wobec członków bandy Faremo. Z tego punktu widzenia dzisiejsze uniewinnienie to ważna wskazówka dla mnie: muszę zdobyć więcej dowodów przeciwko Jonny’emu Faremo i jego ludziom albo zakwestionować wiarygodność Elisabeth

Faremo. W każdym razie muszę się dobrze przygotować do następnej rundy.

– Jeśli chodzi o tamtą noc, o jakim przedziale czasowym mówimy?

Gunnarstranda wciągnął głęboko powietrze.

– Co jest?

– Weź się w garść, Frølich.

– He?

– To ty masz romans z tą kobietą! To ty z nią sypiasz! A teraz gapisz się na mnie jak wół na malowane wrota i pytasz, które godziny są kluczowe dla śledztwa? Zupełnie cię nie poznaję. Zrób sobie przerwę. Wyjedź na wakacje, weź zaległy urlop. Od jak dawna, przepraszam za wyrażenie, rzniesz siostrę cynicznego bandyty? Od tygodni? Oczywiście nie wykluczam, że połączyło was płomienne uczucie, prawdziwa miłość i tak dalej. Ale jesteś, kurwa mać, policjantem! Przecież to mogło być z góry ukartowane. A skoro ty tego nie widzisz, moim zadaniem jest rozważyć taką możliwość. Niedługo cała komenda będzie o tym trąbić. A wtedy zostaniesz zawieszony. Pewnie domyślasz się, jakiego sformułowania użyją we wniosku o zawieszenie cię w obowiązkach służbowych? Nikomu nie wyjdzie to na dobre, ani tobie, ani mnie, ani wydziałowi. I dlatego proszę, wycofaj się, zanim zza zakrętu wypadną rozpędzone słońce. Jeśli tego nie zrobisz, stratuja cię. A poza tym powinieneś odpocząć. Cholera jasna, wyglądasz jak swój własny cień!

Frølich spojrzał mu prosto w oczy.

– O czym ty mówisz? Jak to „z góry ukartowane”?

– Ta kobieta od początku grała swoją rolę.

– Jak to?

– Przecież sam mi opowiadałeś, jak się nią zająłeś w sklepie

Badira. Osłoniłeś ją, kiedy policjanci wkroczyli do akcji, zgadza się?

– Nikt nie wiedział o tamtej akcji. To, że weszła wtedy do sklepu, było zwykłym przeoczeniem. Czystym przypadkiem.

– Powiedzmy... Nawet jeśli znalazła się w sklepie zupełnie przypadkowo, to co było potem? Padają strzały, bandyci zostają obezwładnieni, a ona wpycha do plecaka paczkę papierosów? Załóżę się, że zrobiła to po to, żebyś się nią zainteresował.

– Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiła.

– Nie zapominaj o jednym, ta kobieta nie była wcześniej karana. A zaczyna kraść, kiedy kule świszczą jej nad głową, a ona sama leży na podłodze w sklepie. I to pod gliniarzem! Czy to nie dziwne?

Frølich poczuł, że robi mu się gorąco.

– Możliwe, że to wygląda dziwnie. Nie mam pojęcia.

– Lepiej zacznij myśleć. W końcu siedzisz w tym gównie po same uszy!

– Ale jeśli to wszystko zostało ukartowane, to nie mam pojęcia, w jakim celu! Miała planować to wszystko od miesiący, sypiać ze mną i snuć ze mną najdziksze plany po to, żeby zapewnić bratu alibi, gdyby podejrzewano go o zabójstwo strażnika? Dwudziestodwuletniego studenta, który dorabiał stróżowaniem? Chryste Panie! Chyba sam widzisz, że twoja teoria spiskowa zupełnie nie trzyma się kupy!

– Naprawdę myślisz, że dziewczyna jest w tobie zakochana, a to z jej bratem to zwykły zbieg okoliczności?

– Żebyś wiedział.

– Jak długo ze sobą pracujemy?

– Zbyt długo.

– Z pewnością, ale udało nam się przebrnąć razem przez niejedną

sprawę. I chociaż każdy przypadek jest inny, to tym razem czuję smród na kilometr.

– Jasne! – odciął się Frølich. – Ale przecież to jest możliwe!

– Co jest możliwe?

– Możliwe, że naprawdę miała uczciwe zamiary!

– Frølich, do cholery! Przestań być takim pieprzonym naiwniakiem! Mówię ci, że z tą laską jest coś nie tak.

Gunnarstranda ruszył dalej. Szybkim krokiem przemierzał ulicę. Frølich nie miał zamiaru zostawać w tyle.

– Okej, załóżmy, że masz rację – powiedział. – Załóżmy, że wszystko było z góry zaplanowane. Skoro jesteś tego tak cholernie pewny, to powiedz mi, na czym polegał ten jej plan. Co knuła, leżąc na podłodze w sklepie? Jeśli nie chodziło o zabójstwo ochroniarza, to o co? Chciała mnie przyskrzyńić? Chyba istnieją jakieś prostsze sposoby na zatrucie mi życia niż zabijanie ludzi? No, powiedz sam. Jedyne, co do tej pory osiągnęła, to to, że niektórzy kumple z pracy przyglądają mi się z pobłażaniem i zaczynają powątpiewać w moją zdolność racjonalnego myślenia, ale jaką ona może mieć z tego korzyść, co? Możesz mi to wyjaśnić?

– Nie.

– To dlaczego się mnie czepiasz?

Gunnarstranda znowu się zatrzymał i spojrzał na kolegę lodowatym wzrokiem.

– Nikogo się nie czepiam. Nigdy. To ty się wleciesz za mną. To ty zamęczasz mnie pytaniami. Mam ci to wbić łopatą do głowy? Proszę bardzo. Obaj wiemy, że głównych podejrzanych zwolniono z aresztu i że twoje nazwisko padło podczas procesu, przyczyniając się do takiego obrotu sprawy. A to oznacza, że musisz zostać odsunięty. Od



tej pory śledztwo w sprawie o zabójstwo Arnfinna Hagi prowadzę sam, bez twojej pomocy. Na twoim miejscu postąpiłbym tak: najpierw wziąłbym tydzień zaległego urlopu, żeby uniknąć zafajdanego wpisu do akt. A potem porozmawiałbym z dziewczyną. Jesteś to winny sobie i swojej przyszłości, no i oczywiście jej, jeśli jej zamiary wobec ciebie rzeczywiście są uczciwe. A teraz wybacź, mam mnóstwo pracy.

Frølich stał i patrzył za nim. Poły płaszcz falowały za Gunnarstrandą niczym skrzydła ptaka.

*Zaległy urlop? Zawieszenie w obowiązkach służbowych?* Słowa odbijały się echem w jego głowie. Szumiało mu w uszach. Wsunął rękę do kieszeni i wyjął telefon komórkowy.

Wybrał numer Elisabeth. Nie odebrała.

Stał wpatrzony w telefon, ale ten milczał. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Ponowił próbę. Znowu nie odebrała. Spróbował po raz trzeci, ale tym razem jej telefon był wyłączony.

### 3

Trzy godziny później siedział w samochodzie z podpisanym wnioskiem o tygodniowy zaległy urlop i właśnie dojeżdżał do Ekebergåsen. Skręcił i wjechał na dach, który pełnił jednocześnie funkcję parkingu dla właścicieli pojazdów, którzy mieszkali piętro niżej. Na bocznej ścianie budynku znajdowały się schody. Podest schodów dla każdego piętra, na każdym podeście dwoje drzwi. Znalazł mieszkanie Jonny'ego i Elisabeth Faremo, zadzwonił do drzwi, ale nie doczekał się żadnej reakcji. Zaczął nasłuchiwać. Ze środka nie dobiegały żadne dźwięki. Martwa cisza. I ciemność. Jedyne, co było słychać, to szum silnika windy, który nieznacznie zagłuszał zwykłe odgłosy miasta. Lodowate powietrze, które spowiło jego ciało chłodną, lepką mgłą, szybko przedarło się przez ubranie i wywołało dreszcze.

Ponowił próbę. Kiedy naciskał przycisk dzwonka, skóra na palcu wskazującym robiła się niemal biała.

Przebierał nogami, żeby się rozgrzać. Podeszedł do bocznej ściany. Chciał odnaleźć ich okno i zajrzeć przez nie do środka.

– Szuka pan kogoś?

Starszy, przygarbiony mężczyzna z laską i w czapce golfisty stał na podeście i przyglądał mu się z zaciekawieniem.

– Faremo – odpowiedział Frølich.

Mężczyzna wyjął pęk kluczy i zaczął nieporadnie szukać tego,

który pasował do zamka w sąsiednich drzwiach.

– Jego czy pani Faremo?

– Właściwie obojga.

Starszy mężczyzna w końcu trafił na właściwy klucz.

– Zniknęła pół godziny temu. Chyba wyjechała na wakacje, bo niosła plecak i torbę. A Jonny'ego nie widziałem od wielu dni.

Mężczyzna otworzył drzwi do swojego mieszkania.

– Zamówiła taksówkę?

– Nie, zniknęła na dole. – Wskazał laską na podłogę. – Myślę, że pojechała autobusem.

– Widział pan, jak wsiadała do autobusu?

– Nie. Ale dlaczego pan o nią wypytuje?

Franken już miał zamiar się wylegitymować, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

– Byliśmy umówieni – wyjaśnił i zerknął na zegarek. – W ważnej sprawie. Czekam na nią od pół godziny.

– Tak, tak – odpowiedział mężczyzna, wchodząc do mieszkania.

Franken stał nieruchomo.

– Tak, tak – wymamrotał staruszek i zamknął za sobą drzwi.

Franken wspiał się wolno po schodach i podszedł do samochodu. Już miał usiąść za kierownicą, gdy nagle nadjechał srebrnoszary saab, rocznik dziewięćdziesiąty piąty, i zatrzymał się na jednym z objętych rezerwacją miejsc parkingowych. Frølich wsunął kluczyki z powrotem do kieszeni. Stał i patrzył. Kierowca długo nie opuszczał samochodu. W końcu otworzyły się drzwiczki i z auta wysiadł mężczyzna: biały, wysoki, prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, atletycznie zbudowany – albo starannie wyćwiczony, albo nafaszerowany sterydami, ubrany w zielone spodnie wojskowe, buty górskie

z goreteksu, krótką skórzaną kurtkę, brązowe skórzane rękawiczki, okulary przeciwsłoneczne i czarną bejsbolówkę. Franken widział go pierwszy raz w życiu, ale natychmiast domyślił się, kim jest nieznajomy mężczyzna, i ruszył w jego stronę.

Byli równego wzrostu, ale nie ulegało wątpliwości, że Franken mniej wyciska od klona amerykańskiego marine. Jak tylko Faremo ściągnął okulary, Frølich rozpoznał rysy twarzy Elisabeth: te same nos, czoło, oczy.

– Szukam twojej siostry – powiedział i zaraz pomyślał: *Wtopa. Powinienem najpierw się przedstawić, chłodno i oficjalnie, a nie zaczynać jak kilkuletni smarkacz.*

Mężczyzna z trudem zdjął rękawiczki i wyciągnął rękę na powitanie.

– Jonny.

– Frank.

– A więc to ty jesteś przyjacielem Elisabeth?

– Miałeś dzisiaj rozprawę w sądzie i zostałeś zwolniony z aresztu dzięki swojej siostrze, która wspomniała o mężczyźnie o imieniu Frank. Może sobie przypominasz?

Faremo zarechotał.

– Czasem rozmawiałem z Elisabeth o pewnym gliniarzu.

Franken czuł, jak słowa powoli zapadają mu w pamięć: „Czasem rozmawiałem z Elisabeth...”.

Tymczasem Faremo mówił dalej:

– Zawsze twierdziła, że nie jesteś gnojem, że jesteś... – Uśmiechnął się z chłodną ironią i dokończył, siląc się na uprzejmość: – ...że jesteś inny.

Franken zacisnął zęby i darował sobie złośliwy ton.

– Wiesz, gdzie ona jest? – zapytał.

– Nie.

– Wasz sąsiad twierdzi, że wyjechała pół godziny temu, zabierając ze sobą bagaż, plecak i torbę.

– Skoro tak twierdzi...

– Ale chyba wiedziałbyś o tym, gdyby dokądś wyjechała?

– Skąd ta myśl?

*Bo Elisabeth to twoje alibi, dupku!* pomyślał Franken, a na głos powiedział: – To znaczy, że nic nie wiesz?

– Lepiej odpuść sobie ten ton gestapowca, kiedy rozmawiasz z członkami jej rodziny.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem, ale naprawdę zależy mi na tym, żeby się z nią skontaktować.

– Teraz?

– Tak, teraz. Czy to takie dziwne?

– Trochę.

– Czyżby?

– Z tego, co opowiadała mi moja siostra, wynika, że to ona musiała ciągle wychodzić z inicjatywą i zabiegać o wasz związek. – Faremo uderzył rękawiczką o otwartą dłoń. – I nagle teraz, kiedy mam kłopoty, zgrywasz troskliwego wujka i przychodzisz tutaj?

– Jeśli ją spotkasz, poproś, żeby do mnie zadzwoniła – powiedział Franken. Odwrócił się i zaczął oddalać. Ubity śnieg pokrywający betonową nawierzchnię był bardzo śliski. Frølich o mało nie upadł. Ale nie odwrócił się za siebie. *Zwierzala się bratu.* O niczym innym teraz nie myślał, tylko o tym, co Jonny Faremo wie na jego temat. A kiedy Franken pytał ją o brata, chowała karty za plecami jak dzieciak przyłapany na oszustwie.

Kiedy odjeżdżał, Faremo stał w tym samym miejscu i przyglądał mu się intensywnie.

Frølich rzucił okiem na zegarek. Była pora lunchu. Wiedział jednak, że niczego nie przełknie. Skręcił w boczną uliczkę, przejechał pięćdziesiąt metrów i się zatrzymał. *Co powinienem teraz zrobić? Co byłoby najwłaściwsze: próbować ustalić miejsce pobytu Elisabeth czy skupić się na jej bracie?* Ale jak miał się dowiedzieć, dokąd pojechała? Przecież prawie nic o niej nie wiedział.

Uderzył dłońmi o kierownicę. *A może powinienem sobie odpuścić? Pojechać do domu i się wyspać? W końcu jestem na urlopie.*

Nie miał czasu na długie przemyślenia, bo chwilę później minął go srebrny saab Jonny'ego Faremo. Franken przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył za nim.

#### 4

Późnym popołudniem zaparkował samochód wzdłuż ogrodzenia w pobliżu przystanku tramwajowego Park Naukowo-Techniczny. Stamtąd wolnym krokiem udał się w stronę części miasteczka uniwersyteckiego, w której znajdował się Wydział Historyczno-Filozoficzny. Czuł wstręt na myśl o tej wyprawie, o tym, że będzie musiał zmierzyć się z tą Elisabeth, której nie znał. Ale w tamtej chwili niechęć, którą wzbudzały w nim nieznanne fakty z życia Elisabeth, odchodziła na dalszy plan. Najpierw musiał ją znaleźć. Chciał, żeby opowiedziała mu o spotkaniu pokerowym, o alibi, żeby wyjaśniła to, czego nie był w stanie pojąć. I dlatego zignorował nieprzyjemne ssanie w żołądku, wszedł do budynku imienia Nielsa Treschowa i wjechał windą na jedno z ostatnich pięter. Krążył po omacku długimi korytarzami, wspinał się po schodach, sprawdzał kolejne kondygnacje, odcytując nazwiska na tabliczkach umieszczonych obok drzwi. Te, które prowadziły do gabinetu Reidun Vestli, były lekko uchylone. Zapukał i zajrzał do środka. Młoda blondynka o mocno zarysowanej szczęce podniosła wzrok znad ekranu komputera.

– Przepraszam – powiedział. – Szukam Reidun Vestli.

– Poszła do domu – młoda kobieta zerknęła na zegarek. – Kilka godzin temu.

– Do domu?

– Źle się poczuła i dlatego wyszła. Chyba się rozchorowała.

Dziewczyna posłała mu szeroki uśmiech.

– Magistranci mają prawo korzystać z jej gabinetu. Równa z niej babka.

– Czy ta choroba to coś poważnego?

– Nie mam pojęcia. Ale nie, nie wydaje mi się. Reidun rzadko choruje.

Reidun Vestli spakowała się i zniknęła kilka godzin temu. Elisabeth również spakowała się i wyjechała kilka godzin temu.

– Muszę się z nią pilnie skontaktować. Byliśmy umówieni – powiedział.

W gabinecie Reidun Vestli panował niemal idealny porządek. Jediną rzeczą, która go nieco zakłócała, była kurtka studentki, rzucona niedbale na stół stojący w rogu pokoju. Nawet dziewczyna za ekranem komputera zdawała się komponować z wystrojem gabinetu.

– Zawsze może pan spróbować zadzwonić na jej numer domowy, jeśli to coś ważnego.

– Owszem, to ważna sprawa. Nie zna pani przypadkiem jej numeru?

Studentka namyśliła się.

– Profesorowie posiadający wizytówki należą do rzadkości, ale Reidun jest właśnie takim wyjątkiem – powiedziała i otworzyła szufladę biurka. – Zdaje się, że trzyma kilka tutaj. O, są!

Kiedy podawała mu mały kartonik, jej usta znów rozciągnęły się w uśmiechu.

\*

Zjeżdżając windą, uważnie przyjrzał się wizytówce. Reidun Vestli mieszkała w Lysejordet.



Zadzwoił na jej numer domowy, gdy tylko się znalazł w samochodzie. Pięć długich sygnałów. Nikt nie odebrał telefonu. Potem nastąpiła krótka przerwa, która oznaczała, że połączenie zostało przekierowane. Nie było jej więc w domu. Jednak już po dwóch kolejnych sygnałach w słuchawce rozległ się jej głos:

– Reidun, słucham.

Głos był wyraźny, w tle cicho szumiał wiatr. Franken wiedział, co to oznacza. Reidun Vestli jechała samochodem.

– Z tej strony Frank Frølich. Chciałbym z panią porozmawiać.

Cisza.

– Chodzi o Elisabeth Faremo.

Połączenie zostało przerwane.

Siedział, wpatrując się w wyświetlacz. Bał się tej rozmowy, ale najwyraźniej Reidun Vestli poczuła się jeszcze gorzej. Jej paniczna reakcja sprawiła, że zadzwonił ponownie. Telefon dzwonił i dzwonił. W końcu włączyła się poczta głosowa.

Był zmęczony. Cholernie zmęczony. Nagle cała sytuacja wydała mu się śmieszna. Jadąc do domu, słyszał głos Gunnarstrandy: *To wszystko zostało ukartowane! Przecież to oczywiste!*

On sam posunął się do tego, że wziął tydzień zaległego urlopu, żeby... Właściwie dlaczego to zrobił? Dlatego że Elisabeth Faremo stanęła w obronie swojego brata? Czy dlatego że chciał się ukryć, zapaść pod ziemię ze wstydu?

Zabito młodego człowieka. Ale przecież Elisabeth mogła mówić prawdę. Niby dlaczego miałyby kłamać? Zawsze wymykała się w nocy z jego mieszkania. Niewykluczone, że było tak: Elisabeth wróciła do domu, siedziała przez kilka godzin z bratem, aż tu nagle zjawia się policja. Tylko co z tym donosem? Tu jednak pojawiał się

problem. Franken nie miał pojęcia, co to był za donos. Kto sypnął i jaki miał w tym interes?

Automatycznie skierował się w stronę domu. Było późne popołudnie. Ciemno, zimno i godziny szczytu. Był na urlopie. Nie miał nic do roboty. A co robi Norweg, który nie ma nic do roboty? Wypija browara albo cały czteropak. Frølich ruszył w kierunku centrum handlowego w Manglerud.

## 5

Zaczął rundę po pubach. Wypił kilka piw w barze Lompa, który w krajowym rejestrze firm figurował pod nazwą Restauracja Olimp. W lokalu nie było zbyt tłoczno. Większość gości stanowili starzy bywalcy, mieszkańcy pobliskich domów, którzy przychodzili do baru, żeby prowadzić poważne rozmowy o życiu przy kuflu piwa. Frank Frølich siedział samotnie przy stoliku i przyglądał się klientom. Wychudzeni mężczyźni, sztywni od wieloletniego tankowania, wyglądali, jakby balansowali na szczytach, kiedy znikali w drodze do kibla. Po jakimś czasie powlókł się dalej, głównie po to, żeby znaleźć bar z kontuarem, nad którym mógłby wisieć godzinami. Kiedy dotarł do budynku dworca, udał się do baru Tor 2 w starej hali obsługującej połączenia kolejowe ze wschodnią częścią kraju. W środku panował tłok. Podróżni. Ludzie dojeżdżający do pracy z przedmieść Oslo, którzy czekali na następny pociąg. Kobiety i mężczyźni z Moss i Ski, z walizkami, rozgrzewali się piwem przed dalszą podróżą promem do Danii. Z głośników płynęła piosenka The Hollies *He Ain't Heavy, He's My Brother*. Kilka kobiet w dresach śpiewało razem z zespołem. Franken spojrzął na swoje odbicie w lustrze i poczuł się jak Marsjanin na Wenus. Pijąc trzecie, a potem czwarte piwo, był świadkiem tego, jak dwóch dobrze znanych policji dealerów sprzedawało prochy grupce nastoletnich dziewczyn. Franken podniósł szklanekę do ust. Cholera jasna, przecież był na

urlopie! To, co się tutaj działo, w ogóle go nie dotyczyło. Ale starzy znajomi policji są kuci na cztery nogi. Natychmiast wyczuli pasywność Frølicha i byli skłonni zinterpretować ją na jego niekorzyść. Franken dopił piwo i ruszył dalej, w górę Karl Johans gate. Na skrzyżowaniu z Dronningens gate i rzędem obskurnych knajp przystanął niezdecydowany. Właśnie wtedy z cienia bazaru Kirkeristen wyłoniła się inna znajoma postać i utykając, zbliżyła do Frølicha.

– Hej, Franken, napijemy się po browarku?

Franken pokręcił głową i wycofał się w stronę Jernbanetorget. *Jak nisko trzeba upaść, żeby gość, którego aresztowałeś niezliczoną liczbę razy, chciał ci postawić piwo?* Wygląda na to, że najbezpieczniej jest się upić w zachodniej części miasta. Wsiadł do pierwszego lepszego tramwaju. Kiedy jechali w górę Prinsens gate, trzymał się uchwyty, ponieważ tramwaj trząsał na zakrętach. Wysiadł w dolnej części Kontraskjæret i powłókł się w stronę placu Fridtjofa Nansena. Postanowił, że zacznie na rogu i przekopie się przez wszystkie knajpy wokół ratusza. To była ciężka praca, ale mimo wysiłku i najszczerzych chęci nie poczuł się ani odrobinę pijany, tylko strasznie chciało mu się sikać. Dwie godziny później chwiejnym krokiem wtoczył się do baru Dagligstuen w hotelu Continental. Tutaj, gdzie na ścianach wiszą oryginalne grafiki Muncha, gdzie klientami jest szczególna kategoria mężczyzn, którzy nie mogą się doczekać weekendu, żeby wypróbować nowe spodnie do golfa, i gdzie ściany podpierają wykształcone mężatki – koneserki porto, również nieogolony gliniarz na urlopie może przebywać incognito, pomyślał i runął na kanapę stojącą na środku sali. Zamówił whisky. Po wypiciu drugiej szklanki przewrócił pokal z piwem i próbował wytrzeć plamę

serwetą z sąsiedniego stolika, ale został uprzejmie poproszony o opuszczenie lokalu. *Robię postępy. Jeśli dobrze rozegram tę partię, zanim minie noc, zostanę przewieziony do izby wytrzeźwień.*

– Nie jestem pijany – powiedział do kelnerki, której powierzono to zaszczytne zadanie. – Mam tylko mały problem z koordynacją ruchów.

Podniósł się i ruszył do wyjścia, zachwycony tym, że udało mu się wypowiedzieć tak długie i skomplikowane słowo.

Chwiejąc się na nogach, wyszedł na ulicę i o mało co nie zderzył się z Emilem Yttergjerdem. Wyglądało na to, że Yttergjerde był w połowie rundy, bo jego twarz zdążyła przybrać czerwony, niemal liliowy odcień, a kiedy stali i przyglądali się sobie ze zdziwieniem, musiał się przytrzymywać latarni. Dalej poszli razem. Zataczając się, skręcili w Universitetsgata. Tutaj też mieli do obskoczenia kilka barów. A jak dotąd pieniędzy mu nie brakowało.

Był późny wieczór, a możliwe, że noc, w każdym razie wiele godzin później, kiedy razem z Yttergjerdem usiedli przy stoliku w Café Fiasco. Nie. Po namyśle doszedł do wniosku, że to musiała być noc. Pił piwo, robiąc wszystko, żeby się nie ześliznąć pod stół, a równocześnie usiłował się skupić na słowach kolegi. Muzyka dudniła i Yttergjerde musiał krzyczeć, żeby się przebić przez hałas.

– Była z Argentyny! – darł się.

Frank Frølich odstawił półlitrowy pokal na stół. Wiele by dał, żeby Emil się zamknął i nie wrzeszczał mu do ucha.

– Ale o tym dowiedziałem się znacznie później! – wydierał się Yttergjerde.

– O czym? – odkrzyknął Frølich.

– O tym, że była z Argentyny. Była spłukana, rozumiesz, dzięki

mnie miała kasę na fajki i jedzenie. Miałem nieźle w czubie, kiedy się wpakowałem do tego autobusu. Była czwarta nad ranem, a ja miałem jechać do Mediolanu, rozumiesz. W każdym razie wsiadłem do autobusu i nagle ona podchodzi i zajmuje miejsce obok mnie. Wydała całą kasę na wynajęcie samochodów i drogie hotele w Paryżu i Rzymie. Nie miała gdzie mieszkać, a bilet powrotny miała wykupiony na samolot, który odlatywał z Paryża dopiero za dwa tygodnie, rozumiesz.

Yttergjerde zrobił krótką przerwę, żeby się napić piwa.

– O czym ty mówisz? – spytał Franken.

– O moich wakacjach – odpowiedział Yttergjerde. – Słuchaj uważnie.

Franken podniósł głowę. Było tak głośno, że nie słyszał własnych myśli. Nagle muzyka ucichła. Ale nie na długo. Ktoś włączył Springsteena. Jeden akord, jedno zdanie: *Born in the USA*.

Franken chciał coś powiedzieć. Głównie po to, żeby przekonać samego siebie, że nie jest z nim jeszcze tak źle. Zamiast tego jednak musiał stoczyć kolejną walkę o to, żeby nie runąć na podłogę. Trzymając kurczowo półlitrowy pokal z resztką piwa, powiedział:

– Chyba muszę spadać.

Do Yttergjerdego to jednak nie dotarło. Odstawił piwo, wytarł usta wierzchem dłoni i ryknął, przekrzykując muzykę:

– Nie mogłem rozmawiać z nią o Szwedach, rozumiesz, bo przez długi czas była związana z takim jednym Szwedem, który prał ją regularnie. A ona ciągle marudziła i jęczała mi nad uchem, i o to głównie poszło. W kółko pytała, czy jest mi z nią dobrze, i twierdziła, że rano wyglądam cholernie agresywnie. Nie mam pojęcia, jak wyglądam rano, bo niby skąd mam to wiedzieć? Ale miałem dość jej

marudzenia, serdecznie dość, rozumiesz, nikt mi wcześniej nie mówił, że wyglądam agresywnie. W końcu strasznie się wkurzyłem i powiedziałem po oksfordzku, że nie jestem wkurzony, tak jej powiedziałem, ale jeśli nie przestanie pytać, czy jestem wkurzony, to stracę panowanie nad sobą. Możliwe, że byłem zbyt szorstki, no wiesz, trudno wyczuć takie subtelności, zwłaszcza po oksfordzku. W każdym razie rzuciła się do drzwi i tyle ją widziałem. Zresztą może to i dobrze, no wiesz, beznadziejna sprawa, byłem na wakacjach i przez cztery dni ją utrzymywałem, a ona robiła, co mogła, żeby mi się odwdzięczyć. Chora sytuacja, rozumiesz. Marne widoki na stały związek.

Franken wstał. Miał wrażenie, że wszystko się kołysze. Uwalił się. Powiedział to na głos:

– Uwaliłem się.

– Chodzi mi o to – ciągnął niezrażony Yttergjerde – że świat jest pełen kobiet, rozumiesz. Nawet tacy jak ja, faceci z przeszłością, to znaczy po rozwodzie, nie mają się czym przejmować. A co tu dopiero mówić o tobie, który nigdy w nic nie wdepnąłeś? Mam kumpla, trzydzieści kilka lat, przebiera w laskach jak w ulegawkach. Samotne matki, noce na promie do Danii, pokazy tańca... Nie ma powodu, żebyś wpadał w depresję z powodu jednej panienki!

– Wiem, że masz dobre intencje – odpowiedział Frølich. – Ale jedyne, czego mi teraz potrzeba, to taksówka i wygodne łóżko.

– Racja, Franken, jedź do domu. Odpocznij, śpij do południa, zapomnij o tej pieprzonej lasce. Ostatnim razem, kiedy czułem się tak jak ty, wybrałem się do tego burdelu na Munkedamsveien, no wiesz, żeby trochę sobie ulżyć. Ale trafiła mi się jakaś trefna panienka, która na bank miała męża albo narzeczonego. I po co taka zostaje dziwką,

jeśli fiut kojarzy jej się wyłącznie z pytonem? He? Z wyglądu niezła dupa, ale nie zgodziła się na nic innego, tylko na to, że mi go obciągnie, więc się wściekłem, rozumiesz, nie chcę być niegrzeczny, powiedziałem do burdelmamy, ale jakkolwiek by było, wybuliłem ponad tysiąc koron, więc chyba mam prawo oczekiwać, że wasze panienki będą miały lepsze podejście do klienta. I wtedy dostałem zwrot kosztów, kapujesz? – Yttergjerde zanosił się śmiechem. – Coś takiego powinno obowiązywać w małżeństwie: satysfakcja gwarantowana albo zwrot pieniędzy!



## 6

Starał się leżeć spokojnie, żeby nie budzić ciała ze śpiączki, kiedy zadzwonił telefon. Sądząc po ilości światła w pokoju, było już po południu. Od wielu godzin leżał jak kłoda na kanapie, sztywny, ciężki i odrętwiały. Przekrzywił głowę i spojrzał na telefon. Ruch wywołał ból, zawroty głowy i nudności. Wątroba dokuczała mu tak bardzo, jakby ktoś wbijał mu gwoździe od wewnątrz. *Moja wątroba jest wrzodem, a powietrze – gwoździem, nie, dźwięk dzwonka jest wiertłem, które prześwidrowuje mój mózg aż do skroni.* Podniósł się. Znowu zakręciło mu się w głowie. Stał wyprostowany, walcząc z zawrotami głowy. Chwycił się futryny drzwi i podniósł słuchawkę.

– A więc jesteś w domu?

– A co myślałeś?

– Nigdy nic nie wiadomo.

Frank Frølich osunął się z powrotem na kanapę. *Kiedy będę umierać, anioł, który po mnie przyjdzie, będzie miał głos Gunnarstrandy. Ten człowiek mnie prześladowuje.* Atak gwoździ na wątrobę wciąż trwał. Franken nie był w stanie myśleć racjonalnie.

– A więc postanowiłeś, że do mnie zadzwonisz? Nie masz co robić w pracy czy zwyczajnie się za mną stęskniłeś?

– Jonny Faremo nie żyje.

– Nie żyje?

– Dobrze słyszałeś. Utopił się.

Frankenowi nigdy tak bardzo nie chciało się pić. Słowa ugrzęzły mu w gardle. Tysiące myśli krążyło mu po głowie.

– Gdzie? – wykrztusił po chwili.

– Kilkadziesiąt kilometrów od granic miasta, w Askim. Utopił się w Glommie<sup>4</sup>. Wyłowili go jacyś ludzie pracujący w elektrowni o nazwie Vamma. Zwłoki Faremo wpadły w sieć.

– Sieć?

– Czyżbyś wiedział, gdzie leży elektrownia Vamma?

*Do diabła! Intonacja.*

– Nie mam pojęcia. No więc gdzie leży elektrownia Vamma?

– Przecież już ci mówiłem, w Askim. Pięćdziesiąt kilometrów na wschód od granicy miasta.

– Aha.

– Ciągłe istnieje niebezpieczeństwo, że do turbiny elektrowni wpadną kłody albo inne gówno i dlatego zawiesza się taką sieć, która wszystko zatrzymuje. Dzisiaj w nocy zatrzymała Faremo.

– Nieszczęśliwy wypadek?

– Gdyby to był wypadek, mielibyśmy kupę okoliczności, o których coś byśmy wiedzieli. W przypadku Faremo nie wiemy nic.

– Samobójstwo?

– Wiemy, że utonął.

– A co ty o tym sądzisz?

Gunnarstranda zaśmiał się cicho do słuchawki.

– Co ja o tym sądzę? Dziesięć minut temu odebrałem telefon z Kripos<sup>5</sup>. Cóż, w końcu aresztowałem gościa i doprowadziłem przed wymiar sprawiedliwości, ponieważ podejrzewałem, że to on zabił stróża nocnego na Loenga, gdzie doszło do kradzieży sprzętu elektronicznego. Facet wychodzi na wolność dzięki alibi cienkiemu

jak włos łonowy, a dwa dni później nurkuje z wodą w płucach przy tamie elektrowni wodnej. Może miał doła i dlatego skoczył do wody? Tylko co miałyby go tak zdołować? To, że widzisz się z jego siostrą? Ale nawet jeśli rzeczywiście wpadł w depresję i pojechał do Askim, żeby się zabić, to gdzie jest jego samochód? Gdzie list pożegnalny?

– Facet jeździ srebrnoszarym saabem, rocznik dziewięćdziesiąty piąty.

– Skąd to wiesz?

*Intonacja, podejrzliwość w głosie.*

– Jak sam zauważyłeś, jestem, że tak powiem, znajomym rodziny.

– Jeśli został zepchnięty do rzeki, to miał niewielkie szanse. Jest późna jesień. Wartki nurt. Woda ma maks cztery, pięć stopni.

– Faremo był dobrze zbudowany. Same muskuły.

– Ciało zostało zmasakrowane. Lekarz, który wystawił akt zgonu, wyjaśnił podobno, że ma to związek z lokalnym zjawiskiem. Tuż za elektrownią powstało coś, co nazywają Vrangfoss. Chodzi o wąski jar. Właśnie w tym miejscu rzeka skręca, a to oznacza, że Glomma, która jakieś sto metrów wcześniej płynie szerokim, spokojnym nurtem, zostaje ściśnięta i musi przedrzeć się przez wąskie gardło. Innymi słowy, mamy tutaj do czynienia z poziomym wodospadem, swego rodzaju piekielnym połączeniem wody i prądów rzecznych, coś na wzór Saltstraumen<sup>6</sup>. Jeśli Faremo wylądował w rzece po zewnętrznej stronie jaru, jego ciało przez dobrą chwilę wirowało, roztrzaskując się o skały, i wypłynęło na powierzchnię dopiero sto metrów dalej. Większość kości Faremo została starta na miazgę.

Frank Frølich zobaczył oczami wyobraźni mężczyznę o wzroście metr dziewięćdziesiąt, ubranego jak komandos, o tym samym spojrzeniu co jego siostra.

- Wiemy, gdzie wpadł do rzeki?
- Powiedziałaś „wpadł”?
- Albo został zepchnięty. Wiemy coś o miejscu zdarzenia?

– Elektrownia Vamma jest ostatnią z trzech sąsiadujących ze sobą elektrowni. Najwyżej położona nosi nazwę Solbergfoss, a nieco niżej znajduje się Kykkelsrud. Vamma leży najniżej i właśnie tam wyłowiono ciało Faremo. Odpowiedź nasuwa się sama. Zwłoki zatrzymały się na sieci przed najniżej położoną zaporą wodną. A to oznacza, że w grę wchodzi odcinek między elektrowniami Kykkelsrud i Vamma. Ale tak sobie myślę...

- Tak?
- Nie zastanawia cię, po co do ciebie dzwonię?
- Nie zdążyłem o tym pomyśleć.

– Nie prowadzę już tej sprawy. Teraz zajmują się nią śledczy z Follo wspierani przez Kripos. Musisz być przygotowany na to, że każą ci opowiedzieć, co robiłeś w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Nareszcie wyszło szydło z worka.

- Niby dlaczego?
- Chyba się domyślasz.
- Nie, Gunnarstranda, nie domyślam się!

– Nie musisz podnosić głosu. Obaj wiemy, że śmierć Faremo mogła być skutkiem nieszczęśliwego wypadku. Niewykluczone, że kłócił się z kimś, kto wepchnął go do rzeki. Możliwe, że z premedytacją, a może w stanie silnego wzburzenia, a nawet wściekłości. A ty byłeś wcześniej widziany, jak prowadzisz z Faremo zażartą dyskusję przed jego domem.

- Kazałeś mnie śledzić?

– Nie, ale prowadzę śledztwo w sprawie o zabójstwo. Masz tutaj wielu oddanych przyjaciół, Frølich, ale żaden z nich nie chce ani nie może zatajać faktów. Do wczoraj Jonny Faremo należał do grupy osób podejrzanych o zabójstwo Arnfinna Hagi. Dom Faremo był obstawiony przez naszych ludzi. Twoja dyskusja z nim na przydomowym parkingu została odnotowana zgodnie z przepisami.

– Okej. Nie uwierzysz mi, jeśli powiem, że to nie ja wepchnąłem Faremo do rzeki?

– Przekonaj mnie.

– To, co powiedziałeś, jest prawdą. Byłem przed jego domem. Po tym jak Faremo i jego banda zostali zwolnieni z aresztu, zrobiłem tak, jak mi poleciłeś. Wziąłem tydzień zaległego urlopu. A potem pojechałem prosto do domu Faremo. Rozmawiałem z nim, to prawda, ale nie podnosiłem głosu. To nie była żadna zażarta dyskusja.

– W takim razie najważniejsza wydaje się odpowiedź na pytanie, co robiłeś po rozmowie z Jonnym Faremo.

Frølich wpatrywał się pustym wzrokiem w ścianę. Był tam tamtej nocy, przed domem Faremo. Z jakiegoś powodu wziął taksówkę, kazał się tam zawieźć i zwymiotował do rowu. *Po co tam pojechałem? Czego ja tam, do cholery, szukałem?*

– Jesteś tam?

– Tak.

– Ja nie będę cię przesłuchiwał. Chciałem cię tylko uprzedzić. Dać ci nad nimi przewagę.

\*

Już go nie mdliło, teraz chciało mu się tylko pić. Podniósł się ociężale i powłókł do kuchni. W lodówce nie było nic oprócz dwóch puszek pilznera. *Nie.* Zamknął drzwi lodówki i napił się wody z kranu.

Chwiejąc się na nogach, ruszył do łazienki i wszedł pod prysznic. Namydlił całe ciało. Przez cały czas myślał o Elisabeth, o tym, że zaświadczyła na korzyść brata i tamtych dwóch. Wciąż miał ją przed oczami – jak szybkim krokiem opuszcza gmach sądu i udaje się w kierunku Grensen, nie rozglądając się na boki. *Dlaczego jej nie zatrzymałem? Dlaczego z nią nie porozmawiałem?*

Spłukując ciało gorącą wodą, przywołał w pamięci jej obraz, kiedy wracała do domu. Spieszyła się jak diabli. Drobna postać, która krząta się nerwowo po mieszkaniu, otwiera szuflady, zatrząskuje je, wrzuca ubrania i inne drobiazgi do torby i plecaka. Jej postać z telefonem przy uchu. *Zwiata. Tylko dokąd – i dlaczego?*

Myśli krążyły powoli, zbyt powoli. Kiedy tam przyszedł, już jej nie było. Zdażyła zniknąć. Potem zjawił się jej brat. *Czyżby uciekła od brata? Ale jeśli tak, to dlaczego? W końcu zapewniła mu alibi.*

Przypomniawszy sobie, jak drżącymi palcami wybierał numer telefonu Reidun Vestli. Słyszał wyraźnie, że połączenie zostało przekierowane, słyszał szum dobiegający z telefonu komórkowego. Rozmowa, która została przerwana, gdy tylko się przedstawił.

Nagle poczuł palącą potrzebę rozmowy z Elisabeth. *To, co się stało, jest wynikiem zwykłego nieporozumienia. Jeśli teraz do niej zadzwonię, odbierze telefon i wszystko rozsądnie wyjaśni.* Zakręcił kurek i udał się do salonu, nie wycierając się. Jego stopy pozostawiły na linoleum kałuże wody. Znalazł telefon komórkowy i zadzwonił do Elisabeth. Ale jej telefon był wyłączony. Zadzwonił do Reidun Vestli. Żadnej odpowiedzi. Stał nagi i przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze. Jeszcze nigdy nie widział czegoś równie żałosnego.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi.

Chwiejnym krokiem wszedł do sypialni, nałożył czyste bokserki

i koszulkę z krótkimi rękawami i poszedł otworzyć.

Na wycieraczkę stał nieznajomy mężczyzna. Franken nigdy wcześniej go nie widział. Chudy, metr osiemdziesiąt wzrostu, piwne oczy, jasnobrązowe włosy.

– Frank Frølich? – spytał.

– Zgadza się.

– Sten Inge Lystad, Kripos.

Mężczyzna miał charakterystycznie wykrzywione usta, które nadawały jego twarzy asymetryczny wygląd. Krzywy uśmiech dzielił jego twarz na dwie części w dziwny, choć niepozbawiony uroku sposób. *Takiej twarzy się nie zapomina*, pomyślał Franken, skanując archiwum pamięci. *Lystad...* Nazwisko mężczyzny brzmiało znajomo, ale jego twarz nic mu nie mówiła.

– Chodzi o Jonny’ego Faremo.

Franken skinął głową.

– Straszne.

– A więc już pan wie?

Ponowne skinienie głową.

– Kto przekazał panu tę wiadomość?

– Jak zapewne pan wie, pracuję w policji. Jesteśmy kolegami po fachu.

– Ale kto pana poinformował?

– Gunnarstranda.

Lystad uśmiechnął się zawstydzony.

Frølich pomyślał: *Nie jest zadowolony z przebiegu rozmowy. Nie tego się spodziewał.*

Cisza aż dzwoniła w uszach. Franken domyślił się, że Lystad czeka, aż zostanie zaproszony do środka. Frølich nie miał jednak

najmniejszej ochoty zapraszać nikogo do mieszkania i dlatego przyglądał się Lystadowi w milczeniu.

– Czy widział się pan ostatnio z Faremo w jego domu?

Dobry znak: nie owija w bawełnę. Zły znak: stara się zachować dystans, jest chłodny i rzeczowy.

– Ma pan na myśli Jonny’ego Faremo?

– Owszem, właśnie jego mam na myśli.

– Byłem tam, to znaczy przed domem. Dzwoniłem do drzwi, to było kilka dni temu, a dokładnie tego dnia, w którym został zwolniony z aresztu. Miałem się spotkać z jego siostrą Elisabeth. Nie wiem, czy zna pan całą historię.

– Nie interesują mnie żadne szczegóły, chyba że dotyczą tego, co się wydarzyło między panem a Jonnym Faremo, kiedy widział go pan po raz ostatni.

– Okej – powiedział Frølich i pomyślał: *Udaje złego gliniarza.*

– Czy jego siostra była w domu, kiedy zadzwonił pan do drzwi?

– Elisabeth? Czyżby to oznaczało, że pańskie zainteresowanie moją osobą jednak wykracza poza kontakty z jej bratem?

Twarz Lystada poszarzała.

*Nie podoba mu się, że rozmowa przybrała taki obrót – to dobry znak.*

– Posłuchaj, Frølich!

– Nie, to pan niech posłucha. Od wielu lat pracuję w policji. Rozumiem, że odważa pan brudną robotę. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że nie lubi pan swojej pracy, ale nie musi pan zadawać ciosów poniżej pasa tylko dlatego, że się odsłoniłem. Twierdzi pan, że historia mojej znajomości z Elisabeth pana nie interesuje. Tak się jednak składa, że mnie interesuje, i to bardzo. Ta historia sprawiła, że musiałem wziąć przymusowy urlop. Bez tej historii nie doszłoby do



naszej rozmowy. Cóż, jeśli ta historia pana nie dotyczy, musi pan wieść przykładne życie. Albo ma pan wszystko gdzieś, albo nie.

Lystad nie odpowiedział. Tymczasem Frølich mówił dalej: – Moja wersja jest taka, że mam romans z kobietą, która utrzymuje kontakty z niewłaściwymi ludźmi. A brat tej kobiety niestety nie żyje. Chciałbym jednak, żeby dobrze mnie pan zrozumiał: nigdy nie interesował mnie Jonny Faremo. Ani wtedy, gdy spotkałem go dwa dni temu, ani wcześniej. Pierwszy raz zobaczyłem gościa, kiedy zjawiłem się w ich domu, po tym jak Faremo został zwolniony z aresztu. Ale zjawiłem się tam tylko po to, żeby porozmawiać z jego siostrą. Zależało mi na tym, ponieważ Elisabeth postawiła mnie w wyjątkowo niezręcznej sytuacji: podała moje nazwisko, składając w sądzie wyjaśnienia, które zapewniły jej bratu alibi.

Lystad skinął powoli głową.

– Proszę mówić dalej.

– Kiedy tam przyjechałem, zaparkowałem samochód na miejscu dla gości. Tuż obok znajdują się schody prowadzące do mieszkań. Zszedłem po schodach i zadzwoniłem do drzwi. Domyślam się, że pański świadek to starszy mężczyzna, sąsiad z naprzeciwka, z którym rozmawiałem, czekając, aż Elisabeth otworzy drzwi. Zamieniłem z tym człowiekiem parę zdań. Następnie wróciłem do samochodu i już miałem odjechać, kiedy zjawił się Jonny Faremo. W srebrnym saabie. Nigdy wcześniej nie widziałem gościa, ale od razu zgadłem, że to on. Podeszedłem do niego, żeby zapytać o jego siostrę, o to, gdzie mogę ją znaleźć. Nie wiedział, gdzie jest Elisabeth. W każdym razie tak twierdził. Wtedy wsiadłem do auta i odjechałem.

– Dokąd pan pojechał?

– Dwieście metrów dalej, na Ekebergveien.

– Dlaczego pan się tam zatrzymał?

– Chciałem zebrać myśli.

– Co było potem?

– Nadjechał Jonny Faremo.

Lystad przyglądał mu się w napięciu.

Frølich milczał uparcie.

– I co się stało?

– Pojechałem za nim.

Lystad musiał długo czekać na dalszy ciąg.

– Była pora lunchu. Wpół do drugiej.

– Ale co się wydarzyło?

– Musiał mnie zauważyć, bo zgubiłem go po dziesięciu minutach.

Gdzieś między starówką a dworcem kolejowym. To od początku był poroniony pomysł, więc kiedy straciłem Faremo z oczu, za bardzo się tym nie zmartwiłem.

– Co było potem?

– Wróciłem do domu i zrobiłem sobie coś do jedzenia.

– A później?

– Pojechałem do Blindern. Chciałem się spotkać z pewną kobietą, która tam pracuje. Nazywa się Reidun Vestli.

– Po co chciał się pan z nią zobaczyć?

– Ta pani pozostaje w bardzo bliskich relacjach z Elisabeth... – Frølich szukał odpowiednich słów. Po chwili mówił dalej: – One są albo były parą. Zakładałem, że Reidun będzie mi mogła powiedzieć, co się dzieje z Elisabeth.

– I co, powiedziała?

– Nie spotkałem jej. Jest na zwolnieniu.

– Co robił pan potem?

– Próbowałem dodzwonić się do Reidun, ale odzywała się automatyczna sekretarka. Później pojechałem do domu.

Przyglądali się sobie w milczeniu. Lystad odchrząknął.

– Czy ktoś może potwierdzić, że był pan w Blindern?

– Tak przypuszczam.

– Przypuszcza pan?

– Była tam jakaś studentka. Szukałem pokoju, w którym urzęduje Reidun Vestli. Siedziała tam studentka piątego roku, Reidun używała jej gabinetu. To właśnie od niej się dowiedziałem, że Vestli jest na zwolnieniu lekarskim.

– Co robił pan po powrocie do domu?

– Obejrzałem film, patrzyłem w sufit, wypłem dwa piwa.

– A dzień później?

– Nic nie robiłem aż do wieczora. Patrzyłem w sufit. A kiedy mi się to znudziło, wybrałem się do miasta.

– Czy ktoś to może potwierdzić?

– Tak.

– O której godzinie wrócił pan do domu?

– Nie pamiętam.

– A o której godzinie zjawił się pan przedwczoraj w Blindern?

– Nie pamiętam. Ale na pewno po południu.

– Cóż...

Ten sam uśmiech, lekko pobłażliwy, współczujący.

– Sprawdzę to i dam panu znać.

– Czy dzisiejszej nocy był pan na Ekebergveien?

– Możliwe, nie pamiętam.

– I co, pańskim zdaniem, mam zrobić z taką odpowiedzią?

– Nie mam pojęcia.

– Widziano pana w nocy na Ekebergveien.

– W takim razie musiałem tam być.

Lystad czekał na dalszy ciąg.

Frølich wziął głęboki oddech.

– Byłem nawalony. Nie zamierzałem się upić, ale zebrało mi się na wspomnienia. Ostatnie, co pamiętam, to to, że rozmawiałem z kolegą w Café Fiasco. To niedaleko dworca, można tam kupić tanio pół litra. I właśnie tam spotkałem kolegę Emila Yttergjerdego. Piliśmy do nocy i rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. W końcu wsiadłem do taksówki. Jak pan wie, postój znajduje się tuż obok, między Spektrum a hotelem Radisson. Niewiele pamiętam z tej wycieczki, ale wiem, że nie dojechałem do samego domu, bo nagle źle się poczułem. Wsiadłem w pobliżu starówki. Po prostu wypilem za dużo i zwymiotowałem. Postanowiłem, że dalej pójdę pieszo. Przez całą noc krążyłem po mieście. Położyłem się spać dopiero o ósmej rano, a skoro tyle godzin się wałęsałem po centrum, jest pewne na sto procent, że przechodziłem również Ekebergveien.

– Czy tamtej nocy próbował się pan skontaktować z Faremo lub jego siostrą?

– Nie.

– Jest pan absolutnie pewny?

– Tak.

– Jeden z sąsiadów Faremo twierdzi, że widział, jak jakiś mężczyzna solidnej postury skradał się pod ich drzwiami.

– Nie mam w zwyczaju się skradać.

– O której godzinie wrócił pan do domu?

– Już mówiłem, o ósmej rano. I od razu poszedłem do łóżka.

Lystad wsunął ręce do kieszeni i uśmiechnął się krzywo.

– Będziemy musieli jeszcze do tego wrócić.

– Niczego innego się nie spodziewałem.

Cisza trwała kilka sekund. Z szybu windy dobiegło brzęczenie. Winda stanęła. Po chwili otworzyły się drzwi i z kabiny wysiadła zgarbiona kobieta. Spojrzała na nich.

– Dzień dobry – pozdrowił ją Frølich.

Kobieta przyjrzała mu się, potem przeniosła wzrok na Lystada, a następnie odwróciła się do nich plecami i zadzwoniła do sąsiednich drzwi.

– Nie widział pan siostry Jonny’ego Faremo od chwili jej zniknięcia?

– Nie.

– Gdyby pan ją spotkał, proszę jej przekazać, żeby się z nami skontaktowała.

Frølich skinął głową. Niechęć, którą czuł do Lystada, zaczęła topnieć.

Kiedy zamknął za nim drzwi, długo stał ze wzrokiem utkwionym w futrynę, a potem w podłogę. Nie mógł zebrać myśli. W końcu podszedł do lodówki. Wiedział, że wątroba będzie trochę na niego narzekać. Ale tylko troszeczkę.

## 7

Następnego ranka było zimno, ale temperatura nie spadła poniżej zera. Ostatnia szansa dla nielicznych pożółkłych liści, żeby się pokazać i po raz kolejny ponowić próbę ożywienia burozielonego krajobrazu, tchnąć w niego odrobinę koloru. Dom Reidun Vestli stał zwrócony na zachód, na wzgórzu nad rzeką Lysakerelva, niemal dokładnie w połowie drogi między osiedlem Røa a wiaduktem nad torami kolejki metra kursującego do Kolsås. Współczesna oaza dobrobytu. To tutaj rzędy bliźniaków sąsiadowały z domami jednorodzinnymi, każde mieszkanie miało swój skrawek trawnika, na każdym podjeździe stało bmw. Frank Frølich minął mężczyznę w spodniach od garnituru i w kaloszach, myjącego samochód niewielkich rozmiarów myjką wysokociśnieniową. Potem minął dwa kolejne podjazdy, dwa kolejne bmw i kolejnego mężczyznę w spodniach od garnituru i w kaloszach, spłukującego dach samochodu taką samą myjką. *Klon, a może tylko déjà vu*. Tak czy inaczej żaden z tych mężczyzn go nie widział. Nikt niczego nie widzi, nikt niczego nie pamięta. Dopiero podczas przesłuchania widzą i pamiętają dużo więcej, niż można by się było spodziewać.

Tabliczka na drzwiach był wykonana z mosiądzu. Stał przed nią i nacisnął przycisk dzwonka. Cisza. Tuż nad mosiężną tabliczką wisiała głowa lwa z brązu, z kołatką dyndającą w paszczy zwierzęcia. Zastukał jeden raz. Drzwi się otworzyły.

Z trudem rozpoznał kobietę stojącą w uchylonych drzwiach. Wtedy, w sali wykładowej, sprawiała wrażenie silnej osoby. Pasowała wówczas do koncepcji domów szeregowych, doskonale wkomponowywała się w otoczenie: w makijażu w wymyślnych kolorach ziemi, brązowych i ciemnoczerwonych odcieniach współgrających z jej karnacją, z włosami o połysku henny i piwnymi oczami. Reidun Vestli, która stała w drzwiach mieszkania, była cieniem samej siebie. Twarz zdradzała brak snu, a dolną wargę pokrywały brzydkie plamy po kawie. Miała na sobie wymięty dres, który potęgował wrażenie rozkładu. Z korytarza dobiegał zapach stęchlizny.

– Wiem, kim jesteś – powiedziała ochrypłym głosem.

Odchrząknął.

– Mogę wejść?

– Po co?

Nie odpowiedział.

Po chwili zmieniła zdanie i wpuściła go do środka.

W pokoju panował zaduch. Reidun Vestli stanęła przed olbrzymią ławą zawaloną luźnymi kartkami i starymi gazetami. Na ścianach wisało kilka płócien bez ram. Frølich domyślił się, że jedno z nich wyszło spod pędzla Kjella Nupena, a drugie, mroczniejsze, było dziełem Ørnulfa Opdahla<sup>7</sup>. Ostatniego obrazu nie odważył się przypisać żadnemu autorowi. Ściany tchnęły czystością i porządkiem. Przypominały jej wymuskany gabinet i górowały nad tym dziełem zniszczenia niczym dwie wyniosłe kolumny, znak dawnej świetności. Na podłodze walały się butelki po winie i opakowania po chipsach, wypełnione po brzegi popielniczki, niedojedzona pizza i puste paczki papierosów. Miniradioodtwarzacz stereo stał krzywo na kłębówisku

przewodów obok prowizorycznego, nieposłanego łóżka przypominającego tapczan. Na parkiecie leżały porzucane okładki płyt CD. Zakurzony, pokryty rdzą i plamami tłuszczu czajnik królował na parapecie okna otoczony kilkoma nieżywymi muchami.

I to tutaj ciągnęło Elisabeth! Skupiał się na tym, żeby nie nadeprnąć na okładkę płyty. Do tego pokoju, do tej kobiety z zębami o metalicznym połysku po wczorajszym czerwonym winie, do kobiety pachnącej brakiem snu, nikotyną, kawą i kurzem. To za tym miejscem tęskniła.

Drżącymi rękami odpaliła kolejnego papierosa od niedopałka poprzedniego. Kiedy tak stała, skupiona i przechylona do przodu, odsłaniała zapasy tłuszczu na biodrach i udach, siatkę zmarszczek między podbródkiem a policzkami, głowę otoczoną matowymi, brudnymi włosami, wokół których unosił się niebieski obłok dymu tytoniowego. Była zwieńczeniem dzieła. Kwintesencją bałaganu, odgłosów dobiegających z radia, śmieci i aury wyzwolonej obojętności. Zachrypniętym głosem zapytała: – Czego chcesz?

– Dzwoniłem do pani kilka dni temu, ale przerwała pani połączenie i wyłączyła telefon.

– Przyszedłeś tutaj, żeby mi o tym powiedzieć?

– Jechała pani samochodem.

– Cóż za celne spostrzeżenie! Nic dziwnego, że pracujesz w policji.

– Nagle pani zachorowała.

– Pan detektyw ma rację. Wciąż jestem chora.

– Pani choroba zbiegła się w czasie ze zniknięciem Elisabeth.

– O, czyżby Elisabeth zniknęła?

– Doskonale pani o tym wie.

– Ponosi cię fantazja. Lepiej trzymaj się faktów, sherlocku.



- A jakie są fakty?
- A co chciałbyś wiedzieć?
- Wszystko.
- Wszystko?

Podeszła bliżej i wykrzywiła usta w jadowitym grymasie.

Frølich czuł rosnące rozdrażnienie. Irytowało go wszystko, co sobą reprezentowała: snobizm, arogancja, środowisko akademickie, bród panujący w pokoju, wszystkie tajemnice, które skrzętnie ukrywała w tej swojej norze.

- Wszystko – powtórzył zachrypniętym głosem.

Reidun Vestli zbliżyła się jeszcze bardziej.

- Jesteś pewny, że to zniesiesz?
- Co zniosem?
- Prawdę.
- Dam radę, jeśli oszczędzi mi pani tych głodnych kawałków.

Wodził oczami po stosach książek ustawionych wzdłuż ściany. Nagle jego wzrok przykuły takie tytuły jak *Historia O<sup>8</sup> Życie seksualne Catherine M.<sup>9</sup>* – erotyka, w kręgach akademickich za erotykę uchodzi to, co dla innych jest pornografią.

– Jesteś w stanie pojąć, że ktoś może zgłębiać tajniki na przykład... – Reidun Vestli zamilkła, kiedy Frank Frølich wziął do ręki książkę leżącą na samej górze.

- Na przykład czego?

Przyjrzała się książce, którą trzymał w dłoniach.

- Chryste Panie, jesteś strasznie banalny!

Wymienili spojrzenia.

- Rozczarowujesz mnie – powiedziała, odwracając się.
- Banalny? – zdziwił się.

– Wydajesz się strasznie nudny i przewidywalny. – Wsunęła papierosa między spierzchnięte wargi i zaciągnęła się głęboko. Jej palce nie przestawały drżeć.

– Szczerze mówiąc, sądziłam, że masz ciekawszą osobowość – powiedziała. – Elisabeth twierdzi, że jesteś interesujący.

– Może się myli – odpowiedział. – Może rzeczywiście jestem nudny i przewidywalny, ale nie przyszedłem tutaj po to, żeby rozmawiać o sobie. Chcę się dowiedzieć, gdzie ona jest.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Teraz to pani mnie rozczarowuje – odpowiedział, trącając jedną z książek czubkiem buta. – Domyślałem się, że Elisabeth jest studentką. Czy to właśnie takie tematy ją pasjonują?

– Nie wiesz tego? Spodziewałam się, że coś o niej wiesz. W końcu bawisz się w detektywa.

– Chcę ją tylko odnaleźć.

– Po co?

– To nie pani sprawa.

– Co zrobisz, jeśli ją odnajdziesz?

– To również pani nie dotyczy.

– Cóż, wiem, co mężczyźni i kobiety robią dla zabicia czasu. Możesz się nie wysilać z podawaniem własnej wersji – powiedziała, uśmiechając się szyderczo. – Nic dziwnego, że jesteś zazdrosny, biedaku, skoro nie masz pojęcia, jakie myśli krążyły jej po głowie. Nigdy ci o tym nie wspominała?

– Niby o czym? O pani?

Reidun Vestli wykrzywiła usta w kpiącym uśmiechu.

– Nic o mnie nie wiesz – wyszeptała. – Nie wspominała ci o mnie nawet słowem, a ja wiem o tobie prawie wszystko. Poczujesz się

zazdrosny, ponieważ nie powiedziała ci o tym, co nas łączy. Mam rację?

*Zazdrosny. Czyżbym był zazdrosny? Ale nawet jeśli bolesna niechęć, która mnie ogarnia, jest zazdrością, co mogło ją wywołać? Fizyczna zażyłość łącząca Elisabeth i Reidun? Więż intelektualna? Jedno i drugie? A może lęk, że nigdy się nie dowiem, co je łączy?*

– O co miałbym być zazdrosny?

– Na przykład o nasz wspólny podziw.

– Podziw – powtórzył szyderczym tonem.

– Tak. Elisabeth zawsze fascynował język. Ma nawet swoją własną teorię na temat mocy zawartej w słowach, tam, gdzie nie ma miejsca na uczucia. Jak słowa potrafią nadać nowy wymiar doznaniom, wobec których nasze zmysły, nasza cielesność pozostają bezradne.

Frank Frølich przyglądał się jej ustom. Reidun Vestli lubiła się wypowiadać na ten temat. Lubiła się dzielić wiadomością, że łączy ją z Elisabeth wyjątkowa więź, której on nigdy nie doświadczył. Za to słowo „cielesność” wymawiała z obrzydzeniem. *Oto, kim jesteś, podstarzałą lesbą, która nie może się pogodzić z tym, że posiadłem i zaspokoilem kobietę, której pożądasz. Nie potrafisz zaakceptować faktu, że ja jako mężczyzna mogę dać jej to, czego ty nie jesteś w stanie.*

– Powinna się pani pogodzić z tym... – wyszeptał.

– Że sypiacie ze sobą? – przerwała mu Reidun Vestli, uśmiechając się złośliwie. – Co ty sobie o mnie myślisz? Albo o niej? Myślisz, że związałałabym się z drugim człowiekiem, gdyby w grę nie wchodziły uczucia? Uważasz, że jesteś wyjątkowy i niepowtarzalny, bo masz fiuta?

Agresja, która towarzyszyła jej słowom, sprawiła, że na moment zaniemówił.

– Ten wulgarny język... nie pasuje do pani – wydusił.

– Nie jestem wulgarna, tylko bronię się przed tobą. Myślisz, że możesz tu przyjść, wtargnąć do mojego domu, przywiedziony patetyczną tęsknotą za kobietą, którą chciałbyś posiadać i zdominować, a którą ja kocham, że możesz wtargnąć tutaj, twierdząc, że twoja płęć czyni cię kimś wyjątkowym, że powinnam uznać to za okoliczność łagodzącą? Nic nie wiesz o Elisabeth, nie wiesz, jaką jest osobą. Nie znasz ani jednego marzenia, ani jednej myśli, którą dzieliłyśmy ze sobą. Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z Elisabeth? Czy dyskutowaliście na jakiś temat? Czy zdarzyło wam się skierować uwagę na coś innego niż wasze podbrzusza, by móc sprawdzić, czy potraficie dzielić radości duchowe?

Teraz przyszła kolej na niego, żeby móc zadrwić z jej słów: – Dzielić radości duchowe? Bla, bla, bla.

Wciągnęła głęboko powietrze.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co ona w tobie widzi. Nie dość, że jesteś prostakiem, to w dodatku mało atrakcyjnym fizycznie. – Zerknęła w bok i dodała jakby od niechcienia: – A nie przyszło ci do głowy, że Elisabeth cię unika?

– Co za irracjonalna myśl!

Spojrzała na niego, przekrzywiając głowę.

– Boisz się, że wiem coś, czego ty nie wiesz?

Wyraz jej twarzy, złośliwa satysfakcja towarzysząca pytaniu sprawiły, że przełknął nerwowo ślinę.

Zauważyła to i się roześmiała. Przenikliwym, złośliwym śmiechem.

– Za kogo ty mnie masz, chłoptasiu? Ja kocham ją, a ona kocha mnie. Łączy nas nie tylko łóżko. Łączy nas coś więcej, coś, co ma

związek z duszą, intelektem i szacunkiem dla samego siebie!

Frank Frølich oblał się potem. Ta pewna siebie kobieta, która właśnie wbiła go w ziemię, ta napięta atmosfera w dawno niewietrzonym mieszkaniu, to niezasłane łóżko, na którym kochała się z Elisabeth...

– Wygląda na to, że ta wasza wielka miłość przygasła – powiedział po namyśle. – Chyba że istnieje jakiś inny powód pani nagłej niedyspozycji?

Reidun Vestli zapaliła kolejnego papierosa i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Mów, co masz do powiedzenia, albo się stąd wynoś.

Dłoń, w której trzymała papierosa, nie przestawała drżeć.

– Czyżbym trafił w czuły punkt?

– Powiedziałam, żebyś się wynosił, jeśli nie chcesz...

– Chcę się dowiedzieć, gdzie ona jest.

– Nie mam zielonego pojęcia!

– Myślę, że pani kłamie.

– Twoje słowo przeciwko mojemu.

Wstał.

– Byłoby lepiej dla Elisabeth, gdyby powiedziała pani prawdę!

– Czy to groźba?

– Skądże! W ten nędzny, typowo męski sposób wyrażam swoją troskę o Elisabeth. Szukam jej, ponieważ chcę jej dobra. Szanuję jej wybór, może przebywać u pani lub kogokolwiek innego. Tak się składa, że wiem, że Elisabeth się ukrywa, a ponieważ pracuję w policji, wiem również, że ukrywając się, postępuje nierozsądnie. W końcu popełniono morderstwo. Czy jej się to podoba, czy nie, jest zamieszana w tę sprawę. Możliwe, że potrafi ją pani zaspokoić

fizycznie i duchowo, możliwe, że pani wyrafinowana miłość intelektualna jest więcej warta od mojej. Ale wiem jedno, wiem coś, czego nawet pani nie uda się podważyć: ukrywanie się na pewno nie wyjdzie jej na dobre.

– Ty też nie wiesz wszystkiego.

– Jeśli się ukrywa, to znaczy, że czegoś się boi. I właśnie na tym polega jej błąd.

– Naprawdę nie rozumiesz, że to przed tobą się ukrywa?

– Myślę, że pomysł wyjazdu przyszedł jej do głowy tuż po tym, jak zeznawała na korzyść brata i jego gangu. Myślę, że skontaktowała się z panią, ponieważ chciała, żeby pomogła jej pani w znalezieniu kryjówki. Myślę, że pani nagła choroba ma związek właśnie z tym wydarzeniem. I myślę również, że siedziałyście obok siebie w samochodzie, kiedy dzwoniłem do pani kilka dni temu. Jestem pewny, że wie pani, gdzie obecnie przebywa Elisabeth.

Reidun Vestli uniosła powoli głowę. W zamyśleniu spojrzała na niego przekrwionymi oczami.

Franken zastanawiał się, czy jej o tym powiedzieć. Postanowił zaryzykować.

– Brat Elisabeth nie żyje. Najprawdopodobniej został zabity.

Jej oczy zaszyły mgłą. Zamyślenie ustąpiło miejsca chłodnej kalkulacji.

– Musi mi pani powiedzieć, gdzie ona jest!

– Masz mnie za idiotkę? – syknęła. – Myślisz, że możesz tu przyjść jak gdyby nigdy nic i zacząć mi rozkazywać? Tylko dlatego, że masz ogromne cielsko? Wyjdź stąd! Wynoś się! Wynocha! – Popchnęła go w stronę drzwi. – Wynocha! – powtórzyła.

Westchnął ciężko, ale zrobił to, o co go prosiła. Zatrzasnęła drzwi

z hukiem. Przez chwilę stał na schodach. Słyszał, jak jej kroki cichną w głębi mieszkania. Reakcja Reidun Vestli mówiła mu, że miał rację. Ale co z tego? Nadal nie wiedział, gdzie szukać.

Stał i nasłuchiwał. Najpierw cisza. Potem głos. Reidun Vestli rozmawiała z kimś przez telefon. Z kim, jak nie z Elisabeth?

Przez chwilę wpatrywał się w drzwi, ale w końcu się opamiętał, odwrócił i wolnym krokiem ruszył z powrotem, mijając klony spryskujące swoje auta, bmw, parkany i krzewy tawuły. Gdyby wiedział, że tak się to potoczy, darowałby sobie spotkanie z Reidun Vestli. Z drugiej strony udało mu się potwierdzić kilka faktów. Ona wiedziała. Był tego pewny.

## 8

Tego wieczoru siedział z zimnym piwem przed telewizorem, ale nie był w stanie się skupić.

Co chwilę zmieniał kanał. Jakiś mężczyzna i kobieta leżeli pod kołdrą i szeptali coś sobie do ucha. Reality show. Zmienił kanał. Gepardzica biegnąca na zwolnionym filmie. Zwierzę przypominało eksplozję siły mięśni i koncentracji. Wyglądało to tak, jakby ciało i wzrok gepardzicy żyły każde własnym życiem. Dwa życia stopione w niezawodny mechanizm. Ciało zawieszona na zawiasach ze stawów biodrowych. Nagle gepardzica rzuciła się na gazelę Thomsona, przycisnęła biedne zwierzę do ziemi i zabiła je, przegryzając mu gardło. Potem, dysząc ciężko, położyła się na swojej zdobyczy. Chwilę później spiker poinformował widzów programu, że właśnie ten moment jest dla gepardzicy najbardziej krytyczny. Zwierzę jest zbyt zmęczone, żeby zasiać do uczt, ale jeśli zaraz nie zacznie jeść, zjawi się lew albo hiena i sprzątnie mu obiad sprzed nosa. Gdy tylko spiker wypowiedział ostatnie słowo, niewiarygodnie brzydkie, garbate stworzenie przegnało gepardzicę na cztery wiatry. Hiena natychmiast rzuciła się na mięso, a pechowa, wyczerpana gepardzica usiadła w bezpiecznej odległości i przyglądała się, jak upolowana przez nią gazela znika w żołądku padlinożercy. Po chwili zjawiły się inne hieny. Wbijają zęby we wnętrzości antylopy, co jakiś czas unosząc wzrok i odsłaniając zakrwawione zęby.



Wyłączył telewizor.

Wahając się, wziął do ręki słuchawkę i wybrał numer Gunnarstrandy. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu czuł się tak, jakby robił coś niewłaściwego. Było przed dwudziestą drugą. *Załóżę się, że stary siedzi jeszcze w pracy.* Ale nie, w słuchawce rozległ się zachrypnięty głos inspektora.

– Tylko proszę: krótko i zwięźle.

– Rozmawiałem z Reidun Vestli – zaczął Frølich i natychmiast pożałował swojej decyzji.

– A kim jest Reidun Vestli?

– Kochanką Elisabeth Faremo.

Cisza w słuchawce.

– Myślę, że ona dobrze wie, gdzie się ukrywa Elisabeth.

– I co z tego?

– Nic, to tylko taka wskazówka. Może powinieneś z nią porozmawiać.

– Dziękuję za informację.

Franken nie miał pojęcia, co powiedzieć.

Gunnarstranda odchrząknął.

– Zakładam, że rozmawiałeś z nią jako osoba prywatna.

– Oczywiście.

– Dobrze ci radzę, odpuść sobie tę sprawę. Weź zaległy urlop i nie mieszaj się do tego. Zrób sobie krótkie wakacje.

Połączenie zostało przerwane.

Zastygł ze słuchawką w dłoni. Czuł się jak skończony idiota. I do tego ten chłodny ton, jakim potraktował go Gunnarstranda. Ale szef taki właśnie był. Problem polegał na tym, że Franken nigdy nie miał okazji odczuć tego na własnej skórze.

\*

Tej nocy miał dziwny sen. Śnili mu się Elisabeth i jej brat. Patrzyli na niego tym samym wzrokiem: płonącym z pożądania, a chwilę później śmiertelnie przerażonym. Tylko które spojrzenie było jej, a które jej brata?

## 9

W nocy wszystkie chmury się ulotniły i po raz kolejny chwycił mróz, tworząc oprawę dla lodowatego poranka pod koniec listopada. Powietrze było ostre jak brzytwa. Nocna mgła zamieniła się w lód, przywierając cienką warstwą do asfaltu. Wsiadł do samochodu, wyjechał z miasta i skierował się na południe. Kiedy zbliżał się do Elvestad w gminie Hobøl, nad czarnymi polami unosiła się przezroczysta mgła. Nad skrajem lasu mającym w oddali kula słońca przypominała żarzący się czubek głowy Stwórcy, który wychylił się zza wierzchołków drzew, żeby obdarować mieszkańców Północy większą ilością światła. Wkrótce promienie tak bardzo kłuły Frølicha w oczy, że musiał spuścić osłonę przeciwsłoneczną.

Przed Fossum uiścił opłatę za przejazd autostradą, po czym wjechał na stację Shella znajdującą się tuż przy moście. W dole płynęła Glomma, cicha i majestatyczna. Kiedy napełniał bak, przyszedł mu na myśl Jonny Faremo. Franken zastanawiał się, jak to jest płynąć pod prąd w lodowatej wodzie.

Zapłacił, wsiadł do samochodu i zaczął studiować mapę. Znajdował się za elektrownią wodną Solbergfoss, a przed Kykkelsrud.

Przez chwilę siedział i rozmyślał. W końcu uruchomił silnik i wyjechał ze stacji benzynowej. Kręta i wąska boczna droga prowadziła w stronę kładki. Zaparkował, wysiadł z samochodu i oparł się o balustradę. Brunatna woda płynęła wartkim nurtem.

Stał i przyglądał się wirom rzeczonym. Gdyby teraz wpadł do wody, w ciągu kilku sekund prąd porwałby go w dół rzeki. Przeżyłby szok termiczny. Mokre ubranie krępowałoby ruchy i stałoby się tak ciężkie, że trudno byłoby mu się utrzymać na powierzchni. Brzeg rzeki tworzyła nieprzyjazna, gładka ściana. Wydostanie się na ląd graniczyłoby z cudem. Wartki nurt i niska temperatura wody przesądziłyby o jego losie. Jak długo byłby w stanie walczyć z żywiołem?

Szedł powoli drogą ciągnącą się wzdłuż rzeki. Stąd biegły w górę ścieżki – między starymi bunkrami z czasów drugiej wojny światowej. Miejsce postojowe po przeciwnej stronie rzeki było co prawda mniej osłonięte, ale również tam można było w stosunkowo prosty sposób pozbyć się zwłok. A jednak pewien istotny szczegół przemawiał za tym, że Jonny Faremo nie został wrzucony do wody w tym miejscu – nieco dalej znajdowała się elektrownia wodna Kykkelsrud, a zwłoki zatrzymały się na sieci po drugiej stronie tejże elektrowni.

*Chyba powinienem zacząć właśnie tam, w Kykkelsrud.*

Frølich przeszedł po kładce. Po drugiej stronie znajdował się pomnik ku czci bohaterskich obrońców mostu Fossum. To tutaj w kwietniu 1940 roku wojska niemieckie napotkały zacięty opór norweskich żołnierzy, którzy broniąc mostu na Glommie, usiłowali powstrzymać pochód Niemców na stolicę. Polegli Norwegowie zostali wymienieni na pomniku z imienia i nazwiska.

Frølich wrócił wolnym krokiem do samochodu i pojechał dalej, przez most, a potem w górę, w kierunku Askim. Minął dwa automatyczne radary, zwalniając na tyle, że nie zaczęły migać.

Kierując się znakami, zjechał z autostrady w stronę kolejnej elektrowni. Budowano tam właśnie nową drogę ekspresową, po obu

stronach pracowały koparki i inny ciężki sprzęt budowlany. Przy zjeździe do gminnych zakładów wodociągowych dodał gazu i skręcił w lewo, w kierunku elektrowni. Samochód wciąż jechał w dół, a to oznaczało, że rzeka była coraz bliżej.

Minął kilka samotnych drewnianych domów w starym stylu, które prawdopodobnie zamieszkiwali pracownicy elektrowni. Kolejny zjazd i krótko potem szły: „Hafslund Energi”.

Budynek był nowoczesny, z dużymi oknami. Tuż za nim, po przeciwnej stronie basenu, piętrzyła się ściana wody. Frølich pojechał dalej i zatrzymał się tuż przy samej zaporze.

Przed kilkoma ogrodzonymi szopami na lewo od drogi znajdował się wypłocisko, choć wciąż niebieski znak parkingowy. Na parkingu stała stosunkowo nowa skoda octavia kombi. Bez trudu rozpoznał samochód. Co prawda mina lekko mu zrzędała, ale mimo to zaparkował swoje auto obok skody.

Spotkanie z Gunnarstrandą było mu chwilowo nie na rękę. Franken nie potrafił w wiarygodny sposób wyjaśnić, dlaczego się tutaj znalazł. Ale czy musiał mieć na to jakieś usprawiedliwienie? Czy musiał się zawsze ślepo stosować do zaleceń inspektora? Rozejrzał się wokół siebie. Nigdzie żywej duszy. Ani śladu szefa. Między budynkami rozsianymi na wzgórzu nic się nie działo. Cisza. Spokój. Nawet budynek administracji Hafslund Energi robił wrażenie wymarłego.

Mróz sprawił, że asfalt był gładki i śliski. Stąpając ostrożnie, ruszył w stronę tamy. Minął trzy potężne, zużyte turbiny, które stały na oszronionej trawie, i zszedł na sam dół. Na prawo znajdował się basen – napełniony i czarny – przypominający olbrzymie, zaczarowane zwierciadło. Tuż przy brzegu majaczyła mikroskopijna

wysepka. Drzewa rosnące na wzgórzu i przed elektrownią przeglądały się w czarnej tafli wody. Przepływ był niewielki, dzięki czemu widać było całą murowaną konstrukcję zapory. Po lewej stronie znajdowała się betonowa śluza, długa na pięćdziesiąt metrów. Pusta. Dno śluzy było ledwo widoczne. Kiedy spojrział w dół, zakręciło mu się w głowie. Między zaporą a ścianą śluzy wmurowano dwie potężne osłony. Z głębi unosił się wilgotny odór stęchłej wody i mułu. Wszedł na tamę, mijając coś, co przypominało ujęcie wody. Konstrukcja lekko drżała, jak budzący się z uspienia wulkan. Tuż pod nim płynęła woda. Na powierzchni zbiornika, po prawej stronie, tworzyły się powoli prądy i wiry. Tutaj woda była w ciągłym ruchu. Śluzę zaś zamykała betonowa ściana składająca się z trzech potężnych zaworów.

Kiedy spojrział w dół, na nurt rzeki płynącej jakieś sto metrów niżej, miał wrażenie, że czuje ciśnienie mas wody, która z impetem napierała na tamę. W tej samej chwili poczuł słodkawą woń dopiero co zapalonego petterøe. Dym lekko kręcił go w nosie. Nie odwracając głowy, zapytał:

– Wciąż palisz?

– Palę od ponad czterdziestu lat – odpowiedział Gunnarstranda, stając obok niego. Trzymał ręce w kieszeniach płaszcza, łapczywie wciągając dym do gardła i dalej, do płuc.

– Ale przecież miałeś przestać. Jesteś chory, nie pamiętasz?

– Myślałem, żeby rzucić palenie, ale lekarz zalecił, żebym zamiast papierosów żuł gumę z nikotyną. I co ty na to? Przecież to wciąż nikotyna. Co to więc za różnica? Równie dobrze mogę dalej palić.

Franken uśmiechnął się do siebie.

– Z czego się śmiejesz? – spytał rozdrażniony Gunnarstranda.

– Przypomniał mi się kawał o facecie, który strasznie chciał rzucić

palenie. Pewnego dnia spotyka kolegę, któremu to się udało i pyta go: Jak udało ci się przestać palić? Wiesz, stary, odpowiada tamten, rzucenie palenia jest dziecinnie proste: kupujesz paczkę fajek i za każdym razem, kiedy poczujesz ochotę, żeby zapalić, wkładasz sobie papierosa do dupy. Do dupy? dziwi się kolega. Właśnie tam. Nie ma lepszego sposobu, żeby się przekonać, że papierosy to straszne gówno. A papierosa, którego trzymałeś w dupie, nigdy w życiu nie wsadzisz potem do ust. Po kilku miesiącach znów się spotykają. Cześć, stary!, woła kolega. I jak? Udało ci się rzucić palenie? Jasne. Rzucenie palenia to bułka z masłem. Ale pojawił się nowy problem. Jaki? No wiesz, teraz nie mogę się oduczyć wkładania papierosów do dupy.

Frank Frølich wył ze śmiechu, klepiąc się po udach.

Gunnarstranda spojrział na niego ponurym wzrokiem.

– A ja myślałem, że plotki na twój temat są wyssane z palca.

Franken natychmiast spowaźniał.

– Rozglądałem się za tobą – powiedział – jak tylko zauważyłem twój samochód.

– Zaczynasz mnie irytować.

– Tak?

– Po co tutaj przyjechałeś? Przecież wzięłeś urlop. Jeśli nie przestaniesz plątać mi się pod nogami, będę zmuszony uwzględnić to w raporcie.

– No i?

– Ty może nie widzisz, że zachowujesz się jak idiota, ale wszyscy inni to widzą.

– Wyluzuj. Nie będziesz musiał pisać raportu. Myślisz, że Faremo został zepchnięty z tego miejsca?

– Nie. Tutaj jest za mało wody. – Gunnarstranda skinął głową na

kamienie widoczne w korycie rzeki. – Ten fragment przypomina większą kałużę. To musiało się stać kawałek dalej. Na przykład na tamtym cyplu – dodał, wskazując głową. – Idealne miejsce. Stamtąd nad rzekę prowadzi żwirowa droga, ale niestety teraz jest zamknięta. Szlaban plus kłódka.

– Może ktoś ma dodatkowy klucz?

– Wątpię. Tam dalej spotkałem jednego gościa. – Gunnarstranda skinął głową w kierunku turbiny. – Powiedział, że mieszka niedaleko i że na pewno zauważyłby, gdyby ktoś szedł zamkniętą drogą.

W milczeniu przyglądali się szerokiej dolinie rzecznej.

– Ta elektrownia jest nieczynna – odezwał się w końcu inspektor. – Zapoznałem się dość szczegółowo z historią norweskiej energetyki wodnej. Energia produkowana jest w sąsiednich elektrowniach: Vamma, w dolnym biegu rzeki, i Solbergfoss, w jej górnym biegu. Tę elektrownię włączają tylko wtedy, kiedy stan wody w rzece jest zbyt wysoki.

– Ale co myślisz o Faremo? Myślisz, że ktoś go zepchnął? Czy sam pośliznął się na śliskim kamieniu?

– Trudno powiedzieć.

– Nie musieli zjeżdżać samochodem aż nad rzekę. Może chcieli się przespacerować?

– Możliwe. I jeśli znajdą się jacyś świadkowie, na pewno się o tym dowiem.

Frølich odczytał odpowiedź szefa jako znak, że śmierć Faremo nie jest tematem tabu.

– Jakie to dziwne, że Faremo właśnie teraz pożegnał się z tym światem.

– Nie wiem, czy wiesz, Frølich, ale nie każdemu dane jest wybrać



dzień swojej śmierci.

– Przyjrzałem się mapie. Niedaleko Askim droga biegnie blisko rzeki. Logicznie rzecz biorąc, sprawca powinien był pojechać tą drogą, zaparkować jak najbliżej brzegu i w odpowiednim miejscu wrzucić Faremo do wody. Wygląda na to, że nie znał dobrze tej okolicy.

– Dlaczego nie?

– Bo w przeciwnym razie wiedziałby o elektrowni Vamma. A gdyby gość wiedział o Vammie, to wiedziałby również o zamontowanej osłonie, która działa na zasadzie sita: precedza wodę i zatrzymuje śmieci. Gdyby pojechał dalej i wrzucił Faremo do rzeki po drugiej stronie Vammy, zwłoki popłynęłyby z nurtem wiele kilometrów i zostałyby odnalezione dopiero w Sarpsborgu, bo od elektrowni Vamma do sieci przed Sarpefossen jest kawał drogi.

– Brzmi całkiem logicznie, poza jednym drobiazgiem.

– Jakim?

– Mówisz tak, jakby Faremo został wrzucony do wody martwy. Ale on miał wodę w płucach, a to oznacza, że się utopił. Jeśli mamy do czynienia z zabójstwem i to zabójstwo nie było zaplanowane, Faremo mógł wylądować w rzece w następstwie jakiejś kłótni albo bójki, i ta wersja wydaje mi się najbardziej prawdopodobna. A to z kolei oznacza, że w pierwszej kolejności trzeba będzie wytypować ludzi, którzy mieli z nim na pieńku.

Frølich udał, że nie słyszy ukrytej aluzji.

– Czyli typowa robota w terenie. Zamierzasz chodzić od domu do domu i wypytywać ludzi o Faremo?

– Przecież już ci mówiłem, że sprawę Jonny'ego Faremo przejęła Kripos.

– Miałem przyjemność rozmawiać z jednym z nich. Z takim młodym gościem. Nazywa się Lystad.

– Zdolna bestia.

– Co obstawia: zabójstwo czy wypadek?

– Nie mam pojęcia. – Gunnarstranda wyjął papierosa z ust i zmierzył Frølich wzrokiem. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że przez tę historię z tobą i tą... panną Faremo wypalam więcej papierosów, niż powinienem?

– W takim razie co tutaj robisz?

– Jest niedziela – odpowiedział inspektor. – Mam wolne.

Frølich się roześmiał.

– Przebywasz na terenie, który nie podlega twojej jurysdykcji, i straszysz, że podasz mnie do raportu? Niezłe.

– Tak czy inaczej nie ma sensu, żebyś się kręcił po okolicy i wypytywał ludzi. Lepiej będzie, jeśli do mnie zadzwonisz. Obiecali, że będą informować mnie na bieżąco.

– Interesuje nas mniej więcej kilometrowy odcinek rzeki – ciągnął niezrażony Frølich. – Dam sobie rękę uciąć, że Faremo przyjechał tutaj samochodem. Jeśli nie ześliznął się z tamtego cypla, to albo on, albo sprawca pojechał tamtą drogą, która tuż przed Askim odbija w prawo. Na mojej mapie są w tym miejscu zaznaczone dwie wąskie drogi, żwirowe albo polne. Obie prowadzą do rzeki. Stawiam dziesięć do jednego, że znajdą się jacyś świadkowie. Ktoś musiał coś zauważyć, jeśli nie ludzi, to przynajmniej samochód.

\*

Wolnym krokiem ruszyli w drogę powrotną. W pewnej chwili Gunnarstranda odchrząknął i powiedział:

– Tak dla porządku, Frølich...

– Tak?

– Przygotowałeś sobie może zestawienie? Z ostatnich kilku dni: co robiłeś, kto to może potwierdzić i tak dalej?

– To znaczy, że nadal mam status podejrzanego w sprawie?

– A o którą sprawę pytasz?

Przyglądali się sobie w milczeniu. Frølichowi nigdy nie udało się odgadnąć, jakie procesy myślowe zachodzą w głowie inspektora. I szczerze mówiąc, teraz też nie miał ochoty próbować.

– Dziwna historia, Frølich. Tylko jedna informacja łączy Jonny’ego Faremo z zabójstwem strażnika na Loenga i ta informacja nie jest chyba dużo warta.

Franken spojrział na niebo. Do wieczora było jeszcze daleko, a słońce już zaczęło tęczową rewię na pożegnanie dnia. Cynobrowe języki chmur prześwitywały między brokatem w kolorze ochry nad lazurówoniebieskim niebem wiszącym nad drzewami.

– Jak mało warta jest ta informacja? – spytał.

Gunnarstranda nie spieszył się z odpowiedzią.

– Działania, które podejmujesz z własnej inicjatywy, zwykle się kończą nieporozumieniem. Jeśli nie odpuścisz, zostaniesz zawieszony.

– Kto jest tym informatorem? – Frølich nie dawał za wygraną.

– Kobieta, dwadzieścia dziewięć lat, modelka pracująca na umowę zlecenie, najczęściej zatrudniana jako hostessa w tak zwanych klubach go-go.

– prostytutka?

– Raczej nie. Ona sama uważa się za modelkę. Reklamuje bieliznę i takie tam. Jej zdjęcia można znaleźć w „Aftenposten”. Poza tym jest przyjaciółką jednego kolesia, którego posłaliśmy do pudła.

– Którego?

Gunnarstranda się zawahał.

– Którego? – powtórzył Franken.

– Jonny’ego Faremo.

– Jak się nazywa?

– Nawet o tym nie myśl.

– Chcę tylko wiedzieć, jak ona się nazywa. To śmieszne, że robisz z tego taką tajemnicę.

– Merethe Sandmo.

– Jej związek ze sprawą został wykluczony?

– Nie mam pojęcia. Tą sprawą zajmuje się Kripos, nie ja.

– Po co laska Faremo miałaby na niego donosić?

– Nie wiem. Ale ich związek należał podobno do burzliwych. Nie można wykluczyć, że przekazując nam informację, chciała się zemścić, a to z kolei sprawia, że Merethe Sandmo wydaje się osobą mało wiarygodną. Innymi słowy, wkrótce może się okazać, że jedyne powiązanie gangu Faremo z zabójstwem strażnika jest nieaktualne. Jeśli do tego dojdzie, trzeba będzie poszukać innych osób, które były w konflikcie z Jonnym Faremo. A jedną z takich osób niewątpliwie jesteś ty.

– Ta informatorka, której nazwisko przed chwilą wymieniłeś... Jeśli nie bała się donieść na chłopaków, równie dobrze mogła wepchnąć jednego z nich do rzeki – powiedział Frølich, spoglądając w niebo. – A poza tym... – dodał po chwili – ...myślisz, że jestem idiotą?

– Nie, wcale tak nie myślę. Ale prowadząc śledztwo, biorę pod uwagę każdą ewentualność. Doskonale o tym wiesz.

– Czy to znaczy, że przygwoździłbyś mnie, gdyby zebrane poszlaki dawały podstawę do sformułowania takiej hipotezy?

Gunnarstranda uśmiechnął się smutno.

– A miałbyś mi to za złe?

Frølich westchnął.

– Pewno nie.

– Dlaczego chcesz, żebym porozmawiał z tą profesorką Reidun Vestli? – spytał inspektor łagodniejszym tonem.

– Ponieważ z jakiegoś powodu Elisabeth Faremo postanowiła się ukryć. Po prostu zniknęła. Zapadła się pod ziemię. Przypuszczam, że spanikowała. W każdym razie spakowała plecak jeszcze tego samego dnia, w którym jej brat i jego kumple zostali zwolnieni z aresztu. Nie mam pojęcia, dokąd poszła ani dlaczego uciekła. Nagle ginie jej brat, więc może dobrze zrobiła, znikając na jakiś czas. Ale nawet teraz się nie pojawia, chociaż jej brat nie żyje. Trochę to dziwne, nie sądzisz? Poza tym Reidun Vestli zachorowała dokładnie wtedy, kiedy Elisabeth spakowała plecak i uciekła. Gdy kilka godzin później zadzwoniłem do niej, nie zastałem jej w domu. Jechała dokądś samochodem. Kiedy w końcu udało mi się z nią skontaktować, miałem nieodparte wrażenie, że Reidun wie, gdzie ukrywa się Elisabeth. Myślę, że są w zмовie.

– Może Elisabeth uciekła od ciebie?

Franken westchnął ciężko.

– Jej brat nie żyje, a ona wciąż się ukrywa.

Zapadła cisza. W końcu Gunnarstranda przerwał milczenie:

– Po co Elisabeth Faremo miałyby się sprzymierzać z Reidun Vestli?

– Ona i Elisabeth mają albo miały ze sobą romans. Vestli widzi we mnie wyłącznie męskiego szowinistę, który chce się mścić na środowisku homoseksualistów. Myślę, że nie dostrzega problemu

w tym, że Elisabeth się ukrywa, chociaż jest świadkiem w sprawie o zabójstwo, a jej brat zginął. Ta kobieta nie jest w stanie spojrzeć z dystansem na swoją znajomość z Elisabeth. I dlatego uważam, że stała się bezkrytycznym sprzymierzeńcem Elisabeth.

– Jaką korzyść miałbyś z mojej rozmowy z Vestli?

– Ja? – Frølich wzruszył ramionami. – Ja siedzę w tym gównie po uszy, jak sam się wyraziłeś. Ale nie przeczę, że jestem ciekawy, co powie Reidun Vestli, kiedy pomachasz jej przed oczami odznaką policyjną i pouczysz o przysługujących jej prawach.

## 10

Kiedy Gunnarstranda wrócił do samochodu i odjechał, Frank Frølich stał przez chwilę nieruchomo i patrzył przed siebie. Myślał o fizycznej bliskości w ciemne jesienne wieczory, kiedy światła reflektorów z trudem przedzierają się przez mgłę, kiedy obłoki pary drżą przez ułamek sekundy niczym kulista tęcza w świetle przypadkowej latarni. Myślał o dłoniach w dzierganych rękawiczkach, które go prowadzą.

Ocknął się z zamyślenia i wrócił do samochodu. Jechał tak długo, aż dotarł do osławionego zjazdu z autostrady tuż przed Askim. Wjechał na krętą, zwirową alejkę i zaczął się rozglądać za drogą dla traktorów, która prowadziła nad rzekę. Próbował wyobrazić sobie, gdzie zaparkowałby samochód na miejscu Faremo, ale w końcu zrezygnował i zatrzymał się tuż przed niewielką kępą drzew. Po prawej stronie drogi znajdowało się rozległe pole, na którym uschłe pędy zbóż wystawały spod szronu w równych rzędach. Pole kończyło się ciemnym wzgórzem, za którym płynęła rzeka. Wolnym krokiem ruszył w tamtym kierunku. Oszronione pędy chrzęściły pod butami. Doszedł do linii drzew i zatrzymał się przed jedną z brzoź. Drzewo obsypane było maleńkimi lodowymi igłami, a każda gałązka przypominała starannie zaprojektowaną dekorację. Spojrzał w dół i dotknął stopą krzaku malin. Igiełki oderwały się od gałązek z cichym szelestem. Lód pokrywający świerki sprawiał, że wzgórze wyglądało

jak matowa, jasnozielona kartka papieru. Nieco dalej suche źdźbła, martwe liście paproci i krzewinki borówki tworzyły takie same lodowe rzeźby. Każdy liść borówki otaczały małe kuliste kryształy lodu. Jakaś brzoza zaatakowana przez słońce musiała oddać swój lodowy strój. Pozostałości po nim leżały na ziemi podobne do granulek śniegu.

Szedł dalej przez polany jagodowe i skupiska mchów w stronę rzeki. Wkrótce usłyszał szmer wody. Dźwięk przybierał na sile, po chwili zamienił się w ogłuszające dudnienie. Wspiął się na wzgórze i spojrzał w dół na spienioną wodę. *To musi być ten wodospad, o którym mówił Gunnarstranda.* Woda w jarze, przypominająca zielonobrazową, a miejscami szarą materię, uderzała o skały z gwałtowną siłą, odbijała się od pionowych ścian i płynęła z hukiem dalej. Ciężkie masy wody przeżyły się jak grzbiet groźnego zwierzęcia, odślaniały gęste, kapryśne prądy wsteczne, które płynęły dalej, zagarniając leniwie kamienie i sterczące pnie drzew podtrzymywane przez przemokłe korzenie zamknięte w lodowych kapsułach. Franken zdał sobie sprawę, że w tym piekle człowiek nie miałby żadnych szans. Zakręciło mu się w głowie. Usiadł na wykrocie. Półka skalna, która chroniła przed masami wody będącymi w nieustannym ruchu, była pokryta lodem i wyglądała na niebezpiecznie śliską. Nie trzeba było mieć pecha, żeby się z niej ześliznąć. I tu pojawiało się pytanie: po co ktoś miałby spacerować po śliskim jak lodowisko brzegu rzeki w zimny listopadowy dzień?

Siedział na pniu i myślał, że gdzieś tam siedzi Elisabeth i, jeżeli nie jest czymś zajęta, to może myśli teraz o nim. Po raz nie wiadomo który sięgnął po telefon komórkowy i wybrał jej numer. Sygnał trafił w próżnię. Żadnego dźwięku dzwonka. Nic. *Ty żałosny palancie,*



pomyślał o sobie z pogardą. Zapadał zmrok. Frank Frølich wstał i ruszył w stronę samochodu.

## 11

Zbliżając się do centrum Oslo, Gunnarstranda jak zwykle wjechał na rozjazd ślimakowy Bispelokket, żeby przejechać przez most nad Grønland, a następnie skręcić w Maridalsveien, kierując się w stronę Tåsen. Kiedy na Hausmannsgate czekał na zielone światło, przy wejściu do Café Sara zauważył znajomą postać. Vidar Ballo przepuszczał w drzwiach młodą kobietę – ją również bez trudu rozpoznał. Była nią informatorka Merethe Sandmo.

Inspektor wjechał połową samochodu na chodnik i wyłączył silnik, nie spuszczać ich z oczu. Tymczasem Sandmo i Ballo przeszli Hausmannsgate i skierowali się w stronę mostu Ankerbrua. Szli blisko siebie, niespiesznie, sprawiając wrażenie wyjątkowo zgranej pary: aresztant z kobietą, która go zdradziła. *Wyglądają tak, jakby byli w sobie zakochani*, pomyślał Gunnarstranda, zastanawiając się, co to może oznaczać.

Wysiadł z auta i szybkim krokiem przeszedł przez most. Kiedy Sandmo i Ballo zorientowali się, że ktoś za nimi idzie, odwrócili się i przystanęli. Mężczyzna postawił na ziemi ogromną torbę podróżną, którą niósł przewieszoną przez ramię.

– Wybieramy się na wycieczkę? – spytał policjant, z trudem łapiąc powietrze.

– Czego chcesz? – Vidar Ballo nie krył rozdrażnienia.

Gunnarstranda przyjrzał się kobiecie. Była nieco wyższa od niego,

szczupła, niemal chuda i miała wyjątkowo piękne kasztanowobrzazowe włosy, które sięgały jej do połowy pleców. Zawsze się zastanawiał, jak to się dzieje, że tak mało atrakcyjne typy spod ciemnej gwiazdy jak Ballo mają takie wzięcie u płci pięknej. Merethe Sandmo była kobietą, która próbowała podkreślić swoją seksualność odpowiednio dobranym strojem, butami na wysokim obcasie i starannie wykonanym makijażem. *Prawdopodobnie po to, żeby odciągnąć uwagę od niepokoju, który czaił się w kącikach jej ust.* Kiedy ostatnio ze sobą rozmawiali, obiecał jej pełną anonimowość. Postanowił dotrzymać danego słowa.

– My się chyba nie znamy – powiedział, wyciągając rękę w stronę wystraszonej postaci. Patrzył jej prosto w oczy, dopóki nie zrozumiała, że ma dalej grać swoją rolę. Dopiero wtedy uściśniła jego dłoń.

– Merethe – przedstawiła się i dygnęła jak mała dziewczynka.

– Czego chcesz? – powtórzył Ballo gniewnym tonem.

– Usłyszeć, co robiłeś wczoraj wieczorem i poprzedniej nocy – odpowiedział Gunnarstranda, nie spuszczać wzroku z kobiety. – Merethe... i jak dalej? – spytał zachęcająco.

– Sandmo.

– W takim razie już wcześniej mieliśmy przyjemność się poznać.

Oczy Merethe Sandmo straciły blask.

Ballo wyczuł to natychmiast.

– To wy się znacie?

Policjant odwrócił się w jego stronę i zapytał: – Czyżbyś już zapomniał, że siedziałeś w areszcie?

– Jeszcze zajmujesz się tamtą sprawą?

– Dwudziestodwuletni student, który chciał podreperować swój

budżet, pracując jako stróż nocny w terminalu kontenerowym, został zamordowany. Wiele osób nie może się pogodzić z jego śmiercią, między innymi jego rodzice, siostra i dziewczyna. Ktoś roztrzaskał mu głowę kijem bejsbolowym. Coś mi mówi, że dużo wiesz na ten temat. Dlatego proponuję, żebyś zmienił nieco ton.

– Mam wrażenie, że to ty zapomniałeś, co się stało – odpowiedział Ballo opanowanym głosem. – Sędzia stwierdził, że się pomyliłeś.

Ballo chwycił kobietę za rękę i powiedział: – Idziemy?

– Słyszeliście już o tym? – rzucił niespodziewanie Gunnarstranda.

Ballo zastygł w bezruchu. Kobieta uwolniła swoją dłoń, przyglądając się z niepokojem obu mężczyznom.

– O czym mieliśmy słyszeć? – spytał z ociąganiem Ballo.

– Jonny’ego Faremo nie ma już wśród nas.

Merethe Sandmo zbladła. Musiała się przytrzymać ściany. Ballo wpatrywał się w Gunnarstrandę zamglonym wzrokiem. Cisza się przedłużała. Merethe Sandmo szukała po omacku czegoś, czego mogłaby się chwycić. W końcu zacisnęła palce na swoich długich włosach.

– Powiedziałem, że Jonny’ego...

– Słyszeliśmy, co powiedziałeś!

Gunnarstranda złapał Merethe Sandmo za rękę, ratując ją przed upadkiem.

– Proszę przyjąć moje kondolencje – powiedział i widząc, jak bardzo pobladła, dodał: – Może poszukamy jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby pani chwilę odpocząć?

Ballo spojrzał na niego z pogardą.

– Pewnie ci się wydaje, że jesteś wielki, bo pracujesz w pieprzonej policji – wymamrotał.

Gunnarstranda przeniósł wzrok na Ballo.

– Nie jesteś ciekawy, jak zginął? – spytał, skupiając całą swoją uwagę na mężczyźnie.

– Liczyłem na to, że wyświadczysz mi przysługę i sam to powiesz.

– Najpierw musimy załatwić parę formalności. Co robiłeś przedwczoraj w nocy?

– Był u mnie! – wtrąciła się do rozmowy Merethe Sandmo. Na twarzy Ballo nie drgnął żaden mięsień.

– Czyżbym się pomylił? – zaczął Gunnarstranda z wahaniem. – Obiło mi się o uszy, że pani i Jonny jesteście parą.

– To było dawno temu – wyjąkała.

– Które z was zakończyło ten związek? – spytał łagodnym tonem.

Merethe Sandmo wybuchnęła płaczem.

– To się, kurwa, nazywa mieć wyczucie – skomentował cicho Ballo.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – powiedział inspektor, po czym zwrócił się od Ballo: – Gdzie byłeś przedwczoraj w nocy?

– Słyszałeś, co powiedziała, byłem u niej.

– Kiedy?

– Wczoraj i przedwczoraj.

– O której się u niej zjawiłeś i o której opuściłeś jej mieszkanie?

– Merethe mieszka w Etterstad. Nie mam pojęcia, która była wtedy godzina. Nie patrzę na zegarek, kiedy przychodzę do ludzi z wizytą.

Gunnarstranda zerknął na kobietę, która skinieniem głowicy potwierdziła wersję Ballo.

– Pamięta pani, o której się zjawił?

– O czwartej nad ranem. Przyjechał po mnie do pracy, a potem

pojechaliśmy do mnie – wyjaśniła. Po chwili dodała: – To ja zerwałam z Jonnym.

– Gdzie pani pracuje?

Doskonale wiedział, gdzie pracuje Merethe Sandmo. Uznał jednak, że dobrze będzie zadać to pytanie, żeby dać jej jasno do zrozumienia, że nie zamierza zdradzić nikomu, kto przekazał policji informację w sprawie zabójstwa strażnika. Zrozumiała jego intencje. Spuściła wzrok, jakby peszyło ją odgrywanie tej małej komedii przed kochankiem.

– W Bliss – odpowiedziała.

– W restauracji Bliss?

Przytaknęła.

Inspektor rzucił okiem na Ballo.

– Dziwne, że o tym nie pamiętałeś.

– Ten świat jest dziwny.

– A więc twierdzisz, że podjechałeś pod Bliss? Własnym samochodem?

– Tak.

– A pamiętasz może, gdzie byłeś, zanim pojechałeś do Bliss po... Merethe? Dobrze zapamiętałem imię?

Kobieta skinęła głową, wyraźnie uspokojona.

– Byłem w domu. Oglądałem kilka filmów.

– Ktoś to może potwierdzić?

– Musiałbym się chwilę zastanowić.

– Ale na pewno nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy popytali wśród sąsiadów?

– Ja nie, ale oni może tak. Zdaje się, że policjanci już ich o mnie wypytywali, i to dość intensywnie.

Gunnarstranda się uśmiechnął.

– Jestem pewny, że z czasem do nas przywykną. A tobą zajmą się inni, nie ja.

– Diabelnie się z tego cieszę.

– Lepiej się jeszcze tak diabelnie nie ciesz – odpowiedział z pobłażaniem inspektor. – W każdym razie dopóki się nie upewnisz, że masz powody do radości.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Gwarantuję, że czeka cię jeszcze jedna rozprawa. Wciąż prowadzę śledztwo w sprawie o zabójstwo Arnfinna Hagi, na wypadek gdybyś o tym zapomniał. Śmierć twojego serdecznego kumpla Jonny'ego uważa się w najlepszym razie za niejasną; śledztwo w tej sprawie prowadzi policja w Follo, we współpracy z Kripos. Nie opędzisz się od nas, Ballo. Lata wokół ciebie rój małych diabelskich pośłańców. Lepiej zaczekaj, zanim wyślesz nam list z podziękowaniem.

Ballo wykonał ruch, jakby chciał odejść.

– Podobno chciałeś wiedzieć, jak zmarł Jonny?

Spojrzeni na niego niemal równocześnie.

– W takim razie zapraszam was jutro do siebie – powiedział Gunnarstranda. – Macie się stawić w budynku komendy o godzinie zero dziewięć zero zero w celu złożenia podpisu pod dzisiejszymi wyjaśnieniami. A potem porozmawiamy sobie o Jonnym.

– Chodź! – powiedział Vidar Ballo do kobiety i pociągnął ją za sobą.

Gunnarstranda patrzył za nimi. W końcu się odwrócił i wolnym krokiem ruszył w stronę samochodu.

Ledwo usiadł za kierownicą, kiedy zadzwonił telefon komórkowy.

To był Yttergjerde.

– Jonny Faremo miał przyjaciółkę, zgadza się? – spytał inspektor.

– Merethe Sandmo – odpowiedział Yttergjerde.

– Tak właśnie myślałem, ale chciałem się upewnić. Teraz Sandmo spotyka się z Ballo.

– Co takiego?

– Umarł król, niech żyje król – skwitował Gunnarstranda. – Po co dzwonisz?

– Mamy świadka.

– Świadka czego?

– Zabójstwa strażnika Arnfinna Hagi.



## 12

Siedział w fotelu, przyglądając się apatycznie pogrążonemu w chaosie mieszkaniu, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Podniósł się ociężale i powlókł do przedpokoju. Z energią, o jaką siebie nie podejrzewał, otworzył drzwi wejściowe.

Kogo spodziewał się zobaczyć? Elisabeth?

Osoba stojąca na wycieracze nawet w najmniejszym stopniu nie przypominała obiektu jego westchnień. Inspektor Gunnarstranda stał z rękami w kieszeniach płaszcza i obrzucał go spojrzeniem, które zwykle posyłał podejrzanym.

– Nigdy wcześniej tu nie byłeś – powiedział Franken i poczuł się jak idiota.

Gunnarstranda potrząsnął głową.

– A przecież pracujemy razem od ponad dziesięciu lat.

– Dokończymy rozmowę w środku czy mam ci postawić piwo na mieście?

– Wejdz.

Czuł się niezręcznie, chociaż sam nie wiedział dlaczego. Kopnął na bok parę zniszczonych butów i zaczął sprzątać ze stołu.

– Mnie tam bałagan nie przeszkadza – powiedział inspektor. – Naprawdę. I nic nie musisz mi stawiać.

– Mam tylko piwo.

– Może być.

Franken pospieszył do kuchni. Cholera jasna! Żadnych czystych szklanek. Wyjął ze zlewu dwa kieliszki i umył je pod bieżącą wodą.

– Co cię sprowadza? – zawołał przez drzwi do salonu.

– Po pierwsze, jest już po godzinach.

Franken wniósł do pokoju dwie butelki i dwa kieliszki do wody.

– A po drugie, muszę pracować z ludźmi, z którymi nie da się pogadać.

Gunnarstranda sprzątnął ze stołu, wyciągnął mapę i rozłożył ją. Glomma przypominała niebieską nitkę.

– Byłem na kilku spotkaniach, między innymi w Kripos, i pomyślałem sobie, że pogadam o tym z tobą, oczywiście nieoficjalnie.

Franken, który rozlewał piwo do szklanek, podniósł wzrok.

– Może dzięki temu przestaniesz robić głupoty.

– Miło, że o mnie pomyślałeś.

Riposta i ton głosu zostały całkowicie zignorowane.

– Tutaj znaleziono ciało Faremo, w Vammasjøen. – Niebieska kreska na mapie przybrała postać pęcherza. Jezioro znajdujące się za tamą otrzymało nazwę Vammasjøen. Gunnarstranda przesunął palec i wskazał na mały kwadrat obok rzeki. – To gospodarstwo nosi nazwę Oraug – wyjaśnił. Następnie jego palec wskazujący zatrzymał się na sąsiednim kwadracie. – A to nazywa się Skjolden. Kripos dysponuje zeznaniami, z których wynika, że tuż obok tego gospodarstwa zatrzymał się jakiś samochód. Na zwirowej drodze. Dwie osoby, z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że te same, które siedziały w samochodzie, ruszyły w dół rzeki drogą dla traktorów. – Inspektor powiódł palcem wzdłuż czerwonej linii. – Chodzi o tę drogę. Szli w kierunku rzeki i nic nie wskazywało na to, żeby się

kłócili. Było popołudnie, słońce znajdowało się nisko nad horyzontem, świadek zeznał, że wyszedł na spacer fotografować przyrodę. No wiesz, było popołudnie, dobre warunki do fotografowania, jesień, czerwone liście klonu, żółto-brązowe liście brzozy, sam rozumiesz. Facet twierdzi, że powietrze było niemal pomarańczowe, idealne do robienia zdjęć, a to oznacza, że słońce znajdowało się bardzo nisko, można przypuszczać, że była trzecia, góra w pół do czwartej. Ja też pamiętam ten dzień. Niebo było surowe, pojedyncze cirrostratusy przysłoniły zachód słońca.

– Jakiej płci były te dwie osoby?

Gunnarstranda pokiwał głową.

– Nie mamy co do tego pewności, ale przypuszczalnie chodzi o dwóch mężczyzn.

– Nie zrobił im zdjęcia?

– Nie. Ale jego zdaniem nie przypominali zwykłych spacerowiczów.

– Co ma na myśli?

– Nie mam pojęcia. Twierdzi, że wyglądali na m i e s z c z u c h ó w.

– I Jonny Faremo był jednym z nich?

– Niewykluczone, że to był on. Jedna z osób, które widział świadek, miała na głowie czarną bejsbolówkę. Faremo zjawił się w sądzie w takiej samej czapce.

– I miał ją na sobie, kiedy nieco później spotkałem go na parkingu.

– I jest to nasz jedyny punkt zaczepienia. Droga dla traktorów prowadzi nad rzekę, między Kykkelsrud a elektrownią Vamma. Czas też mniej więcej się zgadza. Z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że to był ostatni raz, kiedy ktoś widział Jonny'ego Faremo

żywego, oczywiście poza sprawcą.

– Kiedy to było?

– Tego samego dnia, w którym Faremo został zwolniony z aresztu.

– Dwie osoby na spacerze, żadnej kłótni, żadnych rękoczynów?

– Zgadza się.

– Czy ktoś widział odjeżdżający samochód?

– Jak dotąd nikt.

– A co z samochodem?

– Zniknął.

– Po co ktoś miałby jechać na spacer nad rzekę, na takie wywiejewo, w mroźne listopadowe popołudnie?

– A po co zwykle Norwegowie chodzą na spacer?

– Żeby się trochę poruszać, zgubić parę kilogramów...

– Jest jeszcze jeden powód, którego nie wzięłaś pod uwagę.

– Jaki?

– Kiedy żyła moja żona, wychodziliśmy na spacer, żeby coś sobie wyjaśnić.

– Myślisz, że chcieli oczyścić atmosferę? Rozmowa w cztery oczy, która zakończyła się kłótnią i...

– To jedna z wielu hipotez.

– Z kim Faremo mógł chcieć rozmawiać w cztery oczy, jeśli nie z kobietą, Merethe Sandmo?

– Z Vidarem Ballo. To przecież on sypia teraz z Merethe. Ale jest coś, co przemawia na korzyść Ballo.

– Co takiego?

– Ci trzej, Faremo, Rognstad i Ballo, byli najlepszymi przyjaciółmi i lojalnymi kumplami. Często razem pracowali i bez kłótni dzielili się łupem. Po prostu trudno mi sobie wyobrazić, żeby Jim Rognstad albo

Vidar Ballo mieli jakikolwiek motyw, żeby zabić Faremo. Jedyne, co wiemy, to to, że Merethe Sandmo prawdopodobnie zrezygnowała z usług Jonny'ego i przeniosła się do sypialni kolegi Vidara.

– Prawdopodobnie?

– Na to wygląda, ale pewności nie mamy. A poza tym ci kolesie już wcześniej wymieniali się partnerkami i nikt się nie awanturował. A to oznacza, że cipa Merethe Sandmo niekoniecznie musi być motywem.

– Czy to pewne, że Merethe i Vidar są parą?

– Nawet jeśli nie są, to takie sprawiają wrażenie.

Gunnarstranda wypił łyk piwa.

– Z drugiej strony... To właśnie Merethe Sandmo dała nam cynk w sprawie zabójstwa na Loenga, no nie? Statystycznie rzecz biorąc, można stwierdzić, że zabójstwa Jonny'ego Faremo dokonał prawdopodobnie ktoś, kto był mu bliski. A kogo tu mamy? Laszę, która rzuca kochanka dla jego kolegi. Potem panienska dzwoni na policję, a koniec jest taki, że zdradzony kochanek ginie.

– Na pewno coś w tym jest – powiedział Gunnarstranda i odstawił kieliszek.

– W każdym razie ta wersja jest bardziej prawdopodobna od tej, że doszło do nieszczęśliwego wypadku.

Inspektor potrząsnął głową.

– Mamy do czynienia z grupą działającą pod ogromną presją. Wiele wskazuje na to, że wszystko im się posypało. Tak czy inaczej jedna z zagadek brzmi: dlaczego Merethe Sandmo sypnęła?

Przyglądali się sobie w milczeniu.

Gunnarstranda wyjął paczkę tytoniu i maszynkę do skręcania papierosów.

– Vidar Ballo i Merethe Sandmo się ulotnili.

– Skąd wiesz?

Inspektor strząsnął zbędny tytoń z gotowego skręta.

– Wysłałem ludzi, żeby ich doprowadzili. Tak się składa, że wczoraj spotkałem na mieście Sandmo i Ballo i kazałem im się zgłosić dzisiaj na komendę, mieli złożyć wyjaśnienia. Nie pojawili się.

– Myślisz, że sprawa jest aż tak banalna? Faremo, sam, przeciwko duetowi kumpel plus była laska?

– Możliwe.

– Historia ludzkości zna mnóstwo podobnych przypadków. Francuzi mówią w takich sytuacjach: *cherchez la femme...*

Na twarzy Gunnarstrandy pojawił się grymas zwątpienia.

– Prędzej uwierzyłbym w tę hipotezę, gdybym wiedział o jakimś dodatkowym konflikcie między Ballo a Faremo. Długi język Merethe Sandmo sprawił, że obaj wpadli po uszy i dlatego nie rozumiem, jak miałyby jej się udać skłócić ich ze sobą. Jakim cudem nastawiła jednego przeciw drugiemu?

– Chyba że jest obiektem pożądania ich obu i to o nią toczy się gra. I to jest ten dodatkowy konflikt.

Gunnarstranda siedział przez chwilę w zamyśleniu.

– Ty też miałeś w tym swój udział – odezwał się w końcu. – Na pewno będą cię pytać, czy to nie ty spacerowałeś z Faremo brzegiem Glommy.

– To nie byłem ja.

Spojrzeli sobie prosto w oczy.

– Będą cię pytać, co robiłeś tamtego popołudnia. A przecież sam przyznałeś, że kilka godzin wcześniej siedziałeś Faremo na ogonie.

– Ale kiedy to się stało, byłem w Blindern i szukałem Reidun

Vestli.

– Lystad przedstawił twoją wersję chłopakom z Kripos, ale zaznaczył, że nie ma jasności co do tego, która była wtedy godzina. Możliwe, że byłeś w Askim za dnia, a kiedy zrobiło się ciemno, pojechałeś na złamanie karku do Blindern, żeby zapewnić sobie alibi.

Frølich westchnął ciężko.

– Przecież to idiotyczne.

Gunnarstranda zapalił papierosa.

– Masz popielniczkę?

Franken skinął głową na pustą miskę po orzeszkach.

– Użyj tego.

Wyprostował plecy i ponownie przyjrzał się mapie. Po chwili odchrząknął i zapytał: – Jaki samochód stał zaparkowany przy Skjoldenveien?

– Nie znamy dokładnej marki. Lystad twierdzi, że to był sedan, srebrnoszary, to może być wszystko: od saaba począwszy, na jakimkolwiek japońcu skończywszy. Ale wiemy, że Faremo jeździł srebrnoszarym saabem.

– Ja też mam sedana, srebrnoszarą toyotę avensis.

– No właśnie – odpowiedział lakonicznie Gunnarstranda. – A kiedy byliśmy razem w elektrowni Kykkelsrud, przez cały czas opowiadałeś o tej drodze – dodał, stukając palcem wskazującym w określone miejsce na mapie.

– I oczywiście musiałeś powiedzieć o tym Lystadowi?

– Oczywiście.

Frølich uśmiechnął się krzywo i powiedział:

– Ten wodospad jest wyjątkowy. W pewnym miejscu z rzeki wystaje cypel, skrawek lądu, i woda musi go ominąć, przeciskając się

przez bardzo wąski przesmyk.

– Wygląda na to, że dobrze znasz tamtą okolicę.

– Pojechałem tam po naszej rozmowie na tamie.

– Okej.

– Po co tak naprawdę tu przyszedłeś? – spytał nagle Franken.

Gunnarstranda spojrzał na niego, wykrzywiając wargi w uśmiechu. Po chwili powiedział: – Pojawił się nowy świadek w sprawie zabójstwa strażnika na Loenga.

Frølich uniósł brwi ze zdziwienia.

– Nie zgłosił się dobrowolnie. To jeden z tych włóczęgów z Plata. Zgarnęliśmy go, ponieważ dwóch tajniaków słyszało pogłoski o tym, że facet wie coś na temat zabójstwa na Loenga – ciągnął inspektor. – Mężczyzna nazywa się Steinar Astrup. Tamtej nocy spał w kartonowym pudle, a mimo to ma do opowiedzenia wiele ciekawych rzeczy. Twierdzi na przykład, że się obudził, ponieważ ktoś włamał się do sąsiedniego kontenera. A dokładniej było to trzech mężczyzn.

– Brzmi obiecująco. Rozpoznał któregoś na zdjęciach?

– Wszyscy mieli na sobie kominiarki. Na zewnątrz, to znaczy przed ogrodzeniem, stał samochód bmw kombi. Złodzieje wepchnęli łupy do czarnych plastikowych worków, podbiegli do ogrodzenia i przerzucili worki przez siatkę. A teraz słuchaj uważnie: świadek twierdzi, że w samochodzie siedziała za kierownicą czwarta osoba. Ten ktoś wysiadł z auta i wrzucił worki do bagażnika. Potem zrobił tak jeszcze raz, co oznacza, że koleśom dwa razy udało się napełnić worki fantami. Nagle ci trzej, którzy obrabiali kontener, ukryli się za paletą. Schowali się, ponieważ strażnik, Arnfinn Haga, nadjechał swoim małym fordem. Kiedy mijał zaparkowane kombi, wyraźnie



zwolnić, chociaż bmw znajdowało się po drugiej stronie ogrodzenia. Po chwili ford się zatrzymał i zaczął cofać, aż się zrównał z bmw. Wtedy strażnik wysiadł z auta, podszedł do siatki i zaświecił latarką w oczy temu, kto siedział za kierownicą bmw. I wtedy stała się rzecz jeszcze dziwniejsza... – Gunnarstranda zawiesił głos dla wzmocnienia efektu. – Kierowca bmw wysiadł z samochodu... z rękami nad głową.

– Z rękami nad głową? Przecież ci ochroniarze nie są uzbrojeni! A poza tym auto stało po drugiej stronie ogrodzenia, więc kierowca zawsze mógł powiedzieć, że tylko tamtędy przejeżdżał.

– Jeszcze nie skończyłem, ale masz rację. Nasz świadek zeznał, że ochroniarz spytał kierowcę, po co się zatrzymał. I wtedy rozległ się trzask.

– Trzask?

– Tak. Jeden z zamaskowanych złodziei podbiegł do nich i uderzył strażnika kijem bejsbolowym.

– I co było dalej?

– Ten kij bejsbolowy jest ważny, bo to dowodzi, że świadek mówi prawdę. Nikt nie wie o tym, że narzędziem zbrodni był kij bejsbolowy, nikt oprócz kilku zaufanych ludzi.

– Ale świadek wspomina o czterech osobach, co może oznaczać, że idziemy złym tropem.

Gunnarstranda potrząsnął głową.

– A potem złodzieje sforsowali ogrodzenie, wskoczyli do bmw i odjechali z piskiem opon.

– Cztery osoby?

W pokoju zapadła cisza. Nagle Frølich usłyszał tykanie zegarka. Po chwili się zorientował, że to swatch inspektora. Odchrząknął i zapytał: – I co z tego wynika?

– Nie jestem pewny – odpowiedział cicho Gunnarstranda. – Albo było ich czterech: Faremo, Rognstad i Ballo plus nieznany nam czwarty współnik, albo za kradzież z włamaniem i zabójstwo odpowiedzialna jest inna szajka, a Faremo, Ballo i Rognstad to fałszywy trop.

– A może ci trzej po prostu potrzebowali kierowcy? Czwartego do pomocy?

– Żeby obrobić jeden kontener? Nic nie wskazuje na to, żeby musieli rekrutować czwartego współnika właśnie do tej roboty. A poza tym ci trzej są znani z tego, że trzymają się razem i nie pracują z obcymi.

– Kiedy zostali zatrzymani?

– Ballo i Faremo zgarnęliśmy z mieszkania należącego do niego i siostry przed piątą nad ranem, a Rognstada sprzed klubu przy Hells Angels na Alnabru. Zatrzymani zgodnie zeznali, że wszyscy trzej grali w pokera w mieszkaniu Jonny’ego i Elisabeth Faremo, w obecności Elisabeth Faremo, od godziny drugiej nad ranem do chwili zatrzymania. I właśnie ten fakt zaważył na tym, że sędzia dał wiarę jej słowom: to, że Elisabeth Faremo znajdowała się w mieszkaniu w momencie przybycia policji.

– A co z Rognstadem?

– Zeznał, że opuścił mieszkanie Faremo i pojechał na swoim motorze do Alnabru, gdzie niecałe dziesięć minut później został zatrzymany. Mamy świadków, którzy potwierdzili jego wersję.

– Nikt nie widział, jak wracali w nocy z akcji?

Gunnarstranda potrząsnął głową.

– A co z samochodem, z tym bmw?

– Dzień później policja odnalazła kradzione bmw, którym sprawcy

mogli się posłużyć na Loenga. Samochód został porzucony w Sæther, ktoś próbował go podpalić.

– Myślisz, że to oni?

– Jedyne, co łączy tych trzech z zabójstwem na Loenga, to informacja uzyskana od Merethe Sandmo. Ale jeśli Sandmo i Ballo są kochankami, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że Sandmo wycofa zeznania, a wtedy zostaniemy z niczym.

– Ale jak sądzisz, czy to oni zabili strażnika?

Inspektor wstał.

– Chwilowo nic nie sądzę – odpowiedział i podszedł do drzwi. – Teraz głowię się nad inną zagadką... – wymamrotał.

– Nad jaką?

– Jeśli do kontenera rzeczywiście włamały się cztery osoby, to dlaczego Merethe Sandmo podała nam tylko trzy nazwiska?

Frølich wzruszył ramionami.

– Zgodzisz się ze mną, że to trochę dziwne?

– Owszem.

– Istnieją trzy możliwe wytłumaczenia: albo Sandmo nie wiedziała o czwartej osobie, albo ją kryje, albo sobie z nas zakpiła.

– A może to Astrup ściemnia? Może naprawdę było ich tylko trzech?

– Raczej w to wątpię. Jego wersja jest spójna i logiczna, przebieg wydarzeń i okoliczności zabójstwa wydają się prawdopodobne, a poza tym jego wersję potwierdzają ślady opon zabezpieczone po zewnętrznej stronie ogrodzenia.

– To znaczy, że było ich czterech.

Gunnarstranda przytaknął.

– Jeśli uda ci się ją odnaleźć, mam na myśli Elisabeth Faremo,

postaraj się wydobyć z niej jakieś pasujące nazwisko.

– Czyje?

– Czwartego napastnika.

## 13

Inspektor Gunnarstranda wyjechał z Drammensveien i skręcił przy Lysaker. Wybierał się do Reidun Vestli i był z tego powodu bardzo niezadowolony. Pytał sam siebie, dlaczego to robi. Czy chciał wyświadczyć przysługę Frølichowi? Nie. Problem polegał na tym, że chociaż Franken niewątpliwie miał policyjnego nosa, przesłuchania Reidun Vestli nie można było podciągnąć pod aktualnie prowadzone śledztwo.

Z tego powodu Gunnarstranda postanowił, że swoją wizytę umotywuje koniecznością potwierdzenia wiarygodności Elisabeth Faremo. Reidun Vestli mogła dostarczyć informacji, które pozwoliłyby obiektywniej ocenić głównego świadka obrony. Zaparkował wzdłuż pomalowanego na czerwono parkanu i wolnym krokiem ruszył ścieżką w stronę domu. Było zimno. Słońce drżało, niemal bezbarwne i zimne, między dwoma oszronionymi dachami. Zatrzymał się przed brązowymi drzwiami z drewna tekowego z kołatką w kształcie głowy lwa. Przez kilka sekund stał zamyślony, w końcu zadzwonił do drzwi, ale nie wywołał tym nawet najmniejszej reakcji. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk. Chwycił ruchomą obręcz znajdującą się w paszczy lwa i wtedy odkrył, że drzwi wejściowe nie są zamknięte na klucz, a nawet że są lekko uchylone. Zaczął nasłuchiwać. Po chwili rozległ się cichy trzask, jakby coś upadło na podłogę. Rozejrzał się dookoła. Wokół niego lśniły martwe

szyby okien. Lekki wiatr sprawiał, że drzwi stukały o futrynę, a końcówka zamka brzęczała cicho. Zapukał ponownie. W odpowiedzi usłyszał ten sam głuchy dźwięk.

Po chwili wahania uchylił drzwi i zawołał w głąb mieszkania: – Halo!

Potem jednak zamilkł. Na podłodze leżało kilka pomidorów. Stał nieruchomo i przyglądał im się zaskoczony. Przed pomidorami leżała kiść winogron w przezroczystym plastikowym opakowaniu. Na progu kolejnego pomieszczenia dostrzegł rozdeptanego banana, a przed nim rozbitą butelkę w ogromnej kałuży wina, częściowo ukrytą w reklamówce.

Czy powinien wejść do środka?

– Psze pana...

Gunnarstranda się odwrócił. Jakiś zasmarkany dzieciak w kombinezonie stał za jego plecami i przyglądał mu się z ciekawością.

– Szuka pan tej pani?

– Tak, tej, która tu mieszka.

– Zabrała ją karetka.

\*

Frank Frølich zjeżdżał właśnie Ryenbergbakkene w stronę centrum, kiedy zadzwonił Gunnarstranda.

– Nie powinienem się z tobą kontaktować w ten sposób, ponieważ może to zostać niewłaściwie odczytane – powiedział inspektor.

– Nie wiedziałem, że jesteś taki zasadniczy – odpowiedział Frølich, rozglądając się za miejscem, gdzie mógłby się zatrzymać.

– Moja praca polega na trzymaniu się zasad. Co byłby ze mnie za glina, gdybym nie był czujny i sceptyczny wobec tak zwanej

moralności ogółu? Nasza praca, Frølich, opiera się na tej samej zasadzie, zgodnie z którą funkcjonują fotoradary: nawet jeśli nie widzimy, że obywatele łamią prawo, to i tak ich o to podejrzewamy.

Franken zauważył, że jego szef jest wyjątkowo rozmowny. Zjechał do pierwszej zatoczki autobusowej i zatrzymał się, żeby móc spokojnie porozmawiać. Domyślił się, że dziwaczna uwaga dotycząca fotoradarów jest jedynie nudnawym wstępem do prawdziwej rozmowy, i dlatego rzucił od niechcienia: – Nie zgadzam się. Podejrzewanie ludzi o przestępstwa, których nie popełnili, jest nieetyczne. Fotoradary to zupełnie inna sprawa. Jakkolwiek by było, zapobiegają wypadkom drogowym.

– Brawo, Frølich! Przejrzałeś retorykę prawną państwa: ustawianie fotoradarów wzdłuż drogi ma charakter prewencyjny. Dopóki robi się to pod płaszczykiem działań prewencyjnych, to kwestia, czy zdjęcie zostanie wykorzystane jako dowód w ewentualnym procesie, nie gra żadnej roli. Ty, ja i reszta urzędników państwowych otrzymujemy pensje za to, że poddajemy w wątpliwość moralność obywateli. Ale nie po to do ciebie dzwonię.

– Zdążyłem się domyślić.

– Zastanawiam się, dlaczego chciałeś, żebym się skontaktował z Reidun Vestli.

– Przecież już ci mówiłem.

– Ale ja tego nie kupuję.

– Lepiej powiedz, co się stało – powiedział zmęczonym głosem Frølich.

– Nie wiadomo, czy się z tego wykaraska.

\*

Kilka godzin później znalazł wolne miejsce parkingowe na

Skovveien. Przebiegł aleję Bygdøy i skierował się w stronę kompleksu budynków należących do Norsk Hydro. Jako mały chłopiec odwiedzał tutaj swojego wujka, który pracował w dziale zakupów.

Strażnicy w recepcji byli wyraźnie znudzeni. Dla zabicia czasu udawali, że się biją. Przestali dopiero wtedy, gdy Franken zastukał w plastikową szybę i zapytał o Langåsa. Starszy z ochroniarzy wziął do ręki słuchawkę i zaczął dzwonić, a młodszy ukrył się za gazetą. Jego kolega zakrył dłonią słuchawkę i spytał, kogo ma zaanonsować. Frank Frølich się przedstawił. Starszy ochroniarz ponownie zasłonił ręką słuchawkę.

– Pan Langås mówi, że pana nie zna.

– Proszę mu powiedzieć, że chcę się z nim spotkać, teraz, i że wolałbym przedyskutować pewne tematy z nim niż z panem.

Chwilę później zapaliło się zielone światło. Frølich minął bramkę i ruszył w stronę windy. Kiedy otworzyły się drzwi do kabiny, wpadł wprost na mężczyznę po pięćdziesiątce. Facet miał długie siwe włosy związane w koński ogon, z przedziałkiem na środku głowy, krótko przystrzyżoną brodę i krzywy uśmiech, który robił czarujące wrażenie za sprawą rzucającej się w oczy korony w górnej szczęce. Image hipisa łączył z garniturem z najwyższej półki. Franken, który zdawał sobie sprawę z tego, że trudno mu będzie zachować obiektywizm, z miejsca poczuł do niego niechęć.

– To pan chciał ze mną rozmawiać?

Frølich się przedstawił.

– A o co chodzi? Bo mam napięty grafik i nie mogę poświęcić panu zbyt wiele czasu.

– Chodzi o pana byłą żonę Reidun Vestli.

– A kim pan jest?



– Jestem policjantem, na urlopie.

Przez kilka sekund przyglądali się sobie w milczeniu.

– *All right* – odezwał się w końcu Langås. – Poszukam jakiejś wolnej sali.

Szli korytarzem jeden za drugim. Minęli drzwi do gabinetów, pokój z kserokopiarką mrugającą przyciskami, oszklony boks, w którym jakiś mężczyzna i kobieta rozmawiali ze sobą, bawiąc się kubkami jednorazowymi.

W końcu Langås wprowadził go do małej sali konferencyjnej. Usiedli po przeciwnych stronach stołu, na którym dogorywała dawno zapomniana roślina doniczkowa.

Frank Frølich przeszedł od razu do rzeczy.

– Pańska była żona leży w szpitalu.

– Wiem o tym.

– Została napadnięta we własnym domu.

– To również wiem.

– Mam podstawy przypuszczać, że napad ma związek ze sprawą, nad którą obecnie pracuję.

– Będąc na urlopie?

Frølich nie odpowiedział. Przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie uważnie. Langås przekrzywił głowę. Taksował go wzrokiem, ale jego spojrzenie było pozbawione ironii.

W końcu Franken się namyślił i powiedział: – Sprawą napadu zajmują się inni. Ale mam podstawy przypuszczać, że...

– Szczerze mówiąc, nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie – przerwał mu Langås. – Policjant, który telefonicznie zawiadomił mnie o tym, że Reidun leży w szpitalu, sugerował, że to było włamanie. Mogę powtórzyć panu to, co powiedziałem pańskiemu koledze:

rozwiódłem się z Reidun wiele lat temu. Wiem o jej codziennym życiu równie mało, co o żonie przewodniczącego związków zawodowych.

– Ale ona wskazała pana jako swojego najbliższego krewnego.

– Słowo *k r e w n y* jest w tym przypadku pojęciem czysto technicznym. Poza tym nie prosiłem jej o ten zaszczyt. To był jej wybór, który szanuję, ale którego powodów nie rozumiem.

– A więc od czasu do czasu rozmawia pan z byłą żoną?

– Od czasu do czasu to za dużo powiedziane. Proszę posłuchać, Reidun i ja...

– Czy kiedykolwiek wspominała panu o Elisabeth Faremo? – przerwał mu Frølich.

– Nie przypominam sobie. Zresztą proszę mnie posłuchać, nie życzę sobie, żeby wciągał mnie pan do swoich prywatnych spraw, a już szczególnie nie w kontekście mojej byłej żony.

– Widział pan tę kobietę?

Franken położył na stole zdjęcie Elisabeth Faremo i popchnął je w stronę Langåsa.

Mężczyzna zerknął w milczeniu na fotografię, przekrzywiając głowę.

– Pańskie milczenie odczytuję jako znak, że już ją pan kiedyś widział.

Tamten przytaknął.

– Gdzie i kiedy?

– W Wielkanoc. Była z Reidun w domku letniskowym.

– Gdzie leży ten domek?

– W Valdres, w gminie Vestre Slidre.

Frølich milczał w nadziei, że pozna więcej szczegółów. Tymczasem Langås przechylił się do przodu i zapytał: – To pańska

dziewczyna? Rzuciła pana dla Reidun? Jest pan o nią zazdrosny? Skąd mam wiedzieć, czy to nie pan napadł na Reidun w jej mieszkaniu?

– To nie byłem ja. Ale przyznaję, bywałem zazdrosny o pańską ekszono, ponieważ miała romans z Elisabeth w tym samym czasie co ja. Ale nie po to tu przyszedłem. Po prostu się martwię o tę kobietę. Mam powody przypuszczać, że wpadła w poważne tarapaty i że właśnie z tego powodu się ukrywa. Sądzę również, że z tego samego powodu pańska była żona trafiła do szpitala.

Langås przekręcił nadgarstek i zerknął ostentacyjnie na zegarek w stylu macho: coś między klasycznym zegarkiem dla pletwonurków i gadżetem promującym najnowszy film z Jamesem Bondem.

Franken wskazał na fotografię.

– Spotkałem się z panem, ponieważ chcę odnaleźć tę kobietę, Elisabeth Faremo, i pomóc jej się wydobyć z tarapatów. Próbowałem rozmawiać z pańską byłą żoną. Moi koledzy również próbowali, ale ona konsekwentnie odmawia odpowiedzi na pytania. A to oznacza, że pańska ekszona wpadła w niezłe bagno. Proszę pana jedynie o to, żeby...

– Muszę już iść – wszedł mu w słowo Langås. – Nie obchodzi mnie, w jakie bagno wpadła Reidun. Jestem szczęśliwie żonaty. Jeśli mam być z panem szczery, jednym z powodów, dla których swego czasu rozwiódłem się z Reidun, były jej skłonności homoseksualne. Zbyt szybko się pobraliśmy, a z czasem oddaliliśmy się od siebie zarówno intelektualnie, jak i... cóż... pod innymi względami również. Rezultat jest taki, że nie mam z Reidun wiele wspólnego. Nie mamy nawet wspólnych dzieci. Kiedy przeprowadzaliśmy podział majątku, dzieliły nas lata świetlne. Jedną z rzeczy, o które się wtedy kłóciliśmy, był

wspomniany przeze mnie domek letniskowy. Należał do mojej rodziny od dwóch pokoleń. Wybudował go mój dziadek. Jednak podczas podziału majątku Reidun zawłaszczyła go sobie dzięki swoim matactwom. Miałem wtedy straszego doła i nie potrafiłem temu zapobiec. Z sentymentalnych pobudek kupiłem sobie później domek położony niedaleko tego, który mi podstępem odebrano. To właśnie tam najczęściej ją widuję. Zdarza się, że w czasie ferii wielkanocnych wpadamy na siebie na trasach narciarskich – powiedział, stukając palcem wskazującym w zdjęcie przedstawiające Elisabeth Faremo. – I właśnie podczas jednej z takich wypraw spotkałem tę kobietę. Szusowały po stoku tuż obok mnie, więc z czystej grzeczności zamieniłem z nimi parę zdań. Rozmawialiśmy trzy, może pięć minut. W każdym razie na tyle krótko, że nie spytałem, jak ma na imię. Domyśliłem się, że ma problemy, ponieważ była młoda, prawie dwa razy młodsza od Reidun. To wszystko, co wiem na jej temat. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Wybacz pan, ale naprawdę muszę już iść.

Wstał, odpiął bransoletę zegarka dla komandosów, po czym ponownie ją zapiął. Przypominał nauczyciela gimnazjum brzęczącego pękiem kluczy.

– Dziękuję – powiedział Frølich. W końcu zrozumiał, dlaczego Langås bawił się zegarkiem. Chciał uniknąć podania mu ręki.

## 14

Siedziała na krześle przy oknie. Obserwowała korytarz. Jej plecy w białym szlafroku wydały mu się wąskie i samotne. Brązowe włosy były idealnie wyszczotkowane. Gunnarstranda dostrzegł w oknie swoje własne odbicie i kontury jej twarzy.

Stał tak przez chwilę, nic nie mówiąc.

– Wiem, kim pan jest – powiedziała. Jej głos był niski, skupiony.

Uchwycił w szybie jej spojrzenie.

– Mogę coś pani zaproponować? – spytał i zaraz dodał: – Oczywiście o ile jest pani w stanie zejść ze mną do kawiarni.

Odwróciła się w jego stronę.

– Sądzi pan, że z taką twarzą pasuję do kawiarni?

Nie odpowiedział.

– Czego pan chce?

Musiała mówić kącikiem ust. Skóra wokół oczu była sinoczerwona od wybroczyń.

– Chciałem sprawdzić, jak się pani czuje, bo widok był raczej straszny, to znaczy w pani mieszkaniu – dodał pośpiesznie. – Pamięta pani, co się wydarzyło? Cokolwiek?

– Pamiętam karetkę. Jak przez mgłę.

– Umiałaby pani określić w przybliżeniu, ile czasu minęło od przybycia karetki do...

– Nie.

Kiedy wstawiała z krzesła, mimowolnie ruszył jej z pomocą. Chciał ją podtrzymać, ale odrzuciła jego pomoc i poczłapała w stronę jednej z kilku niskich ław stojących pod ścianą. Gunnarstranda zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu.

– Nie jest tak źle, jak wygląda.

– Widziała go pani?

Pytanie zbiło ją z tropu. Spuściła wzrok.

Czekał.

– Kogo? – spytała po dłuższej chwili.

– Nie zamierzam na panią naciskać ani wymuszać odpowiedzi. Zamiast tego wyjaśnię, jak tłumaczę sobie pani milczenie i wahanie. Albo widziała pani napastnika i boi się, że opisując jego wygląd, narazi się pani na jego zemstę, albo widziała go pani, ale nie chce, żeby poniósł karę.

Milczała.

Pielęgniarka w białym kitlu stanęła w drzwiach. Po chwili weszła do sali i spytała, czy wszystko jest w porządku.

Gunnarstranda skinął na Reidun Vestli.

– Chyba ją powinna pani zapytać.

Reidun Vestli zerknęła na pielęgniarkę nieobecny wzrokiem.

– Tak, tak, wszystko w porządku, ale czy mogłabym dostać coś do picia?

Siedzieli w milczeniu i patrzyli, jak pielęgniarka podchodzi do szafy stojącej w rogu sali, wyciąga butelkę z jakimś napojem orzeźwiającym, przez dłuższą chwilę płucze szklankę w zimnej wodzie, po czym lekkim krokiem zbliża się do Reidun Vestli i podaje jej szklankę ze słomką. Nie odzywając się do siebie ani słowem, odprowadzili siostrę wzrokiem do wyjścia.

– Jak się dostał do środka?

– A jak pan myśli? Przez drzwi.

– Zadzwoił do drzwi?

Milczała.

– A może czekał na panią, kiedy wracała pani z zakupów?

Wciąż uparcie milczała.

– Chce pani zgłosić popełnienie przestępstwa?

Wolno potrząsnęła głową.

– Dlaczego nie?

Żadnej reakcji.

– Kto panią pobił? – spytał z naciskiem, przechylając się do przodu.

Reidun Vestli nie odpowiedziała.

– Może pani opisać napastnika?

Odstawiła szklankę i dnem naczynia zaczęła kreślić kółka na blacie stolika. Cisza dzwoniła w uszach. Wskazówka minutowa ogromnego zegara wiszącego na ścianie przesuwiała się, wydając głucho dźwięki.

– Mam wrażenie – odezwał się w końcu Gunnarstranda – że ten, kto panią pobił, jest wyjątkowo zdesperowany. Jeśli nie chce pani zdradzić, kim jest ta osoba, ani podać jej rysopisu, proszę przynajmniej powiedzieć, czego ten ktoś chciał poza wyrządzeniem pani krzywdy. Wydaje mi się, że schwywanie tego mężczyzny ma istotne znaczenie dla nas i dla pani, nie mówiąc już o Elisabeth Faremo.

Na dźwięk nazwiska przyjaciółki Frølicha w głowie Reidun Vestli zapaliła się czerwona lampka. Wolno podniosła wzrok, wpatrując się w jakiś punkt w oddali.

– Proszę stąd wyjść – powiedziała.

Gunnarstranda pokazał jej zdjęcie Vidara Ballo.

– Czy to ten mężczyzna panią pobił?

Reidun Vestli spojrzała na fotografię, nie mówiąc ani słowa.

Inspektor wyjął kolejne zdjęcia. Tym razem przedstawiały one Jima Rognstada, *en face* i z profilu, i zostały wykonane tuż po jego zatrzymaniu.

Reidun Vestli milczała.

Potem pokazał jej zdjęcie Frølicha.

Reidun Vestli nawet nie drgnęła.

W końcu policjant wyjął z kieszeni wyciętą z gazety fotografię przedstawiającą jej byłego męża, inwestora Langåsa.

Również tym razem nie doczekał się żadnej reakcji.

– Czy to ktoś, za kim pani tęskni? – spytał cicho.

Reidun Vestli spojrzała na niego.

Gunnarstranda odchylił się na krześle i zapytał: – Czy to ktoś, kogo zdjęcia pani nie pokazałem?

– Halo, siostró! – zawołała Reidun ochryłym głosem. – Mam dość tej rozmowy.

Inspektor wstał.

– Jeszcze tylko jedno krótkie pytanie – powiedział, wsuwając zdjęcia do wewnętrznej kieszeni płaszcza. – I pani, i pani mężowi zależało bardzo na domku letniskowym w Valdres, ale właściwie które z was było jego właścicielem?

Nagle otworzyły się drzwi i do sali weszła pielęgniarka.

– Już wychodzę – powiedział uspokajająco Gunnarstranda.

– Proszę zaczekać! – Reidun Vestli spojrzała na niego wystraszonego wzrokiem.



Pielęgniarka opuściła salę i zamknęła za sobą drzwi.

Reidun Vestli oddychała ciężko.

– Dlaczego pan o to pyta?

Inspektor się zamyślił. W końcu odpowiedział: – Szczerze mówiąc, powodów jest kilka, ale zacznijmy od kwestii odszkodowania. Jestem ciekawy, któremu z was wypłacono by odszkodowanie, gdyby coś się stało, coś nieprzewidzianego.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – wyszeptała.

– Dzisiaj panią wypisują, prawda? – upewnił się inspektor. – Może odwiozę panią do domu, to porozmawiamy po drodze?

Wolno skinęła głową.

– W takim razie proszę jeszcze raz przywołać pielęgniarkę – powiedział.

## 15

Gunnarstranda wszedł do gabinetu. Ledwo zdążył skinąć głową w stronę Yttergjerdego i zrzucić z siebie płaszcz, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Inspektor chwycił słuchawkę i warknął, jak to miał w zwyczaju: – Tylko proszę: krótko i zwięźle.

– Tu Frølich.

– Dzień dobry. Tak wcześnie na nogach i bez hysterii?

– Rozmawiałem wczoraj z Langåsem, byłym mężem Reidun Vestli.

– Nie dajesz za wygraną, co?

– Opowiedział mi o domku letniskowym, o tym, że Elisabeth była z Reidun Vestli w ich domku w Valdres.

– I co z tego?

– Postanowiłem zagrać w otwarte karty, tak jak mi radziłeś. Zamierzam tam pojechać i sprawdzić, czy Elisabeth nie ukrywa się w domku Reidun. To może być to, rozumiesz...

– Wiem o tym domku – wtrącił Gunnarstranda i natychmiast tego pożałował. W słuchawce zaległa cisza i to on musiał ją przerwać. – Jeszcze niedawno stał w Vestre Slidre – powiedział.

– Jak to stało?

– Spłonął kilka dni temu.

– Pożar?

– Wpadłem na to przez przypadek.

– Jaki przypadek?

Gunnarstranda odchylił się na krzesło. Wyłowił z kieszeni papierosa i wsunął go sobie między wargi. Nie miał pojęcia, jakich użyć słów.

– Halo! – warknął zniecierpliwiony Frølich. – Jesteś tam?

– Słuchaj, masz tam w pobliżu jakieś krzesło?

– No dalej, wykrztuś to z siebie!

– Chyba będzie lepiej, jak usiądziesz. Wczoraj dostałem pismo, jest zaadresowane do Instytutu Medycyny Sądowej i nie zwróciłbym na nie uwagi, gdyby nie tytuł własności. Działka, na której stał domek, należała do Reidun Vestli. W swoim piśmie szef policji w Nord-Aurdal informuje, że w pogorzeliisku odnaleziono długie fragmenty kości.

Znowu cisza.

– Długie fragmenty kości. Wiesz, co to oznacza?

– To nie musi być ona.

– Oczywiście, że nie.

Znowu cisza.

– Ale domek Reidun Vestli spłonął zaledwie kilka dni temu. I co najważniejsze, ktoś był w środku, kiedy domek stanął w płomieniach. Załóżmy jednak, że Vestli nie odstąpiła domku na przykład Elisabeth Faremo... Możliwe, że jakiś złodziej włamał się do środka i zasnął z papierosem w gębie, wywołując tym pożar... Ale nie to przyszło nam obu do głowy, prawda? Nasza pierwsza myśl była taka, że Reidun udostępniła komuś domek, mam rację?

– I co zamierzasz z tym zrobić? – spytał Frølich z wyraźnym wysiłkiem.

– To, co zwykle w takich sytuacjach. Szukam materiału porównawczego, żeby móc zidentyfikować szczątki.

– W jaki sposób?

– Na przykład zaglądnij do mieszkania Elisabeth Faremo i jej brata.

– I znalazłeś coś?

– Szczotkę do włosów. Leżała na jej łóżku. Zleciłem wykonanie profilu DNA i porównanie go z kośćmi znalezionymi na pogorzelisku.

Tym razem minęła dłuższa chwila, zanim Franken odważył się zadać pytanie: – Kiedy ma przyjść odpowiedź?

– W każdej chwili.

Gunnarstranda odłożył słuchawkę. Siedział w milczeniu i ponurym wzrokiem wpatrywał się w telefon.

– Jak to przyjął? – spytał w końcu Yttergjerde, odwracając się w jego stronę.

Inspektor oparł się ciężko na blacie biurka.

– A jak myślisz?

## 16

Tej nocy Frank Frølich nie mógł spać. Spocił się, jakby miał gorączkę. Kiedy próbował się podnieść, o mało nie upadł na podłogę. W głowie mu huczało. *Muszę tam pojechać, odnaleźć ten domek.* Nie miał pojęcia, gdzie go szukać, ale nie był w stanie usiedzieć na miejscu.

Musiał się dowiedzieć, gdzie znajduje się domek Reidun Vestli. Tylko jedna osoba mogła mu w tym pomóc.

Ubrał się i wyszedł z domu. Na dworze było lodowato, ale on nie czuł mrozu. Lód pokrywający przednią szybę był twardy jak kamień. Znalazł skrobaczkę, ale nie mógł się przebić. Uderzał w lód, walił na oślep, ale nic to nie dawało. Zmęczył się. Nie mógł złapać tchu. Usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i włączył rozmrażanie przedniej szyby. Siedział nieruchomo i czekał, aż lód stopnieje. Potem zjechał z krawędzi chodnika i ruszył przez miasto w stronę Vækerø. Skreślił w prawo i pojechał Vækerøveien.

Zaparkował przed jednym z wielu ogrodzeń. Zachodnią część dzielnicy spowijał mrok, nieliczne latarnie tworzyły żółtawoszare stożki między domkami szeregowymi. Wysiadł z samochodu i udał się w kierunku domu Reidun Vestli. Była noc, ale miał to gdzieś. Przez kilka sekund przyglądał się swoim dłoniom. Drżały. Czy rozmowa z nią teraz, w środku nocy, była dobrym pomysłem? Nie miał pojęcia, a mimo to szedł dalej. Minął kilka samochodów z oblodzonymi

szybami. Chwilę później zastukał kołatką do drzwi. Cisza. Nasłuchiwał, ale ze środka nie dobiegały żadne odgłosy. Zszedł dwa stopnie w dół i wolnym krokiem okrążył szeregowiec. Ziemię na rabatach pokrywał szron. Cofnął się. Stał w odległości kilku metrów i przyglądał się domowi Reidun Vestli, znajdującemu się na samym końcu szeregu. Zawrócił. Przeszedł przez oszroniony trawnik, zostawiając za sobą wyraźne ślady stóp. Ruszył w stronę werandy. Była w opłakanym stanie: prosta platforma wykonana z drewna impregnowanego ciśnieniowo. Balustradę sklecono z bejcowanych desek, które zaczęły gnić. Kilka smętnych roślin doniczkowych wędło w kącie tarasu. Na samym środku stał zielony dzban wypełniony do połowy piaskiem i starymi niedopałkami papierosów. *Długie fragmenty kości w pogorzelisku.* Podszedł do okna i zerknął do środka przez szparę. Jego wzrok padł wprost na dwie blade stopy, które sterczały do góry. Jeden z paluchów był polakierowany. Zapukał do drzwi. Żadnej reakcji. Stopy nie poruszyły się. Nacisnął klamkę drzwi prowadzących na werandę. Nie były zamknięte na klucz.

Leżała na plecach, z ustami zastygłymi w grymasie i wzrokiem skierowanym do góry i za siebie, jakby próbowała nawiązać kontakt wzrokowy z kimś, kto mieszkał za ścianą. Była martwa. Nie potrzebował żadnego lekarza ani patologa, żeby to potwierdzić. Nagle ogarnęło go zmęczenie. *Kto cię będzie opłakiwał?* pomyślał i poczuł, że robi mu się niedobrze. *Długie fragmenty kości w pogorzelisku.* Wokół przewróconej szklanki na nocnym stoliku leżały rozrzucone tabletki nasenne. Niektóre spadły na podłogę, kilka widać było w małej plamie wymiocin na poduszce. *Przyczyna śmierci: zatrucie albo zachłyśnięcie wymiocinami spowodowanymi reakcją organizmu na zatrucie.* Szanse 1 : 2. On stawiał na to drugie. Mdłości, które go

ogarnęły, nie wywołał jednak ani jej widok, ani fetor rozkładającego się ciała, ani smród zastygłych wymiocin, ani stęchłe powietrze zmieszane z dymem wypalonych papierosów. Nudności były reakcją jego ciała na cywilizację śmierci, psychicznych okaleczeń i braku żałoby, braku normalności. *Dlaczego Elisabeth nie opłakiwała śmierci swojego brata? Oparł się o ścianę. A Ciebie, kto Ciebie będzie opłakiwał?* pomyślał po raz kolejny, przyglądając się nieszczęsnym stopom wystającym spod koca. *Twój eks? Teraz, kiedy spalił się domek, o który toczyliście boje, prawdopodobnie znienawidzi Cię jeszcze bardziej niż przedtem.*

Zbierało mu się na wymioty. *Długie fragmenty kości.* Opierając się plecami o ścianę, osunął się na podłogę. Wciągnął głęboko powietrze. Gdzie list pożegnalny samobójczynie? W zasięgu wzroku nie znajdowała się żadna koperta, żadna kartka zapisana drżącą ręką, żaden znak, który można by odczytać jako pożegnanie. Rzucił okiem na komputer. Był wyłączony. Gunnarstranda i tak na pewno go zarekwiruje. Znowu poczuł nudności, lecz tym razem zrobiło mu się niedobrze na myśl o samym sobie. Na myśl o tym, jaki jest żałosny. *Długie fragmenty kości.* Stał obok martwej kobiety i drżał o życie innej osoby. A jeśli to Elisabeth zginęła w pożarze? Czy to z tego powodu Reidun Vestli popełniła samobójstwo? Pokonał mdłości, podniósł się z podłogi i wyszedł na taras. Oddychał głęboko świeżym powietrzem. Przytrzymując się zbutwiałej poręczy, usiadł na krawędzi werandy i zadzwonił do szefa.

Część III

**Klucz**



## 1

Frank Frølich usiadł w swoim ogromnym małżeńskim łóżu. Przez dłuższą chwilę przyglądał się sąsiedniej kołdrze i poduszce. Od czasu Elisabeth nikt tam nie leżał – od tamtej nocy, kiedy zniknęła, a na Loenga został zamordowany Arnfinn Haga. Nie zmienił pościeli, fałdy na prześcieradle utworzyło jej ciało. Zostawiła po sobie tylko jeden czarny włos, który wił się na poduszce. Przypominał ścieżkę na mapie gór. Na nocnym stoliku stała pusta butelka po winie z ogarkiem świecy w szyjce. Prowizoryczna lampa jej autorstwa, wykonana w dniu, w którym wyłączono prąd. Później migocząca świeca rzucała na ścianę dramatyczne cienie ich ciał.

To wspomnienie o niej równie dobrze mogło być czymś, co dawno temu wyczytał w jakiejś książce albo zobaczył w filmie. Szuflada nocnego stolika stojącego po jej stronie łóżka nie była do końca zamknięta. Wstał nagi i obszedł łóżko dookoła. Na blacie stolika nie leżał żaden zapomniany kolczyk ani pierścionek. Chwycił gałkę szuflady i już miał ją domknąć, gdy nagle jego wzrok padł na pewien przedmiot znajdujący się na dnie. Wysunął szufladę i wyjął z niej cienką książkę. Tomik wierszy. Jej książkę. Tę, którą ciągle wertowała. Przez krótką chwilę wyobrażał sobie, jak wychodzi z łazienki i idzie do sypialni. Elisabeth leży naga na łóżku, podpierając głowę na łokciu, wyczuwa jego obecność, zamyka książkę i podnosi wzrok.

Jej książka. Obraz nabrał ostrości. Franken miał wrażenie, że trzyma w ręce fragment Elisabeth. Był tak podekscytowany, że aż przysiadł na łóżku.

Drżącymi palcami otworzył książkę. W środku leżała zakładka. Jej widok sprawił, że przeszedł go dreszcz. Ozdobiona była haftem: biały jedwab z czarnymi rysunkami wyhaftowanymi drobnym ścięciem. Tym, co go zmroziło, był obraz utworzony przez te znaki. Identyczny motyw przedstawiał tatuaż Elisabeth. Odłożył zakładkę i przeczytał:

Nikogo nie zapomnę  
ból też głaszcze  
wzdłuż złamanej gałęzi  
nikogo nie zapomnę  
jeśli cię pocałuję

Słowa wiersza przywołały wspomnienie ich decydującego spotkania, wieczoru, w którym śledziła go w drodze do domu. Tłok w wagonie metra, odgłos kroków na asfalcie, jej postać w świetle latarni. Wciąż jeszcze czuł jej ciepły oddech na policzku.

Cofnął stronę. Słowa, które przeczytał, pochodziły z ostatniej strofy wiersza Gunvor Hofmo<sup>10</sup>.

Przeczytał pierwszą zwrotkę:

Zgubiłam swoją twarz  
w tych dzikich rytmach  
Tylko moje białe ciało tańczy

Czy tak siebie postrzegała? Jak ciało bez twarzy? „Nikogo nie zapomnę, jeśli cię pocałuję”, odczytał raz jeszcze. Obraz Elisabeth się rozmył. Czy zostawiła tę książkę celowo, czy po prostu o niej zapomniała? Obraz niezwykłego tatuazu, tak niepodobnego do

innych, intymny podpis złożony na jej ciele. I to zdanie, którym się posłużyła, żeby go ośmielić i zaintrygować: „Nikogo nie zapomnę, jeśli cię pocałuję”.

Miał wrażenie, że słyszy głos Gunnarstrandy: „Długie fragmenty kości”. Płomienie buchające w jego głowie zagłuszyły słowa wiersza. Kolejny obraz: gigantyczne ognisko, płonący dom, setki stopni Celsjusza, szyby wypadające z okien na skutek eksplozji, kontury ciała trawionego przez języki ognia. Obraz w maksymalnym zbliżeniu. Kontury ciała stają się materią, ciało pokrywa się pęcherzami, topi się, skwierczy, zamienia w żółtą płonącą pochodnię, spala na węgiel. Jego myśli ogarnął paraliż. Ocknął się, kiedy poczuł, że wciąż trzyma w dłoniach książkę.

A jeśli to były szczątki Elisabeth? Jeśli to ona spłonęła w domku letniskowym należącym do Reidun Vestli? Nie wyobrażał sobie, że mógłby przeżyć śmierć Elisabeth. Jeszcze raz przeczytał wiersz. Pamięć podsunęła mu kolejne obrazy: on sam w trakcie aktu miłosnego, dawno temu, obraz mniej wyraźny, wypłowiały, pozbawiony kolorów. Elisabeth, która odkłada tom wierszy i mówi, że nie da się przeczytać tej samej książki dwa razy.

Od razu się tego domyślił: chodziło o dawnego kochanka. Zdanie, które wypowiedziała, odnosiło się do konkretnej osoby.

Wstał i po omacku podszedł do okna. Nawiązując z nim znajomość tamtego wieczoru, dopuściła się zdrady wobec kogoś innego. Tylko kogo? Kogo zdradziła? Reidun Vestli? Czy odpowiedź mogła być aż tak banalna? Czy wypowiadając to zdanie, Elisabeth prosiła o wybaczenie? Nie. To nie mogło być tak. Chodziło raczej o zapomnienie. O kogoś, kto należał do przeszłości. O kim Elisabeth nie mogła zapomnieć.

Ale kto mógłby odpowiedzieć na to pytanie? Jej brat nie żył. Reidun Vestli nie żyła. Franken ważył w dłoni haftowaną zakładkę. Motyw haftu wytatuowany na biodrze Elisabeth. Niewykluczone, że ktoś już widział ten tatuaż.

Wziął długi prysznic, zjadł śniadanie, a potem włączył komputer i zaczął szukać salonów tatuażu. Wybór był ogromny: Purple Pain w Heimdal, Znak Odyna w Lillestrøm, Au! Tatoo & Piercing w Bergen, Hole in one w Bodø. Postanowił ograniczyć się do wschodniej części kraju. Wydrukował listę i przyjrzał się jej. *Zupełnie, jakbym znowu był gliną. Pukanie od drzwi do drzwi.*

Może właśnie to powinien zrobić? Zameldować się w pracy i podciągnąć poszukiwania pod śledztwo? Szybko odrzucił tę myśl. Wyszedł z domu i wsiadł do samochodu.

\*

To było prawdziwe *tournée* po salonach tatuażu ze ścianami pokrytymi kiczowatymi rysunkami: motocyklami, trupimi czaszkami, mieczami i płomieniami, różami i skorpionami. W większości lokali klientami były młode dziewczęta, które leżały na brzuchu i czekały, aż na krzyżowej części kręgosłupa powstanie tatuaż. Kilka razy się zdarzyło, że leżały na plecach, podczas gdy na ich udach i w pachwinach wyrastały róże albo wykaligrafowane litery. Jakiś mężczyzna zażyczył sobie koronę cierniową wokół ramienia, inny ozdobił łydkę podobizną słynnego wikinga Leifa Erikssona. Wszędzie powtarzał się ten sam scenariusz: Frank Frølich pokazywał najpierw zdjęcie Elisabeth Faremo, a potem zakładkę do książki z tajemniczym motywem, który przypominał ślady wrony – dziwne kreski z ozdobnymi zawijasami. Wielu tatuażystów, z których niemal wszyscy wyglądali jak członkowie gangów motocyklowych,

uwieczniało swoje dzieła na zdjęciach. Ale nigdzie nie znalazł żadnego punktu zaczepienia.

W przerwach między wizytami w salonach tatuażu siedział w domu i przeglądał strony w internecie. Wpisywał do wyszukiwarki fragmenty wiersza, sprawdzał różne kombinacje słów, ale bez rezultatu. Dopiero kiedy po raz trzeci wziął do ręki wydruk, jego uwagę przykuł salon tatuażu o nazwie Personal art tattoo studio. Tym, co go zainteresowało, była lokalizacja – salon znajdował się w Askim.

Strzelał na oślep, ale przecież właśnie tam, w Askim, znaleziono ciało Jonny'ego Faremo. Równie dobrze mógł spróbować w Askim.

\*

Przygotował się do wyjścia, chwycił kluczyki do samochodu i zjechał windą na parter. Wyszedł na ulicę i odetchnął ciężkim, wilgotnym powietrzem. Niebo nad miastem zasnuwane było chmurami. Nie padało, ale w powietrzu unosiła się mgła – szara, wilgotna materia utkana z mikroskopijnych kropli wody, które powoli, powoli opadały na ziemię.

Uruchomił silnik, ale pojechał w złym kierunku i zamiast na trasie do Ski, wylądował na drodze prowadzącej do centrum. Skręcił w stronę Simensbråten, w górę Vårveien, a potem odbił w prawo, w dół Ekebergveien. Przed podjazdem do budynku, w którym mieszkała Elisabeth, zwolnił. *Ty nie umarłaś. Nigdy w to nie uwierzę.* Nagły impuls kazał mu się zatrzymać. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Elisabeth jest w swoim mieszkaniu. Odczucie było żałosne, ale bardzo intensywne. Skręcił na parking, zatrzymał się, wysiadł z auta i wbiegł po schodach prowadzących do mieszkania Elisabeth i Jonny'ego Faremo. Na drzwiach nie było plomby. Przez chwilę stał, starając się uspokoić i wyrównać oddech. Nacisnął przycisk dzwonka.

Żadnego odzewu. Jeszcze raz zadzwonił, przez chwilę nasłuchiwał, po czym zapukał do drzwi. W mieszkaniu panowała grobowa cisza.

Za to z mieszkania obok dochodziły dźwięki. Kiedy jednak odwrócił się w stronę sąsiednich drzwi, odgłosy umilkły. Mimo to postanowił zadzwonić. Przez chwilę słychać było szuranie. Czyjś cień przesłonił wizjer. Po kilku sekundach zabrzączał łańcuch i drzwi się otworzyły.

– Miło znów pana widzieć – powiedział Frank Frølich.

Stary mężczyzna przyglądał mu się intensywnie. Jego wargi drżały, a twarz zastygła w grymasie. Wyglądał tak, jakby raziło go słońce, które świeciło w czasach jego młodości.

– Spotkaliśmy się kilka dni temu. Pytałem pana o Elisabeth Faremo. Powiedział pan, że spakowała plecak i wyjechała, a potem opowiedział pan moim kolegom z policji o naszej rozmowie, pamięta pan?

Mężczyzna przytaknął.

– Zastanawia mnie jedna rzecz – zaczął Frølich. – Bo na pewno mieszka pan tutaj dłużej niż rodzeństwo Faremo, mam rację?

Mężczyzna znowu skinął głową.

– Wie pan może, jak długo tutaj mieszkali i czy wprowadzili się równocześnie?

– Dlaczego... – mężczyzna musiał odkaszlnąć, żeby odzyskać głos – ...dlaczego przychodzi pan tutaj i zadaje te wszystkie pytania?

Franken się zamyślił. Po chwili odpowiedział:

– Z przyczyn osobistych.

Mężczyzna długo wykrzywił twarz, wpatrując się w policjanta. W końcu jednak zaakceptował odpowiedź, bo kiedy się odezwał, w jego oczach nie było śladu powątpiewania.

– Ona pierwsza się wprowadziła. Jej brat zamieszkał z nią kilka lat później.

– Pamięta pan, w którym to było roku?

Starzec potrząsnął głową.

– Proszę się zastanowić.

– To musiało być jakieś dziesięć lat temu.

– I przez pierwsze lata Elisabeth mieszkała sama?

Mężczyzna zaprzeczył.

– Przewijali się tutaj różni mężczyźni, zwłaszcza jeden, zanim wprowadził się jej brat.

– Różni mężczyźni?

– Owszem, w końcu ładna z niej dziewczyna, nic dziwnego, że mężczyźni się za nią uganiali, ale jeden bywał tu bardzo często. Raczej nie był tutaj zameldowany, po prostu u niej mieszkał. Dobrze go zapamiętałem, bo nie byłem tym zachwycony. To był jeden z naszych nowych współobywateli. Dzięki Bogu zniknął. Najpierw myśleliśmy, że to Jonny spuścił mu manto, ale przecież Jonny był jej bratem.

– Jeden z naszych nowych współobywateli?

– Tak, ale nie Murzyn, chyba jakiś Turek albo Słowianin. Okrągła czaszka i długi nos. Ale nie pamiętam, jak się nazywał. Chyba coś na I... albo na A... Ika? Aka? Nie. – Potrząsnął głową. – Czas leci, człowiek się starzeje.

Wiadomość nie zrobiła na Frankenie wrażenia. Był teraz policjantem, miał zadanie do wykonania. *Elisabeth Faremo, dawna kochanka, długie fragmenty kości.* Żadnej gonitwy myśli, żadnej gorączki, niepokojących obrazów, skwierczenia płomieni. Uszczypnął się w ramię i poczuł ból.

Nie było jeszcze dwunastej, kiedy jechał Mosseveien w stronę Fiskvollbukta i Mastemyr. Droga do Askim zajęła mu trzy kwadransy. Jechał w kierunku przeciwnym do tego, w którym na horyzoncie wstawał późny zimowy świt, i do tego, który wybierała większość kierowców. Minął most Fossum i miejsce budowy nowej autostrady. Kiedy przejechał rondo na trasie europejskiej i skierował się w stronę dworca kolejowego i centrum Askim, wyjechał wprost na studio tatuażu. Lokal sąsiadował z zakładem fryzjerskim w żółtej, wolno stojącej kamienicy obok przejazdu kolejowego, który dzielił miasteczko na pół. Po drugiej stronie torów znajdował się bar podobny do przemalowanego na czerwono baraku wojskowego, *vis-à-vis* wejścia na główną promenadę miasta.

Studio tatuażu nie było jeszcze otwarte. Frank Frølich postanowił wybrać się na spacer. Przeszedł się deptakiem, po czym skręcił w prawo, w smaganą wiatrem drogę, która kilkaset metrów dalej kończyła się skrzyżowaniem z sygnalizacją świetlną. Krajobraz tworzyły ogromne kwadratowe budynki, a całość przypominała setki podobnych miejsc na całym świecie: kawałek płaskiego lądu upstrzonego barakami i lokalami gastronomicznymi. Za to nieco dalej można było dostrzec przeblęski ambitniejszych projektów urbanistycznych: park rozrywki oraz centrum handlowe utworzone w starej, nieczynnej fabryce, jednej z tych, które należały kiedyś do firmy Viking.

Kiedy dziesięć minut później przechodził przez tory kolejowe, na zakręcie tuż przy dworcu usłyszał dobrze rozpoznawalny ryk harleya.

Właścicielem studia okazał się grubawy, rubaszny facet z długimi kręconymi włosami. Franken najpierw pokazał mu zdjęcie Elisabeth Faremo, ale nic to nie dało. Potem wyjął zakładkę i podał ją



mężczyźnie. Tatuż został rozpoznany niemal natychmiast.

## 2

Franken przyjął pozycję horyzontalną i po raz nie wiadomo który wpatrywał się w sufit, w czarny punkt obok żyrandola. To mogła być mucha. Ale plamka się nie poruszała. A więc było to coś innego. Co najmniej milion razy wpatrywał się w sufit i widząc czarną plamę, myślał: *to może być mucha*. Ale nigdy nie zmusił się do tego, żeby wstać z kanapy i sprawdzić, co to jest naprawdę.

Leżał na plecach i rozmyślał. Wiadomo, że tatuaż zrobiła sobie w Askim cztery, może pięć lat temu. I co z tego? Nie wiadomo, co przedstawia rysunek ani dlaczego się na niego zdecydowała. Mężczyzna, który wykonał tatuaż, zrobił to, o co go poproszono, nie mając pojęcia, co rysunek ma przedstawiać. A to oznacza, że był w punkcie wyjścia. Mężczyzna pamiętał rysunek, ale nie przypominał sobie jej twarzy.

Franken zrozumiał, że porusza się po omacku – zaczął układanie puzzli od rogu, w którym żaden element nie pasuje do drugiego. Musiał spróbować z innej strony. Tylko z której?

Co z elementami, od których wszystko się zaczęło? Ta jedna noc. Zabójstwo na Loenga. Aresztowanie na podstawie donosu.

Pytanie: Kto sypnął?

Odpowiedź: Merethe Sandmo.

Pytanie: Jaki miała w tym interes?

Odpowiedź: Nie wiadomo. Kolejna zagadka. Możliwe, że chodziło

o to, że Merethe Sandmo była najpierw kochanką brata Elisabeth, a potem pogłębiła znajomość z Vidarem Ballo. Niewykluczone, że coś rozsadzało grupę od środka, jakiś nieznany czynnik. Ogniwem łączącym oba te wydarzenia była niewątpliwie Merethe Sandmo, która zmieniała partnerów, a potem doniosła na nich policji. Jest tylko jedno ale: dlaczego wsypała tylko trzech kumpli? Dlaczego podała tylko trzy nazwiska, a nie wszystkie cztery?

Tylko jedna osoba mogła odpowiedzieć na to pytanie: Merethe Sandmo.

A Merethe Sandmo pracowała jako kelnerka.

Frank Frølich leżał na kanapie i przyglądał się czarnej plamie na suficie obok żyrandola. Nagle poczuł, że ma ochotę wyjść na miasto.

Znalazł koszulę i krawat. Kiedy otrzepał garnitur, zrozumiał, że już dawno powinien dać go do czyszczenia. Odwiesił go z powrotem do szafy i zamiast niego wyjął ciemne lniane spodnie i taką samą marynarkę. Przejrzał się w lustrze i stwierdził, że ujdzie, jeśli wetrze we włosy odrobinę żelu.

Złapał jedyną taksówkę, która stała na postoju w Ryen. Kierowca czytał właśnie „VG” i aż podskoczył, kiedy Franken otworzył drzwi samochodu.

Zamówił kurs do centrum. Wsiadł przed Bliss, które łatwo było rozpoznać dzięki migającemu różowemu neonowi nad wejściem. Jak na dzień powszedni było zdecydowanie za wcześnie na nocne życie. Przed wejściem do lokalu nie stał jeszcze ani jeden ochroniarz, a w środku oprócz Frankena znajdował się tylko jeden klient, który usiłował prowadzić rozmowę z kelnerką. Kobieta miała fryzurę w stylu afro, a jej przesadna opalenizna wskazywała na to, że była stałą klientką solarium. Była ubrana wyłącznie w zieloną

minispódniczkę i czerwone kabaretki. Miała niecałe trzydzieści lat i ładny, zaokrąglony brzuch.

Franken usiadł przy stoliku w rogu lokalu. Zgodnie z informacją na plakacie, show miał się zacząć o dwudziestej pierwszej. Tekst zdobiła ilustracja typowa dla tego rodzaju imprez: striptizerka przeżywająca orgazm przy rurze.

Kobieta w kabaretkach podeszła do stolika i spytała, co podać. Jej sutki miały kolor kremu czekoladowego. Frank Frølich nie wiedział, co zrobić z oczami.

Mężczyzna przy barze przyglądał mu się spode łba. Był już lekko wstawiony i najwyraźniej nie podobało mu się to, że musi konkurować o względy kelnerki.

Franken postanowił skupić wzrok na jej oczach, które świeciły jak pociski smugowe na tle opalanej skóry. Zamówił piwo i spytał, czy mógłby rozmawiać z Merethe.

– Z jaką Merethe?

– Sandmo.

– Zwolniła się.

Franken postanowił, że tak łatwo nie odpuści.

– Zwolniła się?

– Tak. Wariatka. Zarabiała tutaj niezłą kasę.

– Gdzie teraz pracuje?

– W Grecji. Zdaje się, że w jakimś klubie w Atenach czy jakoś tak. Miała dziewczyna farta. Nawet trochę jej zazdrościłam, praca w Grecji, nie ma co! Tam u nich nawet zimą jest cieplej niż u nas latem.

– Ja pierdzielę! – Franken szybko się odnalazł w nowej roli. – Teraz wszystko jasne. Szkoda, że się nie pochwaliła, że wyjeżdża do

Grecji i że będzie tam pracować... Dawno wyjechała?

– Jakiś tydzień temu. Poczekaj, przyniosę ci piwo.

Przeszła przez salę jak primabalerina. Jej piersi tańczyły, kiedy się odwróciła, żeby nalać piwa. Tymczasem mężczyzna przy barze miał duże trudności z utrzymaniem się na stołku.

*Jakbym widział siebie*, pomyślał Franken z niechęcią.

– Dobrze znasz Merethe? – spytała, podając mu piwo.

– Nie, jestem kumplem Vidara, Vidara Ballo.

– Biedna Merethe, s t r a s z n i e mi żal tej dziewczyny.

– Znam też siostrę Jonny’ego – dodał Franken. – Elisabeth Faremo.

Mężczyzna przy barze wrzasnął coś niezrozumiałego.

Kelnerka odwróciła głowę i odkrzyknęła, że zaraz podejdzie, a Frankenowi szepnęła do ucha: – Facet jest s t r a s z n i e namolny.

– Zgadza się. Byłem z Elisabeth przez krótką chwilę, to było po tym, jak prowadziła się z tym całym... jak on się, kurwa, nazywał... ten Irańczyk czy Marokańczyk, czy skąd on tam pochodził...

– Ilijaz?

– No właśnie, Ilijaz.

– A on nie był przypadkiem Chorwatem?

– No jasne!

Klient przy barze znowu coś wrzasnął.

– Już idę!

Kelnerka podeszła do baru i nalała mu piwo. Facetowi trzęsły się ręce.

Po chwili dziewczyna znów stanęła przy stoliku Frankena.

– Fajnie zobaczyć nowych gości – powiedziała. – Zostaniesz na show?

– Nie. Szczerze mówiąc, chciałem pogadać z Merethe.

– Ja występuję o dwudziestą trzecią. Wtedy jest więcej ludzi. Urządzają wieczory kawalerskie i tym podobne. S t r a s z n e wieśniaki. Ale możesz przyjść i powiedzieć, co o tym sądzisz.

Franken przyłapał się na tym, że szuka twardych linii wokół jej podbródka, pierwszych oznak zmęczenia materiału, stalowego błysku za pociskami smugowymi oczu.

– Wiesz, co porabia Ilijaz? – spytał i natychmiast zrozumiał, że popełnił błąd. Kobieta spojrzała na niego dziwnym wzrokiem. Wszystkie blizny i ścieżki, które wytropił na jej twarzy, zaostrzyły się jak jesienny krajobraz wyłaniający się nagle z porannej mgły. Cisza, która zapadła, była nie do wytrzymania. Kelnerka wróciła za kontuar i już się stamtąd nie ruszyła.

*Wygląda na to, że trafiłem na minę, pomyślał, dopijając piwo.*

Kobieta nie zbliżyła się więcej do jego stolika.

Podszedł do niej i kładąc na ladzie banknot stukoronowy, powiedział, że może zatrzymać resztę. Nawet nie spojrzała w jego stronę.

\*

Jadąc kolejką, zadzwonił do Yttergjerdego i zapytał go, czy w kartotece policyjnej nie figuruje przypadkiem ktoś o imieniu Ilijaz. Zaproponował kilka możliwych pisowni imienia. Yttergjerde obiecał, że to sprawdzi.

Nie oddzwonił.

Franken sam przeszukał rejestr.

Była trzecia nad ranem, kiedy nagle się obudził. Przyśnił mu się Ilijaz.

### 3

Następnego ranka zjawił się w komendzie lekko spóźniony. Na korytarzu spotkał Lenę Stigersand. Pokręciła głową, patrząc na niego z politowaniem, ale chwilę później ścisnęła go za ramię.

– Czy to naprawdę ty...? Dobrze znów cię widzieć.

– Wyluzuj – wyjąkał Franken, czując, jak oblewa się potem. – Przyszedłem tylko po kilka rzeczy, zanim wezmę kolejny tydzień wolnego.

Wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Miał szczęście. Gunnarstrandy nie było na posterunku. Nikogo nie było. Nie był gotowy na spotkanie z kolegami. Zamienienie zaledwie paru słów z Leną Stigersand kosztowało go wiele wysiłku. Potrząsnął głową jak bokser po walce i podszedł do biurka, na którym stał komputer. Zalogował się i odszukał protokół z włamania do domu Ingego Narvesena na Ulvøi, do którego doszło 4 listopada 1998 roku. Protokół, który zresztą sam sporządził. Następnie otworzył sprawozdanie przesłane z komisariatu w Bærum dotyczące strzelaniny na Snarøyveien, która miała miejsce kilka dni później.

Ledwo zdążył wydrukować oba raporty i spiąć je razem, kiedy w drzwiach stanął Gunnarstranda. Starszy policjant zachował kamienną twarz. Zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku.

– Już po urlopie? – rzucił krótko.

Frølich pokręcił przecząco głową.

– Nie byłoby lepiej, gdybyś znalazł ciało Reidun Vestli jako policjant na służbie, a nie turysta? Trochę nad tym rozmyślałem – ciągnął Gunnarstranda, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. – Rozmawiałem z nią o jej domku letniskowym, który spłonął w pożarze, a kiedy tylko zamknąłem za sobą drzwi, połknęła garść tabletek nasennych. Dziwne.

– Raczej nie zrobiła tego z powodu utraty domku letniskowego...

– Myślisz o szczątkach?

Franken skinął głową. Czuł, jak krople potu występują mu na czoło. Zrobiło mu się niedobrze na myśl o s z c z ą t k a c h Elisabeth.

– Ta dziewczyna musiała wiele dla niej znaczyć – skwitował Gunnarstranda.

Franken przytaknął.

– Co tam masz? – spytał inspektor, wskazując głową papiery, które młodszy policjant wsunął sobie pod ramię.

– Sprawa sprzed sześciu lat. Zabójstwo na Snarøya.

Gunnarstranda stał zamyślony.

– Folkenborg – wymamrotał. – Czy to nie on pracował na stacji benzynowej?

– To była jego stacja. I on ją prowadził.

– Wzięli go jako zakładnika, zgadza się?

– Nie. To miało być zwyczajne zatrzymanie. Folkenborg został zastrzelony przez faceta, którego chcieliśmy aresztować. Współpracowałem wtedy z chłopakami z Sandvika. Podejrzany pracował na stacji benzynowej Blommenholm. Miały mu zostać postawione zarzuty w związku z włamaniem do willi na Ulvøi. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, stał za ladą, ale na nasz widok wyjął



z kieszeni broń. – Frølich zajrzał do protokołu. – Colt python, mały kaliber. Wymachując bronią, przebiegł przez myjnię i wskoczył do kanału, w którym Folkenborg wymieniał właśnie olej w jednym z samochodów. Żadnemu z nas nie przyszło do głowy, żeby zastosować szczególne środki ostrożności. Żaden z nas nie zarekwirował mu broni. Staliśmy i przyglądaliśmy się, jak facet wbiega ze spluwą do kanału. Musieliśmy się wycofać. Na nieszczęście Folkenborg wkroczył do akcji. Na pewno myślał, że zna koleś i kontroluje sytuację. Wtedy usłyszeliśmy strzał. Folkenborg został trafiony w klatkę piersiową. Napastnik spanikował, wyrzucił rewolwer i zaczął uciekać, prosto w nasze ręce.

Gunnarstranda się zamyślił.

– Mężczyzna, który oddał strzał, nazywa się Ilijaz Zupac – dodał Franken.

– Imigrant?

– Drugie pokolenie. Rodzice pochodzili z Bałkanów, oboje już nie żyją. Zupac ma norweskie obywatelstwo.

– Po co wracasz do tej sprawy?

Frank Frølich wsunął kartki do torby i powiedział:

– Sześć lat temu Zupac miał zostać zatrzymany za kradzież z włamaniem na Ulvøi. Pewnemu bogatemu człowiekowi o nazwisku Narvesen skradziono sejf, który znajdował się w jego sypialni. W sejfie było pół miliona koron. Sąsiadka zauważyła na miejscu zdarzenia wyłącznie Ilijaza Zupaca. We włamaniu brało udział więcej osób, ale tylko Zupac został rozpoznany.

– Tak, tak – niecierpliwił się Gunnarstranda. – Ale po co teraz zajmujesz się tą sprawą?

– Zupac został skazany za napad z bronią w rękę i zabójstwo

pierwszego stopnia. Choć na Ulvøi nie działał sam, nikogo nie oskarżono o współudział. Zupac nikogo nie sypnął. Interesują mnie świadkowie zajścia i pozostałe szczegóły śledztwa.

– Dlaczego? – warknął zirytowany inspektor.

Franken się zawahał.

Gunnarstranda z trudem panował nad sobą.

– Ilijaz Zupac był związany z Elisabeth Faremo w czasie, kiedy został oskarżony i skazany – rzucił szybko Frølich.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Inspektor zaczął obmacywać kieszenie w poszukiwaniu papierosów.

– Zdaje się, że udało mi się wzbudzić twoje zainteresowanie – zaśmiał się Franken.

– Od dłuższego czasu coś mi chodzi po głowie – odpowiedział Gunnarstranda.

– Co takiego?

– Twój związek z tą dziewczyną był częścią gry.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwał Frølich.

– Nawet jeśli masz rację, to nie rozumiem, o co miałyby w tym wszystkim chodzić.

– I chociaż nie wiesz, o co chodzi, idziesz dalej tropem Ilijaza Zupaca?

– Oczywiście.

– Dlaczego?

– Z powodu zabójstwa strażnika. Moim zdaniem ten trop eliminuje pewien problem.

– Jaki problem?

– Czwartego napastnika. Ilijaz nie dokonał kradzieży sejfu w pojedynkę. Był chłopakiem Elisabeth, siostry Jonny’ego Faremo.

Jestem gotów założyć się o stówę, że Jonny brał udział w tej kradzieży. Jeśli mam rację, Faremo musiał czasami współpracować z innymi kolesiami niż Ballo czy Rognstad. Tajemnicą poliszynela jest to, że tamtej nocy, kiedy na nabrzeżu portowym zabito strażnika, sprawców było czterech. Wiemy o istnieniu czwartego napastnika, ale nie mamy pojęcia, kto nim był.

– Jeśli wrócisz do pracy, możliwe, że będziesz mógł zająć się tą sprawą – powiedział Gunnarstranda w zamyśleniu.

– Nie sędzę. Dopóki ślad będzie prowadził przez Elisabeth Faremo, zawsze zarzucą mi stronniczość.

– Nie wolno ci zajmować się tą sprawą. Jesteś przecież na urlopie.

– Odkąd wziąłem wolne, nic innego nie robię.

Znowu przyglądali się sobie w milczeniu. Znali się jak łyse konie i dlatego nie wałkowali tego, co było dla nich oczywiste. Frølich złamał wszystkie zasady i zamierzał nadal to robić bez względu na to, jak bardzo inspektor usiłowałby go powstrzymać.

– Znaleźliśmy samochód – powiedział nagle Gunnarstranda.

– Jaki samochód?

– Saaba należącego do Jonny’ego Faremo, tego, którego prawdopodobnie widziano w pobliżu rzeki w dniu, kiedy Faremo opuścił areszt.

– W jakim jest stanie?

– Auto stało porzucone na drodze niedaleko Sollihøgda, sto kilometrów od Askim. Rolnik, który codziennie pokonuje tę drogę traktorem, w końcu nie wytrzymał i zadzwonił na policję.

– Sprawdziliście saaba?

– Kripos pracuje nad tą sprawą. Postaraj się nie robić głupstw i informuj mnie na bieżąco, gdzie jesteś i co robisz.

Frank Frølich skinął powoli głową i wyszedł.

\*

Gunnarstranda odczekał, aż za Frølichem zamkną się drzwi, po czym doskoczył do biurka i chwycił słuchawkę telefonu.

Zadzwoił do oficera śledczego z Økokrimu<sup>11</sup>, którego znał najlepiej: „Hønsehjernerne”<sup>12</sup> Sørлие. Zanim jednak Sørлие zdążył odebrać telefon, Gunnarstranda dostał jednego ze swoich gruźliczych ataków kaszlu.

– To ty?! – spytał Sørлие, przekrzykując hałas. – Wszystko w porządku?

Gunnarstranda skinął głową, z trudem łapiąc powietrze.

– To tylko moje zgniłe płuca.

– Może powinieneś przestać palić?

– Może owce powinny przestać beczeć? – zaproponował Gunnarstranda i wyprostował plecy. – Mam do ciebie pytanie.

– Strzelaj.

– Inge Narvesen. Mówi ci coś to nazwisko?

– Biznesmen.

– Coś jeszcze?

– Wiem, że interesuje się sztuką.

– Jaką sztuką?

– Malarstwem, zresztą wydał na to sporo pieniędzy. Jego kolekcja to, jak się zdaje, coś *à la* zbiory Stenersena<sup>13</sup> w czasach, kiedy był na szczycie, z tą różnicą, że Narvesena nie kręci tak bardzo sztuka współczesna.

– A z czego żyje?

– Jest maklerem giełdowym. Kupuje i sprzedaje na giełdzie.

– Kupuje i sprzedaje?

– I jest c h o l e r n i e bogaty – dodał Sørlie. – Sporo inwestuje w nieruchomości. Słyszałem, że ostatnio kupił ogromne tereny, które Lasy Państwowe wystawiły na sprzedaż. Wygląda na to, że zamierza wybudować kompleks minielektrowni wodnych. Teraz, kiedy ceny energii rosną, a rząd w mniej lub bardziej otwarty sposób olewa ochronę środowiska, budowa elektrowni stała się bardzo intratną inwestycją.

– Żadnego konfliktu z prawem?

– Bardzo wątpię. Narvesen gra *fair*. Nigdy nie słyszałem, żeby był zamieszany w coś niezgodnego z prawem. Nawet na giełdzie cieszy się dobrą opinią.

– Żadnych słabych punktów, żadnego molestowania małych chłopców czy obnażania się przed harcerkami...?

– Inge Narvesen jest czysty jak łąza. Możesz mi wierzyć.

– W takim razie to musi być wyjątkowy człowiek.

– Jeśli ma coś na sumieniu, to najwyżej jakieś przekręty finansowe. Ale nic mi o tym nie wiadomo.

– Tak, tak – rzucił niezadowolony Gunnarstranda. – Będziemy w kontakcie.

\*

Kiedy Frank Frølich znalazł się na klatce schodowej, pierwsze, co zrobił, to skierował się w stronę skrzynki na listy. Było w niej tak dużo przesyłek, że ledwo udało mu się przekręcić klucz. Kiedy ją otworzył, ze środka natychmiast wypadła sterta rachunków. Chwilę później na kamiennej posadzce wylądował list ze starannie wykaligrafowanym imieniem, nazwiskiem i adresem Frankena. Na kopercie nie było nadawcy.

Z trudem pohamował ciekawość. Jadąc windą, ważył niecierpliwie list w dłoni. Czy to mógł być list od Elisabeth? Zamknął oczy. Nie był w stanie jasno myśleć. *Długie fragmenty kości. Płomienie.*

Oblał go zimny pot. Kiedy winda zatrzymała się na jego piętrze, pchnął drzwi kabiny. Włożył list do ust, żeby wolną ręką otworzyć drzwi do mieszkania. Kiedy tylko znalazł się w środku, rozerwał kopertę i zaczął czytać.

*Elisabeth mawiała, że w pisaniu listu najtrudniejszy jest nagłówek. Zawsze długo zastanawiała się nad tym, jak zacząć list. Czy napisać „Cześć”, czy „Drogi”, czy w ogóle pominąć nagłówek. Jej zdaniem pierwsze słowa listu były równie ważne co jego treść, ponieważ sygnalizowały emocjonalną więź łączącą nadawcę z odbiorcą. Listy od Elisabeth zawsze dawały mi poczucie bezpieczeństwa, ponieważ zaczynały się od słów „Droga Reidun”. W ten sposób uspokajała mnie na tyle, że byłam gotowa przyjąć zawarte w treści wiadomości – chociaż zdarzało się, że to, co miała do powiedzenia, trudno mi było przełknąć. To właśnie z listu dowiedziałam się o Twoim istnieniu. Ale nie czas na sentymentalne wynurzenia. Chcę Cię tylko zapewnić, że wszystkie listy, które dostałam od Elisabeth, zostały spalone. Jak widzisz, zdecydowałam się nie umieszczać żadnego nagłówka. Myślę, że postąpiłam właściwie. Nie wzięłam jeszcze tabletek. Chcę najpierw wysłać ten list. Nie wiem, kto mnie znajdzie, i szczerze mówiąc – nie dbam o to. Piszę do Ciebie, ponieważ zauważyłam, że męczą Cię te same uczucia, z którymi ja sama nie mogę dojść do ładu. Dlatego mam nadzieję, że mnie zrozumiesz i spełnisz moje ostatnie życzenie. Nie wiem, czy Elisabeth uda się przeciwstawić tym podłym ludziom. Mam nadzieję, że tak, ale już dawno pozbyłam się złudzeń. Elisabeth ostrzegła mnie przed nimi, ale ja, jak zwykle zbyt pewna siebie, nie potraktowałam jej ostrzeżeń poważnie. Wierzyłam naiwnie, że dam sobie z nimi radę. Zawsze jednak bałam się bólu. I tym mnie pokonali – chociaż wiedziałam, że zdradzając jej kryjówkę, będę musiała zrobić to, co zaraz zrobię, nie byłam w stanie postąpić inaczej. To ja powiedziałam im, gdzie ukrywa się Elisabeth. I z tego powodu to ja jestem w pewnym sensie odpowiedzialna za to, co się z nią stanie. W ten sposób przypieczętowałam swój los. Mam*

*nadzieję, że Elisabeth wyjdzie z tego cało, ale nie mam złudzeń ani odwagi, żeby czekać, aż te nadzieje się spełnią. Jeśli ten koszmar skończy się dla Elisabeth pomyślnie, powiedz jej ode mnie: Kochana moja, wybacz mi, próbowałam, naprawdę próbowałam.*

*Reidun*

Frank Frølich osunął się na krzesło. Trudno mu było pozbierać myśli. Zanim zaczął czytać, miał nadzieję, że to list od Elisabeth. Kiedy się zorientował, że nadawcą jest Reidun Vestli, przeżył szok. *Wybacz mi, pomyślał, ci podli ludzie, pomyślał, moje ostatnie życzenie, pomyślał* – i zaczął czytać list od początku.

\*

Wzdrygnął się, kiedy zadzwonił telefon. Złapał słuchawkę.

– Rozmawiałem z Sørliem z Økokrimu o tym nadzianym facecie, którego obrabował Ilijaz Zupac, o tym całym Narvesenie – zaczął Gunnarstranda.

*Dzwoni coraz częściej.*

– Ach tak? I co, wie coś więcej na temat Narvesena?

– Jak zwykle nic, poza tym że Narvesen jest obrzydliwie bogaty. Gra na giełdzie, jest właścicielem wielu dzieł sztuki i ogromnych połaci lasu w Hedmarku.

– Wiedziałem o tym.

Gunnarstranda odkaszlnął.

– Przed chwilą Sørliem zadzwonił do mnie jeszcze raz, wygląda na to, że to nazwisko wciąż chodziło mu po głowie, bo na wykazie większych wypłat gotówkowych, które Økokrim otrzymuje z poszczególnych banków, pojawiło się właśnie nazwisko Ingego Narvesena. Dokładnie chodzi o Nordeę.

– Większa wypłata?

- Pięć milionów.
  - Dlaczego banki informują o tym Økokrim?
  - Rutynowe działanie, takie są procedury. Banki mają obowiązek informować o większych transakcjach, wypłatach gotówki i takich tam, żeby wyłapać ewentualne przypadki prania brudnych pieniędzy.
  - Czy Narvesen wyjaśnił, na co chce wydać pięć milionów?
  - Wydaje mi się, że nie zdążył nic zrobić w tej sprawie. Ale najciekawsze jest to, że wypłaty dokonał w wyjątkowym dniu.
  - To znaczy?
  - W tym samym, w którym Jonny Faremo opuścił areszt, a jego siostra zapadła się pod ziemię.
- Franken patrzył przez okno na samochód, który o mały włos zderzyłby się z innym autem, na rondzie, wiele metrów pod nim.
- Co o tym sądzisz? – spytał. – Nie rozmawiałbyś ze mną, gdybyś nie miał własnej teorii, prawda?
  - Te sprawy wcale nie muszą się ze sobą łączyć. Ale wiesz przecież, co sądzę na temat tak zwanych zbiegów okoliczności.
  - Teoria przypadków według Gunnarstrandy – zaczął Franken z lekkim uśmiechem. – Przypadki nie istnieją. Słowo „przypadek” jest konstrukcją, która zastępuje i w pewnym sensie zasłania logiczne wyjaśnienie konkretnych zdarzeń.
  - Nieźle, Frølich. Zgadzam się, żebyś to ty napisał mój nekrolog. Ale jeśli moja teoria jest prawdziwa, Narvesen nie wypłacił pieniędzy z byle powodu. Obstawiam, że chodzi o szantaż.
  - Dlaczego?
  - Narvesen był już wcześniej szantażowany.
  - Co?
  - Poszperałem trochę w archiwum. To historia



z dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Rejsy wycieczkowe. Narvesen był głównym udziałowcem jednej ze spółek armatorskich, które pływają z amerykańskimi turystami na Karaiby. To było tuż po pożarze Scandinavian Star. Wszyscy dyskutowali o standardach bezpieczeństwa i ofiarach zaniedbań na statkach pasażerskich, pamiętasz? Szantażysta chciał wyłudzić od Narvesena dziesięć milionów. Straszył go, że jeśli nie zapłaci, to zrobi przeciek do mediów o łamaniu elementarnych zasad bezpieczeństwa na wycieczkowcach. Szantażystą okazał się Norweg, niegdyś kapitan na jednym ze statków Narvesena. Został zwolniony za pijaństwo i prawdopodobnie chciał się odegrać.

– I jak to się skończyło?

– Został zatrzymany. Dostał trzy lata.

Dwa samochody, które cudem uniknęły zderzenia, zablokowały ruch na rondzie. Ktoś zatrąbił. Po chwili auta ruszyły. Ktoś wygrażał pięścią przez otwarte okno. W końcu samochody zniknęły w korku ulicznym.

– Skoro faceta złapali, to Narvesen musiał zwrócić się do policji o pomoc. A teraz tego nie zrobił.

– To jasne. Ale z jakiego innego powodu ktoś wypłacałby z banku pięć milionów?

– Mnie nie pytaj. Ale jeśli Narvesen jest takim wzorem cnót, jak mówisz, to na pewno byłby ostrożniejszy, gdyby chodziło o pranie brudnych pieniędzy. Mógłby na przykład posłużyć się kontem któregoś z klientów, jakiegoś zaufanego adwokata czy kogoś innego. Wypłata takiej kwoty gotówką świadczy o tym, że albo miał czyste zamiary, albo bardzo się spieszył.

– „Pośpiech”, podoba mi się to słowo – odpowiedział

Gunnarstranda. – Zwłaszcza kiedy myślę o dniu, w którym wypłacił tę kwotę.

– A co mówi Sørлие?

– Sørлие uważa, że Narvesen jest czysty jak ła. Zdaje się, że nawet w to wierzy. Ale ja nie słyszałem o takich ludziach. Moim zdaniem wszystko jest możliwe. Kto wie, może Narvesen pozował w stringach i z jabłkiem w gębie i ktoś zrobił mu zdjęcie podczas seansu?

– W naszych czasach nikogo to już nie zszokuje.

– Może lubi się zabawiać z małymi chłopcami i został przyłapany przez prywatnego detektywa swojej żony?

– Nie miał wtedy żony – odpowiedział Franken. – I wątpię, żeby interesowali go mężczyźni. Zresztą, bez względu na to, czy się ożenił, czy nie, dziewięciu na dziesięciu bohaterów artykułów „Dagens Næringsliv” to single, którzy uwielbiają błysk fleszy, cały wolny czas spędzając na bzykaniu, a w przerwach popijając szampana. Nie, seks to przestarzała sprawa, ja bym raczej obstawiał jakieś przekręty w interesach.

– Problem polega na tym, że Narvesen uchodzi za uczciwego biznesmena, wzór do naśladowania, nawet na giełdzie.

– Na giełdzie nie ma miejsca na uczciwość. Sørлие powinien wiedzieć o tym najlepiej.

– Zgoda, ale rozmawiamy o tym rodzaju uczciwości, który regulują przepisy prawa. Inge Narvesen stoi zawsze po właściwej stronie, i to ze sporym marginesem błędu. I dlatego nie mamy dużego pola manewru, jeśli chodzi o wyjaśnienie zagadki wypłaty pięciu milionów.

– A może w grę wchodzi porwanie dla okupu? – zastanawiał się Frølich.

– Narvesen nie ma dzieci ani żadnych cennych rzeczy, które by się do tego nadawały, koni wyścigowych czy psów championów. Ale domyślałam się, że Sørle zwróci się do niego oficjalnie z pytaniem o powód wypłaty. Zobaczymy, jaką odpowiedź zaserwuje nam Narvesen.

\*

Frank Frølich odłożył słuchawkę. Przez długą chwilę stał nieruchomo i patrzył przed siebie. Myślał o Narvesenie i o procedurach. Sørle i oficjalne zapytanie. *Tik-tak*, myślał rozdrażniony, *czas ucieka. A wszystko idzie jak po grudzie. Nic się nie dzieje.* Spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Dochodziła pierwsza. Pora lunchu dla tych, którzy byli w pracy. Z czasów śledztwa dotyczącego włamania do domu Narvesena w 1998 roku zapamiętał dobrze jedną rzecz: niemal surrealistyczną rozmowę z Narvesenem podczas lunchu, przy jego stałym stoliku w restauracji Teatralnej.

Lunch. Restauracja Teatralna. Ta sama godzina.

To byłby ślepy traf. Ale czy miał coś innego do roboty?

Pojechał metrem do stacji Teatr Narodowy. Stamtąd szybkim krokiem ruszył w stronę restauracji, pokonując Stortingsgaten. Ze spuszczoną głową przeszedł obok okien Teatralnej, w której goście jedli lunch zajęci sobą i innymi. Kiedy skręcił za róg Klingenberggaten, zerknął do środka i zauważył, że Inge Narvesen siedzi przy swoim stoliku, sam, tak jak to miał w zwyczaju. Właśnie dopijał poobiednią kawę, co oznaczało, że niedługo opuści lokal.

Franken znowu sprawdził godzinę. Dochodziła za piętnaście druga. Okrążył budynki i przyłączył się do grupy ludzi czekających na tramwaj przed Teatrem Narodowym, *vis-à-vis* hotelu Continental i okien restauracji Teatralnej. W powietrzu wirowały płatki śniegu.

Drobne, pojedyncze płatki unosiły się na wietrze, po czym osiadały niczym kurz na ramionach ludzi i rękawach płaszczy. W oknie po przeciwnej stronie ulicy mignęła brązowa grzywka Narvesena. Kiedy wybiła druga, mężczyzna się podniósł, żartując przez chwilę z kelnerem, który sprzątał ze stolika. *Dziani klienci, hojne napiwki.* Frank Frølich poczekał, aż Narvesen wyjdzie na korytarz, i przeszedł na drugą stronę Stortingsgaten. Narvesen przez chwilę mocował się z zimowym płaszczem. Kiedy wychodził z restauracji, Frølich właśnie stawiał stopę na chodniku.

– A niech mnie! – zawołał. – Witam! Miło znów pana widzieć. Kupę lat! – uściśnął Narvesenowi rękę, którą ten automatycznie wyciągnął w jego stronę.

– Czy my się znamy?

Z całej postaci Narvesena biło zdziwienie. W zimowym płaszczu, przechylony do przodu, ze zrolowanymi rękawiczkami w lewej dłoni przypominał Johna F. Kennedy’ego ze starego zdjęcia. Małe płatki śniegu osiadły na jego włosach.

– Jestem policjantem. Spotkaliśmy się w związku z włamaniem, do którego doszło kilka lat temu, kiedy z pańskiego domu skradziono sejf.

Zaskoczenie, które malowało się na twarzy Narvesena ustąpiło miejsca irytacji.

– Pieniądze, których nigdy nie odzyskałem?

– Co to jest pół miliona – odpowiedział z uśmiechem Frølich – w porównaniu z okrągłymi pięcioma milionami w gotówce.

Oczy Narvesena zamieniły się w wąskie szparki. Milczał.

– Niecały tydzień temu bank Nordea zarejestrował wypłatę pięciu milionów koron w banknotach o niewielkich nominałach. Na

dyspozycji jest pańskie nazwisko.

– To chyba pana nie dotyczy?

– Mnie może nie, ale najwyraźniej Økokrim tak.

Narvesen przyglądał mu się w zamyśleniu. Rękawiczki, które trzymał zrolowane w jednej ręce, przełożył do drugiej. Po chwili zaczął strzepywać nimi pojedyncze płatki śniegu z ramienia.

– A więc jest pan policjantem. Proszę mi przypomnieć nazwisko...

– Frølich.

– Tak, teraz sobie przypominam. Wyglądał pan wtedy trochę inaczej.

– Miałem brodę.

– No właśnie! Tak, teraz coś zaczyna mi świtać. Cóż, na pewno wie pan o tym, że jestem bogaty?

Frølich przytaknął i pomyślał: *Facet spotyka ponownie gliniarza, który prowadził śledztwo w sprawie skradzionych pieniędzy, pół miliona koron, i mówi do niego „Tak, coś zaczyna mi świtać”.*

Inge Narvesen ruszył przed siebie. Szli ramię w ramię, aż w końcu Narvesen powiedział:

– Jeśli wymienię jakąś liczbę, powiedzmy, że tą liczbą jest milion osiemset tysięcy, mówi to panu coś?

– Niezłe mieszkanko na przedmieściach Oslo, na przykład w mojej dzielnicy.

– A jeśli powiem osiem miliardów koron, czy teraz ma pan jakieś skojarzenia?

– Do takiej kwoty trudno się ustosunkować.

Narvesen *alias* Kennedy rzucił okiem na Frølicha i uśmiechnął się krzywo. Skręcili w Roald Amundsens gate i udali się w kierunku skrzyżowania Klingenberggate i Haakon VII's gate.

– Ja też mam z tym problem – powiedział Narvesen. – Dokładnie czternaście godzin temu wartość ułamka mojego portfolio wzrosła o sto pięćdziesiąt milionów koron. Jutro o tej porze ta sama część będzie warta trzysta milionów koron więcej. Nie moja w tym zasługa, wpływ na to miało wiele różnych czynników: obecne niskie oprocentowanie, moje długofalowe inwestycje, dywersyfikacja portfolio i, co równie ważne, ogólna sytuacja ekonomiczna kraju. I nie pierwszy raz tak się dzieje. Doświadczyłem wielu podobnych, pozornie wiecznych zwyżek w tej kolejce górskiej, jaką jest rynek akcji. Zawsze jednak wychodziłem cało z kryzysów, które następowały po okresach koniunktury. I umiałem zapewnić sobie środki, by móc dalej prowadzić działalność. Dlatego zdradzę panu moją małą tajemnicę.

Kiedy dotarli do skrzyżowania, Narvesen się zatrzymał.

– Śmiało, proszę mówić – niecierpliwił się Franken.

– Najlepszym lekarstwem na wieczny optymizm na giełdzie jest wyprawa do banku. Wypłacam wtedy znaczną sumę pieniędzy, wpycham banknoty do reklamówki i wkładam ją do szuflady w swoim gabinecie. Ostatni raz zrobiłem tak niecały tydzień temu. Owszem, wypłaciłem pięć milionów koron w gotówce. Pieniądze wciąż leżą w moim gabinecie. W reklamówce. Za każdym razem, kiedy dokonuję transakcji na niewyobrażalną skalę, podchodzę do tej szuflady i zaglądając do reklamówki, mówię do siebie: Inge Narvesenie, to o to w tym wszystkim chodzi, o prawdziwe pieniądze. Za zawartość tej reklamówki możesz sobie kupić przyzwoitą posiadłość, ponadprzeciętny samochód i średniej klasy domek letniskowy, a resztę pieniędzy wpłacić do banku i utrzymywać się z samych odsetek.

– Trzyma pan pięć milionów w szufladzie w swoim gabinecie?

Narvesen skinął głową.

– A teraz muszę wrócić do biura, żeby zarobić więcej pieniędzy.

Miło było cię widzieć, Frølich. Życzę ci udanego dnia.

Franken stał i patrzył za nim. Dwie minuty rozmowy o pieniądzach i z pan przeszli na ty. *Pięć milionów w szufladzie? Nie rozśmieszaj mnie.*

Przeliczył w myślach: pięć milionów koron to pięćdziesiąt tysięcy banknotów stukoronowych. Czy taka liczba zmieściłaby się do reklamówki? Nawet jeśli wypłacili mu w tysiącach, to dostał pięć tysięcy banknotów. Ilu reklamówek musiałby użyć? Okej, Inge Narvesen chciał poznać siłę swoich pieniędzy, ale dlaczego nie ograniczył się do stu tysięcy koron? Albo do dwustu tysięcy? Musiało chodzić o coś więcej. Mógł przecież zarobić wirtualnie astronomiczne pieniądze, a potem zajrzeć od torby i przekonać się namacalnie, ile banknotów wchodzi w skład stu tysięcy. Ale żeby zaraz pięć milionów?

Przypomniała mu się sytuacja sprzed sześciu lat. Nastrój panujący w domu Narvesena. Grobowa cisza. Zaniepokojony wzrok matki Narvesena, która reprezentowała interesy syna. Tak, właśnie tak było. Narvesen był na wakacjach, w jednym z gorących miejsc, na Seszelach czy Komorach, albo jeszcze gdzie indziej, i to jego matka stawiała się po wykryciu włamania. Dom syna stał się miejscem przestępstwa. To była noc albo wczesny poranek. Matka Narvesena siedziała w rogu kanapy niczym mały, samotny ptak, pełna czarnych myśli, podczas gdy Narvesen dawał jej wytyczne, dzwoniąc z wysp na Oceanie Indyjskim.

Frankowi Frølichowi przyszedł na myśl Ilijaz Zupac, który

odsiedział już pięć lat wyroku za inne, brutalniejsze przestępstwo.  
*Może nadszedł czas, żeby złożyć Zupacowi wizytę?*



#### 4

Był lodowaty poranek. Wąski pas chmur przypominający czerwoną lawę zapowiadał początek dnia. Frank Frølich ruszył na północ drogą E6, w kierunku przeciwnym do tego, który wybierała większość kierowców, i do słońca, które wzeszło na wschodzie. Kiedy z piskiem opon minął ścianę lasu za Karihaugen i Nedre Romerike, krajobraz, który się przed nim rozpostarł, przypominał olbrzymi patchwork uszyty z uśpionych pól. Franken wyjął ze schowka okulary przeciwsłoneczne. Trzypasmowa droga, sto dwadzieścia kilometrów na godzinę i ciąg samochodów na przeciwległych pasach – czuł się jak król szos. Wsunął do odtwarzacza płytę Dylana *Slow Train Coming* i nastawił piosenkę tytułową – długą, z głośnym brzmieniem gitary, która idealnie pasowała do scenerii. Poza tym w refrenie o zbliżającym się pociągu było coś pokrzepiającego. Ta piosenka mogłaby być o nim. Sprawy posuwały się powoli, ale w dobrym kierunku. Kiedy Dylan skończył śpiewać, Franken jeszcze raz puścił tę samą melodię, a potem jeszcze raz, aż zatrzymał się przed wysokimi murami więzienia Ullersmo.

Minął śluzę w wewnętrznym murze i stanął oko w oko z młodym mężczyzną o gęstych, jasnych kręconych włosach, który zwrócił się do niego z pytaniem: – To pan chce się zobaczyć z Ilijazem?

Frølich skinął głową.

– Freddy Ramnes, jestem tutejszym lekarzem.

Uścisk jego dłoni był silny i zdecydowany. Patrząc Frølichowi prosto w oczy, zapytał: – Znał pan wcześniej Ilijaza Zupaca?

Franken uniósł brwi i po chwili namysłu postanowił powiedzieć prawdę.

– To ja zatrzymałem Zupaca jesienią dziewięćdziesiątego ósmego roku i jeszcze tego samego dnia przeprowadziłem pobieżne przesłuchanie. Potem zeznawałem w sądzie jako świadek. Nie spotkaliśmy się nigdy więcej.

Ramnes się zawahał.

– Jest pan tutaj służbowo?

– Chwilowo jestem na urlopie.

– Mogę wiedzieć, po co pan tu przyjechał?

– Z powodów osobistych.

Przyglądali się sobie w milczeniu. Frank Frølich czekał na następne, niewygodne pytanie: „Co to za osobiste przyczyny?”. Ale to pytanie nie padło.

W końcu Frølich przerwał ciszę:

– Są jakieś problemy? Nie życzę sobie ze mną rozmawiać?

Lekarz zwlekał z odpowiedzią.

– To nie moja sprawa – powiedział w końcu, wkładając ręce do kieszeni, jakby słowa, których szukał, właśnie tam się znajdowały. – Chodzi raczej o zaistniałą sytuację. Ilijaz jest przypadkiem klinicznym. To człowiek, który wymaga leczenia psychiatrycznego, leczenia, którego tutaj nie jesteśmy mu w stanie zapewnić.

Zamilkł, jakby wciąż szukał odpowiednich słów.

– Tak? – powiedział Frølich pytającym tonem.

– Ilijaz to trudny pacjent. Lepiej, żeby był pan na to przygotowany. Cóż – rzekł w końcu. – Idziemy?

Ich kroki odbijały się echem od betonowych ścian. Wyjątkowa sytuacja. Lekarz uczestniczący w widzeniu. Ale jest jeszcze młody, idealista.

Weszli do jednego z mniej obskurnych pokojów odwiedzin, w którym osadzeni mogli spotykać się ze swoimi małżonkami i gdzie w szafce leżały prezerwatywy. Mimo to pokój nie zachęcał do dłuższego pobytu. Mieściły się tam tylko tania wersalka, stół i fotel. Ściany były gołe. Przed kaloryferem, między ścianą a fotelem, siedział na podłodze jakiś człowiek z twarzą ukrytą w dłoniach. W pierwszej chwili Frølich go nie rozpoznał. Niegdyś śniada skóra była szara. Włosy – jeden wielki, przetłuszczony kołtun – przypominały olbrzymie jaskółcze gniazdo, plecy okryte dziurawym T-shirtem wyginały się żałośnie w pałąk. Postać siedziała w kucki jak Hindus medytujący nad brzegiem Gangesu.

Frank Frølich i Freddy Ramnes wymienili spojrzenia.

– Ilijaz – odezwał się lekarz.

Brak reakcji.

– Ilijaz!

Postać się poruszyła. Brudna dłoń o wąskich palcach i niewiarygodnie długich paznokciach zaczęła nawijać włosy na palec.

– Ilijaz, chcesz się napić coli?

Sytuacja była idiotyczna. Franken spojrział na lekarza, którego twarz wciąż wyrażała powagę i empatię.

– Ilijaz, masz gościa.

Spojrzenie, spłoszone jak u wystraszonego kota, i głowa znowu zniknęła w dłoniach.

– Ilijaz, przywitasz się z Frankiem?

Głowa się nie poruszyła.

Frank Frølich odchrząknął.

– Ilijaz, pamiętasz mnie?

Żadnej reakcji.

– To ja cię wtedy aresztowałem, sześć lat temu, na stacji benzynowej. Jestem tym policjantem, który potem z tobą rozmawiał.

Żadnej reakcji.

– Chodziłeś wtedy z Norweżką o imieniu Elisabeth – ciągnął Franken. – Chciałem porozmawiać z tobą o... – Zamilkł, ponieważ postać się poruszyła. Skulone ciało wcisnęło się w sam róg pokoju.

Policjant i lekarz wymienili spojrzenia. Franken dokończył zdanie:

– ...o Elisabeth Faremo. O Jonnym Faremo, Vidarze Ballo i Jimie Rognstadzie. – Zamilkł. Wciąż żadnej reakcji. Odchrząknął i mówił dalej: – Mam ze sobą zdjęcie Elisabeth. Rzucisz na nie okiem?

Żadnej reakcji.

Frølich i Ramnes kolejny raz wymienili spojrzenia. Lekarz stał z rękami w kieszeniach, w wyczekującej pozycji.

– To nie był chyba dobry pomysł – powiedział policjant.

Freddy Ramnes potrząsnął głową. Wyjął z przepastnej kieszeni półlitrową, plastikową butelkę coli i postawił ją na podłodze.

– Trzymaj się, Ilijaz – powiedział i ruszył w stronę drzwi.

Przeszli w milczeniu tym samym korytarzem co poprzednio.

– Gdybym umarł, pracując tutaj – zaczął Freddy Ramnes drżącym od gniewu głosem – to na moim nagrobku powinien się znaleźć napis: „Zabiła go norweska polityka penitencjarna”. Ci, którzy ponoszą polityczną odpowiedzialność za system penitencjarny, postawili mnie przed tragicznym dylematem: czy zakładać temu biedakowi kaftan bezpieczeństwa, czy raczej co wieczór faszerować go prochami, żeby ze sobą nie skończył.

– Teraz też był na prochach?

– Oczywiście.

– Czy to znaczy, że mógł nie pamiętać nazwisk?

– To oznacza, że jest spokojny, ale równocześnie całkowicie obojętny na to, co pan i ja mamy mu do powiedzenia. Ci, którzy znają się na rzeczy, mówią, że można to porównać do lobotomii.

– Co mu jest?

Freddy Ramnes przeszedł w milczeniu kilka metrów. Wyglądało to tak, jakby dał upust złości i znowu wziął się w garść, przywrócił godność środowisku, które reprezentował – godność, którą chwilę wcześniej rozsadziły gwałtowne emocje.

– Gdybym się specjalizował w psychiatrii, być może byłbym w stanie udzielić panu odpowiedzi. Jedyne, co mogę zrobić, to próbować umieścić go w odpowiedniej placówce i dostać odmowę. Bo przecież on j e s t w odpowiedniej placówce, czyż nie? – Ramnes wykrzywił twarz w grymasie.

Frølich nie wiedział, co powiedzieć.

– Cóż, już sam nie wiem – ciągnął lekarz łagodniejszym tonem. – W końcu to tylko nazwy, etykiety: psychotyczne zaburzenie osobowości, dwubiegunowe zaburzenie osobowości, schizofrenia, *you name it*. Cynicy nazwaliby to psychozą więzienną.

– Jak już mówiłem, miałem kontakt z Ilijazem sześć lat temu. To był zupełnie inny człowiek.

Ramnes wciągnął powietrze.

– Jedyne, co wiem, to to, że symptomy choroby pojawiły się dopiero tutaj, podczas odsiadki wyroku. To się zaczęło wtedy, kiedy dostałem etat w tutejszym więzieniu. Silny lęk, wycofanie, paranoja. I niestety, choroba się pogłębia.

– Czy ktoś go odwiedza?

Ramnes się zatrzymał i spojrział na policjanta ze sceptycyzmem.

– Wyglądasz na miłego gościa, Frølich, ale poruszamy się po grząskim gruncie. A ponieważ obowiązuje mnie tajemnica lekarska, musisz się zwrócić z tym pytaniem do kogoś innego.

## 5

To był pierwszy dzień od osiemnastu lat, kiedy inspektor Gunnarstranda nie zjawił się w pracy. Poprzedniego wieczoru zauważył, że Kalfatrus pływa przechylony na bok. Usiadł ze szklanką whisky i zaczął obserwować welonkę, która wpływała w obręb szkła powiększającego utworzonego przez kuliste naczynie i z niego wypływała. Zasnął w fotelu, a kiedy się obudził, postanowił, że tej nocy nie pójdzie spać. Siedział i przyglądał się złotej rybce, na którą padało światło latarni stojącej za oknem. Czuł, że coś jest nie tak. Ale nie miał pojęcia, co to mogło być. A zresztą, czy to ważne? Przecież to tylko ryba. Przez ułamek sekundy wyobraził sobie, jak niesie Kalfatrusa w worku foliowym, jak siedzi z czerwoną welonką u weterynarza:

„A więc co dolega temu malcowi?”

„Pływa odrobinę krzywo, panie doktorze”.

Sytuacja nie wyglądała zachęcająco. Nie mógł się uwolnić od lęku. Był pewny, że ta mała welonka go przeżyje. Niestety, wszystko wskazywało na to, że stanie się na odwrót. Próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tak bardzo go to niepokoi. Czy martwi się o rybę, czy o siebie? Czy jego przygnębienie spowodowane jest lękiem przed samotnością – życiem bez Kalfatrusa – czy ma raczej podłoże empatyczne i wynika z autentycznej troski o stan zdrowia welonki? *Czy ryby odczuwają ból?* zastanawiał się.

Poprzedniego wieczoru spróbował niemal wszystkiego: wymienił wodę, umył akwarium, przepłukał piasek leżący na dnie, dostarczył welonce świeżą porcję pożywienia. Mimo to ryba pływała coraz bardziej krzywo, a charakterystyczne otwieranie pyszczka odbywało się z mniejszą częstotliwością.

*Jeśli teraz umrze, to chyba ze starości.* To było całkiem prawdopodobne. Próbował się cofnąć myślami do dnia, w którym kupił welonkę. Kiedy to było? Nie pamiętał. A poza tym nie miał zielonego pojęcia, jak długo żyją takie ryby. Jedyne, co pamiętał, to to, że welonka kosztowała siedemnaście koron. Chwilę później wyobraził sobie, jak stoi ze słuchawką przy uchu i pyta: „Chciałbym się dowiedzieć, kiedy welonki kosztowały mniej więcej siedemnaście koron i jak długo żyją takie stworzenia.”

Zapalił papierosa i pełny czarnych myśli posłał obłok dymu w stronę kulistego akwarium. Dawno się tak nie czuł, brakowało mu entuzjazmu i chęci do pracy. A powodem tego był widok czerwonej rybki, pływającej krzywo w swoim kulistym akwarium. *Niech cię diabli. Niech cię diabli, jeśli umrzesz teraz. Przede mną.*



## 6

Frank Frølich przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze wiszącym naprzeciwko łóżka. W myślach odtwarzał przebieg wydarzeń: *Zauważyłem, że ktoś jest w mieszkaniu. Elisabeth otworzyła drzwi kluczem, zanim wróciłem z pracy. Najpierw wzięła prysznic. Potem siedziała na podłodze w salonie. Słuchała muzyki, siedząc przed zestawem stereo w samej bieliźnie.*

Wstał i poszedł do salonu. Spojrzał na sprzęt. W ekranie telewizora odbijały się jego własna postać i sprzęty, którymi umeblował pokój.

Cofnął się do przedpokoju, jeszcze raz stanął w drzwiach i zatrzymał wzrok na zestawie stereo. *Kiedy wszedłem do mieszkania, siedziała odwrócona plecami. Powiedziała, że otworzyła drzwi kluczem, który leżał w miseczce z drobiazgami.* Przypomniał sobie jej plecy, kiedy krokiem modelki na wybiegu podeszła do swojego ubrania leżącego na krześle. Pamiętał, jak jej wargi błędziły po jego wargach, pamiętał, jak kręciła biodrami, przechodząc przez pokój. Pamiętał brzęk klucza wpadającego do miseczki w kuchni. Ruszył w stronę drzwi kuchennych. Przez chwilę stał nieruchomo i wpatrywał się w miseczkę z kluczami, zagranicznym bilonem, różnymi śrubkami i wkrętami, pinezkami, kilkoma jednokoronówkami i innymi drobiazgami. Żadnego klucza do mieszkania.

*TO ZNACZY, ŻE NIE ODŁOŻYŁA KLUCZA NA MIEJSCE.*

Ale dlaczego tego nie zrobiła? Poza tym słyszał brzęk klucza

w miseczce z drobiazgami. A może to nie był klucz? Może zamiast klucza do mieszkania wrzuciła coś innego? Drżącymi rękami chwycił miseczkę. Był to wydrążony kawałek brzozy, ciekawie zdobiony półmisek kupiony wiele lat temu na pchlim targu, na który Franken natknął się przypadkiem nad jeziorem Osensjøen w Trysil podczas wyprawy na ryby. Wysypał zawartość na blat kuchenny: monety, kilka śrub, agrafkę, uszkodzony bezpiecznik o natężeniu dziesięciu amperów, znaczek z hasłem przeciwko broni jądrowej, znaczek z hasłem „NIE dla członkostwa w UE”. Jedna z monet, a dokładnie jedno euro, stoczyła się na podłogę. Za nią potoczyła się kulka wypełniona zielonym żelem, ale zdążył ją złapać. Owszem, w miseczce leżał klucz. Wziął go do ręki. *On nie jest mój!* To nie był klucz do jego mieszkania. Nigdy wcześniej go nie widział. To był długi, wąski, dziwnie wyprofilowany klucz do specjalistycznego zamka. *Co jest grane?* Dlaczego zostawiła u niego zupełnie inny klucz? I dlaczego n i e oddała mu jego klucza? Dlaczego go okłamała? Do czego pasował ten klucz?

*Klucz. Jaką skrywa tajemnicę? I gdzie znajduje się zamek?*

Frank Frølich wrócił na sztywnych nogach do salonu i opadł na krzesło. *Nie oddała mi klucza do mieszkania.* Przez ułamek sekundy miał przed oczami kości nóg żarzące się w popiele. *Mój klucz się stopił. Nie. Trzymaj się faktów! Klucz do mieszkania jest nieistotny. Liczy się tylko klucz, który wrzuciła do miski.*

Po raz kolejny przywołał w pamięci kontury jej ciała, kiedy kroczyła przez pokój w stronę kuchni. Brzęk metalu. To znaczy, że blefowała, chciała uśpić jego czujność. Czy chodziło jej o to, żeby zatrzymać klucz do jego mieszkania, czy chciała zdeponować inny, obcy klucz w jego kuchni? Istniała oczywiście trzecia możliwość;

niewykluczone, że chciała osiągnąć oba cele: ukryć obcy klucz i jednocześnie zatrzymać jego klucz do mieszkania, żeby później móc odzyskać depozyt.

Czuł, że to właściwa odpowiedź. Był tego pewny. Świadomie ukryła u niego ten klucz, żeby w stosownym momencie zgłosić się po niego.

Ale nie zdążyła przeprowadzić planu do końca. Została zamordowana i spłonęła w domku letniskowym, w którym się ukrywała.

Nagle przypomniał mu się fragment listu pożegnalnego Reidun Vestli: *Strach przed bólem. Nie udało mi się go pokonać.*

Czyżby tym podłym ludziom chodziło właśnie o klucz? A jeśli tak, kto chciał go zdobyć? I dlaczego?

Nagle zadzwonił telefon. Franken się wzdrygnął.

– Wynik DNA pozytywny – oznajmił Gunnarstranda bez słowa wstępu.

– Jaki wynik?

– Pogorzelsko, dom letniskowy Reidun Vestli. W budynku spłonęła Elisabeth Faremo. Moje kondolencje, Frølich. W najbliższym czasie możesz się spodziewać kolejnej wizyty chłopaków z Kripos.

– Zaczekaj...

– Odpocznij trochę – wszedł mu w słowo inspektor. – Złóż wniosek o zaległy urlop albo weź tydzień wolnego i przeczekaj burzę.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– O czym?

– O kluczu, który właśnie znalazłem.

– Czy to nie może poczekać?

– Nie.

– Przyjdź do mnie wieczorem. Po jedenastej.

\*

Możliwe, że zrobił to dla zabicia czasu. Albo coś go do tego pchnęło, jakiś nagły impuls. Tak czy inaczej postanowił jeszcze raz zajrzeć do lokalu, w którym do niedawna pracowała Merethe Sandmo. Zbliżała się jedenasta. Lokal powoli się zapełniał. Klientela była barwna, wielu gości świętowało wieczór kawalerski. Jeden z nich, prawdopodobnie przyszły pan młody, był przebrany za królika. Mężczyzna był tak pijany, że leżał na trzech krzesłach. Dwóch młokosów w smokingach pokładało się ze śmiechu, usiłując zanurzyć jego dłoń w misce z wodą. Jakiś starszy gość z sumiastym wąsem i szczęką jak u szympansa przyglądał im się ponurym wzrokiem, obracając w palcach kieliszek.

Na scenie stała naga kobieta o czekoladowej skórze i trzęsła piersiami w takt piosenki Toma Jonesa *She's a Lady*, która dudniła z głośników.

Frølich podszedł do baru i zamówił piwo u młodego, przyszczatego barmana ubranego w smoking. Franken wziął do ręki półlitrowy pokal. Nagle przyszło mu do głowy, że mężczyźni w smokingach zawsze wydawali mu się śmieszni. *Nowa pozycja na liście stu rzeczy, z których jestem dumny: Nigdy nie miałem na sobie smokingu. Pozycja, która zostaje usunięta z listy: Nigdy nie byłem na striptizie.* Kobieta z wibrującym biustem skończyła pokaz. Kiedy zeskakiwała ze sceny, śledziło ją wiele par oczu. Światło zostało lekko przyciemnione. Balansując ciałem, Frølich dopchał się do stolika tuż przed samą sceną.

Rozejrzał się dookoła. Czy naprawdę trafił na wieczór kawalerski? Bo ci faceci wyglądali na śmiertelnie poważnych. *Witamy w świecie*

mężczyzn, pomyślał i spojrzał na sufit. Dopiero wtedy zauważył połyskującą kulę dyskotekową, podobną do tej, która wirowała nad głową Johna Travolty w jednym z filmów z lat siedemdziesiątych. Pierwszy raz widział coś takiego na żywo. Powiódł wzrokiem po twarzach gości. Tak, znajdował się na arenie cieni, w godzinie szczura, w orszaku weselnym karaluchów – w tym świetle wszystkie twarze miały ten sam żółtosiny odcień. Tutaj nie liczyło się to, czy jesteś chory czy zdrowy, czy jesteś Aryjczykiem, Hindusem, Chińczykiem, czy po prostu masz doła. Tutaj nie było miejsca na ważenie słów ani na oceny. Samotne dusze, które już następnego dnia albo jakiś czas później, w każdym razie nie od razu, dręczone będą wyrzutami sumienia, złością i pogardą dla samych siebie, przez kilka sekund mogą wmawiać sobie, że wszystko jest kwestią ceny i że pustkę można zapisać. Tutaj obowiązywało hasło: Jeszcze raz to samo!

*A ja tak sobie siedzę jak gdyby nigdy nic*, pomyślał, podnosząc kufel do ust. Zapowiedziano kolejny numer. Z kieliszkiem przy ustach napotkał spojrzenie kobiety wchodzącej na scenę. Miała maskę, która była odlewem twarzy. A jednak rozpoznał ją bez trudu po sylwetce w kształcie klepsydry i afrowarkoczykach. Tańczyła do *When a Man Loves a Woman* Percy'ego Sledge'a. Tancerka dobrze znała swoją publiczność. Nawet wrzaskliwi uczestnicy wieczoru kawalerskiego milczeli jak zakłęci. Kobieta miała na sobie długie rękawiczki sięgające za łokieć, ale największe wrażenie robił kontrast między zimną, pozbawioną życia porcelanową maską a żywą skórą, którą stopniowo odsłaniała. Po chwili puściła się rury i miękko spłynęła ze sceny. Z oczami utkwionymi we Frankenie pozbyła się stanika. Kilku mężczyzn z tyłu lokalu nie wytrzymało napięcia i zawyło jak samce w okresie rui. Młody biznesmen w szarym garniturze z robiącą duże

wrażenie grzywką posłał w jej stronę papierowy samolocik zrobiony z banknotu stukoronowego. Banknot trafił ją w brzuch. Nie zareagowała, ale kocim ruchem wróciła na scenę. Oczy w otworach maski śledziły każdy ruch Frankena, również wtedy, kiedy ściągała rękawiczki. Przez cały czas wodziła za nim wzrokiem, aż do chwili, kiedy się odwróciła i zbiegła ze sceny. Aplauz publiczności zagłuszył muzykę. Tylko panu młodemu w stroju króliczka umknął finał. Mężczyzna klęczał pod stołem i wymiotował.

Frølich był zafascynowany tym, że tancerka do końca nie zdjęła maski.

Podszedł do baru.

Zdążył opróżnić prawie cały półlitrowy pokal piwa, kiedy stanęła obok niego, ubrana, bez maski – zupełnie nie przypominała tamtej kobiety, która chwilę wcześniej opuszczała podium kompletnie naga.

Spytał, czego się napije.

– Wody mineralnej! – zawołała, przebijając się przez hałas.

– Wyrazy uznania – powiedział. Nagle przyszło mu do głowy, że nie ma pojęcia, jaki komplement byłby stosowny w takiej sytuacji. – Jesteś niezła.

– Rozglądałam się za tobą przez kilka wieczorów.

– Nie sądziłem, że zaproszenie jest aktualne.

– Wtedy nie wiedziałam, kim jesteś.

– A teraz wiesz?

Skinęła głową.

– Znasz Elisabeth?

Znowu skinęła głową.

– Muszę już iść – powiedziała. – Weź mnie za rękę.

Chwycił jej dłoń.

– To jest mój numer telefonu – wyjaśniła, osłabiając uścisk. – Nie mogą mnie z tobą zobaczyć.

Wsunął kartkę do kieszeni i zapytał:

– Kogo się boisz?

Piła właśnie wodę i nie mogła odpowiedzieć na pytanie. Po chwili odstawiła szklanekę i ześliznęła się ze stołka.

– Kiedy cię pytają, co ci powiedziałem – zawołał Franken – przekaż im, że mam dla nich wiadomość! To ja mam klucz!

Ruszyła w stronę wyjścia.

Przytrzymał ją za rękę.

W spojrzeniu, który mu posłała, czaił się smutek.

– Naprawdę muszę już iść.

– Mam klucz – powtórzył.

Uścisnęła lekko jego nadgarstek i zniknęła, mocno wymalowana, brązowa od solarium dziwka z klasy robotniczej, która się rozbierała dla kasy w jakiejś pieprzonej melinie. *Co ja najlepszego wyprawiam?* Wcześniejsze myśli odbiły się echem w jego głowie. Wzdrygnął się. Drżącymi rękami odstawił pokal na stolik. Wstał, ruszył schodami na górę i wyszedł na zewnątrz. Odetchnął głęboko. Powietrze było chłodne i rześkie. Kiedy wsiadł do taksówki, było grubo po jedenastej.

\*

Dziwnie się czuł, wspinając się po tych właśnie schodach, mijając drzwi z wizjerami, wciągając zapach klatki schodowej, z którą był emocjonalnie związany, chociaż nigdy wcześniej jej nie widział. Zatrzymał się i przyjrzał mocno sfatygowanym drzwiom, mosiężnej tabliczce z nazwiskiem i aluminiowej skrzynce na gazety. Przyłożył palec do białego przycisku dzwonka. Brzmienie dzwonka było łudząco podobne do dźwięku telefonu z lat sześćdziesiątych. Echo zawisło na

cichej klatce schodowej. W końcu Frølich usłyszał pochrząkiwanie szefa dobiegające z wnętrza mieszkania. Po chwili drzwi się otworzyły.

Gunnarstranda spojrział na niego chłodnym wzrokiem, zachowując kamienną twarz.

– Teraz moja kolej – odezwał się nieśmiało Franken.

Inspektor przepuścił go w drzwiach.

– Napijesz się whisky?

– Chętnie.

– Jaką markę preferujesz?

– A jaką masz?

– Wszystkie.

Frølich uniósł brwi ze zdziwienia.

– W każdym razie wszystkie, które znasz – dodał Gunnarstranda.

– Islay – rzucił Franken, przypatrując się szefowi, który podszedł do starego, zniszczonego kufra w stylu amerykańskich imigrantów, na którym wciąż można było przeczytać wypłowiałą etykietkę statku m/s Stavangerfjord. Otworzył wieko. W środku stały brązowe butelki, jedna obok drugiej.

– Bowmore?

– Okej.

Frølich rozejrzał się dookoła. Prawie każdy centymetr kwadratowy ściany w salonie zajęty był przez książki. Literatura fachowa, słowniki, balistyka, botanika. Wodził wzrokiem po tytułach. *Alpejskie kwiaty Północy*, *Kwiaty Alp*, *Kwiaty Islandii*, *Kwiaty Wysp Farerskich*. Jedynym wyłomem w rzędzie książek było kuliste akwarium, w którym mała czerwona welonka łykała wodę. Wyprostował się i przyjrzał rybce przez ścianę akwarium.



– Proszę – powiedział inspektor, podając mu szklanę.

Frølich wziął ją do ręki.

– Kosztuje trzydzieści pięć koron – rzucił Gunnarstranda.

– Hm?

– Taka welonka. Tanio, prawda?

– Wygląda trochę niemrawo.

Gunnarstranda nie odpowiedział.

– Raczej nie gustujesz w literaturze pięknej – stwierdził Frølich.

– W literaturze pięknej?

– W powieściach, poezji, no wiesz...

– Sztuka? – Inspektor się uśmiechnął, potrząsając głową. – Nie lubię sztuki. Na zdrowie! – dodał i uniósł szklanę.

Napili się.

Franken przełknął whisky, rozkoszując się smakiem.

– To, co mówisz, kłóci się z twoim talentem do sypania cytataami literackimi.

Gunnarstranda wzruszył ramionami, odstawił szklanę i zapytał: – Masz klucz?

Franken pogrzebał w kieszeni, wyjął z niej klucz i podał go szefowi.

Usiedli w głębokich fotelach, które dobrze pamiętały czasy pierwszego referendum w sprawie przystąpienia do Unii Europejskiej w 1972 roku.

Gunnarstranda przyjrzał się kluczowi.

– Skrytka bankowa – oświadczył.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Ponieważ ten klucz jest ładzaco podobny do klucza, którym otwieram własną skrytkę bankową.

Inspektor oddał klucz koledze. Franken siedział i w milczeniu ważył go w dłoni.

– Żadnej nazwy banku, żadnego numeru skrytki.

– To częsta praktyka.

– Ale to oznacza, że mamy do wyboru setki banków i kilkaset tysięcy skrytek! – wybuchnął zdenerwowany Frølich.

Gunnarstranda skinął głową.

– To nie będzie proste.

– Ale dlaczego banki nie oznaczają jakoś swoich kluczy?

Inspektor wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie dlatego, że z tymi skrytkami i tak jest sporo zachodu. Może chodzi o względy bezpieczeństwa? Kiedy swego czasu załatwiałem sobie taką skrytkę, wręczono mi dwa klucze z ostrzeżeniem, że bank nie dysponuje duplikatami. A gdybym chciał udzielić komuś pełnomocnictwa do otwarcia skrytki, musiałbym najpierw zarejestrować tę osobę w prowadzonym przez bank rejestrze pełnomocników.

– Ale co mam, kurwa, zrobić z tym kluczem, jeśli nie jestem w stanie ustalić, o który bank i o którą skrytkę chodzi?

Gunnarstranda uśmiechnął się krzywo i zapytał: – Skąd masz ten klucz?

– Zostawiła go u mnie.

– Kto?

– Elisabeth.

– Na pewno?

– Na bank.

– To oznacza, że z dużym prawdopodobieństwem możemy przyjąć, że klucz został wystawiony na nazwisko Elisabeth Faremo

albo na kogoś z jej bliskich, na przykład na Jonny'ego Faremo. Albo na ich oboje. Jedyna trudność, z którą musisz się zmierzyć, polega na tym, że nie istnieje żaden centralny rejestr najemców skrytek bankowych, z czego w innych okolicznościach na pewno byłbyś zadowolony.

Frølich zbliżył szklanę do ust, podczas gdy Gunnarstranda głośno myślał: – Mówiłeś, że znalazłeś ten pseudosalon tatuażu w Askim, gdzie jakiś facet ozdobił biodra Elisabeth Faremo, zgadza się?

Franken przytaknął.

– Znalazłeś go z własnej inicjatywy?

– Jasne.

– A jak wpadłeś na to, żeby szukać właśnie tam, w Askim?

– Jonny Faremo został znaleziony martwy w Askim.

– To może zainteresuje cię również fakt, że Ilijaz Zupac też tam mieszkał?

– Gdzie?

– W Askim.

Widząc zaskoczoną minę kolegi, dodał po chwili: – Zadałem sobie trud i prześwieciłem przeszłość Ilijaza Zupaca. Skończył szkołę średnią w Askim, profil mechaniczny, stopień podstawowy. Jego ojciec pracował w latach siedemdziesiątych w Fabryce Ogumienia w Askim. Zdaje się, że mieszkała tam wtedy cała kolonia jugosłowiańskich uchodźców.

– Jugosłowiańskich?

– To było przed śmiercią Tity i wojną na Bałkanach. Jugosłowianie sprzed wojny to obecnie Chorwaci, Bośniacy, Serbowie, Czarnogórcy. Skąd pochodzi rodzina Zupaca, wie tylko on, bo jego rodzice już nie żyją. Ale Ilijaz jest obywatelem Norwegii, między osiemdziesiątym

dziewiątym a pięćdziesiątym pierwszym rokiem ukończył kurs podstawowy mechaniki samochodowej, a potem zaawansowany. Jest wykwalifikowanym blacharzem samochodowym. Nie bez powodu pracował na stacji benzynowej, kiedy go zatrzymałeś.

Gunnarstranda wskazał głową na klucz.

– Mam skrytkę w DNB NOR w Grefsen. Ten klucz jest naprawdę bardzo podobny.

– Chyba nie sugerujesz, że mam jechać do Grefsen i sprawdzać po kolei wszystkie skrytki?

Inspektor potrząsnął głową.

– Faremo został zamordowany w Askim, jego siostra zafundowała sobie tatuaż w Askim, chłopak siostry mieszkał w Askim. A przez przypadek wiem również, że DNB NOR ma w Askim swoją filię.

Zapadła cisza. Frølich przez cały czas ważył klucz w dłoni.

– Warto spróbować – powiedział po chwili.

– Ale musimy to przeprowadzić oficjalnie.

– Niby dlaczego?

– Jestem zmuszony wykorzystać dochodzenie, które prowadzę. Będę musiał wezwać Jima Rognstada i Vidara Ballo i ponownie przesłuchać ich w sprawie zabójstwa strażnika Arnfinna Hagi oraz z uwagi na fakt, że Elisabeth Faremo nie żyje. Mam poważne powody przypuszczać, że się nie stawią na przesłuchanie. A jeśli tak, to będę miał pełne prawo – Gunnarstranda postukał palcem wskazującym we własną pierś – będę miał prawo skonfrontować pracowników filii banku DNB NOR w Askim... – przechylił się do przodu, zręcznie wykradł Frølichowi klucz z ręki i dokończył zdanie: –...z tym oto kluczem.

Wsunął go do kieszeni.

– Odtąd gramy do jednej bramki, obaj prowadzimy tę samą sprawę – dodał. – Zakładam, że jutro stawisz się w pracy.

Frølich się zamyślił. Nie podobało mu się to, co usłyszał.

– A jeśli klucz nie należy do tego banku?

– To przez kolejnych kilka dni będziesz miał co robić.

Frank wstał i wyciągnął rękę.

Gunnarstranda spojrział na niego ze zdziwieniem.

– O co chodzi?

– O klucz. Jeśli ma być oficjalnie, to niech będzie oficjalnie. Dostaniesz go jutro.

\*

Kiedy wyszedł z mieszkania inspektora, postanowił przejść się z Bjølsen do centrum na piechotę. Szedł powoli chodnikiem wzdłuż drewnianej zabudowy Maridalsveien, po czym skręcił w lewo, w stronę starego młyna. Most na rzece Aker był jasno oświetlony. Przeszedł przez most, obok domu Hønse-Lovisy<sup>14</sup>, i dalej w kierunku Grünerløkka. Musiał zebrać myśli. Zirykowało go to, że Gunnarstranda zabrał mu klucz. Tylko co tak naprawdę wywołało to rozdrażnienie? Czy chodziło o zakorzenioną niechęć do tego, żeby być rozstawianym po kątach? Miał oddać klucz i zobowiązać się do tego, że następnego dnia stawi się w pracy, świeżo ogolony i najedzony, i bez szemrania będzie wypełniał wszystkie polecenia szefa, punkt po punkcie. Możliwe, że tu właśnie był pies pogrzebany – brak obiektywizmu, osobiste zaangażowanie w sprawę znacznie utrudniłyby prowadzenie śledztwa. Możliwe, że nie był zwyczajnie gotowy na powrót do pracy. Miał wrażenie, że klucz, który znajdował się w kieszeni spodni, waży tonę. Klucz był w jego mieszkaniu i to ona go tam zostawiła. Teraz

klucz należał do niego. I ta presja, żeby się stawił w pracy, dopasował do wielkiej orkiestry i pozwolił sobą dyrygować – nie był na to gotowy. Nie teraz. Jeszcze nie.

Tego wieczoru jesień postanowiła pokazać się od wilgotnej strony. Latarnie uliczne w Birkelunden roztaczały wokół siebie pomarańczową poświatę. Jakiś mężczyzna w puchowej kurtce z kapturem i spodniach od piżamy wyprowadzał psa. Tuż obok przejechał powoli ciemny samochód. Frank Frølich przyspieszył kroku, kierując się w stronę stacji metra w Grønland.

Zdażył na ostatnią kolejkę. Dochodziła pierwsza w nocy. Wciąż nie był pewien, czy rano zjawi się w pracy. Po pierwsze musiałyby wstać za kilka godzin, a po drugie, i tego właśnie się obawiał, musiałyby znosić spojrzenia kolegów, krępującą ciszę, atmosferę pełną niedomówień – i to nie tylko przez jeden dzień, ale także przez każdy kolejny, jutro, pojutrze, za miesiąc, już zawsze. Musiałyby pracować nad tym, żeby znowu przywyknąć do pracy, ale czy to w ogóle było możliwe? Kiedykolwiek?

Wysiadł w Ryen i wolnym krokiem ruszył Havreveien. Pogoda zaczęła się poprawiać. Padał lekki deszcz. Frølich przystanął i wyciągnął przed siebie otwartą dłoń, żeby złapać krople deszczu. Ale nic nie poczuł.

Słyszał nadjeżdżający motocykl, ale go nie widział. Nagle poczuł, że się odrywa od ziemi, a chwilę później upada na zimny, mokry, chropowaty asfalt, instynktownie osłaniając twarz rękami. Uderzenia w głowę również nie poczuł, za to usłyszał i znieruchomiał. Kiedy powietrze zostało wypchnięte z płuc, zobaczył tylne światła motocykla. Dobrze zbudowany mężczyzna w skórzanym kombinezonie i kasku odstawił motor na pobocze. Franken zdał sobie

sprawę z tego, że został potracony przez motocykl. Powietrze owionęło mu twarz. *Motocyklista wjechał we mnie celowo.* Franken usiłował się podnieść, ale nie zdążył tego zrobić. Nagłe kopnięcie powaliło go znowu na ziemię. Mężczyzna w kasku motocyklowym trzymał coś w ręce. Jakiś głos powtarzał mu: *Wstań na nogi! Biegnij!* Ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Przez cały czas obejmował głowę, starając się ją ochronić przed ciosami. Nagle zrobiło mu się ciemno przed oczami. Poczuł, że motocyklista przeszukuje jego kieszenie. Leżał z zamkniętymi oczami, dopóki nie zapadła cisza. Zamrugał powiekami, ale nie był w stanie nic zobaczyć. Przetarł twarz. Była mokra. *To krew. Musisz wezwać pomoc!* Próbował poruszać się na czworakach, ale zakręciło mu się w głowie i upadł. Jeszcze raz przetarł twarz. Przed oczami mignęła mu ulica, koła zaparkowanych samochodów, ruszający motocykl. Czerwone światło tylne i spaliny. Zarys sylwetki mężczyzny, który odjechał, nie oglądając się za siebie. Frankenowi udało się powoli podczołgać na chodnik. Motocykl zniknął w oddali. Ubranie miał kompletnie przemoczone. Oparł się plecami o zaparkowany samochód. Dotknął palcami głowy, wyczuł ranę i cofnął dłoń. Zaczął sprawdzać kieszenie. Portfel był na miejscu. *W takim razie co mógł ukraść?* Czuł, że zna odpowiedź, i dlatego dał sobie spokój z przeszukiwaniem pozostałych kieszeni. Zamiast tego wyjął telefon komórkowy. Wiedział, że tutaj, między blokami, na pewno nikt niczego nie zauważył. Musiał sam wezwać pogotowie.

\*

Nie było jeszcze nawet piątej rano. Gunnarstranda nie zdążył nic zjeść ani wypić kawy. Był rozdrażniony i nie w humorze. Widok kolegi, który siedział obok niego w samochodzie, obandażowany zgodnie ze wszystkimi regułami sztuki przez lekarza dyżurnego

pogotowia w Oslo, ale wciąż otępiały i śmierzący piwem i wymiocinami, nie poprawiał mu nastroju.

– Nie pamiętasz nawet fragmentu numeru rejestracyjnego? – spytał.

– Nie.

– Żadnego pomysłu, kto to mógł być?

– Nie.

– Mówisz, że napastnik był tylko jeden. Jesteś pewien, że nie było ich kilku?

– Pewności nie mam, ale wydaje mi się, że facet był sam.

– I teraz to on ma klucz. Cholernie mądrze postąpiłeś, zabierając go ze sobą.

Frølich nie odpowiedział.

– Najbardziej nie podoba mi się to, że wiedzieli, kiedy uderzyć.

– Co masz na myśli?

Gunnarstranda otworzył drzwi samochodu i powiedział: – Chodź!

Podtrzymując wielkiego jak ściana kolegę, pomógł mu wysiąść ze skody i dowlec się do klatki schodowej. Obok nich zaskrzypiał rower roznosiciela gazet. Jakiś mężczyzna właśnie wybiegał z bloku. Widok poturbowanego Franka Frølicha musiał zrobić na nim piorunujące wrażenie, bo wybałuszył oczy.

Policjanci wtoczyli się do windy. Drzwi kabiny zamknęły się i winda ruszyła.

– Co masz na myśli? – powtórzył Franken.

Gunnarstranda nie krył rozdrażnienia.

– Myślisz, że jestem idiotą? Ci faceci napadli na ciebie właśnie tej nocy, zabrali klucz, ale nie skusiły ich twoje pieniądze, telefon ani zegarek. Skąd wiedzieli, że masz klucz przy sobie? Do dzisiejszej nocy



dawali ci spokój. Ja z nikim o tym nie rozmawiałem... Jeżeli chcesz, żebym był po twojej stronie, muszę wiedzieć, jak wpadli na to, żeby zaatakować cię właśnie teraz, tej nocy.

– Sprawca był jeden. Proponuję, żebyś jego o to zapytał.

– Ty cholerny popaprańcu!

Frølich zamilkł. Winda się zatrzymała i Gunnarstranda pchnął drzwi kabiny. Wysiedli. Franken szukał w kieszeni kluczy do mieszkania. W końcu znalazł je i otworzył drzwi.

– A więc t e klucze pozwolili ci zatrzymać?

Frølich spojrzał na niego ponurym wzrokiem.

– Niestety, nie mam czym cię poczęstować – powiedział, osuwając się na kanapę.

Gunnarstranda stał w drzwiach. Jego oczy płonęły gniewem.

– Przychodzisz do mnie z kluczem i prosisz o pomoc. Wychodząc, przedstawiasz idiotyczny powód, dla którego chcesz zabrać klucz ze sobą. Potem robisz wszystko, żeby cię zabili, a w ostatniej chwili dzwonisz do mnie i wyciągasz z łóżka, zamiast wezwać pogotowie. Cóż, otrzymałeś pomoc. Ale jeśli jesteś tym człowiekiem, za którego cię uważam, i jednocześnie chcesz, żebym ci pomógł, to musisz mi, kurwa mać, powiedzieć, co takiego zrobiłeś!

– Nie mogę.

– Niby dlaczego nie możesz?

Frølich milczał. Poprawił poduszkę, która uwierała go w szyję.

– Odpowiedz! Dlaczego nie możesz?

Franken zamknął oczy i westchnął ciężko.

– Zanim przyszedłem do ciebie wczoraj wieczorem, wpadłem na chwilę do klubu, w którym pracowała Merethe Sandmo. Rozmawiałem z pewną panią, która tam pracuje.

– Panią. – Gunnarstranda się skrzywił, jakby jadł cytrynę. – Panią – powtórzył z obrzydzeniem. – Ty i kobiety. Co się z tobą dzieje?

– Poczekaj. To ona naprowadziła mnie na trop Ilijaza Zupaca. Zajrzałem tam kilka dni temu, a ona podała mi jego imię. Owszem, wczoraj tam wróciłem, ale kazali jej się trzymać ode mnie z daleka. Postanowiłem zaryzykować. Pomyślałem, że wykurzę ich z nory, i dlatego poprosiłem ją, żeby pozdrowiła koleśków ode mnie, chociaż zupełnie ich nie znam, i przekazała im, że mam klucz. Najwidoczniej zrobiła to, o co ją prosiłem. W każdym razie kilka godzin później wjechał we mnie rozpędzony motocyklista.

– Jak się nazywa ta pani?

– Nie mam pojęcia.

– Frølich!

– Mówię prawdę, nie mam pojęcia. Ma rude włosy, a może czarne, tylko ufarbowane na rudo, i bardzo wymyślną fryzurę, takie afrowarkoczyki. Ma około dwudziestu ośmiu lat, tak plus minus. Ale teraz ważniejsze jest to, że niedługo otwierają banki.

– Wiem o tym! – warknął zirytowany Gunnarstranda. – Myślisz, że jestem głupi?

Frølich odetchnął głęboko.

Gunnarstranda odwrócił się w drzwiach i powiedział: – Wiele myślałem o tym, co razem przeszliśmy, i doszedłem do wniosku, że dobrze nam się razem pracowało. Uzupełnialiśmy się. Ale teraz... zatajasz przede mną fakty, szlajasz się po mieście i robisz z siebie idiotę. Musisz z tym skończyć. Za dużo ludzi już zginęło. Arnfinn Haga, Jonny Faremo, Elisabeth Faremo. Jeśli dodać do tego profesorkę z Blindern, która popełniła samobójstwo, to mamy już

cztery trupy. Jesteś policjantem. Nigdy nie sądziłem, że dożyję dnia, w którym będziesz utrudniał śledztwo, stojąc jedną nogą w grobie i opowiadając jakieś głodne kawałki.

– Ja też się tego nie spodziewałem – odpowiedział Frølich. – Ale wiem, kto to był – wymamrotał.

Gunnarstranda potrząsnął głową.

– To, że wcześniej zatrzymaliśmy mężczyznę na motorze, nie oznacza, że to on próbował cię zabić.

– Założysz się? – wymamrotał Franken. – Stawiam stówę na Jima Rognstada.

– Rognstad mógł pożyczyć komuś swój motor. Jeśli to zrobił, straciłeś sto koron – powiedział Gunnarstranda i zamknął za sobą drzwi.

## 7

Inspektor Gunnarstranda postanowił pojechać pociągiem. Rzut oka na rozkład jazdy wystarczył, by stwierdzić, że podróż zajmie mu ponad godzinę. A to znaczyło, że dojedzie na miejsce niemal w tym samym czasie, w którym otwierają bank. Yttergjerde i Stigersand już tam na niego czekali.

Podróż pociągiem dłużyła się niemiłosiernie. Przypomniało mu się, że kiedyś już pokonywał tę trasę. To musiało być w latach sześćdziesiątych, z okazji meczu pucharowego między Vålerenga a drużyną z Sarpsborga. W przyпыwie młodszej fantazji i wiary w technologię razem z przyjacielem wybrali się do Sarpsborga pociągiem. Dotarli na miejsce w połowie meczu. Przez czterdzieści lat zdążył zapomnieć, że linia kolejowa przechodziła obok większości punktów skupu mleka, które zbudowano w środkowej części Østfold. Teraz jednak, pod koniec października, przed wschodem słońca, nie było ani czasu, ani możliwości, aby się rozkoszować widokiem ściernisk, zabudowań gospodarczych czy zaoranych pól. Gunnarstranda koordynował działania przez telefon, sprawdzając punkt po punkcie szczegółowy harmonogram.

Po mniej więcej pół godzinie jazdy zadzwonił telefon. Lena Stigersand oznajmiła bez zbędnych wstępów: – Strzał w dziesiątkę!

– Mów!

– Siedzę obok dyrektora banku. Mają skrytkę wystawioną

w dziewięćdziesiątym ósmym roku na Jonny'ego Faremo i Vidara Ballo.

– Pełnomocnictwa?

– Jedno dla Jima Rognstada, drugie dla niejakiego Ilijaza Zupaca.

– Gdzie się znajdują skrytki?

– W piwnicy.

– Jest tam monitoring?

– Nie.

– Okej. Miejmy nadzieję, że kolesie zjawią się dzisiaj w banku. Jeśli nie, zdobęde nakaz sądowy. Tak czy inaczej, dostaniemy się do sejfu. Ale teraz będę się trzymał w bezpiecznej odległości. Ballo i Rognstad zbyt dobrze mnie znają.

Lena Stigersand odchrząknęła z wahaniem.

– Tak?

– Czy jeśli się zjawią, mamy ich zatrzymać?

– Oczywiście.

– Pod jakim zarzutem?

– Pod zarzutem napaści na urzędnika państwowego.

\*

Dworzec kolejowy znajdował się *vis-à-vis* banku mieszczącego się w dość nowoczesnym murowanym budynku, w bezpośrednim sąsiedztwie apteki i przychodni lekarskiej. Kiedy Gunnarstranda stanął w kolejce do bankomatu, zauważył Yttergjerdego siedzącego w samochodzie przed kioskiem na terenie dworca. W końcu nadeszła jego kolej. Wypłacił pięćset koron i ruszył na poszukiwanie miejsca, gdzie mógłby zjeść śniadanie i napić się kawy. Szedł wzdłuż linii kolejowej, przy której rosły olbrzymie drzewa. Zwiędłe liście tworzyły lodowe rozety na śliskim asfalcie. Przeszedł przez tory i znalazł

kawiarnię w galerii połączonej ze sklepem z ramami. Jedząc ciabatte i popijając ją czarną kawą, przyglądał się szczerze opatulonym ludziom, którzy szybkim krokiem przemierzali deptak. Brodaty mężczyzna jechał na rowerze, nie trzymając dłoni na kierownicy. Zmarznięte palce wsunął ostentacyjnie do kieszeni.

Gunnarstranda zdążył wypić kawę i zdenerwować się na norweskich polityków za to, że wprowadzili zakaz palenia w restauracjach i kawiarniach, kiedy szklane drzwi otworzyły się z impetem i do środka wpadł Yttergjerde. Zamówił wymyślną kawę z menu, które wisiało za młodą dziewczyną obsługującą kasę, po czym zwrócił się do inspektora: – Wiesz co, Gunnarstranda, niedawno widziałem faceta z jeszcze brzydszą zaczeską niż twoja...

– Moje gratulacje – odpowiedział inspektor i przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze, poprawił kilka kosmyków okalających czaszkę.

– ...Petera Christena Asbjørnsena<sup>15</sup>.

– Przecież ten facet zmarł ponad sto lat temu!

Yttergjerde pomachał banknotem pięćdziesięciokoronowym i powiedział: – Ale na nim żyje.

Gunnarstranda rzucił okiem na portret mężczyzny i warknął rozdrażniony: – Nie miałeś przypadkiem pilnować banku?

W tej samej chwili zatrzeszczała krótkofalówka inspektora. To była Lena Stigersand w samochodzie operacyjnym.

– Mam dwie wiadomości: dobrą i złą. Którą chcesz usłyszeć najpierw?

– Złą.

– Zjawił się tylko jeden z nich.

– Gdzie teraz jest?

– Odpoczywa obok mnie na tylnym siedzeniu, i to jest właśnie ta dobra wiadomość.

Yttergjerde zarechotał.

Kobieta za ladą wlała kawę do papierowego kubka. Wyszli na zewnątrz. Gunnarstranda zapalił papierosa i zaciągnął się łapczywie. Yttergjerde przystanął i się odwrócił.

– O czym myślisz, kiedy tak stoisz na mrozie i palisz? – spytał.

– O powieści, którą kiedyś czytałem: *Młody musi być jeszcze świat* Nordahla Griega.

– Dlaczego właśnie o tej?

– Bo jest w niej zdanie o tym, jak bardzo ryzykowne jest palenie papierosów w Moskwie zimą.

– Tak?

– Zdaniem autora wdychanie mroźnego powietrza jest wtedy niebezpieczniejsze niż wdychanie dymu.

– Świat nie jest już więc wcale taki młody – powiedział Yttergjerde i zaśmiał się z własnego dowcipu.

– Można tak powiedzieć.

Ruszyli wolno w stronę linii kolejowej. Niebieskie światła radiowozów rozrywały na strzępy ścianę budynku po przeciwnej stronie ulicy.

– Czy ciebie nic już nie dziwi? To, że jeden z tych koleśi pojawił się w banku, to jak wygrana w totolotka.

– Zbyt dużo rzeczy mnie dziwi.

Nadjeżdżał pociąg. Na przejeździe kolejowym została uruchomiona sygnalizacja dźwiękowa. Zapory zaczęły opadać z cichym skrzypieniem. Gunnarstranda się zatrzymał. Yttergjerde, który właśnie przechodził przez tory, również przystanął i cofnął się,

żeby przepuścić pociąg.

– Co na przykład? – spytał.

– Hm... na przykład to, że ludzie wiedzą wszystko o programach telewizyjnych. Rozmawiają o tym i o tamtym serialu, i to nie tylko koledzy z pracy, ale również ci, którzy udzielają wywiadów do gazet, i ci, którzy pracują w telewizji. Wszyscy rozmawiają o telewizji.

– I co w tym takiego dziwnego?

– Zawsze byłem zdania, że życie jest zbyt krótkie, żeby zajmować się podobnymi bzdetami.

Yttergjerde uśmiechnął się niewyraźnie.

– Założę się, że umiałbyś odmówić sobie wszystkiego poza whisky i papierosami.

– Czy ja wiem? Życie bez papierosów byłoby trudne do zniesienia, ale życie z codzienną dawką słabej telewizji byłoby o wiele gorsze. Słaba telewizja na krótką metę wypacza zmysł estetyczny widzów, a na dłuższą metę sprawia, że ludzie stają się dekadentami.

Pociąg nadjechał od strony zachodniej i zrobił to niemal bezszelestnie. Zastukał cicho, przejeżdżając tuż obok, po czym zatrzymał się przed żółtym budynkiem dworca. Zapory podniosły się z cichym łoskotem.

Przed bankiem stały dwa radiowozy należące do rejonu policyjnego Follo. Trzeci samochód był nieoznakowany. To on mrugał niebieskim światłem – jedna dyskretna lampa na dachu i jedna wewnątrz pojazdu. Tylne siedzenia zajmowały dwa ogromne cienie. Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i z auta wysiadła Lena Stigersand.

– Który? – spytał Gunnarstranda.

– Jim Rognstad.



Inspektor pochylił się i zajrzał do środka. Rognstad nawet się nie poruszył.

– Przyjechał na motorze?

– Tak.

– Zabezpiecz go jako materiał dowodowy.

– Ty tu rządzisz.

– Kiedy go zatrzymaliście?

– Pozwoliliśmy mu zejść na dół, do piwnicy, i wyjąć ze schowka to, co chciał. Zatrzymaliśmy go, dopiero kiedy wracał na górę.

– Co skonfiskowaliście?

– Aktówkę pełną pieniędzy. – Lena Stigersand podniosła teczkę na dokumenty. – Mnóstwo, mnóstwo pieniędzy.

Gunnarstranda znowu zerknął do środka.

– A skrytka bankowa?

– Teraz jest pusta.

– Powiedział coś?

– Jeszcze go nie przesłuchaliśmy.

Przez kilka sekund stali w milczeniu. W końcu Lena Stigersand przerwała ciszę: – To co robimy?

– Zamykamy go. A o pieniądzach zadecyduje prokurator.

Yttergjerde otworzył drzwi samochodu.

– Wracasz z nami?

Gunnarstranda potrząsnął głową.

– Nie. Jadę pociągiem. Muszę zebrać myśli.

\*

Przez chwilę przyglądał się kolumnie odjeżdżających samochodów. W końcu się odwrócił, minął dworzec kolejowy, przeszedł obok przystanku autobusowego i skierował się w stronę

dużego parkingu. Przystanął, podniósł dłoń i pomachał do kogoś.

Dźwięk uruchamianego silnika. Srebrnoszary sedan wycofał się z rzędu aut i podjechał do niego.

Gunnarstranda otworzył drzwi i wsiadł do środka, nie mówiąc ani słowa.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – spytał Frølich.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, jaki jesteś żaloszny – odpowiedział Gunnarstranda. – Ale skoro już tu jesteś, możesz mnie odwiedzić do miasta.

– Co było w skrytce?

– Pieniądze.

– To się Inge Narvesen ucieszy, co?

– Przypuszczam, że tak. Skrytka bankowa została opłacona tuż po kradzieży forsy z sejfu, a Zupac miał dostęp do skrytki, ponieważ na jego nazwisko wystawiono upoważnienie.

– W takim razie Narvesen będzie mógł zażądać zwrotu pieniędzy, chociaż to może być trochę skomplikowane: trzeba odgrzebać sprawę z dziewięćdziesiątego ósmego roku i postawić zarzuty kolejnej osobie.

– Dwóm osobom.

– Dwóm?

– To, że Ballo się nie pojawił, nie oznacza, że jest niewinny.

Frølich włączył silnik. Wjechali na E18 w kierunku Oslo.

– Ale obawiam się, że tym razem Rognstad się z tego wywinie – dodał po chwili Gunnarstranda.

Jechali w milczeniu. W końcu Frølich zapytał:

– Dlaczego miałby się wywinąć?

– A o co możemy go oskarżyć? Przecież nie masz pewności, że to on na ciebie napadł. Nie widziałeś jego twarzy, zgadza się?

– Ale przecież miał klucz do skrytki bankowej. Celowo mi go ukradł.

– Zawsze możesz złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa.

– I zamierzam to zrobić.

– Proszę bardzo, ale jeśli to zrobisz, wypadasz z gry. Jesteś spalony. I wszystkie ślady, z którymi miałeś kontakt, staną się zupełnie bezwartościowe w sprawie przeciwko Jimowi Rognstadowi.

Frølich prowadził w milczeniu.

– Poza tym Rognstad może twierdzić, że pożyczył klucz od Vidara Ballo i że nie ma pojęcia, skąd Ballo go wytrzasnął. A tej wersji nie jesteśmy w stanie zweryfikować, ponieważ Ballo zapadł się pod ziemię.

– Ale z ciebie optymista.

– Mylisz się, Frølich. Jestem realistą. To, że Rognstad wyjął pieniądze ze skrytki bankowej, niczego nie zmienia. Jonny Faremo i Vidar Ballo również mieli swobodny dostęp do skrytki przez sześć lat. Wystarczy, że Rognstad zezna, że bardzo zdziwił się na widok pieniędzy, które znalazł w skrytce, i że nie rozumie, skąd się tam wzięły. Mógł je tam schować na przykład Jonny Faremo, który niestety nie żyje i niczemu nie zaprzeczy. Rozumiesz? Jedyne, co się dzisiaj wydarzyło, to to, że z dużym prawdopodobieństwem odzyskaliśmy pieniądze Narvesena. Ale nie mamy nic, o co moglibyśmy oskarżyć Rognstada.

Znowu zapadła cisza.

– Nie możesz wykorzystać spalonego domu letniskowego? Zabójstwa Elisabeth? – spytał po chwili Franken.

Gunnarstranda wzruszył ramionami.

– Pożyjemy, zobaczymy. Przesłaliśmy zdjęcia Ballo, Faremo, Rognstada, a nawet Merethe Sandmo do komisariatu w Fagernes. Może coś na nich mają. – Gunnarstranda spojrział na kolegę i powiedział: – Jest jedna rzecz, o której jeszcze nie rozmawialiśmy.

– Co masz na myśli?

– Czy twoja dziewczyna mogła sama podpalić dom?

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Elisabeth miałyby się podpalić? To absurd!

– Pozwól, że zapytam inaczej: czy mogła popełnić samobójstwo?

– Dlaczego miałyby się zabić?

– Takie rzeczy się zdarzają.

– Ale nikt dobrowolnie się nie podpala!

– Wiesz, Frølich, niektórzy samobójcy to świry. Poza tym nie wszyscy mają tyle szczęścia co Ofelia, nie mają pod ręką romantycznej sadzawki w świetle księżyca, z której mogliby zrobić użytek, kiedy napotkają przeciwności losu.

– Słyszysz, co do ciebie mówię? Elisabeth nie popełniła samobójstwa. Nigdy mnie nie przekonasz, że to było samopodpalenie.

– Ale przecież mogła połknąć tabletki nasenne i zasnąć przy świeczce.

– Po co mi to mówisz?

– Wszystko wskazuje na to, że pożar zaczął się od świecy, od zapalanej świeczki umieszczonej w butelce.

Frølich milczał.

– Naczelnik komisariatu i komendant miejscowej straży pożarnej są co do tego zgodni – dodał inspektor. – A poza tym nie można przecież wykluczyć, że śmierć brata wywołała u niej depresję,

prawda? Mało tego, to bardzo prawdopodobne. Oprócz brata nie miała żadnej rodziny. Sam pomyśl, kobieta ukrywa się przed brutalnymi bandziorami, potem umiera jej jedyny brat, obrońca i podpora życiowa. Ludzie wpadają w depresję po mniej dramatycznych przeżyciach.

Frølich zamyślił się na moment, po czym powiedział:

– Moim zdaniem ktoś pomógł tej świecy się przewrócić, ktoś, kto najpierw wykluczył Elisabeth z gry w inny sposób. Na przykład Rognstad. Pożar wybuchł, ponieważ ktoś chciał zatrzeć ślady zabójstwa.

– Oczywiście, istnieje taka możliwość, ale czysto hipotetycznie.

– Hipotetycznie?

– W pogorzelisku odnaleziono zwłoki kobiety. Pożar wywołała prawdopodobnie przewrócona świeca. Przebieg zdarzeń mógł być więc następujący: kobieta leży na łóżku i czyta książkę, zasypia przy zapalanej świecy i dusi się dymem, zanim pożar rozprzestrzenia się na dobre.

– Chyba sam w to nie wierzysz?

– W nic nie wierzę. Po prostu przedstawiam ci wersję wydarzeń, do której przychyła się Kripos.

Frølich odetchnął głęboko. Właśnie dojechali do Spydebergu. Włączył prawy kierunkowskaz i zatrzymał się na stacji benzynowej.

– Coś ci pokażę – powiedział w końcu i wyjął z wewnętrznej kieszeni list pożegnalny Reidun Vestli.

Gunnarstranda przeczytał list, po czym zdjął okulary i zaczął przygryzać oprawki.

– Dlaczego wcześniej mi tego nie pokazałeś? – spytał lekko zniecierpliwionym tonem.

– Przyszedł kilka dni temu. Najważniejsze jest...

– Przyszedł? Poczta? Prosto do twojej skrzynki?

– Leżał w niej od wielu dni, ale długo tam nie zaglądałem. Najważniejsze jest to, co można wyczytać między wierszami. „Ci podli ludzie” i tak dalej, i tak dalej. Reidun Vestli nie miała pod ręką romantycznej sadzawki, ale miała tabletki nasenne, bo...

– Umiem czytać! – przerwał mu Gunnarstranda. – Ale to, co napisała, przypomina mi raczej słuchowisko radiowe. – Nałożył okulary na nos i odczytał na głos: – „Nie wiem, czy Elisabeth uda się przeciwstawić tym podłym ludziom. Mam nadzieję, że tak, ale już dawno pozbyłam się złudzeń. Elisabeth ostrzegła mnie przed nimi... przed tymi podłymi ludźmi...” – Spuścił okulary na czubek nosa. – Nigdy nie czytałem podobnych bredni!

Frølich nie był w stanie wykrztusić słowa.

– Jeśli ta pani została pobita tak dotkliwie, że zdradziła swoim oprawcom miejsce pobytu Elisabeth Faremo, a następnie wysłała list do znajomego policjanta, w którym to opisała, to dlaczego, na Boga, nie podała żadnych nazwisk? Dlaczego nie napisała, kto za tym wszystkim stoi, tak żeby sprawca mógł zostać ukarany?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział posępnym głosem Frølich. – Ale przypuszczam, że powodem była lojalność wobec Elisabeth.

– Lojalność? Przecież Elisabeth Faremo już nie żyła, kiedy Vestli pisała ten list!

– Nie mam powodu, by wątpić w autentyczność listu. Wstęp, forma, w jakiej się do mnie zwraca... zupełnie, jakbym ją słyszał. Reidun Vestli odebrała sobie życie i nikt nie wmówi mi, że było inaczej, nawet ty. To prawda, zawiera niewiele przydatnych informacji, ale moim zdaniem list jest autentyczny. Masz przecież

Rognstada. Jestem pewny, że przyczynił się do śmierci Reidun Vestli.

– Reidun Vestli nie może, niestety, zeznawać przeciwko Rognstadowi. Ale nawet jeśli masz rację, twierdząc, że list jest autentyczny, to dlaczego wysłała go do ciebie?

– Myślę, że powód mógł być banalny... Może czuła potrzebę wyjawienia komuś przyczyny...

– Przyczyny czego?

– Tego, że odebrała sobie życie.

– A więc według ciebie przebieg zdarzeń był następujący: nieznani sprawcy możliwe, że Vidar Ballo i/lub Jim Rognstad, polowali na Elisabeth Faremo, pobili Reidun Vestli, żeby zmusić ją do mówienia, a następnie odnaleźli domek letniskowy, zabili Elisabeth, po czym podpalili dom, żeby zatrzeć ślady zbrodni? Wiadomość o tym tak bardzo wstrząsnęła Reidun Vestli, że postanowiła się zabić, połykając garść tabletek nasennych?

– Tak. Moim zdaniem Vidar Ballo i Jim Rognstad pobili Reidun Vestli, żeby wydobyć z niej informację o tym, gdzie się ukrywa Elisabeth. Uważam, że ich plan się powiódł. A pożar wzniecili po to, żeby zatrzeć ślady zabójstwa.

– Ale dlaczego zabili Elisabeth?

– Szukali klucza do skrytki bankowej, ale nie przypuszczali, że ukryła go w moim mieszkaniu.

– To znaczy, że udusili Jonny'ego Faremo, pobili do nieprzytomności Reidun Vestli, a potem udusili Elisabeth Faremo, żeby się dostać do teczki z pieniędzmi?

– Owszem.

– Obaj? Rognstad i Ballo?

– Tak sądzę.

– W takim razie mam tylko dwa pytania – powiedział Gunnarstranda z lekkim pobłażaniem. Otworzył drzwi i postawił nogę na ziemi. Wsiadł z samochodu, zapiął guziki płaszcza i zapalił papierosa, po czym pochylił się i zaglądając do środka, zapytał: – Po pierwsze, jeśli tacy z nich kumple, jak twierdzisz, to dlaczego tylko jeden z nich wykradł ci klucz i dlaczego tylko jeden zjawił się w banku, żeby odebrać nagrodę?

Frølich potrząsnął głową.

– Przecież już rozmawialiśmy o tajemniczym czwartym napastniku.

– Tajemniczy czy nie, musisz w końcu wziąć się w garść. Jeśli jesteś na tyle zdrowy, żeby się bawić w prywatnego detektywa, nic ci się nie stanie, jeśli posiedzisz w pracy przy biurku.

Palił papierosa, patrząc w zamyśleniu na niebo.

Zapadła cisza. W końcu Frølich zapytał:

– Co robimy z listem?

– My? – Gunnarstranda potrząsnął głową z wyraźną dezaprobatą. – Zrobię to, co ty powinieneś był zrobić dawno temu. Przekażę kopię listu Kripos. Zobaczymy, czy to wystarczy, żeby zrewidowali swoje przypuszczenia dotyczące przyczyny pożaru. Jeśli to zrobią, może się zdarzyć, że ktoś zapyta Jima Rognstada, gdzie był w czasie, w którym spłonął dom letniskowy Reidun Vestli. Ale wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że facet ma alibi.

– A to drugie? – zainteresował się Franken.

– Co drugie?

– Powiedziałeś, że masz dwa pytania.

– Owszem. Chodzi o twoją wersję wydarzeń. Jeśli Rognstad i Ballo pobili Reidun Vestli, żeby się dowiedzieć, gdzie przebywa Elisabeth,



to dlaczego napadli na Reidun po tym, jak domek doszczętnie spłonął?

Żaden z nich nie odezwał się przez dłuższą chwilę. W końcu Frølich przerwał ciszę: – Jesteś pewny? – spytał.

– W każdym razie jej zwłoki zostały odnalezione po tym, jak spłonął domek letniskowy.

– To znaczy, że nie jesteś pewny?

– Jestem tylko sobą, Frølich. Teoretycznie Rognstad mógł pobić Vestli, pojechać do Valdres, zabić Elisabeth Faremo i podpalić domek, zanim odnaleziono zwłoki Vestli, ale żeby zdążyć to zrobić, musiałyby się cholernie sprężyć. I do tego te anonimowe sformułowania w liście: „ci podli ludzie”. To mi przywodzi na myśl Hamleta. Facet potrafił wyczuć smród na odległość.

## 8

Inspektor Gunnarstranda siedział nieruchomo na krześle obrotowym i wpatrywał się nieobecny wzrokiem w ścianę swojego gabinetu. Wciąż nie mógł się pozbierać po śmierci Kalfatrusa. Ryba leżała na dnie akwarium, na kamieniach i piasku – nieżywa. Ten widok zniszczył jego wyobrażenie o śmierci ryb. Zawsze mu się wydawało, że martwe ryby unoszą się na powierzchni wody, a nie opadają na dno. Oczywiście było jednak to, że Kalfatrus nie żyje. Żadnych ruchów, żadnej reakcji, kiedy wydobywał go na powierzchnię łopatką do ryb. Widok był zresztą dość makabryczny: jego welonka leżąca na łopatkce, prawie jak pieczony filet w barze rybnym. Teraz jednak najbardziej przeżywał pożegnanie z Kalfatrusem. Wrzucił go do kubła na śmieci. Już po fakcie, trawiony żalem i wyrzutami sumienia, doszedł do wniosku, że jego pożegnanie z wieloletnim partnerem życiowym było niegodne przyjaźni, która ich łączyła. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Z drugiej strony jednak urządzenie rybie pogrzebu byłoby po prostu śmieszne. Jediną alternatywą było wrzucenie welonki do muszli klozetowej. Długo szamotał się między tymi dwiema możliwościami, aż w końcu znalazł rozwiązanie, a właściwie rozwiązanie samo się znalazło – w drodze do pracy wrzucił rybkę do kontenera na śmieci. Etycznie wątpliwy wymiar tego działania sprawił, że Gunnarstranda nie mógł się skupić na pracy, gubił wątek, błędził gdzieś myślami. Kiedy zadzwonił

telefon, inspektor poczuł się tak, jakby budzik wyrwał go ze snu. Wzdrygnął się i podniósł gwałtownie słuchawkę.

– Tylko proszę: krótko i zwięźle.

Nikt się nie odezwał.

– Halo! – warknął zniecierpliwiony inspektor.

– Z tej strony Narvesen, Inge Narvesen.

– Tak?

– Chciałbym wyrazić swoją wdzięczność za...

Gunnarstranda wszedł mu w słowo:

– W takim razie proszę zadzwonić do „VG”. Ja tylko wykonuję swoje obowiązki.

– Z drugiej strony...

– Nie ma żadnej drugiej strony. Żegnam.

– Niech mi pan pozwoli dokończyć!

– Panie Narvesen, jestem bardzo zajęty.

– Ja też, do cholery! Ja też jestem zajęty. Myśli pan, że dzwonię, bo nie mam co robić z wolnym czasem?!

– W takim razie proszę przejść do rzeczy.

– Jestem wdzięczny za to, że odzyskałem pieniądze, chociaż przez te sześć lat straciłem pięćset tysięcy koron odsetek.

Ostatnim słowom towarzyszył nerwowy śmiech.

– Wydawało mi się, że omówiliśmy już kwestię pieniędzy – odgryzł się Gunnarstranda.

– Chciałem się tylko upewnić, że sprawa została definitywnie zamknięta.

*Sezanie, otwórz się!* Dopiero teraz inspektor poważnie się zainteresował rozmową. Zaczął obszukiwać kieszenie w nadziei, że znajdzie papierosy, i chociaż znalazł jednego, wiedział, że i tak go

teraz nie zapali. Ale nie o to przecież chodziło. Bawiąc się nerwowo papierosem, zastanawiał się nad tym, co przed chwilą usłyszał. Facet odzyskał pół miliona i zamiast się z tego cieszyć, traci cenny czas, ubijając ziemię w miejscu, w którym kiedyś była dziura, a którą już dawno zasypano. Swoim ostatnim zdaniem Inge Narvesen sprawił, że w głowie Gunnarstrandy zapaliła się czerwona lampka ostrzegawcza, która dawała mu jasny sygnał: *Znajdź łopatę i zacznij kopać!*

Ale Narvesen musiał to wyczuć, bo natychmiast dodał: – Nie będę już zabierał panu czasu. Odzyskałem swoje pieniądze, a sprawcy kradzieży siedzą w areszcie.

– To po co pan dzwoni?

– Jak już mówiłem, chciałem...

– To już słyszałem. Chciał pan definitywnie zamknąć sprawę.

Dlaczego?

Milczenie Narvesena trwało o dwie sekundy za długo.

– Źle mnie pan zrozumiał. Jak zaznaczyłem na wstępie rozmowy, dzwonię do pana, żeby wyrazić dozgonną wdzięczność za...

– To też słyszałem. To znaczy, że nie robi panu różnicy, jeśli powiem, że sprawa *n i e z o s t a ł a* zamknięta?

Kolejny raz milczenie Narvesena przeciągnęło się o dwie sekundy.

– Nie została zamknięta?

– Bo nigdy nie została wznowiona. Odzyskaliśmy pieniądze w wyniku dochodzenia, które prowadzimy w zupełnie innej sprawie.

W sprawie o zabójstwo. I to śledztwo toczy się pełną parą.

– Ach tak...

Gunnarstranda milczał.

Inge Narvesen milczał.

Inspektor miał coraz lepszy humor.

– Miło mi się z panem rozmawiało – powiedział lekkim tonem i odłożył słuchawkę.

Przez kilka sekund siedział zamyślony. Potem otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła Lena Stigersand.

– Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła. Sprawdź listy pasażerów wszystkich linii lotniczych. Poszukiwana: Merethe Sandmo. Jeden ze świadków twierdzi, że kilka dni temu poleciała do Aten. Przejrzyj listy z dwóch ostatnich tygodni. I nie ograniczaj poszukiwań do Aten.

Lena Stigersand podniosła się z wyraźnym ociąganiem.

– A ty? – spytała.

– Ja pogadam z Høsehjernem Sørliem i powiem mu, że Inge Narvesen gorączkowo usiłuje ochronić swój domek z kart przed wiatrem i ruchami tektonicznymi – zaśmiał się.

\*

Nagle rozległo się ciche pukanie do drzwi. Yttergjerde wsunął głowę do środka i zapytał: – Przeszkadzam?

– Nie bardziej niż zwykle – zażartował inspektor.

– Znasz panią adwokat Birgitte Bergum?

– Gdybym ją znał, musiałbym mówić na nią Bibbi, a nie chciałbym nikogo nazywać Bibbi, a już na pewno nie pięćdziesięcioletnią blondynkę, która na łamach tygodników dzieli się swoimi doświadczeniami dotyczącymi odsysania tłuszczu.

Lena Stigersand rzuciła okiem na Gunnarstrandę.

– Nie wiedziałam, że czytujesz tygodniki.

– Tak jak niemożliwe jest odnalezienie na ziemi miejsca nieskażonego cywilizacją, tak samo nie sposób pojąć, co norwescy dziennikarze odpowiedzialni za kulturę są w stanie wcisnąć bezkrytycznym masom społeczeństwa.

– Czyżbym wyczuwała niechęć do dziennikarzy? A może chodzi raczej o blondynki po liposukcji?

– Chodzi o zwykłą ludzką głupotę. Bo co można powiedzieć o człowieku, który autorytatywnie twierdzi, że skoro życie jest tak krótkie, to należy się otaczać wyłącznie pięknymi rzeczami?

Yttergjerde i Stigersand wymienili spojrzenia, jakby chcieli powiedzieć: „Co za zaangażowanie!”.

– Do rzeczy!

– Birgitte Bergum będzie bronić Rognstada – oznajmił Yttergjerde.

– Ty z nią porozmawiaj. Ja nie dam rady.

– Już to zrobiłem. Powiedziała, że Rognstad chce negocjować obniżenie kary. Podobno ma nam coś do powiedzenia. Ta Bibbi jest tylko pośrednikiem.

Gunnarstranda właśnie ubierał płaszcz.

Lena Stigersand zebrała się na odwagę i spytała wprost: – Co jest złego w otaczaniu się pięknymi rzeczami?

– Naprawdę interesuje cię to, czym żyją inni ludzie?

– Tak.

– Ciekawi cię, czym żyje Birgitte Bergum?

– Nie.

– To kto cię interesuje?

– Na przykład ty – odpowiedziała.

– Ja?

– Tak.

Gunnarstranda długo się jej przyglądał.

– Osobiście – wycedził przez zęby – poświęcam cały swój wolny czas na to, żeby dbać o zdrowie i kondycję, unikając sportu, terapii antynikotynowych, diet i zdrowego nocnego snu.

– Coś mi przyszło do głowy – rzucił nagle Yttergjerde.

Odwrócili się w jego stronę.

– Jeżeli Rognstad coś wie... Nie, nie ma o czym mówić.

– O czym pomyślałeś? – nalegał Gunnarstranda.

– Zapomnij o tym, to może być cokolwiek. Chodzi o to, że Rognstadowi grunt pali się pod nogami. Nie wiadomo, z czym wyskoczy.

– Ale miałeś na myśli coś konkretnego.

– Pomyślałem, że jedyne, co się wydarzyło od czasu, kiedy próbowałem rozjechać Frankena, do teraz, to to, że go przyskrzyniliśmy i że był sam. Chodzi mi o to, że Ballo nie pojawił się w banku, więc może Ballo...

– Tak?

Yttergjerde wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Tak naprawdę żadne z nas nie wie, co Rognstad będzie próbował nam sprzedać.

Inspektor stał zamyślony.

– W tym jest jakaś myśl – powiedział po chwili. – Ballo zniknął. Merethe Sandmo zniknęła. – Spojrzał na Lenę Stigersand i dodał: – Jak już zdobędziesz te listy pasażerów, sprawdź, czy nie figuruje na nich nazwisko Ballo.

Na sztywnych nogach podszedł do biurka, usiadł w fotelu, podniósł słuchawkę i wystukał numer.

Yttergjerde i Stigersand spojrzeli na siebie. Policjantka wzruszyła ramionami, kiedy Gunnarstranda poprosił o połączenie z dyrektorem banku.

Kolejny raz wymienili spojrzenie, kiedy usłyszeli, o co poprosił swojego rozmówcę: – Czy mógłby pan popytać wśród swoich

pracowników, czy w ciągu ostatnich trzech miesięcy skrytka bankowa była otwierana? Tak, proszę do mnie oddzwonić.



## 9

Frank Frølich siedział w samochodzie i czytał protokół z włamania do willi Narvesena w 1998 roku. *Jedna wielka niewiadoma*, pomyślał. Odłożył papiery na sąsiedni fotel i włączył silnik, żeby się ogrzać. Włamanie. Pięćset tysięcy w małym sejfie. Włamywaczom nie udało się otworzyć sejfu w domu, więc zabrali go ze sobą. Wynieśli sejf z willi na Ulvøi. To, co utkwilo mu w pamięci podczas oględzin miejsca włamania, to niesamowity wręcz p o r z ą d e k: nic innego nie zginęło, ani srebro, ani biżuteria, zero odcisków palców na sprzędzie Bang & Olufsen, żaden cenny drobiazg nie zmienił właściciela, żadnych śladów plądrowania, żadnych aktów wandalizmu, żadnych odchodów w słoiku z dżemem ani innych oryginalnych wizytówek. Jedyne, co zniknęło, to sejf, w którym znajdowało się pół miliona norweskich koron. Wystarczająco duża suma, zwłaszcza dla śledczych – włączając w to jego samego – żeby snuć alternatywne hipotezy, jak ta, że włamanie zlecił sam Narvesen, a motywem była ewentualna wypłata odszkodowania. Ale ponieważ w sejfie nie przechowywano żadnych innych przedmiotów, jego zawartość nie była ubezpieczona. W środku znajdowała się wyłącznie gotówka. Wśród osób opuszczających dom Narvesena był Ilijaz Zupac, który później został rozpoznany przez świadka. A gdzie wtedy przebywał Narvesen? Daleko stąd. W protokole odnotowano, że był na tygodniowych wakacjach na Mauritiusie.

Franken przypomniał sobie, co myślał o tej sprawie w 1998 roku. Po pierwsze, włamanie nie było sfingowane. Czujna sąsiadka przez przypadek zauważyła podejrzany ruch w ogrodzie i willi Narvesena i zareagowała, ponieważ wiedziała, że dom stoi pusty. Zadzwoiła na policję, ale ta zjawiała się zbyt późno. Podczas przesłuchania wskazała na Zupaca, którego zapamiętała, jak wsiadał do samochodu zaparkowanego przed domem Narvesena. Frølich pomyślał wtedy, że kradzieży musiał dokonać ktoś z wewnątrz. Ktoś, kto wiedział o pieniądzach i o tym, gdzie się znajdował sejf, kto się orientował, że Narvesen spędza urlop na Mauritiusie, czyli że teren jest czysty. Zupaca aresztowano, ale nic nie udało się z niego wydusić. Słowem nie wspomniał o kradzieży ani o kolegach, z którymi przeprowadził akcję.

Nagle Franken podjął decyzję. Zmienił bieg i włączył się do ruchu. Było późne grudniowe popołudnie. Warstwa chmur nad Ekebergåsen przypominała stertę szmat poplamionych olejem. Jechał Mosseveien w kierunku Ulvøi, nie wiedząc, czy Narvesen jest w domu ani o czym miałby z nim rozmawiać, gdyby doszło do ewentualnego spotkania.

Samochód przetoczył się przez most. Mijając starszego mężczyznę w czapce do golfa i wełnianym płaszczu, stojącego na moście i łowiącego ryby, Frank Frølich pomyślał, że to niezły pomysł: stać na mrozie, moczając kij w wodzie, i nie myśleć o niczym.

Skręcił w Måkeveien, nacisnął hamulec i zaparkował za porsche carrerą. Przyglądając się autu, pomyślał: *Jeśli ta wypasiona bryka należy do Narvesena, to facet jest większym farciarzem, niż przypuszczałem.* Za ogrodzeniem stała willa wybudowana w okresie powojennym i później odrestaurowana. Frølich otworzył małą bramę z kutego żelaza, podszedł do drzwi i nacisnął przycisk dzwonka.

Natychmiast rozległo się szczekanie psa. Chwilę później usłyszał kobiecy głos, a potem odgłos psich łap uderzających o parkiet. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich trzydziestoparoletnia kobieta o azjatyckim wyglądzie, długich kruczoczarnych włosach i uśmiechu, który zapewniłby jej rolę statystki w hollywoodzkiej produkcji. Charakterystyczna, mniej więcej trzycentymetrowa blizna biegła od czubka jej brody w kierunku kości policzkowej. To była jedna z tych blizn, które nie szpecą. Coś, co sprawiało, że człowiek miał ochotę spojrzeć na tę twarz jeszcze raz, coś, co czyniło ją interesującą i odrobinę tajemniczą. Pies, którego próbowała uspokoić, okazał się chudym jak szczapa seterem angielskim. Merdał ogonem, starając się skupić na sobie całą uwagę.

– Tak? – zagadnęła kobieta, po czym zwróciła się do psa: – No, no, już dobrze, już się przywitałeś, wracaj do domu!

Chwyliła psa za obrozę i bardziej wrzuciła, niż wepchnęła go do środka. Zamknęła za sobą szerokie drzwi wejściowe i powtórzyła uprzejmie:

– Tak? Co pana sprowadza?

Frølichowi przemknęło przez głowę, że ta kobieta idealnie pasuje do porsche.

– Jestem policjantem – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Swego czasu prowadziłem śledztwo w sprawie włamania do tego domu. To było prawie sześć lat temu.

– Inge nie wrócił jeszcze z pracy.

– Jaka szkoda.

Pies nie przestawał ujadać. Skrobał łapami o drzwi.

Znowu się uśmiechnęła. Mała blizna w kąciку ust zniknęła w zmarszczce mimicznej.

– On tylko chce się bawić. Co pan sobie zrobił?

Frølich dotknął krwiaka na policzku i powiedział:

– Wypadek przy pracy. O której Inge wraca do domu?

– Koło ósmej.

Przyglądali się sobie przez moment. W końcu kobieta wykonała ruch, jakby chciała zakończyć rozmowę i wejść do domu.

– Jest pani jego partnerką czy...

– Partnerką – przytaknęła, po czym wyciągnęła w stronę Frankena szczupłą dłoń i przedstawiła się: – Emilie.

– Frank Frølich.

Nie powiedział, co go sprowadza. Była cienko ubrana, a na bosych stopach miała sandały. Na pewno zmarzła na kość, stojąc na dworze w takim stroju.

Zadrżała z zimna. Jakby umiała czytać w jego myślach.

– Szkoda, że go nie ma. Obawiam się, że przyjechał pan na darmo. – Spuściła wzrok. – Czy mam mu przekazać jakąś wiadomość, numer telefonu...?

– Nie – odpowiedział Frølich i przeszedł do sedna sprawy: – Pieniądze, które wtedy zrabowano, zostały odnalezione, o czym Inge dobrze wie. Mam jednak kilka pytań. Zna pani okoliczności zajścia?

Potrząsnęła głową.

– Jesteśmy parą dopiero od dwóch lat. Chyba będzie pan musiał porozmawiać z nim samym.

– Kiedy doszło do włamania, Inge był na Mauritiusie. Na wakacjach. Nie wie pani przypadkiem, czy poleciał tam sam, czy w czyimś towarzystwie?

Wyraz jej twarzy nie był już taki przyjacielski.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Przykro mi – odpowiedziała, siląc się

na uprzejmość.

– Cóż, mogę przyjechać jeszcze raz – powiedział Frølich i ruszył w stronę wyjścia. Przy furtce się odwrócił. Kobieta wciąż stała w tym samym miejscu. Patrzyła za nim. Zapomniała o ujadającym psie. *Chyba zapomniała również o tym, że marznie, pomyślał Franken.*

## 10

Gunnarstranda jak zwykle spóźnił się na spotkanie. Umówili się, że zjedzą obiad w restauracji sushi na Torggata. Tove lubiła sushi, czasami nie miała ochoty na nic innego, tylko na sushi. Restauracja znajdowała się w najbardziej zróżnicowanym etnicznie zakątku Oslo, ukryta na pierwszym piętrze anonimowej kamienicy. To dlatego Tove lubiła tu jadać. Jedzenie wyglądało i smakowało tak jak w Japonii, ale w odróżnieniu od restauracji sushi na Aker Brygge i Frogner, tutaj gośćmi byli ludzie z krwi i kości; maklerzy giełdowi z kompleksami dow jonesa i posthipisowska młodzież marząca o statystowaniu w reklamówkach bardzo rzadko tutaj zaglądali.

Zerknął na zegarek. Prowadzili ze sobą grę. Dziesięć minut po czasie. Wszedł na górę po drewnianych schodach, otworzył drzwi i rozejrzał się po lokalu. Tove jeszcze nie przyszła. Skinął głową na kierownika sali, ubranego na czarno faceta o japońskich rysach.

– Mamy zamówiony stolik przy oknie na godzinę dziewiętnastą – powiedział Gunnarstranda i zawiesił płaszcz. To ona wymyśliła tę zabawę. Nigdy nie był pewny, czy zamówiła stolik, a jeśli tak, to na jakie nazwisko. Wiedział tylko jedno: kiedy się umawiali w orientalnych restauracjach, nigdy nie rezerwowała stolika na jego nazwisko.

Kierownik sali zajrzał do książki.

– Rollsen, stolik dla czworga?

Gunnarstranda pokręcił przecząco głową.

– Line? Stolik dla dwojga? Kal i Line?

Inspektor przytaknął.

– Carl von Linné. Czy pani już przyszła?

– Jeszcze nie.

Mężczyzna zabrał dwie karty dań i ruszył przodem w głąb lokalu.

Ledwo zdążył usiąść i złożyć zamówienie, kiedy w drzwiach restauracji pojawiła się Tove. Chwilę później stała przy stoliku. Gunnarstrandę owionął rześki powiew mroźnego powietrza.

– Przepraszam, ale nie miałam gdzie zaparkować samochodu.

– Znowu wygrałaś.

Zaśmiała się i zajęła miejsce przy stoliku.

– Już zamówiłem – powiedział.

Siedzieli i przyglądali się sobie w milczeniu. Zawsze kiedy tak na niego patrzyła, z lekkim rozbawieniem, sprawiała, że był w stanie zdobyć się na autoironię.

– Dzisiejsza rezerwacja... Czy to znaczy, że następnym razem będziesz Helen Keller?

– A wyglądam jak Helen Keller?

– A czy ja wyglądam jak Karol Linneusz?

– Czasem sprawiasz takie wrażenie, poza tym pomyślałam sobie, że uznasz to za komplement.

Kelner przyniósł półmiski z sushi.

– Bardziej byś go przypominał, gdybyś zrobił coś ze swoimi włosami. Mógłbyś na przykład kupić perukę, zamiast zaczesywać je w ten sposób – powiedziała. – Mężczyźni w perukach są sexy.

– Być może wtedy rzeczywiście przypominałbym Linneusza, ale na pewno nie wyglądałbym bardziej sexy.

Znowu się zaśmiała.

– W takim razie kim chciałabyś być następnym razem?

– Nie, to ty o tym decydujesz.

Uśmiechnęła się figlarnie, ponieważ dobrze wiedziała, że nie lubił takich zabaw.

– Meryl Streep – powiedział.

– Dzięki, ale nie jestem pewna, czy kierownik sali uwierzy ci na słowo. A w ogóle to dlaczego nie jesz? Nie jesteś głodny?

Spojrzał w dół, na czerwone sushi z łososia, które przykrywało kulę ryżu. Podobieństwo było porażające.

– Wczoraj zdechł Kalfatrus – odpowiedział i podniósł wzrok.

*Palnąłem gafę, pomyślał.*

Tove nie mogła się powstrzymać, wybuchnęła gromkim śmiechem.



## 11

Frank Frølich znalazł w internecie numer telefonu stacjonarnego Ingego Narvesena. Właśnie minęła ósma. Postanowił poczekać pół godziny i dopiero wtedy wykręcił numer.

– Emilie, słucham.

– To znowu ja, Frølich. Ten policjant.

Ktoś zasłonił dłonią słuchawkę. W tle słyhać było stłumione głosy.

– Inge jest teraz zajęty. Oddzwoni do pana, dobrze?

– To zajmie dwie sekundy.

Ręka na słuchawce. Przytłumiona rozmowa. Następnie rozgniewany męski głos:

– Czego chcesz?

– Chciałem spytać o kilka szczegółów dotyczących tego włamania sprzed sześciu lat.

– Po co?

– Mam tylko parę pytań. Jest kilka niejasności...

– Jesteś zawieszony. I dlatego nie interesuje mnie, czy coś jest dla ciebie niejasne, czy nie.

– Chodzi mi tylko o to, żeby wyjaśnić sprawy, które mogą rzucić światło na...

– Nic podobnego. Chodzi wyłącznie o to, że wędzysz po okolicy i dręczysz osobę, którą kocham.

– Dręczone?

– Zadajesz pytania na tematy, o których Emilie nie może nic wiedzieć, a w dodatku posuwasz się do insynuacji.

– Po prostu staram się spojrzeć na tamto włamanie w świetle tego, że udało się odzyskać pieniądze.

– Popelniasz błąd – rzucił krótko Narvesen. – Nie mamy więcej o czym mówić.

– Proszę pozwolić mi dokończyć. Pieniądze, które zostały zrabowane, odzyskano dzięki osobie, której nie przesłuchano w trakcie tamtego śledztwa. A to oznacza, że sprawę włamania będzie można w końcu wyjaśnić...

– Jesteś teraz osobą prywatną, nie reprezentujesz organów ścigania, a poza tym śledztwo w tej sprawie **n i e z o s t a n i e w z n o w i o n e**.

– Skąd to wiesz?

– Od twojego szefa. I żeby wszystko było jasne, Frølich, rozmawiam z tobą wyłącznie po to, żebyś wbił sobie do głowy jedno: **t r z y m a j s i ę z d a l a o d m o j e g o d o m u**.

– Tamto włamanie było zbyt czyste – Franken nie dawał za wygraną. – Niczego innego nie skradziono, nic nie zostało zniszczone. – W słuchawce zapadła cisza. – Ktoś wiedział o tych pieniądzech, wiedział, gdzie są przechowywane, i wiedział, że dom stoi pusty. A to oznacza, że ktoś dał cynk Ilijazowi i jego bandzie, którzy zrobili skok, kiedy ciebie nie było w domu.

– Gdzie ty mieszkasz, Frølich?

– Gdzie mieszkam?

Inge Narvesen zamilkła i odłożyła słuchawkę.

Frank Frølich stał i wpatrywał się w ścianę. To nie był najlepszy

sposób na zakończenie rozmowy telefonicznej, ale nie było najmniejszego sensu dzwonić drugi raz.

\*

Zanim zasnął, długo się przyglądał sąsiedniej poduszce. Długi czarny włos Elisabeth wił się na białej poszwie niczym cienka nić. *Zbiorek poezji*, pomyślał, *zakładka, pojedynczy włos*. Otworzył książkę w tym samym miejscu: *Nikogo nie zapomnę*. Uchwycił włos dwoma palcami, uniósł go i położył ostrożnie na otwartej stronie jak elegancką zakładkę. *Długie fragmenty kości w pogorzeliisku*. Próbował przywołać w myślach jej twarz, ale obraz był niewyraźny. *Jestem sentymentalnym głupcem*, pomyślał i poszedł do łazienki.

Kiedy mył zęby, ktoś zadzwonił do drzwi.

Zanim zakręcił kran i odłożył szczoteczkę, uchwycił własne spojrzenie w lustrze. Zerknął na zegarek. Było po północy.

Dzwonek do drzwi.

Poszedł na korytarz i spojrzął przez wizjer. Ani żywej duszy. Otworzył drzwi. Pusto. Podszedł do drzwi prowadzących na klatkę schodową. Otworzył je. Tam również nikogo nie było.

Nasłuchiwał. Cisza.

Wrócił do mieszkania. *Prawdopodobnie jacyś gówniarze dzwonią dla żartu, a potem uciekają*, pomyślał. *Jest tylko jedno ale: niedawno minęła północ*. Stał i wpatrywał się w przycisk otwierający drzwi wejściowe do budynku. Wahał się. Po namyśle wziął do ręki słuchawkę domofonu i zawołał:

– Halo?!

Nic nie było słyhać. Nic poza trzaskami.

Odłożył słuchawkę na miejsce, podszedł do okna w salonie i wyjrzał na zewnątrz. Nawet jeśli ktoś stał na dole przy domofonie,

Franken i tak nie mógł go zobaczyć. Na dworze wszystko wyglądało normalnie, zaparkowane samochody, w oddali niewielki ruch na Ring 3. W rzędzie zaparkowanych pojazdów, w jednym z aut, świeciły się jednak na czerwono tylne światła. Silnik pracował na jałowym biegu.

To nie musiało nic znaczyć. Mimo to poszedł do sypialni i wyjął z szafy lornetkę. Zgasił światło w salonie i zbliżył się do okna. To był jeep cherokee. Z tej odległości jednak tablice rejestracyjne były nieczytelne, a okna samochodu wyglądały jak matowe, nieprzepuszczające światła prostokąty.

Odrzucił od siebie dziwne myśli. Dokończył się myć i poszedł spać. Leżał, wpatrując się w sufit. Po pewnym czasie poczuł, że zaczyna go ogarniać zmęczenie. Zgasił światło i przewrócił się na bok.

Wtedy zadzwonił telefon.

Otworzył oczy i spojrzał w ciemność. Telefon nie przestawał dzwonić. W końcu Franken wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę.

– Halo?

Cisza.

– Halo? – powtórzył.

Przez chwilę słyszał trzaski, a potem osoba po drugiej stronie przerwała połączenie.

## 12

Tej nocy źle spał i dlatego był zmęczony, kiedy zadzwonił budzik. Obudził się z jedną jedyną myślą – żeby pozbyć się płonącego domu z umysłu, uwolnić się od niego raz na zawsze. Pojechać tam i zobaczyć go na własne oczy. Wyruszył wcześniej, przed siódmą rano, i na Steinshøgda był już przed ósmą. Aż do Hønefoss stosował się do ograniczeń prędkości, ale jadąc wzdłuż Leiry i Begnadalen, nie zdejmował nogi z gazu. Chris Rea śpiewał właśnie *The Road to Hell*. Co za ironia, pomyślał i pogłośnił radio. Norweskie doliny spowijała zimowa mgła. Słońce przedzierało się między wierzchołkami drzew. W Begnadalen po obu stronach drogi stały dumne sosny i maszty flagowe. Próbował przywołać w pamięci twarz Elisabeth, jej ciało, ale widział wyłącznie „długie fragmenty kości”. Ktoś podpalił domek letniskowy i spalił ją żywcem. Ktoś stał w nocy i przyglądał się, jak ogień trawi drewnianą konstrukcję. Ktoś zasłonił się ramieniem przed ścianą żaru, słyszał, jak eksplodują szyby przy akompaniamencie wyjąjących płomieni i trzasku niezliczonych włókien, pękających w deskach trawionych przez języki ognia. Ktoś tak stał i oddychał z otwartymi ustami, żeby nie czuć swądu spalonego mięsa, który wydobywał się razem z kłębami żółto-czarnego dymu z płonącej papy dachowej, książek, wełny, lamp parafinowych, które eksplodując, robią prysznic ze skondensowanego ognia i podsycają płomienie. Ogień trawi kołdry puchowe, urządzenia kuchenne, szopę ze składem

drewna na opał. Żar sprawia, że kłapa sedesowa zdąży się stopić, zanim zajmie się ogniem wraz z innymi szpargałami i samotną, przewróconą świecą. Skóra, która ulega zwęgleniu, mięso, które się topi, zajmuje ogniem, włosy, które zapalają się z cichym, ledwo słyszalnym pyknięciem.

Spocił się. Palce na kierownicy zrobiły się kredowobiałe. Musiał się zatrzymać, musiał wysiąść. Zaparkował samochód na przystanku autobusowym. Wysiadł z auta zdyszany, bez tchu, jakby przemaszerował wiele kilometrów w pełnym rynsztunku. *Co się dzieje? Co się ze mną dzieje, do cholery?*

Musiał tam pojechać, na pogorzelisko. Chciał ją zobaczyć na własne oczy. Stał oparty o dach samochodu, jak aresztant w amerykańskim filmie. Chciał zwymiotować, ale żołądek był pusty. Po chwili minął go jakiś samochód. Para oczu wpatrujących się z zaskoczeniem w mężczyznę przy aucie sprawiła, że się wyprostował i wciągnął powietrze głęboko do płuc.

Kiedy w końcu był w stanie oddychać normalnie, usiadł za kierownicą i pojechał dalej. Tym razem postanowił zdusić melancholijny nastrój latynoamerykańskim rockiem. *Maná Unplugged*. Zadowalająca liczba wstawek gitarowych, wystarczająca ilość emocji, a ponieważ nie znał hiszpańskiego, nie rozumiał ani w ząb, o czym śpiewają. Samochód wjechał na rynek w Fagernes przed dwunastą w południe. Franken był głodny, ale czuł, że go nosi. Kupił trochę owoców i ruszył dalej. Grudniowe ciemności zbliżały się wielkimi krokami. Wiedział, że widno będzie najwyżej do wpół do czwartej. Skierował się na północ, tym razem przy akompaniamencie Johnny'ego Casha, *The Man Comes Around*. Ostre brzmienie gitary było jak łykanie witamin, każdy wers czynił go silniejszym. Odbił

w kierunku Vestre Slidre i w górę Panoramaveien, w stronę Vaset. Śnieg leżący w najwyższych partiach gór powoli przybierał niebieski odcień. Po obu stronach drogi stały nagie brzozy. W końcu dojechał do Vaset. Do granicy lasu został jeszcze kawałek. Po chwili dotarł do osiedla domków letniskowych. Jechał powoli między rzędami małych domów, w stronę pogorzelska.

Pięciometrowy komin wznosił się niczym obelisk – słup wbity w hałdę żużlu.

*Tutaj się ukryłaś i tutaj cię dopadli. Tutaj wzywałaś pomocy.*

Pogorzelsko było odgródzone czerwono-białą taśmą policyjną. W powietrzu unosił się kwaśny zapach sadzy i dymu. Rozejrzył się wokół siebie. Pustka. Dom letniskowy Reidun Vestli leżał w małej niecce. Od sąsiednich domków dzieliło go nie więcej niż dwadzieścia, może trzydzieści metrów. Widok zasłaniały gęste, niemożliwe do przebycia zarośla brzozy, przypominające przypaloną poduszkę do igieł. Rozgarnął popiół czubkiem buta. Stopa natrafiła na osmoloną puszkę farby, która się potoczyła kawałek dalej. Wokół puszek leżało kilka zwęglonych sprężyn. *Tutaj, właśnie tutaj stało łóżko.*

Nagle poczuł, że robi mu się niedobrze. Cofnął się.

Stał i patrzył na czarną kupę sadzy. Niespodziewanie dotarło do niego, jak bardzo ma tego wszystkiego dość: przemocy, pożaru, śmierci.

Odwrócił się, podszedł do samochodu i uruchomił silnik. Miał przecież własny dom letniskowy. Czuł, że musi tam pojechać.

\*

Tych kilkadziesiąt kilometrów dzielących go od Fagernes przejechał o wiele spokojniej. Zatrzymał się, żeby zatankować. Kiedy stał z pistoletem do paliwa w dłoni, ktoś zawołał go po imieniu.

Franken się odwrócił, ale nie od razu rozpoznał mężczyznę. Dopiero po chwili coś zaczęło mu świtać. Płomiennie czerwona twarz, rude włosy i mina waśniaka. To był „Borówka”, a raczej Per-Ole Ramstad, bo tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko.

– Per-Ole! – zawołał Franken.

Mężczyzna wchodził właśnie do budynku stacji. Ruchem ręki przywoływał go do siebie. Frank Frølich dał znać na migi, że przyjdzie, kiedy tylko napełni bak.

Chodzili razem do szkoły policyjnej. On i Per-Ole *alias* Borówka z powodu rudych włosów i czerwonych policzków. Per-Ole odbywał służbę na komisariacie w gminie Nord-Aurdal. Brat łąta. Policyjna alternatywa dla Listonosza Pata – ktoś, kto zna wszystkich w swoim rejonie i kto życzy wszystkim jak najlepiej. Franken strząsnął ostatnie krople benzyny, zakręcił wlew paliwa i poszedł zapłacić.

– Słyszałem, że miałeś ostatnio ostro pod górkę – rzucił Per-Ole na dzień dobry.

– To znaczy? – spytał Frølich, wsuwając resztę pieniędzy do kieszeni.

– Słyszałem, że byłeś z kobietą, która zginęła w pożarze domu letniskowego w Vaset.

– Tyko tyle?

Per-Ole się zaśmiał.

– Słyszałem o przymusowym urlopie, zabójstwie strażnika, zwolnieniu z aresztu, które nie było wam na rękę, i tak dalej, i tak dalej. Ale tak poza tym wszystko w porządku?

Spojrzenie Pera-Olego, zabarwione szczerą troską i nutą niepokoju. Frank Frølich odetchnął głęboko.

– Aż tak źle to wygląda? – spytał.



– Wyglądasz tak, jakbyś potrzebował wakacji od wakacji.

– Zgadza się. Chociaż od prawie dwóch tygodni nie robię nic innego, tylko próbuję odpocząć.

– A teraz? Byłeś tam? – Per-Ole skinął głową w stronę domków letniskowych. – Na pogorzeliisku?

Franken przytaknął.

Spojrzeni na siebie.

– Zdradzić ci tajemnicę? – spytał Borówka. – Właśnie wpadł mi w ręce protokół z przesłuchania świadka. Myślę, że to powinno was zainteresować, w każdym razie twojego szefa. Słyszałeś o niejkiej Merethe Sandmo?

Franken skinął głową.

– Tak myślałem. Właśnie przyszło pismo w jej sprawie. Z Oslo. Ta cała Sandmo była widziana w Fagernes tego samego dnia, w którym spłonął dom letniskowy.

– Poważnie?

– Poważnie – odpowiedział powoli Per-Ole. – Była w restauracji. Niestety nie mogę ci powiedzieć nic więcej.

– Była sama?

Per-Ole potrząsnął głową.

– Zjadła obiad w hotelu w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

– Zatrzymała się w hotelu?

– Nie.

– Tożsamość mężczyzny?

– Jeszcze nie ustaliliśmy, ale twój szef, nie pamiętam, jak się nazywa ten upierdliwy gość z zaczeską, przefaksował nam górę zdjęć.

Wymienili spojrzenia.

– Mógłbyś zostać tutaj na kilka dni – zaproponował Per-Ole. –

Wybraliibyśmy się w góry, pomoczylibyśmy kije w Vællers, rozumiesz, tłuste golce same wskakują na patelnię, smażona rybka do wódeczki jak znalazł. Nie ma lepszego sposobu, żeby się odstresować i naładować baterie.

– Brzmi kusząco, ale...

– Ale?

– Muszę zajrzeć do mojego domu letniskowego. Właśnie się tam wybieram, do Hemsedal.

Frank Frølich wyczytał ze spojrzenia Borówki, że ten przejrzał go na wylot. Ale Per-Ole był dobrym kumplem, nie skomentował tego ani słowem.

– Innym razem – zapewnił Franken. Czuł, że nie jest w stanie się udzielać towarzysko. – To było silne przeżycie, rozumiesz? Zobaczyć pogorzelnisko na własne oczy.

\*

Było ciemno, kiedy jechał górską drogą w stronę domku letniskowego należącego do jego rodziny. Snopy światła ślizgały się wzdłuż ścian lasu po obu stronach drogi, sprawiając wrażenie, jakby wszechświat skurczył się do rozmiarów wąskiej ścieżki wciśniętej w jodłową aleję. A jednak w okolicy nie brakowało domów ani gospodarstw, pełno było dzikich zwierząt i ptaków. Wiedział o tym, ponieważ przejeżdżał tędy niezliczoną liczbę razy. *Może właśnie na tym polega mój problem? Może patrzę na tę sprawę jak kierowca, który ma ograniczone pole widzenia, ponieważ dostrzega tylko to, co oświetlają reflektory? Może powinienem zmienić perspektywę, spojrzeć na wszystko z innej strony?*

W środku było jak zwykle zimniej niż na zewnątrz. Otworzył wszystkie okna i drzwi, żeby zrobić przeciąg i wywiać z domu

lodowate powietrze, a sam poszedł do studni po wodę. Zresztą słowo „studnia” nie do końca odzwierciedlało stan faktyczny. Było to źródło przerobione na studnię. Razem z ojcem wykopali torf i ziemię, zrobili dziurę, tak żeby wody powierzchniowe mogły się w niej zbierać po przesączeniu przez wał oczyszczonego piasku. Następnie do wykopu wpuścili cementowy pierścień, który kupili w jednym z okolicznych gospodarstw. W ten sposób wybudowali studnię o głębokości półtora metra, studnię, która nigdy nie wysychała i która znacznie dłużej opierała się mrozom niż teren wokół niej. Na cembrowinie samodzielnie dobudował okrągłą pokrywę z łupku, zamontował gwinty i odlał mały uchwyt na rękę. Dzięki temu nie pozostawało mu nic innego, jak tylko odsunąć pokrywę na bok i zanurzyć wiadro w ciemnej wodzie. Kryształowo czystej, smacznej, pełnej składników mineralnych.

Pił tak długo, aż ugasił pragnienie – zawsze tak robił – i dopiero wtedy wrócił z wiadrem do domu.

Zamknął drzwi i okna i rozpałił w starym żeliwnym piecu. Ogrzanie ogromnego pokoju z wysoko zawieszonym sufitem zajmowało sporo czasu, więc korzystając z okazji, wyszedł na ganek i otworzył drzwi sauny. Dzięki piecykowi na drewno w pomieszczeniu robiło się gorąco już w ciągu godziny. Przyniósł naręczę brzozowych szczap, zdarł z jednej z nich korę i użył jej jako rozpałki. Kiedy pojawiły się płomienie, dołożył drewna i przez chwilę się przyglądał, jak po kolei zajmują się ogniem. Zamknął drzwiczki piecyka. Teraz wystarczyło spokojnie poczekać. Stał na ganku i spojrzał na jezioro, które jeszcze nie zamarzło. Poszedł do szopy i wyjął wędkę, kilka blaszek i finkę. Dla zabicia czasu zszedł nad wodę. Brzozy zgubiły wszystkie liście. Księżyc przypominał biały chiński lampion. Odbijał

się w czarnej tafli jeziora, nad którą unosiła się lodowata mgła. Najprawdopodobniej było za zimno, żeby coś złowić. Nawet liście lilii wodnych zaczęły się przygotowywać do zimy. Kilka razy zarzucił wędkę, kołowrotek zapiszczał, błystka przebiła tafłę wody, a żyłka się naprężyła, jakby blaszka zwabiła pstrąga. Ale ryba nie brała. Niezrażony chwilowym niepowodzeniem, po raz kolejny zarzucił wędkę. Woda była zimna, więc ryba chowała się w głębinie. Pozwolił, żeby błystka zanurzyła się w wodzie, uspokoił żyłkę i dopiero wtedy zaczął kręcić kołowrotkiem. Powoli. To była jego ulubiona przynęta: z czerwonym frędzlem i czerwonymi plamkami. Zwinął żyłkę, uniósł wędkę, zarzucił, pozwolił, żeby błystka zanurzyła się głęboko, powoli kręcił kołowrotkiem – i wtedy poczuł, że ryba chwyciła przynętę. Szarpnięcie wędki nie pozostawiało wątpliwości. Pstrąg. Ryba zaczęła się oddalać. Franken przyglądał się temu ze spokojem. Żyłka przecinała zygzakiem tafłę wody. Chwilę później Frank zaciął kołowrotek i zaczął zwijać żyłkę. Ryba siedziała. Na oko półkilogramowa. Idealna wielkość. Idealna na patelnię. Ryba zaryzykowała i popłynęła w głąb jeziora. Pozwolił jej na to. Kręcił kołowrotkiem, aż poczuł kolejne szarpnięcie. Pół minuty później wyciągnął ją na ląd. Pstrąg trzepotał jak szalony, podskakiwał, aż w końcu wpadł w krzak jałowca. Franken położył na rybie obie dłonie. Chwycił ją z całych sił. Przytrzymał. Pstrąg połknął całą przynętę. Frank zdecydowanym ruchem złamał mu kręgosłup. Zważył zdobycz w dłoni. Spojrzał na księżyc. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że wędkowanie tak go wciągnęło, że nie myślał o niczym innym. Czuł radość, będąc tutaj, w ciemności, nad jeziorem.

Ruszył w stronę domu, mając nadzieję, że sauna wystarczająco się nagrzała. Termometr na ścianie łaźni pokazywał jednak tylko

sześćdziesiąt stopni. Dołożył do ognia więcej suchych szczap brzozy i trochę świerku. Drewno świerkowe paliło się jak zapałka, szybko i gwałtownie, płomienie błyskawicznie generowały ciepło. Potem poszedł do studni po wodę, którą zamierzał polewać kamienie w saunie. Kiedy w drodze powrotnej spojrzął na niebo, zauważył, że zaczęło się chmurzyć. Stał na ganku i popijał whisky Upper Ten. Kiedy temperatura w łaźni wzrosła do osiemdziesięciu stopni, na ziemię spadły pierwsze krople deszczu.

Rozebrał się i położył na ławce. Niemal natychmiast zaczął się pocić. Myślał o Elisabeth. O jej dłoniach, które błądziły po jego ciele niczym spłoszone wiewiórki. Polał kamienie wodą. Rozległ się syk i para wodna przykleiła się do skóry jak wrzący ból. Siłą woli zmusił się do tego, żeby leżeć spokojnie. Przyglądał się płomieniom przez szklaną ścianę piecyka i wyobrażał sobie, że trawia długie, żarzące się kości nóg. Czuł, że dłużej nie wytrzyma. Usiadł. Kiedy temperatura zbliżyła się do dziewięćdziesięciu pięciu stopni, wyskoczył z sauny i usiadł nagi na świerkowym pniaku, w deszczu. Ta część kąpieli dawała mu prawie tyle samo radości, co samo wygrzewanie się w saunie: dać się opłukać deszczowi, który od śniegu był cieplejszy o jeden, może dwa stopnie Celsjusza, a jednak wciąż czuć to samo wewnętrzne ciepło co w łaźni. Pot mieszał się z deszczem. Woda spłukiwała spoconą skórę, ale kiedy polizał się po ramieniu, poczuł słony smak. Ciężkie krople ześlizgiwały się po jego ciele, po brzuchu, udach, odrywały się od skóry i kapały na liście borówki brusznicy. Nagły powiew wiatru, kolejne przyjemne doznanie. Temperatura obniżyła się ledwo odczuwalnie, ale to wystarczyło, żeby się podniósł i zszedł powoli nad wodę, nad lodowate jezioro, w którym się zanurzył i przez kilka sekund pływał między liśćmi grzybieni jak biały

potwór. Zziębnięty, szczękający zębami, na obolałych stopach – pobiegł z powrotem do gorącej sauny, położył się na ławce i zaczął planować posiłek: usmaży pstrąga z solą, pieprzem, kilkoma pieczarkami, które kupił po drodze, i odrobiną śmietany. A potem wyciągnie butelkę piwa albo białego wina z magazynu pod podłogą. Leżąc, myśłami był znowu przy Elisabeth. Żałował, że jej tutaj nie przywiózł, że jej tego nie pokazał, ponieważ ten dom był częścią niego, czymś, za czym tęsknił, miejscem, do którego z chęcią przyjeżdżał, potrzebą, którą w regularnych odstępach czasu zaspokajał.

Kolejny raz oblał się potem. Miał wrażenie, że jego ciało nie zniesie więcej, że jest na skraju wytrzymałości. Nagle usłyszał dziwny dźwięk. Podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Coś mogło upaść na ganek, ale przecież nic tam nie stało. Owszem – wędka. I butelka, trzydzieści pięć mililitrów Upper Ten. Wstał, żeby otworzyć drzwi do sauny, ale drzwi stawiały opór. Nacisnął mocniej. Drzwi nawet nie drgnęły. Znowu usłyszał ten sam dźwięk. Czyjeś kroki. Usiadł na ławie – nagi, mokry od potu, wykończony upałem. W środku dziewięćdziesiąt osiem stopni Celsjusza, na zewnątrz rześkie powietrze, mróz, kluczyki do samochodu, ubranie, pieniądze. I obcy człowiek, który zamknął drzwi. *Co się dzieje?* Wstał i przyłożył ramię do drzwi. Pchnął z całej siły. Bezskutecznie. Drzwi były zablokowane. *Ktoś uwięził mnie w środku. Ale w jaki sposób?* Jeszcze raz pchnął drzwi. Znowu nic. Zerknął do góry, na małe okienko w ścianie. Piętnaście na trzydzieści centymetrów. Odpada. *Dłużej już nie wytrzymam!* Ponowił próbę – naparł na drzwi całym ciałem, ale te nie drgnęły nawet o milimetr. Wtedy to poczuł: zapach dymu.

Wyjrzał przez okienko. To było do przewidzenia – ścianę sauny

trawiły języki ognia. *Zamierzają spalić mnie żywcem!* Mrugając, pozbył się potu, który spływał mu do oczu. Żółte drzwi majaczyły w polu widzenia. Kopnął je – bez rezultatu. Spomiędzy szczelin w podłodze sączył się żółtoszary dym. Panele podłogowe były jeszcze cieplejsze niż dwie minuty wcześniej. Podeszwy stóp piekły niemiłosiernie. *Długie fragmenty kości.* Wyobraził sobie nagłówek w gazecie: „Śmierć w płomieniach. W zgliszczach domu letniskowego odnaleziono zwłoki mężczyzny”. Wziął rozbieg i rzucił się na drzwi. Bolało go całe ramię, ale futryna w końcu zatrzeszczała. *To ja. To mój pieprzony dom letniskowy! Nie pozwolę, kurwa, żeby splotnął!* Po raz kolejny rzucił się na drzwi. Dym wdzierał się do nosa i oczu. Nic nie widział. Zachwiał się i upadł na rozgrzany do czerwoności piec. Krzyknął z bólu, kiedy skóra na ramieniu zaskwierczała. Ale oparzenie otrzeźwiło go i zmusiło do jeszcze większego wysiłku. Kolejny rozbieg. Tym razem płycina dała za wygraną. Zatrzeszczała, wydając głębszy, jakby pusty w środku dźwięk. Wciągnął powietrze głęboko do płuc, wyteżył wszystkie siły, spiął mięśnie i całym ciężarem ciała, dziewięćdziesięcioma pięcioma kilogramami żywej wagi doskoczył do drzwi i uderzył w nie pięścią. Krwawiły mu dłonie i przedramiona, ale udało mu się przebić płycinę na wylot. Po omacku zaczął szukać klamki po zewnętrznej stronie drzwi.

To była szufla do odgarniania śniegu. Rękojeść została wsunięta pod uchwyt klamki, a sama szufla wciśnięta w otwór między dwiema deskami podłogowymi. W ten sposób drzwi zostały zablokowane.

Ale ten, kto to zrobił, nie wiedział, że drzwi są kiepskiej jakości, że siostra Frankena jest okropnie skąpa i kupiła je w promocji, po znacznie obniżonej cenie, i że płycina jest wykonana z forniru, a nie z drewna. Teraz, kiedy w drzwiach zionęła dziura, reszta była prosta.

Wymacał rękojeść szufli, złapał ją i odrzucił na bok. Kopnięciem wyłamał drzwi i wypadł na ganek. Nie mógł złapać tchu. Odbiegł kawałek dalej i przecierając ręką oczy, czekał na cios. Ale nikt go nie zaatakował. Rozejrzał się wokół siebie. W ognisku pod sauną paliły się fragmenty starej papy dachowej i na wpół zbutwiałe pniaki, które leżały obok szopy. Franken pobiegł po ubranie i użył go do gaszenia ognia. Był nagi, w górach, w środku grudnia, samotnie walcząc z pożarem. Po chwili udało mu się zgasić ognisko, z pomocą przyszedł mu deszcz. *Jak to możliwe, że zgniłe deski paliły się tak gwałtownie?* W tej samej chwili poczuł zapach parafiny. Mróz powoli wżerał mu się w podeszwy stóp. Mniej więcej tyle samo czasu zajęło gaszenie pożaru. Kurtka, ogromna kurtka nadawała się do tego najlepiej. Stracił poczucie czasu. Odmrożone stopy zaczęły drętwieć. Kiedy jednak zakrwawiony, wyczerpany, czarny od sadzy i nagi – jak hemsedalska wersja Kaspara Hausera – stwierdził, że ogień nie wyrządził większych szkód poza osmoleniem zewnętrznej ściany sauny, pokryciem sadzą szyby w oknie i zniszczeniem drewnianej podłogi, był szczęśliwy jak dziecko w wigilijny wieczór. Trzęsąc się z zimna, założył mokre ubranie i pomyślał, że ten, kto życzy mu śmierci, Bóg jeden wie jak długo, miał go na widelcu.

Rozejrzał się dookoła, ale w panujących ciemnościach nie zobaczył nic poza czarnymi konturami drzew. Cholerny brak profesjonalizmu: zaplanować podpalenie z zamiarem pozbawienia życia, zablokować drzwi sauny, rozpalić ognisko, używając desek i parafiny, a potem uciec, nie upewniwszy się, czy plan został zrealizowany w stu procentach. Wiedział o tym, wiedział, że sprawca nie uciekł. *Ten ktoś stoi w ukryciu i nie spuszcza mnie z oczu.*

Przemarznięty do szpiku kości obracał się wokół własnej osi



i krzyczał:

– Wychodź! Pokaż się, pieprzony podpalaczu!

Cisza. Czarne świerki, odgłos deszczu.

– Wychodź, ty tchórzliwa świnio!

Nic.

Franken trząsał się z zimna. Wsunął wilgotne, opuchnięte stopy w traperki, które nagle wydały się za ciasne. Nie mógł opanować drżenia. Nasłuchiwał. Nagle usłyszał dźwięk: szum uruchamianego silnika. Za szpalerem świerków rozblęły światła samochodowe.

Rzucił się w kierunku swojego auta. Potknął się o wystający korzeń i upadł jak długi. Z trudem stanął na nogi. Podbiegł do toyoty i szarpnął za klamkę. *Cholera jasna! Kluczyki! Czyżbym zostawił je w stacyjce?* Nie miał pojęcia. Zaczął biec za odjeżdżającym samochodem. Żwirowa droga była pełna wybojów, więc podpalacz musiał jechać wolno. Szum silnika jednak nagle ucichł, a światła reflektorów majaczące za drzewami pochłonęła ciemność. Upadł na żwir, z trudem łapiąc oddech, z posmakiem krwi w ustach. W tej samej chwili poczuł kształt telefonu komórkowego w kieszeni spodni. Tylko do kogo miałby zadzwonić? Nikt nie przychodził mu do głowy. Nie wiedział nawet, w którym okręgu policyjnym znajduje się jego dom letniskowy. Ale i tak wydobył telefon z kieszeni. Trzymał go w trzęsących się dłoniach. Na wyświetlaczu pojawiła się ikona oznaczająca brak zasięgu. Ręce opadły mu bezwładnie.

Długo tak leżał, skostniały z zimna, marząc o tym, żeby się znaleźć w ciepłym pomieszczeniu, w suchym ubraniu – może godzinę, może półtorej. Nie miał pojęcia. W końcu zebrał się w sobie, usiadł i zaczął po omacku szukać butelki whisky w przepastnych kieszeniach kurtki. A znalazł kluczyki do samochodu.

## 13

Poranne słońce balansowało na szczycie wzgórza. Kiedy jechał do domu, ostre promienie światła spadały w dół górskiego zbocza, w stronę podnóża doliny.

Opanowało go uczucie nierzeczywistości, stan podobny do kaca, początkowej fazy przeziębienia, z braku snu i palącego bólu. Wlókł się w korku w stronę Sandviki, przyglądając się świeżo ogolonym męskim twarzom, torsom wbitym w urzędowe garnitury o ostrym kroju, pewnym siebie spojrzeniom mężczyzn, którzy z nonszalancją witali nowy dzień, tajemniczym pięknościami ukrytymi za przyciemnionymi szybami, ciemnym skupiskiem ludzi czekających na autobusy, studentom i uczniom, którzy powłócząc nogami, szli na spotkanie nowej nudy, kolejnych długich godzin trudnego do wytrzymania obowiązku szkolnego i bezsensu istnienia. I w środku tego wszystkiego on sam, ani rześki, ani niewyspany, ani zdrowy, ani chory, ani mądry po szkodzie, tylko wykończony, zdezorientowany, cholernie przygnębiony i niespokojny.

Kiedy wreszcie korek się rozładował i Frank Frølich ruszył w górę Ryenbergveien, zadzwonił telefon. Franken zjechał do zatoczki autobusowej. To był Gunnarstranda.

- Będziesz dzisiaj w pracy?
- Nie, nie mam tego w planach.
- Powinieneś przyjść.

– Najpierw muszę załatwić parę formalności.

– W takim razie jutro widzę cię w pracy.

Franken spojrział na siebie. Wiedział, że wygląda żałośnie.

– Pomyślę o tym – odpowiedział.

– Nikomu pary z ust o ostatnich wydarzeniach?

– Kusi mnie, żeby zacząć od nowa, ale przecież Lystad z Kripos ma mnie na celowniku.

– Postawiłem mu ultimatum: jeśli uważa, że można cię o coś oskarżyć, musi zwrócić się do SEFO<sup>16</sup> o wszczęcie oddzielnego śledztwa. Dałem mu czas do wczorajszego wieczoru. Nie zrobił tego.

Frank Frølich odetchnął głęboko.

– Okej. Spróbuję się zjawić jutro.

– Do tego czasu zastanów się trochę nad taką sprawą – zaczął Gunnarstranda. – Skontaktowałem się z DNB NOR w Askim. Po prostu coś mnie tknęło. Otóż za każdym razem, kiedy osoba upoważniona chce zajrzeć do skrytki bankowej, wdrażana jest identyczna procedura: upoważnienie zostaje sprawdzone w wewnętrznym rejestrze pełnomocnictw.

– Tak, i co z tego?

– Nie zarejestrowano zbyt wielu takich wizyt za upoważnieniem. Ale bank zatrudnia kilkunastu pracowników, którzy przychodzą do pracy w różnych godzinach. Dyrektor oddziału w Askim rozmawiał z pewną panią, która pracuje w systemie zmianowym, i ona twierdzi, że mniej więcej tydzień temu ktoś z pełnomocnictwem otwierał interesującą nas skrytkę bankową.

– Kto?

– Ilijaz Zupac.

– To niemożliwe.

– Wszystko jest możliwe.

– Zupac odsiaduje wyrok w Ullersmo, podlega stałej opiece, dostaje psychotropy i nie ma nawet co marzyć o przepustce. To nie mógł być on.

– A jednak to był on – powtórzył beznamiętnie Gunnarstranda. – Teraz już rozumiesz, że jesteś nam potrzebny. Mamy do rozwiązania zagadki, których pozornie nie da się rozwiązać. Ciekawi mnie to, czy facet włożył coś do skrytki, czy coś z niej wyjął. Pomyśl trochę nad tym. Zobaczymy się jutro.

\*

Nie pojechał prosto do domu. Po sforsowaniu tunelu przejechał przez miasto, skręcił w Mosseveien i odbił w kierunku Ulvøi. Jechał Måkeveien, aż w końcu zatrzymał się przed posiadłością Narvesena. Tego dnia obok domu nie stało porsche, za to na podjeździe, tuż przed bramą garażową, parkował jeep cherokee.

Frank Frølich przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Było grudniowe przedpołudnie. Jakaś kobieta w zimowym płaszczu i niewiarygodnie długim brązowym szaliku zawiązanym kilka razy wokół szyi wyszła zza zakrętu, pchając przed sobą wózek. Dziecko ubrane w niebieski kombinezon siedziało i ssało smoczek. Kobieta z dzieckiem minęła samochód Frølicha, który obserwował ich w lusterku wstecznym, dopóki nie zniknęli w oddali. Patrząc na tych dwoje, myślał o wieczorze przed dwoma dniami, kiedy przez lornetkę patrzył na auto zaparkowane przed jego domem.

Jeep należący do Narvesena miał ten sam kolor. I był tak brudny, jakby przez wiele kilometrów walczył z błotem i śniegiem na drogach – dokładnie tak samo jak samochód Frankena.

Policjant wziął do ręki telefon komórkowy i wyjął kartkę

z numerem telefonu Narvesena. Zadzwoił. Długo nikt nie odbierał, aż w końcu w słuchawce odezwał się zachrypnięty męski głos: – Halo?

Frølich przerwał połączenie. Superinwestor nie poszedł dzisiaj do pracy. Czyżby miał za sobą ciężką noc?

Uruchomił silnik. Chwilę później zauważył cień w jednym z okien na pierwszym piętrze. Szybko wrzucił bieg i odjechał.

## 14

Kochali się. Migocząca świeca rzucała na ścianę ogromne, rozlane cienie. Elisabeth stała na łóżku na czworakach, opierając się lewym policzkiem o poduszkę. Kaskada czarnych włosów. Położył ją na plecy, ale nie przerywał, nie przerywał. Jej ciało drżało, kiedy osiągnęła orgazm, ale udał, że tego nie widzi. Chciał ją zmielić, rozedrzeć podbrzuszem na kawałki, ostro, bezlitośnie, gwałtownie. Kiedy po raz drugi zaczęła szczytować, poczuł, że z jego podbrzusza wyrywa się krzyk. Natychmiast to wyczuła, otworzyła oczy, jakby obudziła się do życia, i przykryła jego usta swoimi, szukając dźwięku, objęła palcami nasadę jego członka i przylgnęła do niego z całej siły. Dźwięku nie dało się zatrzymać, załazek krzyku zamienił się w drżący skurcz, który miał swój początek w palcach u nóg, a stamtąd rozprzestrzenił się na całe ciało, przejął kontrolę nad mięśniami łydek, ud, pleców, brzucha – ale był sterowany jej dłonią. Wydobywający się przez tchawicę krzyk docierał do jego ust, gdzie czekała już ze swoimi wargami i łapczywie go z niego wysysała. Chociaż leżała pod nim, to ona była jeźdźcem, to ona ujeżdżała całą jego dzikość, całą jego wściekłość, aż zastygł między jej nogami. Wtedy po raz trzeci osiągnęła orgazm. Ostatni skurcz podbrzusza – triumfalny gest jeźdźcy, który zwraca ujeżdżonego konia w stronę słońca na znak, że zadanie zostało wykonane.

Frank Frølich otworzył oczy.

Świeca nie migotała. Na ścianie nie tańczyły żadne cienie. To wszystko mu się przyśniło. A jednak czuł jej zapach: woń perfum, potu, ciała. Włączył światło. Był sam. Za kilka godzin miał iść do pracy. A jedynym śladem jej obecności był czarny włos w książce na stoliku nocnym. Zgasił światło i położył głowę na poduszce. Wpatrując się w ciemność szeroko otwartymi oczami, pytał sam siebie: *Dlaczego byłem zły?*

\*

Kiedy o ósmej rano otwierał drzwi, na korytarzu zapanowała umiarkowana radość. Emil Yttergjerde uklonił się nisko, a Lena Stigersand powiedziała: – Wyglądasz jak kupa gówna. Przepraszam, jeśli cię uraziłam.

Frank Frølich przetarł twarz dłonią.

– Fakt, bywało lepiej.

– Cóż, w taki dzień jak dziś można złamać pierwsze przykazanie feministki – odpowiedziała. – *Welcome back*, Franken! Pozwól, że postawię ci kawę.

W tej samej chwili Gunnarstranda wysunął głowę zza drzwi.

– Frølich, pozwól do mnie na słowo.

Kiedy zostali sami, inspektor zwrócił się do młodszego kolegi: – Byłem na spotkaniu ze starym i adwokatami policyjnymi i razem uzgodniliśmy, że sprawdzimy, czy Jim Rognstad nie brał udziału w zabójstwie na Loenga. Innymi słowy, prowadzimy tylko jedno śledztwo, w sprawie zabójstwa strażnika. Pozostałe sprawy, tę dotyczącą Elisabeth Faremo i jej brata Jonny'ego Faremo, przejęła Kripos. I chwilowo nie chce mieć z nami nic wspólnego. Stary będzie wnioskować o wspólne dochodzenie, zobaczymy, czy to coś da. Do tego czasu zajmujemy się wyłącznie zabójstwem Arnfinna Hagi,

jasne?

Franken skinął głową.

– Dla nas, a zwłaszcza dla ciebie, Reidun Vestli, jej dom letniskowy i fragmenty kości w pogorzelisku mają od dzisiaj znaczenie drugoplanowe, chyba że natrafimy na dowód, który potwierdzi udział Rognstada albo Ballo w pobiciu Reidun Vestli i/lub podpaleniu jej domku letniskowego. Sprawą Elisabeth Faremo, o ile to w ogóle jest sprawa, nadal zajmuje się Kripos.

– Merethe Sandmo była widziana w Fagernes w dniu, w którym spłonął dom letniskowy należący do Reidun Vestli – powiedział Frank Frølich.

– Śledztwo w obu sprawach, Elisabeth Faremo i Jonny'ego Faremo, przejęła Kripos – powtórzył Gunnarstranda, cedząc słowa.

Frølich nie odpowiedział.

Przyglądali się sobie w milczeniu.

– Zagadka włamania do domu Ingego Narvesena została wyjaśniona – odezwał się w końcu inspektor. – To nie jest i nigdy nie była nasza sprawa.

– Jadła obiad w hotelu w towarzystwie mężczyzny.

– Wiem o tym! – warknął rozdrażniony Gunnarstranda. – Ale to nie jest nasza sprawa. Chcesz, żebym cię teraz zawiesił? Dwie minuty po tym, jak wróciłeś do pracy?

Przyglądali się sobie czujnym wzrokiem.

– Twój związek z Elisabeth Faremo sprawił, że zostałeś odsunięty od śledztwa w sprawie zabójstwa na Loenga. Nie byłeś obiektywny, przynajmniej dopóki żyła. Niektórzy twierdzą, że wciąż jesteś nieobiektywny. Wiele osób, wliczając w to mnie, jest zdania, że działasz pod wpływem emocji i brak ci dystansu do sprawy. Wniosek



jest taki, że n i e budzisz wystarczającego zaufania, żebyś mógł prowadzić samodzielnie czynności dochodzeniowe. Od tej chwili jesteś moim chłopcem na posyłki, *no more, no less*.

Frank Frølich nie odpowiedział.

– Ale jeśli mamy się dokopać do tego, co łączy Rognstada z zabójstwem Arnfinna Hagi, to nie możemy chodzić z klapkami na oczach – ciągnął Gunnarstranda. – Musimy pracować i przesłuchiwać świadków, skupiając się na tych, którzy mogą coś wniesić do śledztwa.

– Mężczyzną, z którym Merethe Sandmo jadła obiad, mógł być Rognstad.

Inspektor westchnął ciężko.

– Coś mi mówi, że popełniłem błąd, ściągając cię dzisiaj do pracy.

– Byłem wczoraj na pogorzeliisku, chciałem zobaczyć to miejsce.

W Fagernes spotkałem Ramstada-Borówkę...

– Wiem o tym. Dostałem od niego mnóstwo mejli, faksów i Bóg wie czego jeszcze. A teraz nastaw dobrze uszu – powiedział Gunnarstranda i zaczął wrzeszczeć: – TAK, WIEM, ŻE MERETHE SANDMO JADŁA W FAGERNES OBIAD W TOWARZYSTWIE MĘŻCZYZNY O NIEUSTALONEJ TOŻSAMOŚCI, ALE TA PIEPRZONA SPRAWA NIE NALEŻY DO NAS!

– Z Fagernes pojechałem do mojego domku letniskowego w Hemsedal. Ktoś próbował go podpalić, kiedy byłem w środku.

Inspektor usiadł przy biurku.

Franken sięgnął po telefon komórkowy i odszukał zdjęcia, które zrobił w Hemsedal. Wstał i podszedł do Gunnarstrandy.

– Proszę – powiedział. – Czy te spalone deski wystarczą ci na dowód?

Inspektor odkaszlnął.

– Opowiadaj – powiedział ponurym głosem.

\*

Chwilę później Lena Stigersand przyniosła obiecaną kawę. Od razu wyczuła napięcie. Wśliznęła się do środka i zapytała: – Chyba wam przeszkodziłam?

Żaden z nich nie odpowiedział.

– Już mnie tu nie ma – powiedziała i na palcach wyszła z pokoju.

Gunnarstranda zaczekał, aż zamkną się za nią drzwi i powtórzył: – Opowiadaj.

– Z Fagernes pojechałem do Hemsedal, gdzie ktoś usiłował spalić mnie żywcem.

– Myślisz, że ktoś cię śledził?

– Przecież to oczywiste!

– Z samego Oslo?

– Albo z Oslo, albo z Fagernes.

– Czy to możliwe, że ktoś siedział ci na ogonie taki kawał drogi, a ty tego nie zauważyłeś?

– Wszystko jest możliwe. Poza tym myślałem wtedy o zupełnie innych sprawach. Moje myśli krążyły wokół pogorzelniska i Elisabeth, nie zwracałem uwagi na lusterko wsteczne.

– Ale dlaczego ktoś miałby próbować cię zabić?

– Nie mam pojęcia. Nie przychodzi mi do głowy żaden motyw.

– Od ponad trzydziestu lat mam do czynienia z zabójstwami i wiem, że racjonalne myślenie często nie wystarcza, żeby zrozumieć motywy zbrodni.

– Ale przecież sprawca musiał mieć jakiś motyw. Może chciał się zemścić? Albo próbował mnie powstrzymać?

– Powstrzymać? Przed czym?

– Sam nie wiem... W każdym razie zemsta wydaje się całkowicie

bezsensowna.

– Czy to mógł być Ballo? Albo Merethe Sandmo?

– I co by na tym zyskali? W końcu to ty prowadzisz dochodzenie w sprawie zabójstwa Arnfinna Hagi.

– Wiesz przecież, że ktoś próbował przejechać cię na motorze. Może ta sama osoba postanowiła na zawsze zamknąć ci usta?

– Facetem na motorze był Rognstad, a ten siedzi teraz w areszcie. A więc to nie mógł być on. A poza tym, gdyby chcieli się mnie pozbyć, wjeżdżając we mnie motorem, mogli to zrobić raz a dobrze. To, co utkwiło mi w pamięci, to kompletny brak profesjonalizmu. Zgniłe deski, fragmenty izolacji i wilgotna papa dachowa skropiona parafiną...

– Ale jeśli to nie był Rognstad, to kto? Masz jakieś inne propozycje?

– Znam jedną osobę, której nie podoba się to, co robię.

– Kogo masz na myśli?

– Ingego Narvesena.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Gunnarstranda przyglądał się młodszemu koledze z powątpiewaniem.

– To by się zresztą zgadzało z teorią o sprawcy amatorze – Frølich nie dawał za wygraną.

– I tak miałem zamiar zamienić z nim kilka słów – powiedział inspektor w zamyśleniu. – Równie dobrze możesz mi towarzyszyć.

## 15

Frank Frølich zajął miejsce za kierownicą. Czekał, aż Gunnarstranda wsiądzie do samochodu.

– Cała ta sytuacja wydaje mi się dziwnie znajoma – powiedział Franken.

Uruchomił silnik i wrzucił bieg.

– Patrz przed siebie – rzucił cierpkim tonem inspektor. – Jedyłą pozytywną rzeczą, jaką można powiedzieć o przeszłości, to to, że już jej nie ma. Dotyczy to również kobiet. Mam nadzieję, że w końcu to zrozumiesz.

Minęli zajezdnię autobusową i wjechali w Ibsenringen. Kiedy wyjechali z tunelu, skręcili w kierunku Parku Zamkowego i Fredriks gate.

– Kiedy jechałem dzisiaj rano do pracy – zaczął Frølich – kolejka musiała się zatrzymać w środku tunelu, bo na torach stał jakiś mężczyzna.

Gunnarstranda spojrział na kolegę.

– D u ż o czasu minęło. Najwyraźniej zapomniałeś, że nie musisz mnie zabawiać rozmową.

Frølich uśmiechnął się niewyraźnie.

– Ten facet na torach to był Hindus, starszy człowiek, miał na sobie tylko białą bawełnianą koszulę, a dzisiaj rano był p i e p r z o n y mróz, na pewno kilkanaście stopni poniżej zera.

– Zmarzył więc na kość?

– Pytanie! Facet był naprawdę stary, miał białą brodę i siwe włosy. Mamrotał coś niezrozumiałego, nie znał ani słowa po norwesku. Na szczęście w moim wagonie siedział ktoś, kto znał jego język, i podjął się tłumaczenia. Okazało się, że Hindus chciał wrócić do domu, do Kalkuty. Nie może się tutaj odnaleźć, ciągle jest mu zimno i nie ma żadnych przyjaciół.

– Cóż, nie on jeden.

– Ale ten stary człowiek postanowił wrócić do domu, do Indii. Nie miał pojęcia, w którym kierunku powinien iść, ale wiedział, że do Indii można dostać się pociągiem. I wymyślił sobie, że wystarczy iść wzdłuż torów, żeby w końcu dojść do Kalkuty. Ale o jednej rzeczy nie wiedział: że tory, po których szedł, nie są torami kolejowymi, tylko kolejki miejskiej. A to oznaczało, że mógł sobie iść przez resztę życia, a i tak nie doszedłby dalej niż do Stovner – zarechotał Frølich.

– Vestli – poprawił go Gunnarstranda.

– Hm?

– Stacja końcowa linii metra z Grorud nazywa się Vestli, a nie Stovner.

Frølich skręcił w dół Munkedamsveien.

– Naprawdę cieszę się, że wróciłem do pracy – wymamrotał i zaparkował za Vestbanen.

Wysiedli i udali się w kierunku ekskluzywnego biurowca Vika Atrium.

Gunnarstranda pokazał recepcjonistce swoją legitymację. Chwilę później zostali przyjęci przez ciemnowłosą, dwudziestokilkuletnią kobietę, która nosiła okulary w czarnych, grubych oprawkach znanego domu mody. Oprawki sprawiały wrażenie, że to nie ona nosi

okulary, tylko okulary noszą ją. Maszerowała przed nimi, aż w końcu wprowadziła ich do czegoś, co musiało być oddziałem Narvesena. Kontrast był olbrzymi. Gładkie, oszklone ściany ze stylowymi zdobieniami wykonanymi z metalu napotykały swoje przeciwieństwo w postaci ciężkich, ciemnych płócien w przesadnie zdobionych złotych ramach. Frank Frølich zatrzymał się na kilka sekund i rozejrzał dookoła. Miał wrażenie, że niespodziewanie znalazł się w muzeum.

Młoda kobieta otworzyła drzwi i wprowadziła ich do niewielkiej sali. Zanim zniknęła, dygnęła jak pensjonarka.

– Myślę, że Narvesen będzie zgrywał ważniaka – rzucił Frølich.

– Chodzi ci o to, że każe nam czekać?

– To przecież klasyczny chwyt, no nie? Sam go czasem stosowałem, zresztą o ile się nie mylę, to ty mnie tego nauczyłeś.

– Zobaczymy, ile zdołamy wytrzymać – odpowiedział Gunnarstranda. – Na szczęście wystarczająco długo gramy w tę grę, żeby znać parę skutecznych sztuczek.

Na stole stał pusty papierowy kubek z zaschniętą torebką po herbacie. Gunnarstranda chwycił kubek i wymamrotał: – Pierwsza sztuczka: inspektor szuka kawy.

Wypowiadając te słowa, Gunnarstranda opuścił salę i bez pukania wkroczył do pierwszego lepszego gabinetu. Frank Frølich widział, jak siedząca tam kobieta aż podskoczyła z wrażenia. Potrząsnął głową i wyszedł na korytarz, żeby przyjrzeć się obrazom. To było stare malarstwo, zdominowane przez madonny i unoszące się w powietrzu amorki z łukiem i strzałami. Motywy z obrazów przywiodły mu na myśl błyszczące pocztówki z dzieciństwa.

Nagle poczuł, że Gunnarstranda stanął obok niego. Z papierowym

kubkiem, nad którym unosiła się para.

– Widzisz to samo co ja? – spytał inspektor.

– Hm?

– Na wprost nas siedzi Inge Narvesen i zachowuje się tak, jakbyśmy nie istnieli.

Frølich powiódł wzrokiem za spojrzeniem Gunnarstrandy. Inspektor miał rację. Narvesen siedział za oszklonymi drzwiami i sprawiał wrażenie, jakby nie zdawał sobie sprawy z ich obecności.

– Dostałeś kawę?

– W nocy śnił mi się diabeł – powiedział Gunnarstranda i podniósł kubek do ust. – Słodki mały diabełek z kręconymi włosami i niepewnym spojrzeniem. Ssał palec. Pamiętam, co sobie wtedy pomyślałem: że to nie może być dobry diabeł, nie wzbudzał zaufania.

– Lepiej nie pytaj, co mi się śniło – odparł Franken.

W tej samej chwili Narvesen odkrył ich obecność. Wzdrygnął się, a potem przez kilka sekund siedział wyraźnie zaskoczony. W końcu wstał i ruszył w stronę oszklonych drzwi.

– Znowu ktoś jest w opałach? – spytał chłodnym tonem, przyglądając się Frølichowi.

– Mam do pana kilka pytań – zaczął Gunnarstranda i odstawił kubek z kawą.

– Jestem zajęty.

– To nie zabierze dużo czasu.

– Jestem bardzo zajęty.

– Mogę się postarać o nakaz sądowy i wezwać pana na komendę w celu złożenia wyjaśnień. Jeśli wyjdziemy stąd z niewyjaśnioną sprawą, przesłucham pana, kiedy będę miał czas i ochotę, i zatrzymam pana tak długo, jak uznam to za stosowne. Wybór należy

do pana.

Narvesen spojrział z irytacją na zegarek.

– Co to za pytania?

– Pieniądze, które przekazaliśmy panu po zatrzymaniu Jima Rognstada... Czy to wszystko, co zniknęło z pana domu w dziewięćdziesiątym ósmym roku?

– Tak. Kwota się zgadza.

– Czy w sejfie, który zrabowano z pańskiej sypialni, znajdowały się jakieś inne przedmioty?

– Absolutnie nie.

– Podpisałby się pan pod tym?

– Już to zrobiłem i z chęcią zrobię to jeszcze raz. Sprawa doczekała się szczęśliwego finału, z czego jestem bardzo zadowolony.

– Czy wcześniej słyszał pan o Jimie Rognstadzie?

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Powodem, dla którego kilka dni temu przeprowadzono akcję przeciwko Rognstadowi, był donos, który łączy go z włamaniem do portowego kontenera i z zabójstwem strażnika.

– Tak?

– W związku z tym próbujemy ustalić, czy innych podejrzanych można powiązać z Rognstadem.

Narvesen skinął niecierpliwie głową.

– Vidar Ballo. Mówi panu coś to nazwisko?

– Nie.

– Merethe Sandmo?

– Nie.

– Jonny Faremo?

– Nie.



- Na pewno?
- Absolutnie. Coś jeszcze?
- Ostatnie pytanie.
- Śmiało, proszę pytać.

– To, że tylko sejf został wyniesiony z pańskiego domu, a cała reszta pozostała nietknięta, nasuwa na myśl celowe działanie. Zastanawiał się pan nad tym?

– Nie.

– Do włamania doszło, kiedy był pan na urlopie. A to oznacza, że sprawcy doskonale się orientowali, że dom stoi pusty. Nie przyszło panu do głowy, że ktoś poinformował ich o tym fakcie?

– Nie. Snucie takich hipotez pozostawiam policji.

– Ale jeśli rzeczywiście tak było, oznaczałoby to, że miał pan nielojalnego pracownika. Czy to pana nie martwi?

– Martwiłoby, gdybym miał powód wierzyć w pańską hipotezę. Ale nie mam. Od tamtego czasu nie było żadnych włamań do domu ani do biura. *Ergo*, jak mawiają detektywi, nie mam żadnego nielojalnego pracownika. Mam nadzieję, że jest pan zadowolony. A teraz proszę mi wybaczyć.

Nie czekając na odpowiedź, przeszedł obok nich.

Frank Frølich chwycił go za ramię.

Narvesen się zatrzymał i z dezaprobatą spojrzął na dłoń policjanta.

– Był pan ostatnio w Hemsedal? – spytał Franken.

– Proszę mnie puścić.

Frølich cofnął rękę.

– Tak czy nie?

Narvesen nie odpowiedział. Ruszył w stronę drzwi znajdujących się w głębi korytarza.

– Może powinienem spytać o to Emilie?! – zawołał za nim Frølich. Nie otrzymał odpowiedzi. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Policjanci spojrzeli na siebie.

– Pamiętasz tę historię o kapitanie-szantażyście, o której ci opowiadałem? – spytał Gunnarstranda.

– O kapitanie, który po pijanemu groził, że zrobi przeciek do mediów, jeśli Narvesen mu nie zapłaci?

Inspektor przytaknął.

– Próbowałem go odnaleźć. Dostał trzy lata, z czego dwa odsiedział na Bastøy<sup>17</sup>.

– No i?

– Nie żyje – wyjaśnił Gunnarstranda. – Wdał się w bójkę w barze tego samego dnia, w którym wyszedł z paki. Został zabity. Pchnięty nożem przez nieznanego sprawcę.

– A Narvesen zgrywa niewiniątko.

– Nie ma dowodów na to, że to Narvesen stoi za tą sprawą, tak jak nie możesz udowodnić, że to on podpalił twój domek letniskowy.

– To był on.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Po prostu wiem.

Gunnarstranda przyjrzał mu się z powątpiewaniem.

– Jeśli jesteś tego pewny, to zanim o cokolwiek go oskarżysz, musisz się dowiedzieć, d l a c z e g o to zrobił.

Kiedy wyszli z budynku, Frølich nagle się zatrzymał.

– Co się stało?

– Ten człowiek przekroczył granicę, kiedy mnie uwięził, a potem podłożył ogień.

Stali przez chwilę, przyglądając się pędzącym samochodom.

– Uspokój się – powiedział Gunnarstranda i ruszył przed siebie. – Narvesen pęknie, uwierz mi.

– Skąd ta pewność?

– Polegam na swojej intuicji. A poza tym Økokrim i Høsehjerne Sørle idą nam z odsieczą.

## 16

Frank Frølich spotkał Birgitte Bergum tylko jeden jedyny raz. To było kilka lat wcześniej, na sali rozpraw numer cztery, kiedy broniła stolarza alkoholika, który był oficerem w Heimevernet<sup>18</sup>. Mężczyzna upił się do nieprzytomności w swoim domku letniskowym, gdzie przechowywał broń służbową, karabin automatyczny. Broń, z której w nocy zaczął strzelać. Na nieszczęście w pobliżu jego domku rozbili namiot dwaj turyści. Wystrzały tak ich przerażyły, że wdrapali się na drzewo i z telefonu komórkowego wezwali policję. Niestety, poza godzinami urzędowania nikt nie pełnił dyżuru na komisariacie i dlatego turyści musieli zadzwonić na telefon alarmowy. Centrala przyjęła zgłoszenie i wysłała radiowóz z innego rejonu, ale policjanci mieli problemy z dotarciem na miejsce. Oddzwonili więc do turystów, żeby spytać o drogę. Uzbrojony mężczyzna, który zachowywał się jak w amoku, usłyszał dzwonek telefonu komórkowego i uroił sobie, że to wróg chce go zniszczyć. Ubrany w strój maskujący zaczął się czołgać w stronę kryjówki turystów, naprowadzany przez policjantów, którzy dzwoniли do nich w regularnych odstępach czasu. Kiedy policjanci dotarli na miejsce zdarzenia, pijany oficer wpadł w szal. Został obezwładniony po wymianie strzałów, w wyniku której jeden z policjantów doznał obrażeń. Frank Frølich zeznawał w tej sprawie jako świadek – miał się wypowiedzieć ogólnie na temat techniki zatrzymań. Już od pierwszej chwili Birgitte Bergum rzuciła mu się do

gardła. Właśnie o tym myślał, siedząc w pokoju przesłuchań i przyglądając się jej przez lustro weneckie: kobiecie koło pięćdziesiątki, o gęstych włosach, dużym nosie i biuście jak u śpiewaczki operowej. Jej twarz wyrażała zniecierpliwienie i dużą pewność siebie. Siedziała obok Jima Rognstada, który huśtał się na krześle niczym tłusty, owłosiony budda, milczący i wyluzowany, w czarnej koszulce z krótkimi rękawami, z rękami splecionymi na brzuchu i starannie uczesanymi włosami, które spływały mu na ramiona.

Nie tylko Frølich przyglądał się anonimowo Rognstadowi i pani adwokat. Obok niego siedział Fristad, który czuł się wyraźnie nieswojo.

– O cholera, nie podoba mi się to – mamrotał pod nosem. – Wiesz, Frølich, ta cała sytuacja przestaje mi się podobać...

Nagle zamilkł, ponieważ do pokoju, który obserwowali, wszedł Gunnarstranda. Rognstad odruchowo chciał wstać, jak uczeń na widok dyrektora szkoły wchodzącego do klasy, ale Bergum kazała mu siedzieć, po czym rzuciła ostre spojrzenie w stronę lustra weneckiego.

– Domyśliła się, że tu jesteśmy – powiedział Fristad i poprawił nerwowo okulary. – Ostra z niej babka.

– Kto tam siedzi? – to było pierwsze, o co spytała, wskazując głową na lustro.

Gunnarstranda nie odpowiedział, za to Fristad i Frølich wymienili spojrzenia.

– Ścisz trochę – wymamrotał Fristad.

Frølich ściszył tak bardzo, że ledwo usłyszeli kolejne zdanie wypowiedziane przez Birgitte Bergum.

– Tak się nie robi, Gunnarstranda. Przesłuchanie przeprowadza się

w całkowitej jawności.

Frølich podkreślił dźwięk.

– To nie jest żadne przesłuchanie – rzucił krótko inspektor. – To spotkanie odbywa się z waszej inicjatywy i na wasze wyraźne życzenie.

– Chcę wiedzieć, kto siedzi po drugiej stronie.

– W porządku. Rognstad może od razu wrócić do celi. Albo ma mi coś do powiedzenia, albo nie.

Birgitte Bergum zmierzyła Gunnarstrandę wzrokiem. Ten z kolei zwrócił się do Rognstada i zapytał:

– A co ty o tym sądzisz?

– Chwileczkę – powiedziała Bergum i nachyliła się nad klientem.

Przez chwilę o czymś szeptali.

Frølich i Fristad znowu spojrzeli na siebie.

– Obstawiam, że się wycofają – syknął Fristad. – Babka jest ostra jak żyłeta.

Tymczasem w pokoju przesłuchań Gunnarstranda ziewnął i spojrzął na zegarek.

– To jak będzie?

– W skrytce znajdował się obraz – odpowiedział lakonicznie Rognstad.

– W jakiej skrytce? – spytał Gunnarstranda bez cienia zainteresowania.

– W skrytce bankowej.

– Nic podobnego. W skrytce nie było nic oprócz pieniędzy.

– Właśnie. Ale powinien być tam obraz.

Frølich spojrzął na Fristada, który poprawił okulary wyraźnie podekscytowany.

– Jaki obraz? – spytał Gunnarstranda.  
– Stary, bardzo cenny.  
– Okej – odpowiedział inspektor zmęczonym głosem. – Zaczniemy od początku. Skrytka, o której mówimy, jest niewielkich rozmiarów. Jaki obraz mógł się tam zmieścić i jak tam trafił?

Rognstad postanowił się skonsultować z Birgitte Bergum. Szepnął jej coś do ucha. Pani adwokat zabrała głos:

– To stara historia, bez znaczenia dla sprawy. Najważniejsze jest to, że w skrytce bankowej oprócz pieniędzy zdeponowano poszukiwane na całym świecie dzieło sztuki.

– Zapomina pani, że to ja ustalam, co ma znaczenie dla sprawy, a co nie. Ta informacja ma, zdaje się, zostać potraktowana jako okoliczność łagodząca, mam rację?

– Mój klient nie jest zainteresowany rozmową na temat pochodzenia obrazu.

Frølich wyszczerzył zęby w uśmiechu i szepnął do Fristada:

– Obraz na bank pochodzi z sejfu Narvesena. Jim Rognstad brał udział w kradzieży z włamaniem i teraz się boi, że się wygada i dostanie surowy wyrok.

Gunnarstranda wstał i podszedł do lustra. Przeczesał włosy, poruszał bezgłośnie wargami: „Zamknijcie się, do cholery!”.

– O jakim obrazie rozmawiamy? – spytał, zwrócony plecami do Rognstada i pani adwokat.

– Włoski renesans – odpowiedziała krótko Birgitte Bergum. – Poszukiwany obraz pędzla Giovanniego Belliniego, nosi tytuł *Madonna z Dzieciątkiem*. Płótno ma niewielkie rozmiary, za to jego wartość jest ogromna. Mój klient twierdzi, że obraz znajdował się w skrytce bankowej, z której ktoś go wykradł.

Inspektor się odwrócił.

– Zaczniemy od początku. Twierdzi pani, że ktoś, to znaczy jakaś nieznana osoba, która nie jest pani klientem, weszła do banku, otworzyła skrytkę i wyjęła z niej obraz, zostawiając w środku pieniądze? Pół miliona koron?

– Tak.

– Kto?

– Tego nie wiemy.

– Ale ta osoba musiała użyć klucza. A przecież klucz miał pani klient.

– Są dwa klucze.

– W jaki sposób pani klient wszedł w posiadanie jednego z nich?

Frølich i Fristad spojrzeli na siebie.

Bergum i Rognstad przez chwilę coś do siebie szeptali.

– To nie dotyczy sprawy – odpowiedziała Bergum.

– Mam powody przypuszczać, że pani klient zdobył klucz w sposób niezgodny z prawem.

– Pozostawimy to stwierdzenie bez komentarza. Pragniemy jednak przypomnieć, że mój klient ma pełne prawo do korzystania ze wspomnianej skrytki bankowej.

Gunnarstranda zwrócił się bezpośrednio do Rognstada:

– Istnieją dwa zestawy kluczy do skrytki. I cztery osoby mają do niej legalny dostęp, to znaczy pan, Jonny Faremo, Ilijaz Zupac i Vidar Ballo. Jonny Faremo nie żyje. Zupac odsiaduje wyrok w Ullersmo. A pan twierdzi, że ktoś zakradł się do skrytki i buchnął z niej dzieło sztuki. Z tego, co pan mówi, wynika, że to Vidar Ballo zabrał obraz. Ale jeżeli rzeczywiście to zrobił, to dlaczego pozostawił w skrytce pół miliona?



– To nieistotne – wtrąciła Bergum.

– Nieistotne? – Gunnarstranda nie mógł się powstrzymać od śmiechu. – Nieistotne jest to, że zatwardziały recydywista schodzi grzecznie do skrytki bankowej i wyciąga z niej obraz, pozostawiając nietknięte pół miliona koron?

– Oczywiście.

– Dlaczego to takie oczywiste?

– Przecież w każdej chwili mógł wrócić do banku i wyjąć pieniądze. W tej chwili istotne jest to, że w skrytce znajdowało się dzieło sztuki. I że to dzieło sztuki zniknęło.

– A człowiek na księżycu jada codziennie żółty ser – odpalił Gunnarstranda, odwrócił się i podszedł z powrotem do stołu.

Bergum uśmiechnęła się pogardliwie i ponownie zainteresowała się lustrem weneckim. Następne zdania wypowiedziała wprost do szyby:

– Mówimy o jednym z najbardziej poszukiwanych dzieł sztuki, Gunnarstranda. Niech pan wróci do swojego gabinetu i przejrzy rejestr nierozwiązanych spraw dotyczących kradzieży dzieł sztuki. Gwarantuję, że znajdzie pan tam opis obrazu Giovanniego Belliniego, wielkiego mistrza włoskiego renesansu. Obraz został skradziony z katedry Santa Maria dell’Orto w Wenecji w dziewięćdziesiątym trzecim roku. Niech pan pomyśli, co wyjaśnienie tej sprawy znaczyłoby dla pana i tej komendy policji, a potem możemy się we troje zastanowić nad definicją okoliczności łagodzących – powiedziała i zbliżyła się do lustra. Przez chwilę poprawiała biustonosz, aż w końcu dodała lodowatym tonem:

– Co ty na to, Fristad?

Dwie godziny później Fristad i Gunnarstranda zostali sami.

– Bellini? Jaki, kurwa, Bellini? – Fristad drapał się w czoło, nie kryjąc rozdrażnienia. – Jeżeli o mnie chodzi, równie dobrze mógł opowiadać o wycieczce na Księżyc!

– Zdaje się, że to była cała malarska rodzina Bellinich – powiedział Gunnarstranda.

– Skąd wiesz?

Inspektor odwrócił się i pokazał encyklopedię, którą znalazł na półce z książkami.

– Tutaj jest napisane, że Bellini ojciec miał dwóch synów i że wszyscy trzej byli malarzami epoki odrodzenia, tworzącymi pod koniec piętnastego wieku. Poza tym mieli równie sławnego szwagra Andree Mantegnę – dodał. Przerzucił kartkę i szukał dalej: – Bracia Bellini: Gentile i Giovanni – odchrząknął i odczytał na głos: – „Giovanni Bellini miał duży wpływ na Giorgionego i Tycjana, którzy byli jego uczniami, a pod koniec życia sam Bellini mógł się uczyć od swoich wychowanków...” eee... eee... „malował głównie wielkie kompozycje ołtarzowe odznaczające się lirycznym nastrojem i niezwykłym kolorytem. W jego twórczości dominowały dwa typy motywów. Jednym z nich był motyw Madonny tronującej, pięknej, młodej Madonny z Dzieciątkiem na tle krajobrazu. Płótna Giovanniego Belliniego wiszą we wszystkich liczących się galeriach na całym świecie. Wiele obrazów ołtarzowych Belliniego zdobi wnętrza weneckich katedr...” – Gunnarstranda zerknął znad okularów. – No tak, ten obraz już kiedyś widziałem. – Pokazał Fristadowi reprodukcję portretu bladego mężczyzny w kapeluszu. Z okularami na nosie inspektor skorygował odległość wzroku od tekstu. – Tak właśnie myślałem. Galeria Narodowa w Londynie. Nie

ma tu jednak żadnej wzmianki o kradzieży, chociaż z drugiej strony tę encyklopedię wydano wiele lat temu.

Sprawdził rok wydania, zanim odłożył książkę z powrotem na półkę.

– Wydane w siedemdziesiątym ósmym roku. Może powinieneś szepnąć o nas dobre słowo, to dostaniemy zaktualizowane wydanie encyklopedii.

– Teraz już nikt nie aktualizuje leksykonów. Wszyscy korzystają z internetu, ale ty możesz nie wiedzieć, co to takiego...

W tej samej chwili Lena Stigersand wsunęła głowę do pokoju i powiedziała:

– Sprawdziłam kilka faktów z historii Rognstada. Obraz Giovanniego Belliniego przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem rzeczywiście został skradziony z kościoła Santa Maria dell’Orto w Wenecji w dziewięćdziesiątym trzecim roku. W dziwnych okolicznościach. Kościół był wtedy restaurowany. Ktoś zajrzał pod kotarę, wsadził obraz do torby i wyszedł.

– To znaczy, że obraz jest niewielkich rozmiarów – skwitował Gunnarstranda.

Lena Stigersand przytaknęła.

– Nigdy go nie odzyskano. Wygląda na to, że jest bardzo cenny. Takich obrazów prawie nigdy nie wystawia się na sprzedaż. Podobny portret Madonny z Dzieciątkiem pędzla Belliniego sprzedano w dziewięćdziesiątym szóstym roku na aukcji w Londynie za osiemset dwadzieścia sześć tysięcy pięćset funtów.

– Ile to jest w przeliczeniu na korony? – spytał Fristad.

– Około dziesięciu milionów.

– Dziękuję – powiedział Gunnarstranda.

Stigersand wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Ci, którzy naprawdę idą z duchem czasu, wykorzystują młodzież do obsługi nowoczesnych narzędzi. Takich jak internet – powiedział Gunnarstranda i dodał: – Jeżeli w dziewięćdziesiątym szóstym podobny obraz poszedł za dziesięć milionów, to dzisiaj jest na pewno wart dużo więcej. Ceny dzieł sztuki szybują w górę szybciej niż ceny mieszkań w Oslo.

– Naprawdę w to wierzysz? – wszedł mu w słowo Fristad. – Myślisz, że to możliwe, żeby obraz przeleżał całe lata w skrytce bankowej w Askim? Przecież to śmieszne!

– Jeżeli to bluff, to przynajmniej ma coś z historii o Robin Hoodzie – odpowiedział inspektor. – Muszą istnieć dowody na poparcie tej teorii. Rognstad nigdy nie wspomniałby o tej sprawie, gdyby nie miał wystarczających dowodów. Żąda złagodzenia kary, więc musi mieć asa w rękawie. A co innego może być tym asem, jeżeli nie informacja o tym, skąd pochodzi obraz? Ja obstawiam, że obraz leżał w sejfie Narvesena razem z pieniędzmi. Odpowiedź na pytanie, w jaki sposób Bellini znalazł się w sejfie, jest jedyną kartą, jaką Jim Rognstad może coś dla siebie utargować. Ale facet nie spieszy się z wyłożeniem jej na stół.

– Jak Narvesen mógł zdobyć obraz?

– Nie mam pojęcia. I nic mnie to nie obchodzi. To, co ma teraz znaczenie, to przebieg zdarzeń i uczestniczący w nich ludzie, których chcemy przyskrzynić. Jesienią dziewięćdziesiątego ósmego włamują się do domu Narvesena i kradną sejf. W sejfie znajdują pieniądze i dzieło sztuki. Sąsiadka Narvesena widzi przed jego domem Ilijaza Zupaca i rozpoznaje go na zdjęciu. Gdyby tego nie zrobiła, kradzieży sejfu prawdopodobnie nigdy by nie zgłoszono, skoro ukrywano w nim

słynny obraz skradziony kilka lat wcześniej. Tak cenna zawartość sejfu tłumaczy również fakt, że była to jedyna rzecz, która zniknęła z domu Narvesena. Zupac zostaje aresztowany. Podczas zatrzymania oddaje strzał, ginie człowiek, a Ilijaz zostaje oskarżony o zabójstwo i skazany prawomocnym wyrokiem. Sejfu nie udaje się odnaleźć. Najprawdopodobniej otwierają go jego współnicy, a zawartość deponują w skrytce bankowej. Rzut oka wystarczy, by stwierdzić, że prawo do dysponowania skrytką mieli kumple Ilijaza. Innymi słowy, banda Faremo: Jim Rognstad, Vidar Ballo i sam Jonny Faremo. Jakiś czas temu ci trzej dokonali włamania do kontenera na Loenga w Oslo.

– Podobno w rozboju brały udział cztery osoby, mam rację? – przerwał mu Fristad.

– Tak twierdzi jeden ze świadków, ale trzymajmy się tego, co wiemy na pewno. Wszyscy trzej zostają zatrzymani, ponieważ Merethe Sandmo donosi na nich policji. Potem cała trójka zostaje zwolniona z aresztu dzięki zeznaniom Elisabeth Faremo. Jej wyjaśnienia kłócą się z wersją Franka Frølicha, który jest gotów przysiąc, że od pierwszej w nocy Elisabeth Faremo znajdowała się w jego małżeńskim łóżu. Ale ponieważ Frølich spał, kiedy Faremo wyszła z jego domu, teoretycznie mogła mówić prawdę. Możliwe, że leżała obok niego, czekając, aż Frank zaśnie, po czym wróciła do domu i grała w pokera razem ze swoim bratem i jego dwoma kumplami.

– Tak czy inaczej zeznania Frølicha pod żadnym pozorem nie powinny zostać włączone do sprawy – westchnął Fristad.

– Pytanie, czy uda nam się tego uniknąć – wtrącił Gunnarstranda. – Birgitte Bergum nie sprzeda tanio skóry Rognstada. Ma wszystko, co potrzeba, żeby urządzić nam prawdziwy sajgon:

zawieszonoego w czynnościach gliniarza, który posuwa siostrę kryminalistę, i historię owianego tajemnicą, znanego na całym świecie dzieła sztuki, historię, którą na bank sprzeda prasie, byle tylko mieć o czym mówić.

Fristad w milczeniu czyścił okulary. Chuchał na szkła i pocierał je energicznie.

– Mów dalej, Gunnarstranda.

– Tuż po posiedzeniu sądu Elisabeth Faremo wraca do domu i zaczyna się pakować. Kontaktuje się również ze swoją kochanką Reidun Vestli.

– Biedny Frølich! – westchnął Fristad. – Co za żalosna historia!

– Pozwolisz, że dokończę? – spytał uprzejmie inspektor.

– Oczywiście.

Fristad nałożył okulary na nos.

– Elisabeth Faremo ukrywa się w domku letniskowym należącym do Reidun Vestli. I wtedy w bandzie Faremo zaczyna coś pękać. Ciało Jonny’ego zostaje wyłowione z rzeki. Moja teoria jest taka: Faremo się domyślił, że ktoś ich sypnął. Kiedy siostra zapewnia mu alibi, Faremo opuszcza areszt i postanawia odnaleźć zdrajcę. Możliwe, że typuje Merethe Sandmo, która szybko znajduje sojusznika w Ballo. Vidar Ballo zabija Jonny’ego i wiąże się z Merethe. Niewykluczone, że Elisabeth Faremo przewidziała taki rozwój wypadków i zapobiegawczo zniknęła ze sceny. Chcąc się zabezpieczyć przed dawnymi kumplami brata, zabrała ze sobą klucz do skrytki bankowej. W dalszej grze liczą się już tylko Rognstad i Ballo, którzy zaczynają gorączkowo szukać klucza.

– Zastanawia mnie tylko jedno – powiedział Fristad. – Dlaczego ci dwaj nie zadali sobie trudu, żeby zapytać Frølicha, gdzie się ukrywa

Elisabeth Faremo?

– Frølich też jej szukał. Wypytywał o nią jej sąsiada i Jonny'ego Faremo. Poza tym jest policjantem. Nie, ci dwaj stosują dużo prostszą metodę: biciem zmuszają Reidun Vestli do mówienia. Przynajmniej jeden z nich jedzie z Merethe Sandmo do domku letniskowego. Jedzą obiad w Fagernes. Jeden ze świadków zeznał później, że widział ją w towarzystwie mężczyzny o nieustalonych personaliach. Potem jadą do domku letniskowego...

– Coś tu jest nie tak z chronologią zdarzeń – przerwał mu Fristad. – W jednym z twoich raportów wyczytałem, że zgłoszenie pożaru wpłynęło, zanim Reidun Vestli wylądowała w szpitalu.

– Nie wiadomo, jak długo leżała nieprzytomna. Poza tym po całym zdarzeniu zrobiła się wyjątkowo małomówna. Nie puściła pary z ust na temat pobicia. I dlatego nie wiemy, kiedy została napadnięta. Z drugiej strony nie potrafię sobie wyobrazić, jak Ballo czy Rognstad mieliby trafić do domku letniskowego inaczej niż dzięki Reidun Vestli.

– I przez cały czas ich celem jest odnalezienie klucza do skrytki bankowej, w której ukryte są pieniądze i obraz? – Fristad znowu wszedł mu w słowo.

– Tak. Wiedzą, że Elisabeth Faremo ma dostęp do klucza. Ona jednak próbuje ich wykiwać i deponuje klucz. Zostawia go w mieszkaniu Frølicha.

– A gdzie jest drugi klucz?

– Tego nie wiemy. To dlatego Elisabeth Faremo nie ma przy sobie żadnego klucza, kiedy Sandmo i jej towarzyszy podróży przybywają do domku letniskowego. Dochodzi między nimi do kłótni, która kończy się podpaleniem domku, a Elisabeth Faremo ginie w pożarze.

– Co się mogło stać z drugim kluczem?

– Wiemy tylko tyle, że użył go ktoś, kto podał się za Ilijaza Zupaca, tego samego dnia, w którym wszyscy trzej zostali zwolnieni z aresztu. Osoba, która podała się za Zupaca, otworzyła skrytkę bankową, zabrała obraz i zniknęła.

– Myślisz, że Rognstad słusznie podejrzewa Vidara Ballo?

– Oczywiście. Problem polega na tym, że Ballo miał legalny dostęp do skrytki. Po co miałyby udawać Zupaca?

Siedzieli pogrążeni w myślach.

– Dlaczego ten ktoś zabrał obraz, a pieniądze zostawił w skrytce?

Gunnarstranda wzruszył ramionami.

– Albo odpowiedź jest banalna: zamierzał wyjąć pieniądze przy innej okazji, później, albo zostawił je po to, żebyśmy zadawali sobie właśnie to pytanie, gdyby historia obrazu ujrzała światło dzienne. Aż trudno uwierzyć, że złodziej dysponujący swobodnym dostępem do połowy miliona koron, zostawia pieniądze nietknięte. Tym bardziej że jeżeli obraz nie zostanie odnaleziony, ten, kto twierdzi, że w skrytce znajdował się Bellini, nigdy nie będzie mógł a n i tego udowodnić, a n i nawet uczynić prawdopodobnym. Szczerze mówiąc, sztuczka z pozostawieniem pieniędzy w skrytce była wyjątkowo sprytna, pod warunkiem że Jim Rognstad mówi prawdę.

– A my jesteśmy skłonni przyjąć, że mówi prawdę, zgadza się? Tylko kto w takim razie zabrał obraz?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam jednak, że to ten sam czwarty napastnik, którego widziano na Loenga w dniu, w którym Arnfinn Haga został zamordowany.

– A to nie mógł być on sam? Ilijaz Zupac we własnej osobie?

– Zupac od około pięciu lat nie opuszcza więzienia.



– Cóż – westchnął ciężko Fristad. – Nieznany sprawca na miejscu zdarzenia. Czy to mógł być zabójca Jonny’ego Faremo?

– Owszem, to mógł być on. Ale dlaczego tak uważasz?

– Nic nie uważam – odpowiedział Fristad. – Po prostu zaciękała mi zagadka dwóch kompletów kluczy. Przypuśćmy, że tych dwoje, Elisabeth i Jonny Faremo, mieli po kluczu. Elisabeth ukrywa swój klucz w mieszkaniu Frølicha. Nieznany czwarty napastnik wdaje się w bójkę z Jonnym Faremo, zabiera mu jego klucz, a następnie spycha Jonny’ego do rzeki. Potem jedzie do banku w Askim, podaje się za Zupaca i wyjmuje obraz ze skrytki. Ale jego kumple nie mają o tym pojęcia. Wiedzą tylko, że Jonny nie żyje. Nie mogą znaleźć jego klucza i dlatego myślą sobie: Do diabła! Trzeba zdobyć drugi egzemplarz. Wiedzą, że ma go Elisabeth, wiedzą też, że Elisabeth łączy bliskie stosunki z tą babką z uniwersytetu. Spuszczają jej manto, żeby się dowiedzieć, gdzie Elisabeth Faremo ma swoją kryjówkę, i tak dalej, i tak dalej...?

– Wszystko jest możliwe. Wiemy, że były dwa klucze. Jeden z nich przez cały czas leżał w domu Frølicha. Drugiego użył rzekomo Ilijaz Zupac. Wiemy, że tuż po śmierci Jonny’ego Merethe Sandmo związała się z Ballo. Sam z nimi rozmawiałem. Niestety, Vidar Ballo zapadł się pod ziemię, a my nie mamy żadnego pomysłu, gdzie go szukać. Moim zdaniem Faremo został zabity z powodu awantury, którą urządził, kiedy Merethe Sandmo ich sypnęła.

– Wszystko wskazuje na to, że Ballo i Sandmo są współnikami. Możliwe, że się dogadali, buchnęli obraz i ślad po nich zaginął. Co o tym sądzisz?

– Tylko dlaczego Ballo miałby się podawać za Zupaca, skoro mógł się dostać do skrytki pod własnym nazwiskiem?

– Chciał ukryć swoją tożsamość. W końcu obraz jest poszukiwany na całym świecie. Logika przestępcy: zdobyć obraz *incognito*. A na dodatek zostawić w skrytce pieniądze, żeby podważyć ewentualne zeznania osób trzecich dotyczące skradzionego obrazu, jeżeli prokuraturze uda się kiedykolwiek wbić w niego szpony.

– Możliwe, że masz rację. Ale nie możemy zapominać o świadku, który twierdzi, że na miejscu zdarzenia na Loenga widział cztery osoby.

– A więc poszukujemy mężczyzny, którego tożsamości nie znamy. Jak myślisz, kto to jest? Kim jest czwarty napastnik?

– Nie mam pojęcia – rzucił krótko Gunnarstranda.

– Czy to mógł być... Nie gniewaj się, ale w tej pracy dobrze jest puścić czasem wodze fantazji, a więc czy to mógł być Frank Frølich?

W pokoju zapadła cisza. Promienie słońca przeciskały się przez żaluzje. Gunnarstranda uznał, że najwyższy czas zapalić papierosa. Fristad nie zaprotestował.

## 17

Gunnarstranda i Fristad znajdowali się w gabinecie inspektora. Frank Frølich został wezwany na rozmowę, chociaż nie miał pojęcia w jakim celu. Kiedy wszedł do środka, mężczyźni siedzieli w fotelach.

Od razu zwrócił uwagę na dwie rzeczy: Gunnarstranda palił, a Fristad nie protestował. Franken wodził wzrokiem od jednego do drugiego.

– Chcemy omówić z tobą postępy w śledztwie – rzucił krótko Fristad.

– Ach tak?

– Uważasz, że to dziwny pomysł?

– Dziwny nie, raczej niecodzienny.

– Cóż... – Fristad spuścił wzrok, ale nie skomentował odpowiedzi. Zamiast tego powiedział: – Co twoim zdaniem powinniśmy teraz zrobić, to znaczy na obecnym etapie śledztwa?

– Myślę, że najrozsądniej byłoby jeszcze raz pomówić z Narvesenem...

– Skończ wreszcie z tym Narvesenem! – przerwał mu rozżłoszczony Fristad.

– Chciałeś wiedzieć, co powinniśmy zrobić – odciął się Frølich. – A ja uważam, że powinniśmy spytać Narvesena, czy zna obraz, o którym mówił Rognstad.

– To znaczy, że twoim zdaniem Rognstad mówił prawdę? Że Ilijaz

i jego banda zdobyli obraz w dziewięćdziesiątym ósmym roku, wynosząc sejf z domu Narvesena?

– Rognstad nic takiego nie powiedział. Zeznał tylko, że obraz znajdował się w skrytce bankowej. Słowem nie wspomniał o włamaniu do domu Narvesena. A milczy w sprawie włamania, żeby nie zostać oskarżonym o współudział. Z drugiej strony, jeśli Rognstad mówi prawdę, istnieje duże prawdopodobieństwo, że obraz pochodzi z sejfu Narvesena. Myślę, że w chwili kradzieży w sejfie znajdowały się pieniądze i obraz. Obstawiam też, że Jonny Faremo brał udział w kradzieży sejfu. I że nie chodziło im wcale o pół miliona, tylko o wiele milionów koron ukrytych w sejfie. I że całą zawartość zdeponowali w skrytce bankowej.

– Po co mieliby to robić? – spytał Fristad.

– Chcieli poczekać, aż Ilijaz wyjdzie na wolność, zanim podzieli się łupem. Zwyczajny kodeks muszkietierów obowiązujący w środowisku przestępczym: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

– Niedawno obraz został wystawiony na aukcji przez nieznaną osobę. Tylko po co? Przecież i tak nie jest do kupienia.

– Mylisz się. Jest spore zapotrzebowanie na tego typu dzieła sztuki. Zresztą mamy pod ręką zdeklarowanego kupca: mężczyznę, który przed dwoma tygodniami wypłacił z konta pięć milionów w gotówce.

– Narvesen? Miałby odkupywać obraz? Od kogo?

– Od Vidara Ballo i Merethe Sandmo.

Żaden z nich nie odezwał się przez dłuższą chwilę.

– Zacznijmy od początku – powiedział Frølich, przerywając ciszę. – Wszyscy trzej zostają zwolnieni z aresztu po zabójstwie na Loenga, a potem Jonny Faremo zostaje zamordowany. Jego kochanka

Merethe nawiązuje romans z Ballo, mało tego, jest widziana w Fagernes tego samego dnia, w którym siostra Jonny'ego ginie w pożarze domku letniskowego.

– Widzę, że wciąż masz lekkiego świra na punkcie Elisabeth Faremo, ale podoba mi się pomysł, żeby pozwolić Narvesenowi odkupić obraz. Niezwykły chwyt – pochwalił go Fristad. – Z drugiej strony pięć milionów to niewielka suma. Kilka lat temu podobny obraz sprzedano za dziesięć milionów.

– Owszem, ale ta kwota jest na pewno wynikiem negocjacji. Po kradzieży sejfu w dziewięćdziesiątym ósmym roku złodziejska szajka miała haka na Narvesena. Otworzyli sejf i odkryli, że Narvesen posiadał kradziony obraz poszukiwany na całym świecie, wchodzący w skład dziedzictwa narodowego Włoch. Narvesen też miał coś na nich, w końcu ukradli mu sporą sumę pieniędzy, a kradzież mienia o takiej wartości podlega surowej karze. Oznacza to, że obu stronom zależało na tym, żeby sprawa przycichła. Dzisiaj ten obraz może być wart piętnaście, albo nawet dwadzieścia milionów. Ale sprzedać go można wyłącznie wytrawnym kolekcjonerom. Członkowie gangu, czyli Faremo, Ballo i Rognstad, nie znali innych kolekcjonerów poza Narvesenem.

– Czekaj, czekaj! – Fristad podniósł rękę, przerywając wywód Frankena. – Co ty próbujesz powiedzieć? Sądzisz, że Inge Narvesen odzyskał obraz?

– Owszem. Wydaje mi się, że powodem, dla którego jechał za mną do Hemsedal i próbował mnie podpalić...

– Wolnego! Żadnych pochopnych oskarżeń.

– Okej. Spróbuję wyrazić to inaczej. To, że Narvesen odzyskał obraz, tłumaczy, dlaczego jest na mnie taki wkurzony. Chce odwrócić

uwagę od kradzieży sprzed lat i od swojej osoby. Jeśli rzeczywiście odzyskał obraz i przechowuje go w domu, to bardzo mu nie na rękę, że go nachodzę, drążę temat i zadaję pytania.

Fristad rzucił okiem na Gunnarstrandę, który powoli i głęboko zaciągał się papierosem.

– Co o tym sądzisz, Gunnarstranda?

– Narvesen dzwonił do mnie, żeby się upewnić, że nie wznowiliśmy śledztwa w sprawie kradzieży sejfu. To całkiem logiczne, jeśli odzyskał obraz. Ale nawet jeśli to prawda, to i tak nie możemy tego udowodnić.

– Tylko kto odsprzedał Narvesenowi obraz? – zastanawiał się głośno Fristad.

– Ballo – odpowiedział Frølich. – Wszystko wskazuje na to, że on i Merethe Sandmo wykiwali pozostałych, napuszczając jednych na drugich. Wiemy przecież, że zostali parą, i to zaledwie dzień po zabójstwie Jonny’ego Faremo. Nawet Jim Rognstad, który najlepiej zna Ballo, nie ma do niego zaufania. Obaj byliśmy tego świadkami.

Fristad spojrział na Frankena i powiedział:

– To wszystko, Frølich.

\*

Kiedy Frank Frølich opuścił gabinet, Fristad i Gunnarstranda spojrzeli na siebie w milczeniu.

– Co o tym sądzisz? – spytał Fristad.

– Nigdy nic nie sądzę.

– Żadnego przeczucia?

– Żadnego.

– Ale jeśli na moment zapomnimy, że być może jest w to zamieszany, i poważnie potraktujemy jego słowa, że Narvesen ma

obraz, to czy możemy go odszukać? Na przykład postarać się o nakaz rewizji w domu Narvesena?

– My nie, ale Sørliie może. Økokrim może oskarżyć Narvesena o to, że wypłacając pięć milionów w gotówce, próbuje prac brudne pieniądze. A wtedy mogą mu zrobić nalot w domu i w biurze.

– Ale czy znajdą obraz?

– Wątpię. Mógł przecież zdeponować go w skrytce bankowej – zaśmiał się Gunnarstranda.

– I załatwić sobie prawnika, który odeprze wszystkie nasze argumenty, twierdząc, że Jim Rognstad sprzedał nam bajeczkę, którą wymyślił, licząc na łagodniejszy wyrok.

– Ale jeśli Økokrim i Sørliie włączą się do akcji, ta część sprawy nie musi wcale wyjść na światło dzienne. Ktoś z naszych ludzi może wejść w skład zespołu.

– Kto? – spytał szybko Fristad. – Przecież Frølich jest spalony.

– Myślałem o Emilu Yttergjerdem – zakończył rozmowę Gunnarstranda. Wspomnę o nim, kiedy spotkam się z Sørliem.

\*

Fristad wyszedł. Ledwie Gunnarstranda zdążył usiąść za swoim biurkiem, kiedy do gabinetu weszła Lena Stigersand, niosąc gruby stos kartek.

– Strzał w dziesiątkę! – zakomunikowała i usiadła na krześle obrotowym z takim impetem, że odjechała ponad metr do tyłu.

– Opowiadaj.

Lena Stigersand pomachała papierami.

– Merethe Sandmo. Wyleciała z Oslo do Aten trzydziestego listopada. Lot obsługiwany przez Lufthansę z międzylądowaniem w Monachium.

Gunnarstranda wstał.

– A Ballo? – spytał.

Policjantka pokręciła głową.

– Jego nie ma na liście.

– To znaczy, że poleciała sama?

– Niekoniecznie. Ballo mógł przecież podać inne nazwisko.

– Kiedy spalił się domek letniskowy?

Lena Stigersand zajrzała do notatek.

– W nocy z dwudziestego ósmego na dwudziestego dziewiątego listopada. To było w niedzielę, to znaczy w nocy z niedzieli na poniedziałek.

– W tamtą niedzielę Merethe Sandmo jadła w Fagernes obiad w towarzystwie nieznanego nam mężczyzny. Tego samego wieczoru Elisabeth Faremo zginęła w pożarze domku letniskowego. Idealnie zgrane w czasie. Koniec listopada, co oznacza, że domki letniskowe stoją puste. Żadnych urlopowiczów. A ci, którzy przebywali w okolicy, z pewnością wracali do Oslo w niedzielę wieczorem. Atak następuje w nocy i kończy się zabójstwem Elisabeth Faremo. Sprawcy próbują zatuszować morderstwo, wywołując pożar. W poniedziałek są z powrotem w Oslo. A we wtorek Merethe Sandmo, najprawdopodobniej razem z Ballo, siedzi w samolocie do Aten.

Gunnarstranda się zamyślił.

– Kontaktowałaś się z policją w Grecji? – spytał po chwili.

– Zwykła procedura. Biuro Interpolu w Kipos. Zdjęcie i rysopis Merethe Sandmo zostały przesłane faksem do Aten. Słyszałam, że znalazła pracę w nocnym klubie ze striptizem?

Gunnarstranda wzruszył ramionami.

– W jakimś barze. W każdym razie taki jest oficjalny powód jej



wyjazdu według Frølicha. Masz te listy pasażerów?

– Tak.

– Możliwe, że znajdziemy Ballo pod pseudonimem. Sprawdź nazwisko: Ilijaz Zupac.

– Robi się.

## 18

Franken szukał kartki, którą ukrywała w dłoni. W końcu znalazł ją zmiętą w tylnej kieszeni spodni, które wrzucił do kosza z brudną bielizną. Numer telefonu zapisała dużymi cyframi. Ósemka wyglądała jak dwa idealnie okrągłe kółka ustawione jedno na drugim. *Co charakter pisma mówi o człowieku?* Zadzwoił pod podany numer.

– Cześć, dodzwoniłeś się do Vibeke. Jestem teraz zajęta, więc zostaw swój numer telefonu, a ja za chwilę do ciebie oddzwonię.

*Przynajmniej wiem już, jak masz na imię.* Czekał cierpliwie na sygnał.

– Cześć, Vibeke, to ja, Frank. Dzięki za ostatnie spotkanie. Mam nadzieję, że znajdziesz czas na...

Nie skończył zdania, ponieważ Vibeke podniosła słuchawkę.

– Cześć Frank. Miło, że dzwonisz.

– Miałem ochotę z tobą pogadać.

– Wszystko w porządku? Nie czujesz się źle?

– Dlaczego miałbym się czuć źle? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Długo się nie odzywała, a Franken nie zrobił nic, żeby przerwać milczenie.

– Jesteś tam?

– Spotkamy się? – spytał.

– Jestem teraz trochę zajęta, ale w ogóle to bardzo chętnie.

Zwykle wstaję koło południa.

Zerknął na zegarek. Było już po dwunastej.

– To może jutro o pierwszej? – zaproponował. – Zjemy razem lunch, okej?

– Ty zjesz lunch, a ja śniadanie. Gdzie?

Frank Frølich szukał w myślach nazw kawiarni i wybrał pierwszą, która mu wpadła do głowy.

– Może w Grandzie?

– Super! Ostatni raz byłam w Grandzie jakieś piętnaście lat temu. Jadłyśmy z babcią napoleonki.

\*

Lena Stigersand weszła do gabinetu, niosąc gruby stos papierów.

– Gdzie mam to położyć? – spytała.

Gunnarstranda spojrział na nią nieobecny wzrokiem.

– Gdzie? – powtórzyła.

Skinął głową na stół znajdujący się w rogu pokoju. Policjantka ruszyła w jego stronę, chwiejąc się pod ciężarem dokumentów.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Gunnarstranda podniósł słuchawkę. To był Yttergjerde.

– W końcu coś mamy!

– Tak?

– Nie znaleźliśmy żadnego obrazu.

– To było chyba do przewidzenia?

– Jasne. Przed chwilą zrobiliśmy nalot na dom maklerski Inar A/S. Te pięć milionów w gotówce... Twierdził, że trzyma je w szafie na dokumenty, prawda?

– Chcesz powiedzieć, że nie przechowywał pieniędzy w żadnej

szafie?

– Właśnie.

– Cóż – zaczął Gunnarstranda i spojrzał na zegarek. – W takim razie facet ma problem.

Odłożył słuchawkę i zaczął się huścić na krześle.

Lena Stigersand, która stała odwrócona do niego plecami i robiła porządek w dokumentach, zerknęła przez ramię.

– Wyglądasz na zadowolonego. Czyżby szykowało się zatrzymanie?

Gunnarstranda wyłamał palce, aż zachrząściło w stawach.

– Dobrze usmażony inwestor, marynowany w zabójstwie i przyprawiony praniem brudnych pieniędzy! – zarechotał. – Cholera jasna, czasem kocham tę robotę! Na emeryturze będę miał przesrane!

\*

Gunnarstranda pracował do późna. Jego koledzy, jeden po drugim, szli do domu, natomiast on sam był umówiony na obiad z Tove. Miał się zjawić u niej w domu dopiero o ósmej, więc nie pozostało mu nic innego, jak poczekać do wieczora w pracy. Kiedy w końcu się wyprostował, żeby sprawdzić, która jest godzina, zauważył, że przez oparcie krzesła stojącego przy drzwiach leży przewieszona kurtka Franka Frølicha. Inspektor wstał i rzucił okiem na drzwi.

– Frølich?

Policjant odwrócił się od kserokopiarki i powiedział: – Koniec roboty na dziś. Zrobiło się późno.

Gunnarstranda nałożył płaszcz.

– Myślałem, że już dawno poszedłeś do domu.

Przyjrzał się młodszemu koledze, który sięgnął po kurtkę, a potem

poprawił szalik pod szyją.

– Od jak dawna razem pracujemy? – zapytał Gunnarstranda.

Frølich wzruszył ramionami.

– Jakieś dziesięć lat? Dwanaście? Może trzynaście? Nie pamiętam, a co?

Tym razem Gunnarstranda wzruszył ramionami.

– No to spadam – rzucił Franken.

– Ja też zaraz wychodzę.

Stali przez chwilę, przyglądając się sobie w milczeniu.

– Coś nie tak? – zdziwił się Frølich.

– Myślisz, że powinniśmy postąpić inaczej?

– To znaczy jak?

– Czy twoim zdaniem powinniśmy zrobić coś jeszcze? W sprawie śledztwa.

– Czy ja wiem? Mieć oko na Narvesena?

– Obserwujemy go od kilku dni – odpowiedział inspektor. – Każde jego wyjście do kibla jest odnotowywane. Z raportów wynika, że wieczorami Narvesen nie robi nic ciekawego. Siedzi w domu, od czasu do czasu schodzi do piwnicy. To wszystko.

– Skleja modele?

– Nie mam pojęcia.

– A co z Emilie?

– Emilie?

– Jego konkubiną, ładną dziewczyną o wietnamskiej urodzie.

– Tą z porsche? Jest instruktorką spinningu i rzadko bywa w domu.

– Co robi instruktorka spinningu?

– Cztery wieczory w tygodniu jeździ do klubu fitness, wsiada na

rower treningowy przed bandą na identycznych rowerach i wszyscy razem pedałowują przy dźwiękach muzyki, a ta cizia wrzeszczy przez mikrofon, podgrzewając atmosferę.

– Aha.

Wyszli razem z budynku. Żaden nic nie mówił. Zatrzymali się przed wyjściem i spojrzeli na siebie.

Gunnarstranda odchrząknął.

– To na razie – powiedział. – Udanego weekendu.

Frølich skinął głową w odpowiedzi.

– Udanego weekendu.

\*

Tove przygotowała baraninę z kapustą. To był strzał w dziesiątkę. Potrawa przypominała mu smaki i zapachy z dzieciństwa. Niedzielne obiady, kiedy był małym chłopcem. Zapachy potraw unoszące się w całej kamienicy, dzięki czemu z łatwością można było odgadnąć, kto co będzie jadł na obiad. Jego kłótnie z bratem o najlepsze kawałki mięsa, kiedy garnek po raz drugi wędrował wokół stołu. Ale nie powiedział tego na głos. Już kiedyś jej to mówił. Nie raz. Serwując właśnie tę potrawę, Tove składała hołd jego wspomnieniom z dzieciństwa.

Zjedli, splukując jedzenie czerwonym winem, które wybrała Tove, mocnym włoskim barolo, i właśnie dzielili się resztką wina, które zostało w butelce. W tle Louis Armstrong śpiewał *Makin' Whoopee*. Gunnarstranda przyglądał się Tove, która siedziała zamyślona w fotelu.

– O czym myślisz?

– O pacjencie. Ma na imię Vidar. Jest szalony. Nie, właściwie nie tak do końca, ale został umieszczony w naszym domu opieki. Biedny

chłopak, ma zaledwie trzydzieści lat, jest przeraźliwie chudy, ma wykrzywioną twarz i przez cały czas patrzy tępo przed siebie z otwartymi ustami, jedną ręką trzymając się za płatek ucha. Jego matka powiedziała nam, że Vidar nasłuchuje głosu Boga.

– Mocne – powiedział Gunnarstranda i napił się wina.

– Czy kiedy zamykasz oczy, widzisz wyłącznie ciemność? – spytała.

Zamknął oczy.

– Nie, przed oczami migają mi żółte kropki, widzę gwiazdy.

– Nie wszyscy widzą gwiazdy, wiele osób widzi żółte kropki na czarnym tle. Ale jeśli się skupisz i spojrzysz przed siebie, nie otwierając oczu, to migoczące punkty, które widzisz, połączą się i utworzą jasno świecący punkt gdzieś między twoimi oczami. A jeżeli jeszcze bardziej wyteżysz wzrok i dobrze się przypatrzysz, to odkryjesz, że ten sam punkt jest częścią olbrzymiego czarnego oka, że to twoje trzecie oko patrzy na ciebie.

Gunnarstranda zamknął oczy i zbliżył kieliszek do ust. Wypił łyk wina i zapytał: – Oko? Kim jest ten, kto przygląda mi się w mojej głowie?

– To Bóg.

– Kto tak twierdzi?

– Vidar.

– Ten szalony chłopak?

– Yhm.

– Całkiem możliwe, że ma rację. Dolać ci wina?

– Pod warunkiem że powiesz mi, o czym myślisz.

– Bądź uroczą, odważną białogłową, ale nie z b y t odważną.

– Czy to cytat z bajki?

– Pewnie tak.

– Daj spokój, tak łatwo się nie wykręcisz – powiedziała Tove. Wstała, podeszła do kredensu, z którego wyjęła kolejną butelkę i ją otworzyła.

– Myślisz, że stosuję uniki?

– Nie chcesz mi powiedzieć, o czym myślisz.

– Myślę o dwóch osobach, których poszukuję w sprawie o zabójstwo.

Tove nalała wina do obu kieliszków i zapytała: – Czy nie robisz tego codziennie?

Gunnarstranda wskazał na odtwarzacz CD. Ella Fitzgerald śpiewała właśnie początek pierwszej piosenki, *Autumn in New York*.

Wsluchiwali się w słowa utworu.

– Teraz ty mi przerwałaś – skwitował po chwili.

– Ja i Ella.

– Tych dwoje jest poszukiwanych w sprawie o zabójstwo strażnika Arnfinna Hagi i za podpalenie z zamiarem morderstwa.

– O kurczę, co to za ludzie?

– Dwudziestodziewięcioletnia modelka reklamująca bieliznę i kryminalista z orzeczoną grupą inwalidzką, który pięć ósmym życia przesiedział w więzieniu.

– Ale dlaczego teraz o nich myślisz?

– Sam siebie o to pytam.

Zamilkli. Ella przekazała mikrofon Louisowi Armstrongowi.

Tove usiadła obok Gunnarstrandy na kanapie i położyła głowę na jego ramieniu. W pokoju panował półmrok. Reflektory samochodów wyjeżdżających z zakrętu rysowały żółte prostokąty na ścianach. A z głośników płynęły dźwięki trąbki Louisa Armstronga.



To wszystko przypominało scenę z kiepskiego filmu. Był wieczór. Zgrabna brunetka w butach na wysokich obcasach szybkim krokiem przeszła przez furtkę z kutego żelaza i zbliżyła się do niskiego samochodu. Jej sylwetkę widać było wyraźnie w świetle latarni. Wsiadła do auta. Kiedy zamykała drzwi, rozległ się dźwięk podobny do tego, który podczas robienia zdjęć wydaje wysokiej klasy aparat fotograficzny. Ruszyła. Silnik zamruczał jak najedzony, ospały drapieżnik. Franken rzucił okiem na czerwone tylne światła. Miał czas. Był cierpliwy. Minął furtkę prowadzącą do ogrodu i zszedł ze żwirowej alejki na trawnik. Pies zamknięty w mieszkaniu zaczął szczekać, mimo to Frank Frølich szedł dalej. Ukucnął pod starą jabłonią. Czekał. W oknie pojawił się cień. Ktoś spoglądał w ciemność. Pies nie przestawał ujadać. Postać za szybą stała nieruchomo. W końcu cień oddalił się od okna. Po chwili pies ucichł. Franken przypomniał sobie to zwierzę, wychudzonego, nerwowego setera angielskiego.

*Co ja tutaj robię? Co próbuję osiągnąć?*

Zamrugnął suchymi powiekami, wpatrując się w ciemność. Mruganiem pozbył się wątpliwości, samokrytyki i oporów.

Było zimno. Ostre powietrze. Niebo czarne, bez gwiazd, bez księżycy. Przenikliwe zimno zapowiadało opady śniegu. Frank Frølich siedział na posterunku jak myśliwy w czasie polowania na łosie:

nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym sztywno przed siebie. Po godzinie zapaliło się światło w piwnicy. Franken zerknął na zegarek i podjął decyzję. Siedem minut. Światło w oknie piwnicy wciąż było zapalone. Po chwili jeszcze jedno okno piwniczne zajaśniało w ciemności. Minęły cztery minuty. Pozostałe okna spowijała ciemność. Pięć minut. Sekundnik włókł się po tarczy jak ślimak. Oddech Frankena stał się szybszy. Sześć minut. Podniósł się. Musiał uważać, żeby się nie rzucić do drzwi. Starał się kontrolować oddech. Siedem minut. Truchtem pokonał trawnik, wbiegł po schodach na ganek i trzy razy nacisnął przycisk dzwonka. Pies zaczął szczekać. Franken zbiegł ze schodów, okrążył dom i bezszelestnie wspiął się na werandę. Znowu spojrzął na zegarek. *Wyluzuj! Oddychaj!* Pies szalał za oknem werandy. Brązowo-biały pysk ślinił się za przezroczystą firaną. Po chwili usłyszał kroki na schodach prowadzących do piwnicy. Męski głos krzyknął na psa, który ujadął jak szalony. Franken czekał, aż otworzą się drzwi wejściowe. Kiedy światło wydobywające się zza uchylonych drzwi padło na trawnik po przeciwnej stronie, wybił szybę. Wkopując do środka odłamki szkła, usłyszał głośne przekleństwa mężczyzny. Pies doskoczył do stopy Frankena, ale ten kopnął go tak mocno, że zwierzę wpadło na krzesło i z żalnym skomleniem potoczyło się po podłodze. Był w środku. Mężczyzna wyszedł z przedsionka wprost na niego. Jego twarz trafiła idealnie w pięść Franka Frølicha. Nie odezwał się ani słowem. Po prostu go uderzył. Mężczyzna upadł, Franken rzucił się na niego, przełożył go na brzuch, kolanami przycisnął jego dłonie do podłogi, po czym sięgnął po plastikowe kajdanki przyłączone do paska. Pies znowu go zaatakował. Ujadając jak oszalały, ugryzł go w bok. Tym razem uderzenie Frankena było na tyle silne, że seter przetoczył się

przez pokój. Frank Frølich nałożył mężczyźnie kajdanki i podniósł się z ziemi. Teraz przyszła kolej na psa, który właśnie szykował się do ataku. Chwycił go w locie i ścisnął mu pysk tak mocno, że zwierzę zapiszczało zduszonym głosem. Kiedy wylądowało na podłodze, zachręściły mu stawy tylnych łap. Seter z podkulonym ogonem wczołgał się pod ławę. Frank Frølich rzucił okiem na pokój. Mężczyzna klęczał z rękami związanymi na plecach i wydzierał się na Frankena, ale ten nic sobie z tego nie robił. Zauważył rozpalony kominek i ogromny kryształowy żyrandol zwisający z sufitu. Poza tym w pokoju stało dużo ciężkich mebli, a na ścianach wisiały obrazy.

*Po co ja to robię?*

Szybkim krokiem ruszył w stronę drzwi wejściowych, które mężczyzna zostawił otwarte, i zamknął je na klucz. Znalazł schody prowadzące na piętro. Błyskawicznie je pokonał. Wrzaski Narvesena towarzyszyły mu aż tutaj. Spocił się. Nagle znalazł się w wąskim korytarzu. Otworzył pierwsze drzwi. Łazienka. Kolejne drzwi. Sypialnia. Następne drzwi. Gabinet. Szuflady biurka, papiery. Zapach szuflad. Demoniczny śmiech dochodzący z dołu. *Nie uciekł. Ale też nie pobiegł za mną. A to oznacza, że nic tutaj nie znaję.*

Zawrócił, zbiegł ze schodów. Narvesen nagle przestał się śmiać. Siedział na podłodze. Spojrzenie – krnąbrne, niemal triumfujące. Patrzył ponurym wzrokiem, ale nie na Frankena, lecz na coś, co znajdowało się obok policjanta. Frank Frølich powiódł oczami za spojrzeniem Narvesena. Drzwi. Odwrócił się. Podeszedł do nich. Narvesen znowu zaczął się wydzierać, lecz tym razem głośniejszym, groźniejszym.

Drzwi prowadziły do piwnicy. Zszedł na dół. Pomieszczenie znajdowało się w stanie surowym. Pachniało wilgocią. Ściany

i podłoga były wykonane z betonu. Nieco dalej brzęczała zamrażarka. Poszedł obok zamrażarki, przez kolejne drzwi. Magazyn win. Wzdłuż ściany wymurowano niewielkie nisze, w których leżało kilkaset ciemnych butelek. Ruszył w stronę następnych drzwi, które, jak się okazało, prowadziły do kotłowni. Olbrzymi stalowy zbiornik zajmował niemal całą ścianę. Po przeciwnej stronie stał nowoczesny kocioł. Rury wyginały się we wszystkich możliwych kierunkach. Spocił się. Przetarł mokre czoło. Z oddali dobiegały ciche dźwięki muzyki skrzypcowej. Szedł dalej, kierując się dźwiękiem. Woda w kotle zaczęła bulgotać. Kiedy zapalnik wywołał płomień, rozległ się trzask. Podeszedł do niskich drzwi znajdujących się w głębi pomieszczenia. Wszedł do małego umeblowanego pokoju, w środku którego stał designerski włoski fotel w typie leżanki. Z miniwieży płynęły dźwięki czegoś, co przypominało Mozarta. Berek. Opróżniona do połowy butelka camus vsop, jeden kieliszek. Przed fotelem sejf. Drzwi do sejfu były otwarte. W środku znajdował się obraz. Frank Frølich się schylił.

– Nie dotykaj!

Wyprostował się. Głos Narvesena zabrzmiał ostro i wyraźnie. Franken czuł się tak, jakby obudził się ze snu. Odwrócił się.

Inge Narvesen stał na progu z rękami związanymi na plecach. Na jego twarzy pojawiły się wybroczyiny.

Frank Frølich chwycił obraz.

– Odłóż go!

– Dlaczego?

Patrzyli na siebie.

– Jesteś zerem – syknął Narvesen. – Zrobię z ciebie miazgę.

– Słyszałem, że jesteś mściwy. Ale się spóźniłeś. Zmarnowałeś

szansę, podpalając mój dom letniskowy. Teraz moja kolej.

Narvesen przytrzymał się ściany. Jego twarz zniknęła w cieniu, oczy zamieniły się w dwie wąskie i wilgotne szpary.

Frank Frølich rzucił okiem na obraz. Był większy, niż przypuszczał. W szerokiej ramie.

– Chodźmy na górę – wskazał głową na schody. – *After you.*

– Jak odłożysz obraz na miejsce.

– Ja tu decyduję.

– Jeszcze to do ciebie nie dotarło? Jesteś niczym. Już teraz możesz się zegnać z robotą. Jeden telefon i zostaniesz wylany z pracy. Ty policjantem? To chyba jakiś żart...

Frank Frølich zamrugał.

Narvesen, chwiejąc się, ruszył w jego stronę. Z głową wysuniętą do przodu, agresywnie.

Franken znowu zamrugał. Automatycznie wyciągnął rękę.

– Na górę!

Narvesen poleciał na ścianę. Frølich wyjął z barku butelkę koniaku. Narvesen się uspokoił, w jego zachowaniu nie było już cienia agresji.

– Uważaj na obraz!

– Jasne. Na górę!

Narvesen zaczął się wspinać po schodach, chwiejnym krokiem, z rękami na plecach. W pewnej chwili uderzył ramieniem w ścianę i ledwo udało mu się utrzymać równowagę.

– Dalej!

Stali naprzeciwko siebie, po dwóch stronach kominka. Frank Frølich nie mógł uspokoić oddechu. Mrugając, pozbył się mgły, którą zaszyły mu oczy. W rękach miał dzieło sztuki. Niewiarygodnie szeroka,

złożona rama okalająca skromną scenę: kobietę w chustce trzymającą na rękach małego grubaska z kręconymi włoskami. *A więc tak to wygląda.* Skupił się na oddechu. Wdech, wydech, głęboki wdech, wydech. Spojrzenie Narvesena – czujne, pełne lęku. *Nie wie, czego się spodziewać. Uważa, że jestem niepoczytalny.* Kiedy znów się odezwał, miał wrażenie, że jego głos dobiega z bardzo daleka, z głębi studni.

– Nie rozumiem, jakim cudem zmieścił się w skrytce bankowej.

– Rama była zdemontowana. Ale ostrożnie! Właśnie opравиłem go na nowo.

– Przyznaję, ładnie namalowany, ale czy naprawdę jest wart aż pięć milionów?

– Pięć milionów to żadna kwota za taki obraz. Są kolekcjonerzy, którzy zapłaciliby za niego dziesięć razy więcej.

– Dlaczego?

Narvesen się zawahał. Spojrzał na obraz, potem przeniósł wzrok na zniszczone drzwi, potem znowu na obraz, aż zatrzymał się na twarzy Frølicha.

*Oddychaj, wciągaj powietrze, wypuść, wciągnij.*

– Każde dzieło sztuki... – zaczął Narvesen, ale zaraz zacisnął wargi, widząc, jak Franken podnosi obraz do góry, w stronę światła.

– Mów dalej.

– Każde dzieło sztuki w pewnym momencie traci na wartości. Dopiero kiedy świat się przekona o jego rzeczywistej wartości, cena zaczyna szybować... Ale czuję, że robię się nerwowy, widząc go w twoich rękach. Możesz go odłożyć?

– Wytłumacz mi, co masz na myśli.

Tym razem to Narvesen musiał się skupić na regulacji oddechu. Stał ze wzrokiem wbitym w policjanta, z rękami skrępowanymi na

plecach.

– Dla mnie jako kolekcjonera sztuka i przeżywanie sztuki nie są wyłącznie dwiema stronami tej samej sprawy. Są częścią mojego życia, nierozzerwalnie związaną ze mną. Moje przeżywanie sztuki odbywa się zarówno na płaszczyźnie intelektualnej, jak i emocjonalnej. Nie wolno zapominać, że sztuka operująca obrazem pozwala nam zrozumieć świat wokół nas, definiuje nas jako ludzi...

– I tak dalej, i tak dalej – przerwał mu Franken. – Ale dlaczego właśnie ten obraz, Bellini, *Madonna z Dzieciątkiem*?

Sylwetka Narvesena stała się wyraźniejsza. Frølich przyglądał mu się badawczo. Na czoło Narvesena wystąpiły krople potu.

– W tysiąc czterysta dwudziestym roku w sztuce malarskiej nastąpił przełom. – Odkaszlnął, żeby oczyścić struny głosowe. – Pewien architekt, Alberti, wydał podręcznik o perspektywie. Bracia Bellini byli prekursorami nowego trendu, a Giovanni Bellini był tym, któremu najlepiej udało się przenieść ludzkie postrzeganie trójwymiarowości do malarstwa, do sztuki. Był nie tylko jednym z pierwszych, ale także jednym z najwybitniejszych perspektywistów wszechczasów. Bellini interpretował rzeczywistość zupełnie innym, nowatorskim językiem obrazu. Był jednym z tych, którzy położyli podwaliny pod współczesną estetykę. I dlatego ten obraz jest czymś najwspanialszym, co kolekcjoner sztuki może posiadać w swoich zbiorach. W tym niewielkim obrazie to, co najistotniejsze, wyrażono w studium dwóch postaci: Syna Bożego i Jego Matki, boskość, która spleta się z człowieczeństwem. Ten obraz nigdy mi się nie znudzi. To moja *Mona Lisa*, Frølich.

– To nie jest twój obraz.

– Jest w moim posiadaniu.

Franken uniósł obraz.

– Był w twoim posiadaniu.

Narvesen milczał. Niepewne spojrzenie.

– W jaki sposób zdobyłeś obraz?

– Nigdy się tego nie dowiesz.

– Kto ci go sprzedał?

– Nie pytaj. Nigdy ci tego nie powiem.

– Po co ci ten obraz, skoro nie możesz go nikomu pokazać? Skoro musisz siedzieć w tej norze i gapić się na niego w samotności? Czekać, aż twoja partnerka wyjdzie z domu, żeby móc się zakraść do piwnicy. I drżeć w obawie, że twoja tajemnica wyjdzie na jaw.

– Naprawdę tego nie rozumiesz? Nigdy nie miałeś świra na jakimś punkcie?

– Owszem – odpowiedział Franken. *Długie fragmenty kości. Zapach spalenizny. Ból.* Podniósł butelkę koniaku do ust i wypił łyk. Potem wyjął z kieszeni scyzoryk, rozciął plastikowe paski krępujące ruchy Narvesena i złożył nożyk.

Narvesen zaczął rozmasowywać nadgarstki.

– Powiedz, ile chcesz. Pieniądze nie grają roli.

– Z pewnością.

– Po prostu podaj cenę.

– Rozumiem, że można być opętanym jakąś myślą – zaczął Frølich.

Chwycił Narvesena za włosy i odchylił jego głowę do tyłu.

Narvesen upadł z jękiem na kolana.

– Ale nie podoba mi się, że usiłowałeś spalić mnie żywcem – dokończył Franken.

Puścił jego włosy.

Narvesen osunął się na podłogę.



Frank Frølich wziął do ręki butelkę. Oblał obraz koniakiem i wrzucił go do kominka. Płótno natychmiast zajęło się ogniem. Gwałtownie. Minęły dwie sekundy. Narvesen zauważył płomienie. Kolejna sekunda. Zdał sobie sprawę z tego, co się stało. Krzyknął i rzucił się w stronę kominka. Franken podstawił mu nogę. Narvesen potknął się i upadł na ziemię, podczołgał się na czworakach i włożył palce w płomienie. Frølich kopniakiem odrzucił go od kominka. Obraz palił się błyskawicznie. Na farbie pojawiły się pęcherze, które pękały z trzaskiem, twarz Dzieciątka zniknęła wśród płomieni. Czerwono-pomarańczowe języki ognia trawiły postać kobiety, sięgając już do jej twarzy. Narvesen, jęcząc i zawodząc, zaczął sięczołgać w stronę kominka. Obraz spłonął. Studium Madonny z Dzieciątkiem pochłonął ogień. Jedyne rzeźbiona rama odróżniała to, co zostało z obrazu, od kawałka drewna na opał. Pies, który przez cały czas leżał pod ławą, znowu stał się agresywny. Zaczął szczekać, doskoczył do Narvesena i szarpał go za nogawkę spodni. Mężczyzna doczołgał się do kominka. Franken przyglądał mu się z pogardliwym uśmiechem, pozwolił mu wyjąć z paleniska to, co pozostało po obrazie. Narvesen dmuchał na zwęglone resztki jak dziecko, które próbuje zdmuchnąć świece na urodzinowym torcie. Frank Frølich przez kilka sekund nie spuszczał go z oczu. To samo robił pies. Zdziwiony, przekrzywił łeb i przyglądał się swojemu panu.

– Teraz jesteśmy kwita – powiedział Franken. – Ciesz się, że podpaliłem obraz, a nie ciebie.

\*

Zbliżała się pierwsza w nocy, kiedy Gunnarstranda zamykał za sobą drzwi do mieszkania Tove. Zbiegł po schodach i wyszedł na ulicę. Padał śnieg. Miękka, kilkucentymetrowa warstwa białego puchu

przykrywała chodniki. Ruszył w stronę Sandakerveien w poszukiwaniu taksówki. Na ulicach panował kompletny chaos. Samochody wpadały w poślizg, koła buksowały na lodzie. W głębi ulicy pług śnieżny rzucał pomarańczowe snopy światła na ściany domów. Inspektor miał wyłączony dźwięk w telefonie komórkowym, ale poczuł wibracje w wewnętrznej kieszeni płaszcza.

To był Lystad z Kripos. Miał dla niego wiadomość. Znalezione ciało. Imię i nazwisko: Vidar Ballo. Przyczyna śmierci: przedawkowanie narkotyków. Miejsce zdarzenia: mieszkanie Ballo w Holmlii.

Gunnarstranda zaniemówił z wrażenia. Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Stał na mrozie, na chodniku przy Sandakerveien, kompletnie sparaliżowany.

Tymczasem Lystad mówił dalej:

– Dozorca wyważył drzwi, ponieważ sąsiedzi Ballo skarżyli się na odór dobiegający z mieszkania. To wyjaśnia, dlaczego od tyłu dni nie otwierał drzwi.

Gunnarstranda zobaczył mercedesa z włączoną lampą z napisem „taxi”, który przejechał powoli tuż obok niego.

– Dlaczego nic nie mówisz? – zdziwił się Lystad. – Obudziłem cię?

– No co ty, jestem na dworze, właśnie wracam do domu. Wiadomo, od jak dawna nie żyje?

– Pewność będziemy mieli dopiero po sekcji, czyli za kilka dni. O śmierci Ballo dowiedziałem się przez przypadek. Zadzwoiłem do jego matki w Kvænangen. Wczoraj otrzymała wiadomość od pastora. Wygląda na to, że zgon nastąpił z powodu przedawkowania narkotyków, bez udziału osób trzecich.

– Możliwe, że ostatnią osobą, która widziała go żywego, byłem

ja – powiedział ponurym tonem inspektor.

– Masz zamiar wszcząć śledztwo w tej sprawie?

– Nie ja o tym decyduję.

– Tak czy inaczej istnieje kilka hipotez, które trzeba ponownie zweryfikować – powiedział Lystad. – I u nas, i u ciebie. Mam rację?

– Zgadza się.

Z naprzeciwka nadjeżdżała kolejna taksówka.

– Może połączymy siły i zrobimy to razem? – zaproponował Lystad.

Gunnarstranda zamachał. Samochód się zatrzymał. Kierowca wyciągnął ramię nad oparciem fotela i otworzył tylne drzwi.

– Na przykład jutro – ciągnął Lystad.

– Gdzie teraz jesteś? – spytał Gunnarstranda, wsiadając do taksówki.

– W biurze.

– Będę u ciebie za dziesięć minut – rzucił krótko inspektor. Przerwał rozmowę i przywitał kierowcę skinieniem głowy. – Do biura Kripos w Bryn.

## 20

Tego dnia Frank Frølich spał niemal do południa. Wstał około jedenastej, zjadł na śniadanie muesli z mlekiem i zaczął przygotowywać się do spotkania w Grandzie.

W nocy napadało dużo śniegu. Auta zaparkowane wzdłuż Havreveien przykrywała gruba warstwa białego puchu. Na dachach samochodów i na karoserii leżały śniegowe czapy przypominające bitą śmietanę. Kilka aut wyłamało się z szeregu, zostawiając po sobie głębokie dziury – najwyraźniej ich właścicielom udało się wydostać z zasp.

Na stacji metra traktor z brzęczącymi gąsienicami właśnie odśnieżał perony. Franken wsiadł do pierwszej kolejki, która nadjechała, wysiadł przy Stortingu i wolnym krokiem ruszył w dół Karl Johans gate, gdzie umieszczone w ziemi rury ciepłownicze sprawiały, że na chodniku nie leżał śnieg, a ten, który spadł na jezdnię, zamieniał się w brązową, lepkać maź.

Kiedy przechodził przez ciężkie drzwi prowadzące do Grand Café, właśnie zajmowała miejsce przy wolnym stoliku, tuż przy oknie. Miała na sobie obcisłe dzinsy, wełniany sweter i oficerki do kolan. Warkoczyki w stylu afro zupełnie nie pasowały do typowo norweskiego stylu ubierania się. Wyglądała tak, jakby miała na głowie zbyt duży kapelusz.

Ledwo ją rozpoznał. *Może dlatego, że ma na sobie ubranie?* pomyślał

i podszedł do stolika. Podniosła wzrok.

– Szukałam cię – powiedziała.

– Gdzie?

– Wiesz gdzie.

Usiadł. Napotkał jej spojrzenie. Patrzyła na niego wyzywająco, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. Nie udało mu się przebić przez jej zewnętrzną powłokę, która kojarzyła mu się z przypadkową, znudzoną życiem celebrytką. *Ostry makijaż. Spojrzenie wystudiowane przed lustrem, uśmiech, wytrenowany ruch mięśni warg i policzków. A dzisiaj pierwszy raz widzę ją bez maski.* Po magii tamtego wieczoru nie było ani śladu.

Odśloniła zęby w kolejnym przelotnym uśmiechu.

– Zamówiłam colę i napoleonkę.

Spojrzał na nią z ukosa. Ale ona nie żartowała.

Zjawił się kelner. Franken poprosił o kawę.

– Zrobiłeś coś sobie w twarz – powiedziała ze spuszczoneym wzrokiem.

– To przez ten klucz, o którym ci mówiłem.

– Przecież sam prosiłeś, żebym przekazała wiadomość...

Przez cały czas siedziała ze wzrokiem wbitym w blat stolika.

– W porządku, to już nie ma znaczenia.

– Nie pytaj mnie o niego – powiedziała szybko. – Nic nie wiem, a nawet gdyby, to i tak nic bym ci nie powiedziała.

– O kogo mam nie pytać?

– O Jima.

Kelner przyniósł kawę. Franken przez dłuższą chwilę mieszał w niej łyżeczką. Ona też doczekała się swojej coli i napoleonki. Próbowwała ukroić kawałek ciastka łyżeczką, ale krem rozbryzgiwał się

po całym talerzyku. Prychnęła śmiechem i wymamrotała: – To wcale nie jest takie proste.

– Mój szef mawia, że jeżeli chce się poznać czyjeś podejście do życia, to należy przyjrzeć się, w jaki sposób dana osoba je napoleonkę.

– Cieszę się, że nie ma tutaj twojego szefa – powiedziała, wyciskając więcej kremu na talerzyk.

– Kiedyś widziałem, jak pewien biegły rewident je napoleonkę. Robił to z niezwykłą precyzją i systematycznością. Najpierw podważył łyżeczką górną warstwę i odłożył ją zreżnie na talerzyk, potem zjadł krem, następnie spód ciastka i dopiero na samym końcu zajął się górną warstwą pokrytą lukrem.

Zebrała łyżeczką górę kremu i lukru, włożyła ją do ust i zamknęła oczy, delektując się smakiem.

– Ten facet nie wie, co traci – wymamrotała.

– Vibeke... – zaczął.

Podniosła wzrok.

– Tak, Frank? – Przyglądali się sobie w milczeniu. Wzięła do ust kolejną łyżeczkę kremu, przełknęła i powiedziała: – Ty też nie wiesz, co tracisz.

Odwrócił wzrok. Nie dlatego, że się objadała. Po prostu nie chciał wpatrywać się w jej zmęczoną twarz.

– Wróciłem do pracy – powiedział powoli. – Jestem policjantem.

Nie odpowiedziała.

– Teraz też jestem w pracy.

– I to ma być wymówka, żeby nie jeść ciastka? – zażartowała.

Zachichotała, ale śmiech zamarł na jej wargach, kiedy napotkała jego spojrzenie.

- Vibeke... – powtórzył.
- Tak, Frank? – Znowu uśmiechnęła się wyzywająco.
- Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o Elisabeth.
- Wydaje mi się, że wiesz o niej o wiele więcej niż ja.
- Ale ty ją znałaś, kiedy spotykała się z Ilijazem.
- Jesteś zazdrosny?
- Nie, Elisabeth i ja... między nami wszystko skończone.

Zastanawiając się nad słowami, które właśnie wypowiedział, rozejrzał się dookoła. Większość klientów stanowili goście hotelowi, którzy byli tutaj przejazdem. Resztę stolików zajmowały żałośnie wyglądające kobiety o włosach w gołębim kolorze i pomarszczonych twarzach. Zimowe słońce, które znajdowało się nisko nad horyzontem, wpadało do środka przez wysokie okna. Ludzie w pośpiechu przemierzali Karl Johans gate. Samochód psiego patrolu właśnie wycofywał się sprzed Stortingu. Jakiś starszy mężczyzna siedział na stołku pod jednym z lwów pilnujących gmachu parlamentu i grał bluesa na gitarze elektrycznej. Dźwięki melodii ledwo docierały na drugą stronę ulicy. Kiedy znowu spojrzął na dziewczynę, po napoleonce nie było śladu.

– Ilijaz był wielką miłością Elisabeth. Była gotowa pójść za nim w ogień, bez względu na to, jak bardzo był chory.

Zastanawiał się nad tym, co powiedziała. Przez krótką chwilę miał przed oczami domek letniskowy, który doszczętnie spłonął. Odchrząknął. Postanowił zaryzykować.

- Czy Elisabeth miała skłonności biseksualne?
- Skąd to pytanie?
- Takie odniosłem wrażenie.
- Skłonności biseksualne? – powtórzyła, jakby chciała

posmakować tych słów. – Strasznie kategoryczne stwierdzenie.

– Czyżby?

– Nie wszystko jest czarno-białe, rozumiesz?

– Wydaje mi się, że Elisabeth miała romans z kobietą.

– Mnie też tak się wydaje – odpowiedziała w zamyśleniu. – Moim zdaniem Elisabeth... – Skrzywiła się i zapytała: – Nigdy nie miałeś podobnych myśli? Załóżmy, że masz dobrego przyjaciela i chcesz sprawdzić, czy łączy was również więź fizyczna?

– Nie.

Zaśmiała się.

– Wierzę ci. Ale w przypadku Elisabeth bez trudu mogę sobie wyobrazić, że chadzała do łóżka z kobietami. Co nie zmienia faktu, że była całkowicie opętana miłością do Ilijaza.

– Opowiedz mi o tym.

– Szczerze mówiąc, nie mam wiele do opowiedzenia.

– Czy ich związek był burzliwy?

– Czy się kłócili? Zdarzało się. Wiesz, jak to jest między niektórymi ludźmi, kiedy związek staje się zbyt intensywny, uzewnętrzniają się negatywne emocje. Niemal tak samo gwałtownie jak te pozytywne.

Przed oczami mignęła mu bosa stopa Elisabeth. Paznokcie pomalowane ciemnoczerwonym lakierem. Jego dłoń obejmująca ją za kostkę ozdobioną wąskim złotym łańcuszkiem.

– Zresztą do kłótni dochodziło często przez Ilijaza. Głupio sobie z nią pogrywał.

– Co masz na myśli?

– To, że spotykał się z innymi laskami. I to często.

– To znaczy, że z jego strony to nie było nic poważnego?



– Było. Myślę, że on też był nią opętany, tylko że w tamtym czasie chciał uchodzić za macho. To było strasznie dziecinne. Przez cały czas musiał sobie udowadniać, jaki jest męski, i dlatego podrywał dziewczyny. W pewnym momencie Elisabeth przestało to bawić i znalazła sobie innego faceta.

*Innego faceta.* Frankenowi przyszły na myśl słowa Gunnarstrandy o czwartym napastniku.

– Kogo?

– Normalnego, porządnego gościa.

– Pamiętasz, jak się nazywał?

– Nie.

– A pamiętasz, gdzie pracował?

– Nie mam pojęcia.

– Kiedy to było?

– Tego też nie pamiętam.

– Postaraj się sobie przypomnieć. To musiało być mniej więcej pięć, sześć lat temu. Ilijaz od sześciu lat siedzi w więzieniu.

– Poważnie? Ależ ten czas leci! Nigdy nie umiałam umiejscowić różnych wydarzeń w czasie. Trochę łatwiej oddzielić lata, kiedy chodziłam do szkoły, ale...

– Gdzie wtedy pracowałaś? – wszedł jej w słowo.

– W barze, zawsze pracowałam w barze.

– W którym?

– Sześć lat temu? To był bar, który znajdował się na Bogstadveien, ale już go tam nie ma.

– I już wtedy znałyście się z Elisabeth?

– Elisabeth pracowała w sklepie. U Fernera Jacobsena. – Skinęła głową w stronę Stortingsgaten. – Na poziomie minus jeden. Na

Elisabeth każda rzecz wyglądała ładnie. Wszyscy, którzy sprzedają ubrania, natychmiast zdają sobie sprawę z tego, że taka ekspedientka to prawdziwy skarb. Wydaje mi się, że właśnie tam Elisabeth poznała tego faceta, chyba był jej klientem. Gość miał mnóstwo kasy.

– Działalność przestępcza?

– Całkiem możliwe. Albo... U Jacobsena zakupy robią wyłącznie bogaci ludzie. A ten facet ciągle zapraszał ją na obiad i chociaż odmawiała, nie dawał za wygraną. Któregoś razu Ilijaz poszedł na całość z jakąś panią i wtedy Elisabeth zgodziła się wyjść wieczorem ze swoim wielbicielem. I tak stali się parą. Mniej więcej w tym samym czasie Ilijaz został aresztowany.

– Czy związek Elisabeth z tym mężczyzną trwał długo?

– Tego nie wiem.

– Spotkałaś go kiedyś?

– Nigdy. Myślę, że nikt nigdy go nie widział.

– Dlaczego nie?

– Przecież sam wiesz. To cała Elisabeth. Uwielbia tajemnice. Założę się, że ciebie też nie zaprosiła nigdy do swojego domu.

Poprawił się na krześle. Mówiła o Elisabeth w czasie teraźniejszym.

– Elisabeth nie żyje – powiedział. – Jim ci o tym nie powiedział?

Siedziała ze wzrokiem wbitym w blat stolika. Potrząsnęła głową.

Cisza trwała zaskakująco długo. *Dlaczego nie pyta o Elisabeth, o to, w jaki sposób zginęła, co się wydarzyło?* Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym sam sformułował w myślach odpowiedź.

– Czy ty i Jim jesteście parą?

– Parą? Nie.

Wyglądała, jakby siedziała z zamkniętymi oczami – tak

intensywnie wpatrywała się w stolik.

– Ale przekazałaś Jimowi wiadomość o kluczu. Wiedziałaś, kim jestem, kiedy przyszedłem zobaczyć, jak tańczysz.

– Owszem, czasem rozmawiam z Jimem, ale jestem singielką.

– Niewykluczone, że zostanie oskarżony o zabójstwo.

– Jim?

Cały czas wbijała spojrzenie w stolik.

– Ktoś podpalił domek letniskowy. Elisabeth była w środku.

– Kiedy to było?

– W nocy z dwudziestego ósmego na dwudziestego dziewiątego listopada. To był poniedziałek.

– To nie mógł być Jim. – W końcu podniosła wzrok, zamyślona, nieobecna. – Tamtej nocy Jim był u mnie.

Przez dłuższą chwilę nie odzywali się do siebie ani słowem. Wsłuchiwali się w zwykłe dźwięki wypełniające kawiarnię, brzęk talerzyków i sztućców, przytłumione głosy.

– Jesteś pewna? – spytał. Musiał odchrząknąć, bo ledwie można go było usłyszeć.

– Oczywiście, że jestem pewna – odpowiedziała, siląc się na uśmiech.

– Chodzi mi o porę dnia...

Skinęła głową.

To ona przerwała ciszę. Uśmiechnęła się trochę ironicznie, trochę nieśmiało, po czym powiedziała: – Nie gniewaj się, ale nie zamierzam dla ciebie kłamać.

\*

Szli razem w stronę dworca. Na skrzyżowaniu z Kirkegata zatrzymał się i wskazał na katedrę.

– Tutaj skręcam.

Przez kilka sekund przyglądała mu się z zaskoczeniem.

– Jesteś pewny?

Skinął głową.

Stanąła na palcach i musnęła wargami jego policzek, a potem odwróciła się do niego plecami i z gracją ruszyła w dół Karl Johans gate. Wodził za nią oczami, dopóki nie zniknęła w tłumie. Dopiero wtedy się odwrócił i poszedł dalej – po drugiej stronie Kirkeristen.

\*

Zbiegł po schodach do stacji metra i pojechał kolejką do domu, z trudem opanowując zniecierpliwienie. Od razu ruszył w stronę samochodu. Usunął śnieg z klapy bagażnika, wyjął miotłę i szufelkę i uwolnił auto ze śnieżnej pułapki, przebijając się przez zaspę. Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i wyjechał na Ring 3. Dojechał do końca Drammensveien i przy wyjeździe z miasta skręcił przy Sandvika w stronę Steinshøgda. Przez całą drogę towarzyszyło mu nieprzyjemne kłucie w żołądku. Patrzył prosto przed siebie, na asfalt, śnieg leżący między pniami drzew, na zimę w natarciu. Jechał w górę Begnadalen, kierując się na Fagernes. Tym razem jednak nie prześladowały go żadne wizje płonącego domu ani długich fragmentów kości. Czuł tylko intensywne ssanie w żołądku. Po raz kolejny odtwarzał w myślach poszczególne sceny, przyglądał się każdemu, nawet najmniejszemu szczegółowi, roztrząsał każde zdanie, które padło w ich rozmowie, zastanawiając się nad znaczeniem pojedynczych słów.

Kiedy zatrzymał się przed komisariatem, Per-Ole Borówka czekał na niego, tak jak obiecał.

– Ale jesteś napalony! Wyglądasz tak, jakbyś wracał do domu po

tygodniu piekła w szkole policyjnej.

– Muszę się dowiedzieć, kto kilka tygodni temu widział Merethe Sandmo w Fagernes – powiedział Frank Frølich.

– W porządku – odpowiedział Per-Ole. – Widzę, że bardzo ci na tym zależy, ale nie wiem, czy będę mógł ci pomóc...

– Jasne, jasne! – rzucił szybko Franken. – Naprawdę mi się spieszy. Trzymaj – zaczął i podał Borówce wycinek z gazety. – Jedź do twojego świadka i spytaj go, czy Merethe Sandmo jadła obiad z tym mężczyzną.

Per-Ole wziął zdjęcie do ręki i przyjrzał mu się uważnie.

– Straszny mięczak – skwitował. – Jak się nazywa?

– Inge Narvesen.

– Czym się zajmuje?

– Kupuje i sprzedaje na giełdzie. Milioner wśród miliarderów.

– Słowem kasiasty gość – rzucił Borówka. – Odpowiedź brzmi „tak”.

– Nie wygłupiaj się, chcę, żebyś pokazał świadkowi...

– To nie będzie konieczne – przerwał mu Per-Ole. – Ten świadek to ja. To ja widziałem Merethe Sandmo w hotelowej restauracji w towarzystwie tego faceta ze zdjęcia.

– To dlaczego siedziałeś cicho? Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

Borówka uśmiechnął się smutno.

– To nie ma z tobą nic wspólnego. Milczałem ze względu na moją żonę... i kobietę, z którą w tamtą niedzielę jadłem obiad w hotelu...

Frølich odetchnął głęboko.

– Dzięki, stary – powiedział cicho. – Następnym razem wybierzemy się na ryby do Vællers. Trzymaj się!

Pożegnał się z Borówką i pojechał do domu. O wiele spokojniejszy. Włączył odtwarzacz CD. Johnny Cash wykonywał cover piosenki U2 *One*. Gitara akustyczna i głos pozbawiony złudzeń. Doskonale współgrały z tym, co się z nim działo.

## 21

Frank Frølich po raz kolejny siedział za lustrem weneckim. Tym razem towarzyszył mu Gunnarstranda. W pokoju obok trwało właśnie przesłuchanie, które prowadził Lystad z Kripos. *Vis-à-vis* oficera śledczego siedzieli Inge Narvesen i jego adwokat. Ten ostatni był po pięćdziesiątce i miał dużo większe doświadczenie w prawie spółek handlowych niż w sprawach karnych. Miał puciołowatą twarz i łysinę na czubku głowy, którą otaczał wianuszek zmierzwionych loków. Ani adwokat, ani Narvesen nie byli zachwyceni sytuacją, w której się znaleźli.

- A więc zaprzecza pan? – spytał Lystad.
- Że jadłem obiad w tamtym hotelu? Ależ skąd!
- Sam?
- Nie.
- Z kim?
- Nie mam pojęcia, jak ta kobieta się nazywała.
- Proszę sobie przypomnieć.
- Mówię prawdę, nie mam pojęcia. Ona sama przedstawiła się jako Tanja, ale wątpię, żeby to było jej prawdziwe imię.
- Ma pan całkowitą rację. Co łączy pana z „Tanją”? Kim jest dla pana?
- Nikim. Dziwką. Ona sprzedaje, ja kupuję.
- Co pan od niej kupował?

- A co się kupuje od dziwki?
- Proszę odpowiedzieć na pytanie.
- Kupowałem usługę seksualną.
- Pojechał pan aż do Fagernes, żeby zapłacić za seks z kobietą, która pracuje w Oslo jako kelnerka?
- Pojęcie „kelnerka” niezbyt dokładnie pokrywa się z zakresem usług świadczonych przez tę panią.
- Okej, porozmawiajmy o czymś innym. W dziewięćdziesiątym ósmym roku związał się pan z pewną młodą kobietą, zgadza się?
- Możliwe. Co pan ma na myśli, mówiąc „młodą”?
- Elisabeth Faremo. Pracowała jako sprzedawczyni u Fernera Jacobsena, gdzie był pan częstym klientem. Miał pan z nią romans.
- Inge Narvesen rzucił okiem na adwokata, który skinął głową.
- Romans to za dużo powiedziane – odpowiedział powoli Narvesen.
- Może teraz też będzie mi pan wmawiał, że płacił jej za seks?
- Nie. Byliśmy razem. Ale nasz związek nie trwał długo.
- Wiem o tym – odparł Lystad. – Wasz związek się rozpadł, kiedy prawdziwy kochanek Elisabeth został aresztowany i oskarżony o włamanie do pańskiego domu.
- Narvesen milczał. Rzucił szybkie spojrzenie adwokatowi, który powoli potrząsnął głową.
- Gunnarstranda i Frølich wymienili spojrzenia. *Wygląda na to, że długo ćwiczyli choreografię przed tym spotkaniem*, pomyślał Franken.
- Lystad wstał i podszedł do okna. Wyjrzał na ulicę.
- A więc twierdzi pan, że z tą kobietą w Fagernes uprawiał pan seks za pieniądze? – zapytał zwrócony twarzą do okna. – Gdzie doszło do stosunku?



– W hotelu.  
– Nie wynajął pan pokoju w tamtym hotelu.  
– Byliśmy u niej.  
– Ona też nie wynajęła pokoju.  
– Widocznie użyła innego nazwiska. Byliśmy w jej pokoju, w jej łóżku.

– Numer pokoju?  
– Niestety nie pamiętam.  
– Które piętro?

Narvesen uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Przykro mi.

Oficer śledczy spojrział na niego ponuro.

– Nic dziwnego, że pamięć pana zawodzi, skoro ani ta kobieta, ani żadna „Tanja” nigdy nie meldowały się w hotelu w Fagernes. Ale chwilowo zadowolimy się stwierdzeniem, że pańska wersja nie pokrywa się z rzeczywistością i odnotujemy ten fakt w protokole przesłuchania. – Lystad uniósł dłoń, widząc, że Narvesen chce mu wejść słowo. – Gdzie był jej kochanek, kiedy uprawiali państwo seks?

– Nie mam pojęcia. Byliśmy sami.

– W tym czasie w Fagernes był również jej kochanek.

– Pierwsze słyszę. Nie wiedziałem, że miała kochanka.

– Czy do stosunku doszło przed, czy po posiłku w restauracji?

– Przed.

– Mam świadka, który zeznał, co następuje: kiedy wszedł pan do restauracji, ta kobieta już tam siedziała. A poza tym nie nazywała się „Tanja”. Jej prawdziwe nazwisko brzmi Merethe Sandmo. Ta kobieta pochodzi z Oslo. Dosiadł się pan do stolika Merethe Sandmo.

– Przedstawiła się jako Tanja. Nie miałem pojęcia, jak brzmi jej

prawdziwe nazwisko, i nie zależało mi na tym, żeby to wiedzieć. Prawdą jest, że spotkaliśmy się w restauracji po... odbyciu stosunku. Zeszliśmy do restauracji osobno. Ona pierwsza opuściła pokój.

– Ta kobieta nigdy wcześniej nie parała się tego typu działalnością.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz.

– Myśli pan, że to był pierwszy raz, kiedy uprawiała seks za pieniądze?

– Nie mam pojęcia.

– W jaki sposób skontaktował się pan z Merethe Sandmo?

– Zwyczajnie. Przez internet.

– Nie rozumiem, co w tym kontekście oznacza „zwyczajnie”?

Proszę mi to wyjaśnić.

– Przez portal internetowy, na którym klienci kontaktują się z prostytutkami. Nie pamiętam adresu, ale później mogę go panu dostarczyć.

– Czy zanim znalazł się pan w jej pokoju, spotkaliście się gdzieś na terenie hotelu?

– Nie.

Frølich i Gunnarstranda znowu wymienili spojrzenia. Adwokat Narvesena również zareagował. Szepnął coś do ucha swojemu klientowi.

– Poszedł pan sam do jej pokoju, ale nie pamięta pan ani numeru pokoju, ani na którym piętrze się znajdował?

– Przepraszam, źle się wyraziłem.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Właśnie sobie przypomniałem, że spotkaliśmy się przed recepcją i razem poszliśmy do jej pokoju. Byłem tak podniecony, idąc obok tej

pięknej kobiety, że nie zapamiętałem, na którym piętrze ani jaki numer...

– Wystarczy – przerwał mu Lystad i odwrócił się. – Kłamie pan, przecież to oczywiste. Okazuje pan pogardę dla wszystkiego, co sobą reprezentuję, i dla prokuratury jako instytucji. Radziłbym panu wykazać się większym taktem i mądrością, kiedy spotkamy się w sądzie. Ale do rozprawy sądowej jeszcze wrócimy. Jeśli chodzi o pana spotkanie z Merethe Sandmo, to nie wierzę, że był pan z nią w jakimkolwiek pokoju. Zapłacił jej pan, owszem, ale za jakąś informację, a nie za seks. Potem pojechał pan do domku letniskowego w Vestre Slidre, gdzie spotkał się pan z Elisabeth Faremo, którą następnie pan zamordował.

W pokoju zapadła cisza. Narvesen zbladł. Adwokat spojrzał na niego z niepokojem, odchrząknął i zapytał: – Ma pan dowody na poparcie tej hipotezy?

– Pracuję nad tą sprawą – odpowiedział Lystad. – Mściwy z pana człowiek, panie Narvesen. Nie mylę się, prawda?

– Panie Lystad! – wszedł mu w słowo adwokat. – Więcej konkretów, a mniej insynuacji i ocen moralnych, bardzo proszę!

– Oczywiście, już przechodzę do konkretów. Czy mógłby pan, panie Narvesen, opowiedzieć o swojej znajomości z Halvorem Bedem?

Narvesen przyglądał się policjantowi w milczeniu. Adwokat pochylił się ku niemu. Przez chwilę szeptali, aż w końcu głos zabrał adwokat: – Nie może pan rzucać na stół nowych, nieznanych faktów, uniemożliwiając nam zapoznanie się z nimi w...

– Nie jesteśmy na sali sądowej – przerwał mu Lystad. – To jest przesłuchanie. Ale zgadzam się, że należą się panu wyjaśnienia –

dodał i zwrócił się z pytaniem do Narvesena: – Kto opowie pańskiemu adwokatowi o Halvorze Bedem: pan czy ja?

Narvesen nie odpowiedział. Dłonie zaciśnięte w pięści położył przed sobą na blacie stołu.

– Halvor Bede był norweskim oficerem pokładowym, który dopuścił się szantażu na pańskim kliencie – wyjaśnił Lystad. – Został skazany, odsiedział wyrok, ale na swoje nieszczęście został śmiertelnie ugodzony nożem przez nieznanego sprawcę w dniu, w którym opuścił więzienie.

– Ale co ja mam z tym wspólnego?! – warknął Narvesen. – Bede został zabity podczas kłótni, do której doszło w jakimś barze. Bóg jeden wie, o co się pokłócili, pewnie o kobietę. Nigdy nie byłem w tym barze, ani nawet w jego okolicy, a sprawa została umorzona wiele lat temu.

– Owszem, została umorzona, ale nie uległa przedawnieniu. Jest pan mściwy z natury, prawda?

– Do czego pan zmierza?

– Jeszcze do tego dojdziemy. Lubi pan podpalać domy letniskowe, mam rację?

– Proszę nie odpowiadać na tego rodzaju insynuacje! – zawołał zdenerwowany adwokat, zanim zwrócił się ponownie do Lystada: – Jeśli nie dysponuje pan zeznaniami świadków ani mocnymi dowodami, które łączą mojego klienta z tym zabójstwem lub innymi czynami karalnymi, proszę o natychmiastowe przerwanie przesłuchania.

– Przesłuchanie będzie trwało tak długo, jak długo uznam to za konieczne – odpowiedział Lystad i spojrzął na zegarek.

– Czy mój klient jest o coś oskarżony?

- Nie.
- Czy ma status podejrzanego?
- Absolutnie nie.
- W takim razie musi pan grać z nami w otwarte karty i poprzeć zarzuty konkretnymi dowodami.
- Z największą przyjemnością – odpowiedział oficer śledczy, otwierając aktówkę. – Chodzi o rewizję, którą Økokrim przeprowadził w lokalach należących do pańskiego biura, panie Narvesen. A dokładniej o pewien maleńki drobiazg dotyczący wypłaty gotówki: pięciu milionów koron. Pragnę pana powiadomić, że dysponujemy numerami seryjnymi banknotów, które wypłacono panu w banku. Część z nich pojawiła się w Fagernes tego samego dnia, w którym, jak sam pan przyznał, spotkał się pan z Merethe Sandmo. Moja hipoteza jest następująca: tych pięć milionów przekazał pan w Fagernes Merethe Sandmo.

Narvesen przyglądał mu się w milczeniu.

Tymczasem Lystad mówił dalej:

- Jestem niezmiernie ciekawy, co takiego miała panu do zaoferowania, że był pan gotów zapłacić aż pięć milionów. Myślę, że nawet pański adwokat nie wierzy w to, że zapłacił jej pan za szybki numerek w hotelu.

W pokoju panowała głucha cisza.

Adwokat odchrząknął.

Lystad spojrział na niego i powiedział:

- Pański klient ma w tym momencie dwa wyjścia: albo złoży wyjaśnienia, albo odmówi składania wyjaśnień. To drugie rozwiązanie nie byłoby dla niego korzystne, ale możecie to przedyskutować. Zarządzam kilkuminutową przerwę.

Wyszedł z pokoju.

Frølich i Gunnarstranda przez kilka sekund przyglądali się mężczyznom siedzącym w pokoju przesłuchań.

– Lystad jest niezły – powiedział Franken – ale teraz najważniejsze jest to, żeby się skontaktować z Merethe Sandmo.

Policjanci wstali i wyszli na korytarz.

– Wiesz przecież, że Sandmo jest w Grecji – odpowiedział Gunnarstranda.

– Musimy z nią porozmawiać.

– Po co?

– Po pierwsze, ponieważ tylko ona może wyjaśnić, co tak naprawdę wydarzyło się w Fagernes, kiedy spotkała się z Narvesenem. A po drugie, tym czwartym napastnikiem mogła być ona sama, Merethe Sandmo.

– Tak?

– Trochę się nad tym zastanawiałem – powiedział Frank Frølich. – I doszedłem do wniosku, że wszystko powoli układa się w logiczną całość. Merethe nie miała doświadczenia i spanikowała albo uczestniczyła w akcji wbrew swojej woli.

– To wyjaśnia, dlaczego nie związała, kiedy zjawił się strażnik. To, że w pewnym sensie przyczyniła się do jego śmierci, sprawiło, że miała ogromne wyrzuty sumienia, i to również tłumaczy, dlaczego doniosła policji na swoich kumpli. I dlaczego podała tylko trzy nazwiska, a nie cztery. A to z kolei wyjaśnia, dlaczego Elisabeth Faremo czuła się w obowiązku zapewnić bratu i tamtym dwóm alibi. To z kolei tłumaczy, dlaczego w grupie doszło do rozłamu i dlaczego Merethe Sandmo rozstała się z Jonnym Faremo i rzuciła się w ramiona Vidara Ballo.

– To jest oczywiście jakaś opcja, ale jej ewentualny udział w przestępstwie absolutnie nie tłumaczy jednego.

– A mianowicie?

– Dlaczego Vidar Ballo nie żyje.

Frølich się wzdrygnął.

– Od jak dawna nie żyje?

– Od dawna. Od cholernie dawna. Zwłoki zostały odkryte przypadkowo. Jego sąsiad zawiadomił policję, ponieważ wyczuł fetor rozkładającego się ciała. Możliwe, że Ballo zmarł tuż po tym, jak wrócił do domu po naszej rozmowie.

– To znaczy, że był martwy, kiedy spalił się dom letniskowy Reidun Vestli?

– Z dużym, bardzo dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że tak.

– Jaka była przyczyna zgonu?

– Przedawkowanie. Standard: heroina, pełny zestaw do iniekcji, końska dawka i tak dalej. Przyczyna zgonu nie budzi nawet cienia wątpliwości.

Franken znowu zamilkł i przez cały czas stał w pozycji „spocznij”.

Gunnarstranda odchrząknął i skinął głową w stronę Lystada, który czekał na nich przy stole.

– Napijemy się tej kawy, zanim skończy się przerwa? Zostaliśmy zaproszeni do bardziej aktywnego udziału w drugiej rundzie, mamy towarzyszyć Lystadowi.

Frølich potrząsnął głową.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. Chyba nie powinienem uczestniczyć w przesłuchaniu.

Gunnarstranda uniósł brwi.

– Jak tylko się tam pojawię, Narvesen i jego adwokat zmieszają mnie z błotem.

Oczy inspektora zapłonęły gniewem.

– Mów, co zrobiłeś! – zażądał, rzucając gromy na kolegę.

– Prawdopodobnie oskarży mnie o zniszczenie mienia.

– Co ty mu zrobiłeś?!

Frank Frølich wzruszył ramionami.

– Wybiłem szybę w jego drzwiach na werandę.

– Idiota!

– Wyluzuj. Odpłaciłem mu za to, że podpalił mój dom letniskowy.

Pięknym za nadobne. Nie sądzę, żeby się odważył wysunąć oskarżenie, ograniczy się raczej do oszczerstw i inwektyw pod moim adresem. Wszystko, co powie, to zwykłe kłamstwa niemające pokrycia w rzeczywistości. Trochę powarczy i na tym się skończy. Dlatego daruję sobie to przesłuchanie. Wy nie będziecie się musieli zajmować nieistotnymi rzeczami, a ja będę mógł spokojnie zebrać myśli.

Gunnarstranda usiadł obok Lystada, który smętnym wzrokiem wpatrywał się w znikającą w głębi korytarza sylwetkę Frølicha.

– Co go ugryzło? – spytał.

Gunnarstranda wzruszył ramionami.

– Od dość dawna tak się zachowuje. Ale powoli z tego wychodzi.

\*

Frank Frølich jechał bez celu przed siebie, w stronę centrum miasta. Kiedy wjechał w Hausmannsgate, nagle przyszło mu coś do głowy. Skręcił w Mariboegate, znalazł wolne miejsce *vis-à-vis* wejścia do Rockefellera i ruszył w dół, w stronę Torggata.

Powoli zbliżał się do sklepu Badira. W jednej z budek na Osterhausgate kupił hot doga, bardziej z przyzwyczajenia niż



z głodu. Szedł dalej w kierunku Torggata, zatrzymał się dopiero przed schodami prowadzącymi do budynku, w którym mieściły się łaźnie miejskie. Stał tam i myślał o Narvesenie, który miał się wytłumaczyć z wypłaty pięciu milionów koron. Który właśnie w tej chwili się z tego tłumaczył. Niewykluczone, że w tym momencie on sam tracił pracę. Franken podniósł wzrok i poczuł, że w jego głowie zaczyna kiełkować nowa myśl. *To nie ma żadnego znaczenia.*

Uśmiechnął się do siebie i ugryzł kawałek parówki, przyglądając się ciemnym postaciom sunącym w dół Storgata. *Plus tej całej akcji: mam to gdzieś. Minus: mam to gdzieś. Co ma teraz jakiegokolwiek znaczenie? Dowiedzieć się, kto zabił Elisabeth i dlaczego.*

Czy jest możliwe, żeby Narvesen chciał rozmawiać o obrazie?

Jeśli tak, to najpierw będzie musiał wyjaśnić, w jaki sposób go zdobył. A to oznacza, że prawdopodobnie nie puści pary z ust – chyba że będzie się musiał bronić przed oskarżeniem o zabójstwo. *Nawet jeśli z tego powodu stracę robotę, to i tak uznam, że było warto.*

Rzucił okiem na sklep Badira i pomyślał o Elisabeth i Narvesenie. Sklep był nadal zamknięty. Nagle szybko uskoczył w bok, robiąc miejsce rozszłoszczonej rowerzystce, która nie mogła się pogodzić z tym, że jakiś pieszy śmie stać na ścieżce rowerowej. Franken odgryzł kawałek hot doga i spojrzał na znikającą w oddali postać. I o mały włos się nie zakrztusił. Już ją kiedyś widział. Nie, nie ją – inną kobietę. Przywołał w pamięci tamten obraz – dzień, w którym przeprowadzali akcję przeciwko Badirowi. Schodził po schodach prowadzących do Gamle Torggata Bad. Czekał na sygnał. Wtedy ją zobaczył – rowerzystkę pochylającą się całym tułowiem nad kierownicą, kobietę, która jechała na rowerze wzdłuż Torggata. Stał jedną stopą na ścieżce rowerowej, usłyszał dźwięk dzwonka

rowerowego i odskoczył gwałtownie do tyłu, żeby uniknąć zderzenia. Chwilę później zatrzeszczała krótkofalówka, a Franken zajął miejsce w głębi ulicy, naprzeciwko sklepu Badira. *Nadjechała z tamtej strony.* Minęła sklep Badira i pojechała dalej, co oznacza, że nie planowała zakupów w warzywniaku. Następnie minęła Franka Frølicha, który właśnie schodził po schodach. Ale czy to mogła być Elisabeth?

Franken próbował zachować obiektywizm. Tak, to mogła być ona. Był skoncentrowany na akcji, nie przyglądał się twarzom przechodniów. Ale to mogła być ona. Możliwe, że go rozpoznała – twarz policjanta zeznającego przeciwko Ilijazowi Zupacowi. W takim przypadku musiała zatrzymać rower tak, żeby Franken tego nie zauważył. Musiała odwrócić głowę, stanąć, przyglądać mu się przez kilka sekund, podjąć decyzję, zawrócić i prowadząc rower, minąć bariery, które właśnie ustawiano. Potem musiała się znaleźć w polu jego widzenia, tuż przed sklepem Badira. Nagle wszystko sobie przypomniał: zgrzyt nóżki od roweru, kobietę wchodzącą do sklepu i siebie samego przebiegającego przez ulicę w pogoni za nią.

Tylko czy to wszystko miało jakiś sens?

Wiedział, że tak.

Wciąż brzmiały mu w uszach słowa Gunnarstrandy: „Frølich, do cholery! Przestań być takim pieprzonym naiwniakiem! Mówię ci, że z tą laską jest coś nie tak”.

Ten szczywany lis jak zawsze miał rację. Frank Frølich nagle zaczął się bardzo spieszyć.

\*

Zadzwoił na komórkę Gunnarstrandy.

– Zdaje się, że chciałeś w spokoju zebrać myśli? – powiedział inspektor pobłażliwym tonem.

– Właśnie dlatego dzwonię. I co, przyznał się?

– Jeszcze nie, ale jesteśmy w wyjątkowo interesującej fazie przesłuchania. Rozmawiamy o posiadłości Narvesena, zniszczonych drzwiach na werandę i pewnym policjancie na przymusowym urlopie.

– Mówił coś o dziełach sztuki?

– O dziełach sztuki? Nie. Skąd to pytanie?

W głowie Franka Frølicha kłębiły się setki myśli.

– Dlaczego o to pytasz? – powtórzył zniecierpliwiony inspektor.

– Eee... Tak mi tylko przyszło do głowy, ale pomówmy o czymś innym. Dyrektor banku w Askim twierdzi, że Ilijaz Zupac odwiedził ich niedawno i wyjął coś ze skrytki bankowej, zgadza się?

– Przecież wiesz, że tak.

– Tak sobie pomyślałem, że Ilijaz to dość egzotyczne imię – powiedział powoli Frølich.

– Nie zajmujemy się już tą sprawą. Przynajmniej do czasu, aż otrzymamy odpowiedź z Kripos.

– I to cię zadowala?

– W tej pracy nie chodzi o to, żebym był zadowolony.

– Jeśli Lystad chce przyskrzynić Ingego Narvesena za zabójstwo Elisabeth, to potrzebuje motyw. A to musi mieć jakiś związek z tamtym włamaniem. Ta sprawa z kolei ma związek ze skrytką bankową. Nie zaszkodziłoby więc zadzwonić do banku, mam rację?

– Ale o czym miałbym z tymi ludźmi rozmawiać?

– Mógłbyś zapytać, jakiej płci była osoba podająca się za Ilijaza.

W słuchawce zapadła cisza.

– Miało być krótko i zwięźle, Gunnarstranda – powiedział Frølich z pobłażaniem.

– Myślę, że masz rację. To może być strzał w dziesiątkę. Ale jak na

to wpadłeś?

– Z kilku powodów. Jednym z nich było to, że Ballo nie żyje. Chyba nie będziesz miał z tym kłopotu, co? Zadzwoń do banku i poproś o rysopis osoby, która posłużyła się nazwiskiem Zupaca?

Gunnarstranda się zamyślił.

– Mogę wyświadczyć ci tę przysługę – zgodził się w końcu. –  
Pytanie brzmi: co ja będę z tego miał?

– Dowód.

– Jaki dowód?

– Taki, który pogrąży Narvesena. W porównaniu z nim rozbita szyba w drzwiach na werandę to przyszcz.

– Mów, co to za dowód?

– Włos – odpowiedział Frølich.

## 22

Gdy tylko wysiadł z samolotu, uderzyła go fala gorąca.

Policjant, który czekał na niego w hali przylotów, nazywał się Manuel Komnenos.

– Nazwali mnie tak na cześć cesarza<sup>19</sup> – wyjaśnił z uśmiechem. Stał przed stanowiskiem służb celnych z białą kartką w dłoni. Nazwisko norweskiego policjanta było napisane z błędem: F-Ö-R-L-I-C-H.

Franken podał mu rękę na powitanie i przyznał ze wstydem, że nie ma pojęcia, o którego cesarza chodzi.

– To dobrze – odpowiedział rozbawiony Manuel. Był ubrany w szary, wygnieciony garnitur z lnu i białą koszulkę z krótkimi rękawami. Między górnymi siekaczami miał ogromną szparę. – Za każdym razem, kiedy usłyszysz imię Manuel, pomyślisz: „jaki cesarz?”.

Franken z miejsca poczuł do niego sympatię. Opuścili halę przylotów i wyszli na parking. Kółka walizki Frølicha szurały po asfalcie. Manuel zatrzymał się za zaparkowaną niedbale toyotą corollą i otworzył bagażnik. Franken włożył walizkę i powiedział, że w Norwegii jeździ takim samym autem.

– Prawie takim samym – poprawił się. – Toyotą avensis.

Stali za samochodem. Jakiś samolot rozpędzał się po pasie startowym, robiąc przy tym sporo hałasu. Manuel zapalił papierosa i poczekał, aż hałas ucichnie. Samolot oderwał się od ziemi i uniósł

w powietrze niczym głodny rekin płynący w kierunku światła.

Manuel wyjaśnił, że pierwszego grudnia Merethe Sandmo wynajęła samochód u Herza.

– Toyotę – dodał, zatrzasnąwszy bagażnik. – Przynajmniej zna się na samochodach.

Zaśmiali się.

Frank Frølich rzucił okiem na północ. Jakiś samolot właśnie się szykował do lądowania. Daleko w górze na niebieskim tle majaczył samolot numer dwa, który też zmierzał w stronę lotniska.

– Pojechała na północ i zwróciła samochód w oddziale Herza w Patras – kontynuował Manuel.

– I nie wynajęła nowego auta?

– Nie.

– Po prostu zniknęła?

Manuel przytaknął.

– Nie zameldowała się w żadnym hotelu.

– A co z tą drugą?

Manuel zaciągnął się głęboko.

– Pojawiła się – powiedział z uśmiechem.

– Gdzie?

– Na przystani promowej. Kupiła bilet do Bari.

– Bari? Przecież to we Włoszech.

Manuel pomachał kluczykami.

– Wciąż jesteś zainteresowany autem?

Frølich skinął głową i wyciągnął rękę po kluczyki.

– Spokojnie – odpowiedział. – Wiem, co robię.

\*

Plaża otaczała niebieskozieloną zatokę niczym księżyc w nowiu.

Ciężkie fale podpływały leniwie do brzegu, rozciągały się, oblizywały piasek, po czym zawracały, tworząc mur, który rozrywał na strzępy kolejną falę. Rytmicznie, najpierw lekkie wybrzuszenie, potem następna fala roztrzaskiwana przez poprzednią i tak w kółko. Frank Frølich obserwował ten spektakl i pomyślał, że gdyby stał na brzegu wystarczająco długo, wpatrując się w ów teatr fal, to być może w końcu uwierzyłby, że przedstawienie nie ma końca.

Nikt nie odważył się wejść do wody, ale plaża usiana była leżakami, na których wygrzewali się wczasowicze. Niektórzy siedzieli z okularami przeciwsłonecznymi na nosie i rozglądali się wokół siebie, inni emulsją do opalania smarowali spieczone ramiona. Kilku otyłych mężczyzn w szortach i z daszkami przeciwsłonecznymi na głowie spacerowało wzdłuż brzegu morza, tam gdzie piasek był bardziej ubity i schłodzony przez fale. Jakaś kobieta szła w jego stronę. Była ubrana w luźną błękitną suknię, która łopotała na wietrze. Na włosach miała niebieską przepaskę, która idealnie pasowała do sukienki. Nagle przyszło mu do głowy, że nigdy jej tego nie powiedział – że ładnie jej w niebieskim.

Stał nieruchomo. Czekał, aż go zauważy. Docenił to, że się nie zawahała, tylko szła dalej tym samym spokojnym krokiem, podczas gdy fale opłukiwały jej stopy.

Kiedy znalazła się w odległości półtora metra od niego, zatrzymała się. Stali, patrząc sobie prosto w oczy.

– Właśnie idę popływać – odezwała się po chwili. – Przyłączysz się?

Spokojne, taksujące spojrzenie. Potrząsnął głową.

– Mam coś dla ciebie – powiedział i podał jej złożoną kartkę papieru. – List pożegnalny Reidun Vestli.

Wzięła list do ręki i zaczęła czytać. W końcu złożyła kartkę i podarła ją na drobne kawałki, wpatrując się w jakiś punkt w oddali. Białe skrawki unosiły się przez chwilę na wietrze, po czym zniknęły wśród fal.

– Widzę, że jesteś pod wrażeniem. Jakie to wzruszające! – zakpił Frølich.

– Nie potrafię się skupić.

Franken powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem – w kierunku dwóch policjantów w mundurach, którzy opierając stopy o kamienne ogrodzenie ciągnące się wzdłuż drogi, bacznie się im przyglądali.

– Są z tobą? – spytała.

– Tak.

Badawcze spojrzenie.

– Po co?

Nie odpowiedział. Wiatr rozwiewał jej włosy. Musiała odgarnąć je z twarzy.

– To ja ją znalazłem – powiedział po dłuższej chwili. – Połknęła tabletki nasenne. Ten list przysłała mi pocztą. Prosi, żebyś jej wybaczyła. Nie wiesz, o co jej chodziło?

– Nie mam pojęcia. Czasem trudno było ją zrozumieć.

– Miłość wymaga skupienia.

Spojrzała na niego, przekrzywiając głowę.

– Przepraszam cię – powiedziała.

– Za co?

– Za to, jak się czujesz. Ale przecież tak wcale nie musi być między nami.

– To, co było między nami, skończyło się dawno temu.

– Nie wierzę. Przecież tu przyjechałeś, do mnie.



– Elisabeth, którą znałem, nie żyje – powiedział cicho. – Zginęła w pożarze. Ale już się z tego otrząsałem.

– Nie mów tak.

– Przepraszam. Wiem, że w domku letniskowym spłonęło ciało Merethe Sandmo. To jedna z wielu rzeczy, które mają ogromny wpływ na nasze obecne relacje. Dowiedziałem się o tobie ciekawych rzeczy – mówił dalej, skupiony na rozmowie. – Wiem na przykład, że Ingego Narvesena spotkałaś sześć lat temu, kiedy pracowałaś u Fernera Jacobsena. Wiem, że mieliście romans i że razem wybraliście się na Mauritiusa, gdzie spędziliście wakacje marzeń. To więcej niż ty i ja zdążyliśmy przeżyć, kiedy byliśmy razem. No, ale mnie nie stać na to, żeby szastać pieniędzmi na prawo i lewo.

– Nie mieszaj w to Narvesena. Inge i ja... to była pomyłka. Dziecinada.

– Ilijaz chyba też nie był zachwycony?

Milczała. Spojrzenie jej niebieskich oczu było nieodgadnione.

– Odwiedziłem Ilijaza w Ullersmo.

– Kiedyś taki nie był.

– A jaki był?

– Był silnym, wesołym, pewnym siebie mężczyzną, który czerpał z życia pełnymi garściami.

Szukała odpowiednich słów. Czekał. Odwróciła twarz pod wiatr i dodała: – Mnie też był pewny, zbyt pewny. – Przez kilka sekund stała zamyślona. – Jakby zapomniał, że mnie też można zranić, że ja też mam uczucia.

Ruszyli wolno wzdłuż brzegu morza. Fale obmywały ich stopy. Frank Frølich zatrzymał się i podwinął nogawki spodni. Jej stopy i łydki były brązowe od słońca, a paznokcie pokryte

ciemnoczerwonym lakierem. Przez ułamek sekundy miał przed oczami jej obraz: jak siedzi z nogami zgiętymi w kolanach i w skupieniu maluje paznokcie u stóp.

Łopocząca suknia przykleiła się do jej ciała. Nogi odznaczały się wyraźnie pod materiałem. Szła z podniesioną głową, a wiatr rozwiewał jej czarne włosy.

– Możliwe, że związałaś się z Narvesenem, żeby ukarać Ilijaza, ale wątpię, żeby Narvesen był tego świadomy. A już na pewno nie rozumiał, dlaczego opowiedziałaś Ilijazowi o sejfie z obrazem.

– Ilijaz jest jedną z zabłąkanych owieczek Bożych – odpowiedziała. – Zupełnie się pogubił.

– Parę lat temu Ilijaz był w pełni władz umysłowych. Działał świadomie i odpowiadał za swoje czyny. Zastrzelił człowieka, a nie musiał tego robić.

– Ilijaz jest wrakiem człowieka. Spotkałeś się z nim, więc wiesz, że zupełnie się załamał. Jak to jest pracować dla systemu, który robi ludziom takie rzeczy?

– Za to, że Ilijaz Zupac siedzi w więzieniu, odpowiada tylko jedna osoba: on sam. Nie musiał kraść sejfu. Nie musiał strzelać do człowieka.

– Więzienie powinno być miejscem, w którym skazanym ogranicza się wolność, a nie pozwala gnić od środka.

– Rozumiem, że próbujesz zwalczyć poczucie winy, ale to, że występujesz w roli czarnego anioła, który zamierza pomścić kochanka, jest po prostu chore.

– O czym ty mówisz?

– O tobie.

– Obwiniasz mnie za to, że w swoich działaniach kieruję się

uczuciami?

– Na tym właśnie polega problem, przez twoje działania giną ludzie.

– Nie jestem odpowiedzialna za innych, tylko za siebie.

Zatrzymał się i wybuchnął śmiechem.

– Z czego się śmiejesz?

– Z twojej napuszonej gadki: „nie jestem odpowiedzialna za innych, tylko za siebie” – powtórzył, naśladując jej głos. – Ty, która namówiłaś Ilijaza i swojego brata, żeby ukradli obraz, a potem odsprzedali go Narvesenowi. Ty, która rozpętałaś to całe piekło, nie odpowiadasz za innych, tylko za siebie?

Nie odpowiedziała, tylko rzuciła mu przelotne spojrzenie. Szli dalej obok siebie w kompletnej ciszy, którą po dłuższej chwili przerwał Franken.

– Domyślam się, że transakcja sprzedaży obrazu została przesunięta w czasie, kiedy Ilijaz znalazł się w więzieniu. Ale z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu postanowiłaś zmienić plan i sprzedać obraz Narvesenowi bez udziału osób trzecich. Dlaczego?

Na to pytanie również nie odpowiedziała.

– W końcu zrozumiałem, że tamtej listopadowej nocy, kiedy Merethe robiła za kierowcę i kiedy razem z twoim bratem byli świadkami morderstwa, sprzymierzyłaś się z nią przeciwko chłopakom.

Przystanąła.

– Tamtej nocy się obudziłem, kiedy rozmawiałaś z Merethe przez telefon. Domyślam się, że musiała być w fatalnym stanie, kiedy opowiadała ci o strażniku, któremu roztrzaskali głowę kijem

bejsbolowym. Tylko jak udało ci się ją namówić, żeby doniosła na nich policji?

– Mylisz się – powiedziała ostrym tonem. – Co ty sobie o mnie myślisz? – Jej oczy płonęły gniewem. – Merethe była głupią krową. Ja miałabym ją prosić, żeby wsypała mojego brata? Dlaczego miałabym to robić? Merethe zadzwoniła do mnie po tym, jak rozmawiała z policją. Najpierw ich sypnęła, a potem zadzwoniła do mnie, żeby o tym pogadać i żebym ją pocieszyła. To chyba najlepiej świadczy o tym, jaką była idiotką. Błagała, żeby wziąć ją ze sobą, tygodniami wierciła chłopakom dziurę w brzuchu, żeby móc jechać z nimi na akcję, bo chciała poczuć przyływ adrenaliny. Szukała mocnych wrażeń, kretynka! A kiedy w końcu postawiła na swoim, o mało co nie zrobiła w gacie. I zamiast siedzieć cicho, zadzwoniła na policję i opowiedziała glinom, co się stało.

– Może chciała, żeby ktoś pomógł mężczyźnie, który wykrwawiał się na śmierć? – wtrącił Frølich ponurym tonem. – Strażnik leżał na ziemi w kałuży krwi.

– Jeśli o to jej chodziło, nie musiała podawać żadnych nazwisk. Ale ona powiedziała gliniarzom, kto brał w tym udział. Podała nazwiska chłopaków, ale zapomniała wspomnieć o sobie. I dlatego byłam zmuszona wziąć brata w obronę. Chyba to rozumiesz?

Niebieskie spojrzenie jej oczu złagodniało. *Trzy odcienie błękitu, pomyślał. Niebo, sukienka i jej oczy.*

Niespodziewanie znaleźli się bardzo blisko siebie.

– Tamtej nocy wyszłam od ciebie, bo musiałam pomóc Jonny'emu – wyszeptała. – A nie chciałam mieszać cię do tego, rozumiesz? Skąd mogłam wiedzieć, że zajmujesz się właśnie tą sprawą?

Frank Frølich przyglądał się jej dłoni. Długie, szczupłe palce głaskały go po przedramieniu.

– Ja to widzę trochę inaczej – odpowiedział szeptem.

Jej palce przestały go głaskać.

– Zostawiłaś klucz do skrytki bankowej w moim mieszkaniu.

– Bo tam był bezpieczny.

– Jasne. Poza tym to musiało być cholernie praktyczne. Kiedy twoi kumple trafili do paki, skombinowałaś sobie klucz numer dwa, a kiedy ich wypuścili, byłaś w drodze do Askim z jednym kluczem w kieszeni, a drugim ukrytym w bezpiecznym miejscu, to znaczy u mnie. Pojechałaś do Askim prosto z sądu, gdzie zeznawałaś jako świadek. W banku podałaś się za Ilijaz Zupac i zabrałaś obraz ze skrytki.

Milczała wpatrzona w horyzont.

– Czy Jonny wiedział, co planujesz? – spytał.

Nie odpowiedziała.

– To znaczy, że wiedział – skwitował pewnym tonem.

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że kiedy samolot mknie po pasie startowym, żeby wznieść się w powietrze – zaczęła – to dzieje się coś ostatecznego, coś nieodwracalnego? Samolot nabiera prędkości, koła kręcą się coraz szybciej i szybciej, a tymczasem pas startowy jest tak krótki, że samolotu nie da się już zatrzymać, bo hamowanie awaryjne doprowadziłoby do katastrofy. Istnieje tylko jedno wyjście: wystartować i unieść maszynę w powietrze.

– Jonny zjawił się wtedy w banku, prawda?

– O co ci właściwie chodzi? – spytała z nagłą irytacją w głosie. – Przyleciałeś tutaj po to, żeby się pochwalić, jaki jesteś zdolny?

– Dla mnie najważniejsze jest to, żeby ustalić fakty i poznać

prawdę.

– Dlaczego tak ci na tym zależy?

– Bo koniec końców w tym wszystkim chodzi o ciebie i o mnie, o nas.

Spojrzeli na siebie.

– Jesteś pewny? – spytała miękkim tonem.

– Wiem, że Jonny pojechał do Askim w tym czasie, kiedy ty tam byłaś. Wiem, że świadek widział go w towarzystwie innej osoby na drodze prowadzącej nad rzekę. Wiem, że twój brat albo pośliznął się i wpadł do wody, albo został do niej wepchnięty przez osobę, która spotkała się z nim w Askim. Pomożesz mi rozwiązać tę zagadkę?

– Co masz na myśli, mówiąc, że ta sprawa dotyczy nas dwojga? – powtórzyła.

– Jonny był w Askim – Frølich nie dawał za wygraną. – Ty też tam byłaś.

Odwróciła się. Przez chwilę wpatrywała się w niego nieobecny, rozmarzonym wzrokiem.

– Nie wierzę ci. Tobie wcale nie chodzi o nas. Zależy ci wyłącznie na sobie samym.

– Czy to, że Jonny utonął, to był nieszczęśliwy wypadek?

– Oczywiście! Jak mogłeś myśleć inaczej?

– Kto z was zaproponował spacer nad rzekę?

– Ja.

– Dlaczego?

– Chciałam, żeby ochłonał, żeby się uspokoił.

– Chyba ci nie wierzę.

– Nie musisz. Nie obchodzi mnie, w co wierzysz. Nikomu nie uda się poróżnić mnie z bratem.

– Ale kiedy wpadł do rzeki, nie zadzwoniłaś na numer alarmowy, chociaż rzeka ma w tym miejscu wartki nurt, a woda była cholernie zimna. Można było go uratować pomimo wychłodzenia organizmu. Jonny miał szanse na przeżycie. Lotnicze Pogotowie Ratunkowe zjawiłoby się tam w ciągu kilku minut.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz! Skupiasz się wyłącznie na sobie i zgrywasz cierpiętnika.

– To prawda, że nie wiem, co dokładnie się wydarzyło na brzegu rzeki. Wiem jednak, że wróciłaś do samochodu Jonny’ego sama, odjechałaś, po czym skontaktowałaś się z Reidun Vestli, prosząc ją o pomoc. Następnie pozbyłaś się auta Jonny’ego i spotkałaś się z Reidun, która ukryła cię w swoim domku letniskowym. Wiem, że skontaktowałaś się z Narvesenem i namówiłaś go, żeby pojechał do Fagernes na spotkanie z Merethe Sandmo. Wiem, że Narvesen zapłacił jej pięć milionów koron w gotówce, żeby móc odzyskać skradziony obraz. Zastanawia mnie tylko jedno: co lub kto uruchomił ten proces? Czy to byłem ja?

Uśmiechnęła się pogardliwie, kiedy wypowiedział ostatnie słowo. Wiatr rozwiewał jej długie włosy, a fale obmywały stopy.

– Nie jesteś w stanie nawet na sekundę przestać myśleć o sobie, mam rację? – powiedziała. – Ja taka nie jestem. Zrobiłam to, co zrobiłam, ponieważ nie potrafiłam myśleć o sobie. A wszystkiemu winna jest Merethe. To ona wywołała lawinę. To ona sypnęła. Musiałam pomóc Jonny’emu, nie mogłam go tak zostawić...

– Nie potrafiłaś myśleć o sobie? Przecież Merethe Sandmo zrobiła dokładnie to, o co ją prosiłaś. Przekazała obraz Narvesenowi, wzięła pieniądze i przyjechała do domu letniskowego należącego do Reidun Vestli. Kiedy się tam zjawiała, odebrałaś jej pieniądze, zabiłaś

i podpaliłaś domek, żeby zatrzeć ślady. Przywłaszczyłaś sobie jej bilet do Aten i posługując się jej dokumentem tożsamości, wyjechałaś z kraju. Żeby to wszystko zaplanować, a potem zrealizować, musiałaś być na nią cholernie wkurzona. A ten, kto jest aż tak wkurzony na innych, skupia się wyłącznie na sobie i swoich odczuciach.

– Nikogo nie zabiłam. Chyba sam nie wiesz, co mówisz.

– Wręcz przeciwnie. Wiem, co mówię. Wszystko układa się w logiczną całość. Zaczęło się tamtej nocy, kiedy przyjechałem na miejsce zdarzenia i zobaczyłem zabitego strażnika, młodego chłopaka, studenta, który dorabiał, żeby mieć na chesne. Ktoś zatłukł go na śmierć.

– Strażnika zabił Jim Rognstad. Nie mam z tym nic wspólnego.

– Ale to ty dałaś mu alibi. Czy to nie oznacza, że grałaś z nim do jednej bramki?

Nie odpowiedziała. Stała wpatrzona w morze. Na horyzoncie majaczyły dwa olbrzymie tankowce, płynące jeden za drugim.

– Nie musiałaś dawać kumplom alibi na tamtą noc – powiedział Frølich.

– Frank – zaczęła miękkim tonem. – Dlaczego mi nie wierzysz?

– Nie mówię, w co wierzę, tylko co wiem. A wiem na przykład, że rozpoznałaś mnie na Torggata, przed akcją w sklepie Badira. Odwróciłaś się i upewniłaś, że znajdujesz się w moim polu widzenia, bo chciałaś zwrócić na siebie uwagę.

– Nie miałam pojęcia, co się wydarzy. Chciałam tylko, żebyś mnie zauważył. Ale to ty się na mnie rzuciłeś – zerknęła na niego i uśmiechnęła się niewyraźnie. – Nie pamiętasz?

– To, co pamiętam najlepiej, to to, że tamtej nocy siedziałaś obok mojego łóżka i czekałaś, aż zasnę, żeby móc wymknąć się



niepostrzeżenie z domu i zamienić życie kilku osób w koszmar.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu. Wiatr szarpał ich ubrania. Fale uderzały o ląd.

Wzdrygnął się, kiedy poczuł dotyk jej palców na swojej dłoni.

– Zdarza ci się myśleć o tym, że ziemia jest niebieska? – szepnęła. – Widziana z kosmosu.

– Po co mi to mówisz?

– Ponieważ wszystko, również to, co się wydarzyło między nami, zależy od punktu widzenia. Rozumiem, masz do mnie żal o to, że tamtej nocy o niczym ci nie powiedziałam. Ale dowiedziałam się, że Jonny ma zostać aresztowany za zabicie człowieka, którego nie tknął palcem. A ty jesteś policjantem. I dlatego to przed tobą zataiłam. Zrobiłam to, co uznałam za słuszne.

Spojrzał na jej dłoń. To była pierwsza rzecz, na którą wtedy zwrócił uwagę – jej dłonie. Palce w czarnych skórzanych rękawiczkach, które wpychały paczki papierosów do plecaka. Te same palce, które teraz głaskały go po rękę, obejmowały jego dłoń. Ciepło jej dotyku rozchodziło się po przedramieniu. Na krótką chwilę zamknął oczy, ale zaraz wsunął rękę do kieszeni i powiedział: –

Zrobiłaś to, co uznałaś za słuszne? Wracając do waszego mieszkania i wycierając swoje odciski palców? Podrzucając do swojego łóżka szczotkę do włosów należącą do Merethe, tak żeby policja mogła ją znaleźć i zabezpieczyć DNA Merethe, i dzięki temu zidentyfikować fragmenty kości w domku letniskowym Reidun Vestli? Namawiając Merethe, żeby puściła plotkę, że dostała pracę w Grecji? Nakłaniając ją, żeby wykupiła bilet na samolot do Aten?

Nie odpowiedziała.

– Chcesz powiedzieć, że postąpiłaś słusznie, zabijając Merethe?

– Jeżeli ktoś zabił Merethe, to musiał to być Vidar Ballo. Nie mam pojęcia, co się z nią stało.

– Możliwe, że Jim Rognstad zabił strażnika na Loenga. Być może twój brat rzeczywiście się pośliznął i sam wpadł do rzeki. Reidun Vestli sama odebrała sobie życie. Ale Vidar Ballo nie mógł zabić Merethe, bo kiedy płonął domek Reidun, Ballo leżał martwy w swoim własnym łóżku. Przedawkował.

Franken sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął z niej kartkę papieru.

– Kopia listu.

Spojrzała na kserokopię listu pożegnalnego Reidun Vestli i zaczęła drzeć kartkę na drobne kawałki.

– W samolocie czytałem ten list wiele razy – zaczął Franken – i w kółko zadawałem sobie to samo pytanie: za co Reidun cię przeprosza? Czy prosi, żebyś wybaczyła jej to, że zdradziła okrutnym zbirom twoją kryjówkę? A jeśli tak, to jakich zbirów ma na myśli? Kiedy zaczął płonąć jej dom letniskowy, Jim Rognstad bawił u pewnej pani w Oslo, a Vidar Ballo już nie żył. A skoro to nie oni podpalił domek, to kto pobił Reidun? I dlaczego została pobita dopiero p o t y m, jak spłonął jej dom letniskowy? Na to pytanie długo nie umiałem znaleźć odpowiedzi. A wiesz dlaczego? Bo nikt na nią nie napadł. Sfingowała pobicie, ponieważ zależało jej na tym, żeby policja uwierzyła, że k t o ś przemocą wydusił z niej informację o twojej kryjówce. W razie konieczności miała t w i e r d z i ć, że napadli na nią Rognstad i Ballo. I wszyscy by jej uwierzyli. Jako ceniony naukowiec budziła szacunek i zaufanie. A ponieważ udawała ofiarę napadu, musiała znać, przynajmniej częściowo, twój plan. Musiała wiedzieć o pożarze. Poświęciła swój domek letniskowy dla

dobra sprawy, ale skoro nie było żadnych napastników, to pojawia się jedno ważne, fundamentalne pytanie: za co w takim razie Reidun cię przeprosza?

– Przed chwilą powiedziałeś, że w tym wszystkim chodzi o nas. Co miałeś na myśli?

– Skoro nie chcesz mówić, pozwól, że zrobię to za ciebie. Reidun przeprosza cię za to, że się z tego wypisuje. Nie była w stanie dłużej uczestniczyć w twoich krwawych łowach. Nie miała twojej motywacji. Kierowała się wyłącznie miłością do ciebie. Ale to nie wystarczyło. I dlatego błaga o przebaczenie. To t y zaplanowałaś fikcyjny napad. To t o b i e zależało na tym, żeby policja uwierzyła, że Reidun została pobita, ponieważ ktoś chciał wiedzieć, gdzie się ukrywasz, a potem ten sam k t o ś odnalazł cię i zamordował. W ten sposób zamierzałaś zrzucić winę za pożar i zabójstwo na nieznanymi sprawców. Tylko że Reidun nie była w stanie znieść myśli, że przyczyniła się do czyjejś śmierci. Nie chciała odpowiadać za współudział. Dlatego wypisała się z twojego szatańskiego planu, mając nadzieję, że jej wybaczysz.

Potrząsnęła głową.

– To najbardziej absurdalna historia, jaką słyszałam.

Rozciągnął w uśmiechu spierzchnięte wargi.

– To jeszcze nie wszystko. Rozumiem, że byłaś porządnie wkurzona na Merethe. I że obwiniałaś ją o śmierć Jonny’ego. Możliwe, że wiele zależy od punktu widzenia, a cała ta historia to wymysł. Nie zmienia to jednak faktu, że obmyślając zemstę, przeoczyłaś kilka istotnych szczegółów. Zapomniałaś na przykład, że kładąc się do mojego łóżka, powinnaś nałożyć na włosy ochronną siatkę. Kiedy tamtej nocy zniknęłaś z mojego domu, zostawiłaś na

poduszce jeden czarny włos. Jego profil DNA nie zgadzał się z tym, który zabezpieczono na szczotce do włosów należącej do Merethe Sandmo, ani z fragmentami kości znalezionymi w pogorzeliisku. Wpadłaś, Elisabeth, zgubił cię jeden włos. Bo nie wiem, czy wiesz, ale mam cholernie upierdliwego szefa. Kiedy przywlokłem z domu twój włos i po zbadaniu go w labie okazało się, że nie ma zgodności z pozostałymi próbkami DNA, mój szef się uparł, żeby wejść do mieszkania Merethe Sandmo i pobrać stamtąd próbki. Zgadnij, jaki był wynik testu.

Stała nieruchomo, spoglądając w stronę hotelu. Wiatr wciąż bawił się jej suknią.

– Merethe Sandmo siedziała w samolocie lecącym do Aten, chociaż z całą pewnością już wtedy nie żyła – podsumował Frølich. – Kobieta, która się za nią podawała, wysiadła z samolotu i wynajęła samochód, którym pojechała do Patras. Zwróciła auto i kluczyki w tamtejszym oddziale Herza i ślad po niej zaginął. Merethe Sandmo zapadła się pod ziemię. Za to na przystani promowej w tym samym mieście pojawia się inna kobieta: Elisabeth Faremo. Kupuje bilet na prom do Bari, na drugim brzegu Adriatyku. I tam znika. Rozpływa się w powietrzu. Dwa dni później w porcie w Ankonie, położonym na północ od Bari, znowu pojawia się Merethe Sandmo. Kupuje bilet do Zadaru w Chorwacji. Za to kobieta, która melduje się w hotelu w Zadarze, pozornie nie ma związku z naszą sprawą. Jej dane personalne nic nam nie mówią. Pokonałaś szmat drogi, żeby nas zmylić, ale popełniłaś błąd. Kobieta, która wynajęła pokój w Zadarze, płaciła rachunki norwesкими banknotami, których numery seryjne są na czarnej liście Økokrimu. Cały zespół, który pracował nad tą sprawą, wie, że twój pobyt w Chorwacji finansowany jest z pieniędzy

Narvesena.

– I przyjechałeś aż tutaj, odszukałeś mnie, tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć?

Patrzył na nią. Nagle cała sytuacja wydała mu się pozbawiona sensu. Przypomniał mu się zbiorek poezji, który odnalazł w szufladzie stolika nocnego. Rozmowa w łóżku, w której zdradziła mu nazwę tej wyspy.

– Czekałam na ciebie – mówiła dalej. – Ale chciałam, żeby przywiodła cię do mnie tęsknota, a nie negatywne emocje.

Położyła dłoń na jego ramieniu, wspięła się na palce i musnęła wargami jego policzek. Pamiętał ten dotyk.

– Wiedziałam – wyszeptała – wiedziałam, że mnie odnajdziesz.

Wyrwał się jej.

– Na to jest już za późno.

– Nie – zaprzeczyła. – Na nic nie jest za późno.

– Dlaczego to zrobiłaś? – wyszeptał, gardząc swoją żalosną prośbą: „Zrób dla mnie chociaż tyle, powiedz mi, jaki to wszystko miało sens”.

– Bez Jonny’ego nie mam nic.

Stał i zastanawiał się nad tym, co powiedziała.

– Chcesz powiedzieć, że nic się nie stało? Że życie toczyłoby się swoim torem, gdyby tylko Jonny...

– Teraz mam tylko ciebie – przerwała mu.

– To nieprawda. Uciekłaś ode mnie.

– Czekałam na ciebie – powtórzyła.

– Ale my nigdy nie będziemy razem.

Zamilkli na chwilę, chociaż oboje mieli wrażenie, że upłynęła wieczność. Słyszeć było jedynie szum fal. Stała dwa metry od niego.

Kiedy w końcu spojrzeli na siebie, wyczytał z jej oczu, że coś się stało. Była nieobecna duchem.

– Zdaje się, że o czymś zapomniałeś.

– O czym?

– Inge Narvesen nie puści pary z ust. Nigdy nie wypowie się oficjalnie na temat skradzionego obrazu, który posiada. A na mnie nic nie masz. Bez obrazu twoja historia nie jest warta funta kłaków. Bez obrazu nie udowodnisz, że wyjęłam coś ze skrytki bankowej. Bez obrazu nie miałam czego odsprzedawać Ingemu. To prawda, że posłużyłam się nazwiskiem Merethe i jej biletem, żeby uciec z kraju, ale byłam do tego zmuszona. Bałam się o własne życie. Najpierw ktoś zabił mojego brata, a potem Merethe.

– Obraz? – zdziwił się Frank Frølich. – O jakim obrazie mówisz?

– Doskonale wiesz, który obraz mam na myśli.

– Jeśli chodzi ci o studium Madonny z Dzieciątkiem, które zniknęło z włoskiej katedry w dziewięćdziesiątym trzecim roku, to ten obraz jest w dalszym ciągu poszukiwany. Od tamtej pory ślad po nim zaginął. Jeśli ktoś twierdzi, że widział go w Norwegii, to musiał mieć przywidzenia. Ten obraz przepadł jak kamień w wodę. Przykro mi, Elisabeth. To, co ma znaczenie dla sprawy, to ludzkie szczątki znalezione w pogorzelisku. Policja w Norwegii ma dowody świadczące o tym, że kobieta, której ciało spłonęło w domku letniskowym, przyjęła pięć milionów koron od Ingego Narvesena. Z tej transakcji Inge Narvesen musiał się długo tłumaczyć. Najpierw próbował wmówić śledczym z Kripas, że zapłacił Merethe za seks. Ale seks za pięć milionów to gruba przesada, więc nikt mu nie uwierzył. W końcu przyznał, że Merethe Sandmo zaserwowała mu bajeczkę o cennym obrazie, którego szczęśliwym posiadaczem miał się stać za

jedyne pięć milionów koron. Był na tyle głupi, że jej uwierzył i zapłacił. A potem okazało się, że obrazu nie ma. Został oszukany. Ale młode laski, które wyłudniają pieniądze od nadzianych facetów, to dla norweskich sędziów nic nowego. Nuda. O ile nie pojawi się wspomniany obraz, tej części historii nie warto poświęcać więcej uwagi. Ale założę się, że sąd zainteresuje się twoją chłodną kalkulacją, dzięki której wiesz spokojne nowe życie na południu Europy. Wykorzystałaś Reidun Vestli do uwiarygodnienia własnej śmierci. Wykorzystałaś Merethe Sandmo jako pośrednika w wyłudzeniu pieniędzy. Pewne jest, że odebrałaś pieniądze Merethe i zabiłaś ją, ponieważ codziennie wydajesz banknoty o tych numerach seryjnych, od dnia, w którym przejęłaś tożsamość Merethe i uciekłaś z kraju pod jej nazwiskiem.

Kiedy zamilkł, wciąż stała nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w morze.

Wskazał głową na hotel i powiedział:

– Idziemy?

– Tak bardzo się spieszysz?

Kolejna zmiana tonu głosu. Teraz wydał mu się niemal wesoły.

Spojrzeni na siebie. Próbował zajrzeć w jej oczy i wyczytać coś z czarnych studni otoczonych niebieskim połyskiem, ale musiał dać za wygraną.

– Chyba nie odmówisz mi ostatniego życzenia? – spytała z drwiącym uśmiechem.

– Tylko się nie zagalopuj.

– Mówiłam ci już, że idę popływać. Jeśli chcesz, możesz się przyłączyć.

Spojrzał z wahaniem na wodę.

Tymczasem ona zaczęła ściągać sukienkę. Po chwili stała przed nim w niebieskim bikini. Wiatr rozwiewał jej czarne włosy. Po raz kolejny musnęła wargami jego policzek.

– Odważysz się to dla mnie zrobić?

Usiadł na piasku. Elisabeth wolnym krokiem ruszyła w stronę morza. Przyglądał się jej zgrabnej sylwetce, opalonym łydkom, kołyszącym się biodrom. Woda musiała być zimna, ponieważ nikt inny nie odważył się w niej zanurzyć, a jednak ona szła dalej, bez wahania. Kiedy położyła się na wodzie, wstał, żeby lepiej ją widzieć. Wypatrywał głowy z ciemnymi włosami, która skryła się między grzywami fal. Po chwili wypłynęła na powierzchnię. Zniknęła mu z oczu. Wypłynęła. Zniknęła.

Zastanawiał się nad jej słowami.

Wypatrywał jej – bezskutecznie.

Poczuł, jak jego ciało ogarnia paraliż.

Kiedy w końcu rzucił się w stronę hotelu, dwaj chorwaccy policjanci biegli już przez plażę.



## 23

– I tak zwyczajnie jej pozwoliłeś? Pójść popływać?

Frank Frølich nie odpowiedział.

– Mów dalej – powiedział Gunnarstranda bezbarwnym tonem.

– Rozebrała się...

– Skup się na tym, co naprawdę istotne, okej?

Franken podrapał się w policzek.

– Weszła do wody, nie oglądając się za siebie.

– Tak?

– Kiedy woda sięgała jej do pasa, zanurzyła się i zaczęła oddalać od brzegu.

– Czy oprócz niej ktoś jeszcze się kąpał?

– Nikt.

Inspektor przyglądał mu się ponurym wzrokiem.

– Nie było tam nic, za czym mogłaby się schować, żadnej góry, żadnego głazu, kamienia, łódki, piłki plażowej, zupełnie nic. Tylko morze i piasek.

– Mogłeś się temu sprzeciwić.

– Tak, mogłem powiedzieć, że nie wyrażam zgody. I co z tego? Nie miałem prawa jej zatrzymać, mogła to zrobić wyłącznie chorwacka policja.

– Ale nie miałeś przebywać z nią na osobności.

– Posłuchaj...

– Nie! – przerwał mu gwałtownie Gunnarstranda. – To ty posłuchaj! Zostało ci powierzone zadanie sprowadzenia podejrzanej do Norwegii, a tymczasem ją zgubiłeś. Podejrzana zniknęła! Twoja była dziewczyna, przyjaciółka od serca, weszła do wody i ślad po niej zaginął.

– Miejscowa policja wyjaśniła, że w tym miejscu tworzą się wiry wodne. Ona się utopiła.

– A ty tak po prostu pogodziłeś się z tym, że zniknęła?

– Mamy jej pieniądze, ubranie, paszport, kartę kredytową, wszystkie rzeczy osobiste. Uwierz mi: Elisabeth Faremo nie żyje.

– Ta kobieta już raz była martwa! – Gunnarstranda wstał i podszedł do drzwi. Zanim wyszedł, odwrócił się i spojrzał Frølichowi prosto w oczy. – Sprawa zostaje umorzona – rzucił krótko. – Zadowolony?

Franken nie odpowiedział. Nieobecny wzrokiem wpatrywał się w drzwi, które się właśnie zamknęły. Przed oczami miał tylko jeden obraz – opalonej kobiecej sylwetki w niebieskim bikini, wchodzącej powoli do wody, zanurzającej się i oddalającej od brzegu, bez oglądania się za siebie. Podniósł rękę, żeby po raz kolejny podrapać się po policzku. Nie mógł przestać się drapać. Policzek zaczął go palić. Położył dłoń na udzie. Policzek piekł niemiłosiernie. Nie mógł się pozbyć natrętnej myśli. Policzek palił go dokładnie w tym miejscu, w którym musnęła go wargami, zanim się odwróciła i zniknęła w wodzie.

---

<sup>1</sup> Blindern – osiedle w dzielnicy Nordre Aker, znane z miasteczka uniwersyteckiego znajdującego się na jego terenie (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> Karius – bohater popularnej w Norwegii bajki dla dzieci *Karius og Baktus* [Karius i Baktus] autorstwa Thorbjørna Egnera, opublikowanej w 1949 roku, oraz filmu rysunkowego stworzonego na jej podstawie (przyp. red.).

<sup>3</sup> Hvar – wyspa w Chorwacji (przyp. tłum.).

<sup>4</sup> Glomma – najdłuższa rzeka Norwegii, położona w południowo-wschodniej części kraju (przyp. tłum.).

<sup>5</sup> Kripos – do 1 stycznia 2005 roku Centrala Policji Kryminalnej, obecnie Centralna Jednostka ds. Przystępności Zorganizowanej i Przystępstw o Wysokiej Szkodliwości Społecznej (przyp. tłum.).

<sup>6</sup> Saltstraumen – najsilniejszy na świecie prąd wodny, występujący w północnej Norwegii (przyp. red.).

<sup>7</sup> Kjell Nupen, Ørnulf Opdahl – malarze norwescy (przyp. tłum.).

<sup>8</sup> *Historia O* – powieść erotyczna francuskiej dziennikarki i pisarki Anne Desclos, wydana w 1954 roku pod pseudonimem Pauline Réage (przyp. tłum.).

<sup>9</sup> *Życie seksualne Catherine M.* – pamiętniki francuskiej pisarki i krytyk sztuki Catherine Millet, które ukazały się w 2002 roku (przyp. tłum.).

<sup>10</sup> Gunvor Hofmo (1921–1995) – norweska poetka. Zbiór poezji *Nikogo nie zapomnę* ukazał się cztery lata po jej śmierci (przyp. tłum.).

<sup>11</sup> Økokrim – norweska jednostka dochodzeniowo-śledcza powstała w 1989 roku,

zajmująca się zwalczaniem przestępczości gospodarczej oraz przestępstwami przeciwko środowisku naturalnemu (przyp. tłum.).

[12](#) *Høsehjerne* (norw.) – potocznie „ptasi mózdzek” (przyp. tłum.).

[13](#) Rolf Stenersen (1899–1978) – norweski biznesmen, pisarz i kolekcjoner sztuki (przyp. red.).

[14](#) Hølse-Lovisa – postać ze sztuki *Dziecko* Oskara Braatena. W domu Hølse-Lovisy nad rzeką Akerselva mieszczą się obecnie kawiarnia i galeria (przyp. tłum.).

[15](#) Peter Christen Asbjørnsen (1812–1885) – norweski pisarz, przyrodnik i folklorysta, którego wizerunek znajduje się na norweskich banknotach pięćdziesiękorońowych (przyp. red.).

[16](#) SEFO – specjalna jednostka, której zadaniem jest prowadzenie śledztwa w przypadkach, gdy funkcjonariusze organów ścigania są oskarżeni o popełnienie czynu karalnego w związku ze służbą, np. o nadużycie stanowiska (przyp. tłum.).

[17](#) Bastøy – wyspa na Oslofjorden w okręgu Vestfold, na której mieści się zakład karny (przyp. tłum.).

[18](#) Heimevernet – Obrona Krajowa, część Norweskich Sił Zbrojnych, oddziały szybkiego reagowania utworzone w 1946 roku, obecnie liczą 45 tysięcy żołnierzy (przyp. tłum.).

[19](#) Manuel I Komnen (1118–1180) – cesarz bizantyjski (przyp. tłum.).